

AGNIESZKA CHODKOWSKA-GYURICS



**OSTATNIA  
SPRAWA**

LITERATE

# Spis treści

Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Rozdział 21  
Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Epilog

# ROZDZIAŁ 1

Babka bała się listów poleconych, matka – telegramów, a Joanna telefonów dzwoniących w środku nocy, takich jak ten, który obudził ją pamiętnej, lipcowej nocy.

Z ociąganiem wstała z łóżka i poczłapała do przedpokoju, żywiąc podświadomie nadzieję, że ten ktoś po drugiej stronie, kimkolwiek był, w końcu się rozmyśli. Niestety, komórka uparcie powtarzała durną melodyjkę. *Plum, plum, plum, plum-plum... Plum, plum, plum, plum-plum...*

Numer widoczny na wyświetlaczu niczego jej nie mówił. Nim zdążyła zdecydować, odebrać czy nie, telefon umilkł. Nie na długo. Po chwili znowu zabrzmiało znajome *plum... plum... plum*. Nieznana osoba nie dawała za wygraną. Z rezygnacją kliknęła ikonę zielonej słuchawki.

– Halo?

– Dobry wieczór. – Rozległ się wysoki, zdenerwowany, kobiecy głos. – Czy pani Joanna Tańska?

– Taaak... A z kim właściwie mam przyjemność? – odpowiedziała, jeszcze nie do końca rozbudzona.

– Przepraszam, powinnam się przedstawić. Pani mnie nie zna. Nazywam się Barbara Brodzka. – Głos drżał, rwał się, załamywał. Kobieta najwyraźniej z trudem dobierała słowa. Zdawało się, że nawet przypomnienie sobie własnego imienia sprawia jej trudność. – To wszystko... Nie wiem, od czego zacząć. Dzwonię od Heleny.

– Od Heleny? Jak to? – Joanna otrzeźwiała. Nagłe, nieokreślone złe przeczucie sprawiło, że po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. – Przecież to nie jest jej numer – dodała zdezorientowana, jakby w czasach Internetu i telefonów komórkowych numer był w jakikolwiek sposób przypisany do miejsca.

– Tak, od Heleny. To znaczy z jej mieszkania, ale ze swojej komórki. Czy mogłybyśmy się spotkać? Powiedzmy za czterdzieści minut, w McDonalddie na rogu, przy stacji benzynowej na Kościuszki. – Tym razem w głosie nieznajomej słychać było determinację. Kolejne słowa wręcz wyrzucała z siebie jednym tchem, jakby bała się, że nie zdąży. Że ktoś jej przerwie, nie pozwoli dokończyć.

– Dobrze – automatycznie odpowiedziała Joanna i zanim dotarło do niej, co zrobiła, usłyszała trzask oznaczający koniec połączenia.

Nerwowo wystukała numer Heleny, aby zapytać, o co właściwie chodzi, ale nikt nie odebrał. Przez dłuższą chwilę stała oszołomiona, wsłuchując się w jednostajny sygnał, *tuuu... tuuu... tuuu...* Czekwała cierpliwie, aż do chwili, gdy mechaniczny, kobiecy głos oznajmił: „Abonent czasowo niedostępny”. W pierwszym odruchu chciała oddzwonić na numer tajemniczej nieznajomej, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że Barbara

Brodzka nic więcej przez telefon nie powie. Zrezygnowana, z westchnieniem, zaczęła się ubierać.

\*

– Co ja wyprawiam? – zastanawiała się, jadąc pustymi ulicami. – Dzwoni do mnie jakaś nieznana baba, nie mówi, w czym rzecz, a ja gnam w ciemności na złamanie karku przez pół miasta. To chore.

Włączyła radio. Samochód wypełniły ciche dźwięki kwartetu smyczkowego. Na zewnątrz mżył drobny, uparty deszcz. Wycieraczki cicho odmierzały rytm podróży.

\*

Helena. Starsza o kilka minut siostra Joanny. Podobno między bliźniakami istnieje jakaś tajemnicza, specjalna więź. Co jakiś czas w gazetach pojawiają się sensacyjne opowieści o rodzeństwie, które choć oddalone od siebie o setki kilometrów zachowywało się tak samo, wybierało ten sam zawód, w tym samym czasie zakładało rodziny, kupowało psy tej samej rasy i nadawało dzieciom takie same imiona. Być może to wszystko prawda, ale Joanna i Helena nic podobnego nie czuły. Rozdzielono je we wczesnym dzieciństwie, niedługo po tym, jak rodzice dziewczynek zginęli w wypadku. Joanną zajęła się rodzina matki, Helenę zabrała siostra ojca. Nigdy nie przyznano tego otwarcie, ale decyzję podjęto głównie ze względów finansowych. Żaden krewny nie czuł się na siłach ponieść kosztów utrzymania dwójki dzieci. Wobec takiego argumentu uczucia bliźniaczek zeszyły na dalszy plan. Kto by się zresztą liczył ze zdaniem czterolatek?

Rodziny nigdy specjalnie się nie lubiły, choć nikt nie potrafił właściwie powiedzieć dlaczego. Jeszcze za życia rodziców Joanny i Heleny spotkania ograniczono do niezbędnego minimum – chrzciny, pogrzeby, śluby i wymiana kartek świątecznych dwa razy do roku, a po ich śmierci ustały nawet te sporadyczne kontakty. Nikt też nie zadbał o to, by dziewczynki mogły się bliżej poznać. Owszem, wiedziały o swoim istnieniu, owszem, początkowo tęskniły, dopytywały się o siebie, ale z czasem wspomnienia straciły ostrość, pozostała tylko pozbawiana jakichkolwiek emocji wiedza.

Żyły tak aż do trzydziestych piątych urodzin, gdy powodowana nagłym impulsem Helena postanowiła odnaleźć siostrę. Ku zdumieniu obu kobiet okazało się, że od pewnego czasu mieszkają w tym samym mieście. No prawie tym samym: Helena, nie bacząc na cenę, kupiła niewielkie mieszkanie w samym centrum, w gomulkowskim bloku zwanym popularnie szarą szafą, podczas gdy Joanna wybrała kanadyjski dom na przedmieściach, w rejonie, który co prawda miał jakąś oficjalną nazwę, ale i tak wszyscy mówili o nim po prostu „Osiedle”. Początkowa euforia i towarzyszące spotkaniu po latach podniecenie szybko przerodziły się w rozczarowanie. Po pierwszej wymianie uprzejmości: „Ach, jak wspaniale wyglądasz”, „Co u ciebie”, „Świetna sukienka”,

„Musisz mi zapisać adres twojego fryzjera”, zapadała krępująca cisza. Brakowało tematów do rozmowy. Każda z nich, będąc już przecież panią w wieku określanym delikatnie jako balzakowski, miała swój świat, swoje życie. Dzieliło je wszystko – zainteresowania, styl życia, zawody. Joanna była tłumaczem, Helena – grafiką komputerową. Nie miały ani wspólnych znajomych, ani chociażby wspomnień łączących zazwyczaj bliskie sobie osoby. Zabrakło nawet ratującego w takich sytuacjach konwersację, nieśmiertelnego: „A pamiętasz jak...?”. Nic ich nie łączyło poza genami. Zaniechały więc rozpaczliwych wysiłków, ograniczając znajomość przez kolejne lata do sporadycznych rozmów telefonicznych i jeszcze rzadszych, kurtuazyjnych wizyt. Nawet czterdzieste urodziny świętowały oddzielnie.

\*

– O kurczę! – Zahamowała z piskiem. W zamyśleniu o mały włos nie ominęła jasno oświetlonego budynku McDonalda. Zaparkowała. Kuląc się z zimna, przebiegła truchtem kilka metrów, ale i tak zdążyła przemoczyć buty, nim weszła do pełnego ludzi, gwarne mimo późnej pory pomieszczenia. W nos uderzył ją odpychający zapach mokrych ubrań zmieszany z wonią smażonego mięsa i frytek. Nieprzyjemne odczucie jeszcze spotęgowało wątpliwości. Co ja tu robię? – pomyślała, czując narastającą falę irytacji mieszanej z bezradnością. Stała przy drzwiach, rozglądając się nieporadnie.

Siedząca w kącie nad kubkiem herbaty szczupła kobieta wstała gwałtownie i zdecydowanym krokiem ruszyła ku Joannie. Miała długie, proste, blond włosy. Ubrana w dżinsy, koszulową bluzkę i buty na płaskim obcasie nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat.

– Dziękuję, że pani przyszła – wyciągnęła rękę na powitanie. Dłoń miała chłodną i drżącą. – Usiądźmy, proszę.

– Skąd... – chciała zapytać Joanna, ale przerwała po pierwszym słowie. – No tak, nietrudno mnie rozpoznać, jeśli zna się Helenę – zaśmiała się nerwowo. – Tak, tak. Siadźmy.

Chwilę siedziały w milczeniu, taksując się wzrokiem.

– Dawno nie było tak chłodnego lata. Niby lipiec, a zimno jak w listopadzie. I ten deszcz.. – Żałosna próba wybrnięcia z niezręcznej sytuacji spaliła na panewce. Obca nic nie odpowiedziała, nie zdobyła się nawet na zdawkowe „tak” albo „nie”. Nieruchoma, blada, zapatrzona tępo gdzieś w przestrzeń, wyglądała niczym figura woskowa.

– A więc, o co chodzi? – zapytała Joanna, widząc, że tamta ociąga się z rozpoczęciem rozmowy. Wyszło to jakoś niegrzecznie, wręcz grubiańsko.

– Helena nie żyje.

– Co?!

– Nie żyje. Dopiero co ją znalazłam.

- Jak to znalazła pani? Co się stało? Wypadek, napad czy co? I dlaczego to pani mi o tym mówi, a nie pogotowie czy policja? – zapytała zaskoczona Joanna.

- Ja... ja... nie zawiadomiłam jeszcze policji – wyjąkała nieznajoma. – Zupełnie straciłam głowę. Nie wiedziałam, co robić. To może opowiem wszystko po kolei, a potem postanowimy, co zrobić?

- Tak. Oczywiście – odparła oszołomiona Joanna.

- Ja i Helena przyjaźnimy się... to znaczy przyjaźniłyśmy się od kilku lat. Pracowałyśmy razem. Ostatnio miałyśmy spore zaległości, więc nadganiałyśmy wieczorami. Najczęściej u niej, bo ja mieszkam z rodzicami i siostrą, a mieszkanie mamy małe. Dziś też się umówiłyśmy – przerwała, zaciskając nerwowo dłonie na papierowym kubku. Po chwili podjęła opowieść. – Przyszłam kilka minut przed ósmą, tak jak się umówiłyśmy. Dzwoniłam, pukałam, ale nikt nie otwierał. Pomyślałam, że gdzie wyszła. Zezłościłam się, bo zmokłam, było mi zimno, chciałam zdjąć mokre buty i napić się czegoś ciepłego. Na szczęście kilka dni temu dała mi klucze. Bo widzi pani, mieszkam daleko, z drugiej strony miasta, nie ma sensu, żebym po pracy jechała do domu i potem wracała. No tak, ale to nieważne – rzuciła, widząc grymas zniecierpliwienia na twarzy Joanny. – Zrobiłam sobie herbatę, wróciłam do pokoju i czekałam. Coś tam zaczęłam dłubać na laptopie i ani się obejrzałam, jak minęły dobre trzy godziny z okładem. Tak mam, że jak się wezmę do roboty, to świat dla mnie przestaje istnieć. Pewnie dłużej bym tam siedziała, ale musiałam pójść do łazienki. Ciągle jeszcze niczego nie podejrzewałam. Teraz widzę, że to głupie. Przecież byłyśmy umówione. Helena mogła się spóźnić kwadrans, no pół godziny, ale nie tyle! Ale to przez tę robotę. Ja jak zacznę... – przerwała. Machnęła ręką, jakby sama siebie chciała skarcić. – Dopiero w łazience zaczęło do mnie docierać, że coś jest nie tak. Zdziwiło mnie, że wanna cała jest pełna ubrań, jakby ktoś szykował ogromne pranie. To nie w stylu Heleny, ona jest... była schludna, aż do przesady. Wszystko miała zawsze poukładane równiutko. Już miałam wyjść, gdy zauważyłam, że spod szmat wystaje ręka. Dotknęłam jej – była zimna – znowu przerwała i desperackim ruchem wlała do gardła herbatę tak, jakby to była wódka.

Milczały, wpatrując się w blat stołu. W końcu Joanna przerwała ciszę.

- Ale dlaczego nie zadzwoniła pani na policję? Albo na pogotowie? – zapytała, mimowolnie podnosząc głos.

Siedząca przy sąsiednim stoliku nastolatka odwróciła się i zmierzyła ją zaciekawionym wzorkiem. Nie dostrzegła jednak niczego interesującego i po chwili wróciła do frytek.

- Przestraszyłam się. Nie wiedziałam, co robić. W głowie miałam pustkę. Wróciłam do salonu i siedziałam, patrząc w ścianę. Nie wiem, jak długo. I nagle przypomniałam sobie, że Helena miała notes z adresami i telefonami znajomych. Taki relikw z czasów sprzed komórek. Pokazała mi go kiedyś. Niewinne, drobne dziwactwo. Archaizm, ale

była do niego przywiązana. Żartowała, że to jej *backup* na wypadek utraty telefonu. Znalazłam pani numer, zadzwoniłam i czekałam.

– To dlatego nikt nie odebrał mojego telefonu – mruknęła Joanna, a po chwili dodała – widziała pani tylko dłoń, prawda?

– No tak. Od razu uciekłam z łazienki.

– Może to wcale nie ona. – Joanna dostrzegła promyk nadziei i uczepliła się go z determinacją. – Może to wcale nie ona – powtórzyła.

Znowu zapanowała cisza. Sala powoli pustoszała, gwar rozmów ucichł, słysząc było tylko uderzające w szybę krople deszczu.

Do stolika podeszła młoda dziewczyna. Na piersi miała przypiętą tabliczkę z napisem „Agata”.

– Przepraszam – powiedziała bardzo cicho. – Zamykamy o drugiej.

Barbara zerknęła na zegarek.

– Jest za dwie – powiedziała ni to do siebie, ni to do kelnerki. – Już się zbieramy – dodała, starając się uśmiechnąć, ale mimo wysiłków na twarzy pojawił się jedynie żalony grymas.

\*

Szły w milczeniu, powoli, nie zważając ani na siąpiący deszcz, ani chłodny wiatr. Po chwili skręciły w boczną uliczkę skąpo oświetloną błękitnym światłem samotnej latarni. Wokół było pusto, pogoda i późna pora zagnały do domów nawet najwytrwalszych nocnych marków. Tylko w nielicznych oknach widać było światło. Osiedle spało.

Gdy stanęły pod drzwiami, Joannę ogarnął paniczny strach. Nagle dotarło do niej, że to wszystko dzieje się naprawdę, że dotyczy jej, a nie kogoś innego.

Wilgotne dłonie, kropelka potu spływająca po skroni, dziwny chłód.

Miała ochotę uciec, zaszyć się w najdalszym kącie i zapomnieć o wszystkim. O mało nie zemdląta, gdy Barbara przekręcała klucz w zamku. Skrzypnęły drzwi. Kolejny głęboki wdech. Chwila wahania. Zaciśnięte pięści. Jeszcze jeden wdech i decyzja. Ze straceńczą determinacją, niczym skazaniec wstępujący na szafot, weszła do środka.

Rozejrzała się dookoła. Mieszkanie wyglądało najzwyczajniej na świecie. Wokół panował ład i porządek. Zasłony starannie zaciągnięte, na stoliku, obok fotela równo poukładane gazety. Obok nich stała pusta filiżanka na spodeczku, o którego krawędź oparto łyżeczkę, taką jakie sprzedają w sklepach z pamiątkami na całym świecie: z rączką zakończoną kiczowatym obrazkiem zwieńczonym napisem „Croatia”. Gdyby nie to, można by pomyśleć, że nikt tu nie mieszka. Wzięła kolejny głęboki wdech i ruszyła w stronę łazienki. Na widok dłoni wystającej spod sterty ubrań cofnęła się odruchowo, ale natychmiast zapanowała nad sobą. Szybkimi, nerwowymi ruchami zaczęła zdejmować kolejne rzeczy, rzucając je chaotycznie na podłogę: rozciągnięta koszulka, płócienne spodnie, poplamiony szlafrok, stary ręcznik, jeszcze jeden ręcznik, kolejna koszulka,

bielizna, znowu koszulka. W końcu zobaczyła twarz. To była Helena. Ostatnia iskierka nadziei zgasła.

\*

To, co było dalej, Joanna pamiętała jak przez mgłę. Jacyś ludzie krążyli po mieszkaniu, zadawali mnóstwo pytań, ktoś zrobił jej herbatę, ktoś odwiózł do domu.

\*

Komisarz Pucki zrezygnowanym wzrokiem wpatrywał się w stertę zalegających na biurku dokumentów. Do emerytury zostało mu niecałe pół roku i miał szczerzy zamiar przeczekać je, zajmując się papierkową robotą i planując karierę w firmie ochroniarskiej. Niestety, w samym środku sezonu wakacyjnego, gdy z powodu licznych urlopów komenda świeciła pustakami, Matuszkiewicz nie wytrzymał upałów i wyładował w szpitalu. Nie było szans, że wróci do służby wcześniej niż za dwa miesiące. I tak oto Puckiemu przydzielono ostatnie w karierze śledztwo. Sprawa śmierci Heleny Rubiszewskiej,

Sytuacja nie wyglądała dobrze. Komisarz wiedział z doświadczenia, że większość spraw albo zostaje rozwiązana w ciągu dwudziestu czterech godzin, albo wcale. Wyrafinowane morderstwa zdarzają się głównie w książkach, rzadziej w kinie, za to w życiu – prawie nigdy. Rzeczywistość jest niezbyt romantyczna. Najczęściej trafiają się zbrodnie prostackie, popełnione po pijaku albo w ramach bandyckich porachunków. A jeśli już szary obywatel zdobędzie się w akcie desperacji na taki krok, to z reguły przestępcą okazuje się ktoś z najbliższych – mąż, żona, zięć, czasem ktoś z bliskich znajomych. W tym wypadku rodzinę można było praktycznie wykluczyć. Denatka mieszkała sama, jako takie stosunki utrzymywała z ciotką mieszkającą pod Jelenią Górą, ale z powodu znacznie odległości od wielu lat spotykała się z nią stosunkowo rzadko. Była jeszcze siostra bliźniaczka, ale z nią też, o dziwo, ofiara spotykała się tylko sporadycznie. Początkowo wydało się to niewiarygodne, ale wszyscy świadkowie zgodnie potwierdzili tę wersję. Trudno było przypuszczać, że kilka zupełnie niepowiązanych ze sobą osób zawiązało spisek mający na celu wprowadzenie Puckiego w błąd.

Z westchnieniem otworzył raport z sekcji zwłok. Przeczytał ich w ciągu dwudziestu lat pracy dziesiątki, a może nawet setki, ale wciąż nie mógł opanować złości, przekopując się przez kartki wypełnione zupełnie zbędnymi informacjami. Kolejne strony opisujące bardzo szczegółowo, czego nie stwierdzono. Narkotyków nie stwierdzono. Alkoholu nie stwierdzono. Śladów gwałtu nie stwierdzono. I tak dalej, i tak dalej. Niby wiedział, że są to bardzo ważne informacje pozwalające odrzucić mylne tropy, niby wiedział, że podstawą pracy patologa są skrupulatność i przestrzeganie procedur, ale czy nie można by zacząć od tego, co jednakowoż stwierdzono? Kolejna strona i kolejna, a czas płynął.

Lekarz sądowy jednoznacznie wykluczył możliwość śmierci naturalnej.



– A to ci nowina – prychnął Pucki. – A ja myślałem, że baba ubrała się w wyjściowe ciuchy, zrobiła makijaż, weszła do wanny, nakryła brudnymi gaciami i czekała, aż ją ktoś znajdzie – mamrotał, wertując raport w poszukiwaniu istotnych danych.

Z opisu wynikało, że denatka za życia była okazem zdrowia – żadnych zwyrodnień organów wewnętrznych ani systemu kostnego. Lekarz wspominał o jednej interwencji chirurgicznej – kilka lat temu przeszła operację cesarskiego cięcia.

Na twarzy Puckiego po raz pierwszy tego dnia pojawił się uśmiech. Wyciągnął z szuflady ukochany notes – temat dowcipów wszystkich młodszych, zakochanych w komputerach kolegów – i dużymi, wyraźnymi literami wpisał „Dziecko”. Popatrzył na swe dzieło i po chwili dopisał jeszcze dwa wykrzykniki.

– Trzeba dowiedzieć się, co z tym dzieckiem – mamrotał, notując. – Dlaczego w mieszkaniu nie było nawet fotografii? Gdzie teraz jest? Czy żyje? – Wszystkie pytania zapisywał starannie jedno pod drugim w notesie.

– Sam dzieciak nic mi nie powie – kontynuował – ale jeśli go znajdę, może doprowadzi mnie do innych członków rodziny. Była panną, może ojciec dziecka miał żonę, drugą rodzinę, szantażowała go albo domagała się pieniędzy?

Uśmiechnął się z zadowoleniem i dopisał do listy pytań: „Kto jest ojcem?”.

W końcu uznał temat za wyczerpany i powrócił do lektury raportu.

*Wybroczyny podsiatkówkowe... Zasinienienia... Prowadzi to do jednoznacznej konkluzji, że bezpośrednią przyczyną śmierci było zagardlenie. Mechaniczne uciśnięcie narządów szyi...*

– Czyli po bożemu, ktoś ją udusił gołymi rękami. I ten nieznośny styl. „Prowadzi do jednoznacznej konkluzji”! – Pucki burknął po nosem, odsunął dokument na bok, rozłożył na biurku zdjęcia i przez dobry kwadrans wpatrywał się w nie. W końcu westchnął i z rezygnacją wykreślił numer patologii. Odebrał doktor Jamski, zwany pieszczotliwie „dziadkiem”. Żywa legenda. Pasjonat, który nie wyobrażał sobie życia bez pracy, odparł skutecznie niejedną próbę przeniesienia w stan spoczynku. Był uznanym patologiem z niemałym doświadczeniem już wtedy, gdy komisarz – wszak też nie młodziak – rozpoczynał karierę w policji. Pracowali razem nad niejedną sprawą.

– Cześć, chciałem pogadać o raporcie z sekcji.

– Chodzi ci o tę uduszoną?

– Tak, czytałem, co napisałeś, oglądałem zdjęcia, ale chcę, żebyś potwierdził. Czy jest możliwe, że dusiciel zaszedł ją od tyłu?

– Nie sądzę, ślady na szyi są bardzo wyraźnie. Bez trudu można odtworzyć ułożenie rąk.

– Brak naskórka pod paznokciami, nie broniła się?

– Znowu nie doczytałeś do końca! Wyraźnie napisałem, że pod paznokciami znalazłem tylko odrobinę naturalnego włókna. Odesłałem do laboratorium, żeby określili, co to, ale sam wiesz najlepiej, że to nędzny ślad. Facet zawsze może się bronić, że kupił ubranie w supermarkecie i setki ludzi nosi takie samo.

- Powiedziałeś, „facet”? – Komisarz ożywił się.
- Sądząc po śladach na szyi, raczej tak. Ale przed sądem nie przysięgnę. Teoretycznie mogła być kobieta o bardzo dużych dłoniach. – Zaśmiał się ironicznie.
- Poraża mnie twoje poczucie humoru.
- A poważnie, zastanawia mnie jedna rzecz. Wygląda, jakby się wcale nie broniła. Powinna mieć połamane paznokcie, że o tych nieszczęsnych resztkach naskórka nie wspomnę. Żadnych siniaków, żadnych śladów walki. Jakby po prostu stała i czekała, aż ją udusi.
- Może była pod wpływem środków odurzających? Albo ją związał?
- Masz jeszcze jakieś pomysły? – prychnął Jamski. – Za kogo ty mnie masz?! Za studenta pierwszego roku?! Myślisz, że pominąłbym to w raporcie!
- Przepraszam, stary, ale to brzmi idiotycznie. Wyobraź sobie tylko: ktoś cię dusi, a ty stoisz jak słup soli i co? Uśmiechasz się? Konwersujesz uprzejmie?
- Dobra, powiem ci, co o tym myślę. Ale zapamiętaj, mówię to prywatnie, w razie czego się wyprę. Sądzę, że była z gatunku sado-maso. Pewnie zabawiała się ze swoim facetem i trochę przeholowali. Gość się wystraszył i uciekł. Co prawda nie znaleźliśmy żadnych śladów stosunku, ale przecież wszystko mogło się wydarzyć, zanim przystąpili do rzeczy. Wiesz, taka gra wstępna. – Zachichotał lubieżnie.
- Ale po co wsadził ją do wanny? I przykrył szmatami?
- Za zboczeńcami nie trafisz – odparł z przekonaniem Jamski. Mimo podeszłego wieku był człowiekiem o szerokich horyzontach, otwartym na nowe idee. Nie dotyczyło to tylko jednej sfery życia. W sprawach seksu był tradycjonalistą. Mentalnie tkwił w epoce wiktoriańskiej. To on był autorem wiekopomnego zdania wygłoszonego podczas dyskusji o homoseksualizmie: „Jako lekarz rozumiem, jako obywatel nie akceptuję”. Nic więc dziwnego, że w jego mniemaniu, po ludziach „robiących te rzeczy inaczej” można się było spodziewać wszystkiego. Ukrywania zwłok w wannie też.
- Pucki nie podjął dyskusji. Porozmawiał jeszcze przez chwilę z Jamskim, podziękował za informacje i odłożył słuchawkę.
- Był to jakiś krok naprzód. Wiedział teraz przynajmniej, że zabójca był mężczyzną. Nie mógł odrzucić wersji zaproponowanej przez lekarza – niezbyt w nią wierzył, ale zawsze było to coś, co mógł w razie czego zaprezentować przełożonym.
- A więc szukamy napalonego kochanka – mruknął, choć tak naprawdę szczerze w to wątpił, jednak szefowi coś trzeba było powiedzieć.

## ROZDZIAŁ 2

Niewielka grupka tłoczyła się nad świeżo wykopaną mogiłą. Nawet niewprawny obserwator już na pierwszy rzut oka odgadłby, że żałobnicy są to ludzie zupełnie sobie obcy. Ot, taka dość przypadkowa zbieranina, osoby, które spotkały się po raz pierwszy i, najprawdopodobniej, ostatni.

Mały, niedawno jeszcze podmiejski, a obecnie wchłonięty przez aglomerację cmentarz od kilku lat był praktycznie zamknięty, ale Joannie udało się ubłagać proboszcza i zdobyć miejsce w cieniu ogromnej, starej, pełnej dostojeństwa lipy.

Ksiądz Janusz, człowiek wielkiej dobroci i niezmiernie cierpliwości, był postacią niezwykle barwną. Od dziecka kochał muzykę. Już jako nastolatek, z własnej woli, bez poganiania, spędzał godziny, doskonaląc grę na skrzypcach. Miał wszystko: talent, umiejętności, pracowitość i tę iskrę bożą, która różni grajka od artysty. Wrócono mu ogromną karierę. Nieoczekiwanie w połowie trzeciego roku rzucił konserwatorium i wstąpił do seminarium. Po święceniach był przetrzucany z parafii do parafii, aż w końcu trafił do Szajmowa. Tu znalazł swój sposób na życie. Tu spotkał obie swe miłości i obu mógł służyć: muzyce i Bogu.

Chór, który założył, składał się początkowo z kilkorga zapaleńców – głównie znudzonych gospodyń domowych w średnim wieku gotowych na wszystko, by tylko na kilka godzin tygodniowo wyrwać się z szarej codzienności. Rozrastał się jednak, powoli, acz systematycznie, i z czasem stał się nie tylko ozdobą niedzielnych mszy, ale także chlubą, najpierw parafii, potem gminy, a w końcu zasłynął w całym województwie, wygrywając kilka regionalnych i ogólnopolskich konkursów. Joanna, choć głos miała przeciętny, w chórze śpiewała od samego początku – na solistkę się nie nadawała, ale była sumienna, nie opuszczała prób i, czym najbardziej zaskarbiła sobie względy proboszcza, nie żałowała czasu na wyszukiwanie nowych pieśni wzbogacających repertuar. Gdy więc pełna obaw zwróciła się do księdza z prośbą, ten po chwili namysłu uśmiechnął się i odparł:

– Moje dziecko, ciasno tu u nas, oj, ciasno, ale mam jedną małą kwaterę w starej części cmentarza od północnej strony. Daleko od bramy, ale może ci się spodoba...

I tak oto stał teraz nad mogiłą, polecając Bogu duszę kobiety, której nigdy za życia nie widział. A jednak modlił się za nią szczerze, całym sercem, pełen wiary, że ludzie, choć czasem błędzą, są dobrzy, a więc i ta owieczka z pewnością zasłużyła na radość w domu Pana.

Joanna słuchała go niezbyt uważnie. Całą uwagę skupiła na żałobnikach. Większości z nich nie znała. Rozpoznała Barbarę oraz siostrę ojca, domyśliła się też, że stojący obok niej mężczyzna w kiepskim, źle skrojonym i mocno już zużyтым garniturze, ukradkiem

ocierający spływający po twarzy pot, to pewnie drugi, poślubiony niespełna dwa lata temu, mąż ciotki. Trzy starsze panie, jakby żywcem wyjęte z lat siedemdziesiątych, nie kojarzyły jej się z niczym, podobnie jak wyglądająca na ich dzieci grupka młodych ludzi. Taką samą zagadką był młodzieniec w dziwnej, płóciennej, seledynowej szacie przypominającej krojem arabską galabiję. Ale, o dziwo, to nie on najbardziej przyciągnął uwagę Joanny, ale szpakowaty pan około czterdziestki stojący nieco z boku, jakby niepewny, czy znalazł się we właściwym miejscu. Elegancki strój, niezwykle prosty, a jednak niepozostawiający wątpliwości, że ta przemyślana w każdym calu prostota musiała kosztować majątek. I oczy. Zimne, pewne siebie, pełne smutku, bólu, a jednocześnie pogardy i nienawiści. Tak musiał wyglądać Heathcliff – pomyślała Joanna, z trudem odrywając wzrok od nieznajomego, by powrócić do dalszego lustrowania gości. Zatrzymała spojrzenie na niepozornej, niskiej postaci okutanej w tandetną, ortalionową kurtkę. Mężczyzna stał z dala od głównej grupy, częściowo ukryty za pnem drzewa. W dłoniach niezdarnie miętosił sfatygowany, czarny beret. Jako jedyny wyglądał na naprawdę zmartwionego. Nagle skulił się jeszcze bardziej, schylił głowę i cofnął dwa, trzy kroki, znikając całkiem za rozłożystą lipą. Może zauważył wbity weń wzrok Joanny i poczuł się nieswojo? A może był to tylko przypadek?

– Mój Boże, co się ze mną dzieje? – zachnęła się. – Przecież to pogrzeb mojej siostry. A ja nic nie czuję. Kompletnie nic. Jakbym uczestniczyła w przedstawieniu albo oglądała film. Urządzam sobie zgadywanke. Chociaż... zawsze tak było. Ludzie obok mnie pojawiają się, trwają przez chwilę i znikają, a mnie martwi to mniej niż przemijanie pór roku. Bardziej tęsknię za minionym latem niż za utraconymi przyjaciółmi. Gdy odchodzą, przybieram smutny wyraz twarzy, powtarzam, jak mi smutno, jaka jestem niepokieszona, a przecież nie czuję nic. Kompletnie nic. Teraz też stoję ze zbolą miną, wystrojona w czarny trenz, czarny szal i toczek z woalką – ach, jakie to eleganckie! – ale kogo chcę oszukać i po co? Siebie? Ciotkę, którą zobaczę ponownie za kilka lat, a i to, jak dobrze pójdzie? Czy jestem tak zakłamana?

Do rzeczywistości przywrócił ją odgłos ziemi padającej na trumnę. Minęło jeszcze kilka chwil i uroczystość dobiegła końca. Grabarze skończyli pracę, pokryli mogiłę kwiatami i dyskretnie się wycofali. Ksiądz Janusz podążył w ich ślady.

Joanna stała tuż obok ciotki, uprzejmie odpowiadała na zdawkowe kondolencje, dziękowała mechanicznie niczym porządnie nakręcony automat, cały czas czując się nie jak uczestnik wydarzeń, ale jak postronny, przypadkowy widz.

- Mamo, chodźmy! – usłyszała lekko zniecierpliwiony, cichy głos.
- Momencik, synku, chcę jeszcze porozmawiać z ciocią – odparła. – Ciocia wejdzie do nas na chwileczkę, na kawę i ciasto, prawda?
- Niestety, kochanie, ostatni pociąg mam za godzinę.
- Niech ciocia u nas przenocuje. Mam wolny pokój, mąż jest w rejsie. Ostatnio awansował na pierwszego mechanika – namawiała bez przekonania, w duszy modląc się,

by ciotka nie zmieniała zdania. Wizyta dawno niewidzianej krewnej, sztywna rozmowa o niczym, udawanie zainteresowania, to były ostatnie rzeczy, na jakie miała w tej chwili ochotę.

– Nie, nie, naprawdę nie mogę. Dziękuję ci bardzo, dziecko. Za wszystko. Chodźmy, kochanie – zwróciła się do spoconego, zmęczonego męża i oboje szybkim krokiem ruszyli ku bramie.

Nie przebrzmiał jeszcze odgłos ich kroków, gdy za plecami Joanny rozległ się teatralny szept:

– Mamo, to ja też już pójdę.

– Dobrze syneczku, oczywiście – odparła. – O której wrócisz?

– Jakoś tak wieczorem, pa!

Joanna została sama na szerokiej, żwirowej alejce. Odetchnęła z ulgą.

\*

Wyjeżdżając z przycmentarnego parkingu, zauważyła stojącą na przystanku Barbarę. Zatrzymała się, otworzyła okno i zawołała:

– Może wpadnie pani do mnie na chwilę? Zapraszam na kawę, rozgrzejemy się. Dobrze nam to zrobi.

– No nie wiem, nie chcę robić kłopotu.

– Żaden kłopot, wręcz przeciwnie, miło będzie z kimś porozmawiać, powspominać Helenę.

– Dobrze – zgodziła się po chwili wahania. – Prawdę mówiąc, nigdzie mi się nie śpieszy.

\*

– Ze śmietanką czy z mlekiem? – dobiegł głos z kuchni.

– Czarną, bez cukru, poproszę.

Usiadły, a raczej zapadły się w ogromnych, skórzanych fotelach. Przez moment panowała niezręczna cisza. Po chwili Joanna podjęła rozmowę:

– Może przejdziemy na ty? – zaproponowała. – Strasznie nie lubię konwenansów.

– Z przyjemnością. – Barbara niezbyt zachwycona i kompletnie zaskoczona propozycją nie miała innego wyjścia, jak tylko się zgodzić. Od Joanny dzieliła ją przepaść całego pokolenia. „Tykanie” wydawało się jakiejś takie pretensjonalne. Ale cóż było robić? Nie chciała wyjść na sztywniaczkę.

– No to bez kieliszka się nie obejdzie. – Gospodyni podeszła do barku i zaczęła przeglądać butelki. – Wódki nie mam, zresztą i tak byłaby ciepła. To co, wino czy koniak?

– Może odrobinę koniaku...

– Dziękuję, że przyszedłaś. – Joanna podjęła przerwana rozmowę, nalewając jednocześnie koniak do pękatych kieliszków ozdobionych u góry cienkim, złotym paskiem – i że zawiadomiłaś znajomych. A propos, kim byli ci ludzie?

– Którzy?

– No tak, głupie pytanie – zaśmiała się nerwowo. – Prawdę mówiąc, nie znam większości z nich...

– Rozumiem. A więc tak... Były tam trzy kobiety z dziekanatu, to one chyba powiadomiły studentów. Swoją drogą, ciekawe, jak ich dopadły w środku wakacji.

– Ci młodzi ludzie to jej studenci, tak? – upewniła się Joanna.

– Tak, Helena prowadziła jakiś duży grant. Pomagali jej. Dopiero rozkręcała pracę, więc nie wiem dokładnie, czego dotyczył.

– A ten dziwak w seledynowej sukience? – Nie mogła powstrzymać niestosownego chichotu. Koniak najwyraźniej zaczynała działać.

– Nie wie pani? To znaczy, nie wiesz? – poprawiła się, czując na sobie karcące spojrzenie Joanny.

– O czym?

– Helena przez jakiś czas należała do sekty. Jakże się oni nazywali... „Prawdziwe światło”... „Światło prawdy”... Jakoś tak. A, już wiem! „Promień prawdy”. To było tak ze trzy, cztery lata temu. Może nawet więcej. Hmm... ich też nie zawiadamiałam. Ty chyba też nie?

– Ależ skąd. Nawet o nich nie wiedziałam. Wiesz co! – krzyknęła podekscytowana – to na pewno oni. Zabili ją za to, że odeszła!

– No nie wiem. Po co by czekali tyle lat? I do tego pchali się na pogrzeb? Chyba za dużo naoglądałaś się telewizji.

– Pewnie masz rację. Jeszcze po jednym? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, ponownie napełniła kieliszki.

– Zresztą nie sądzę, żeby byli groźni – kontynuowała Barbara. – Helena trochę mi o nich opowiadała. To była tylko banda znudzonych, zblazowanych smarkaczy szukających rozrywki. Szybko ich rozgryzła i zerwała wszelkie kontakty.

– Wiesz o Helenie więcej niż ja – powiedziała Joanna w zadumie. – Nie potrafiłam się do niej zbliżyć. A teraz jest za późno. Tyle bym się chciała dowiedzieć – westchnęła.

– Wszyscy tak mają. Wiem, co mówię – rzuciła szybko, widząc, że Joanna chce zaprotestować. – Po maturze pracowałam przez rok jako salowa. Chciałam zdawać na medycynę, zbierałam dodatkowe punkty, ale i tak nic z tego nie wyszło – pociągnęła zdrowy łyk koniaku. – Nieważne. Pamiętam starych ludzi, u których tygodniami nikt się nie pojawiał. Dopiero gdy było po wszystkim, zjawiały się dzieci. Syn albo córka, eleganccy, wykształceni, zamożni. Chodził taki albo taka po oddziale i dopytywał się „Powiedźcie, jak umarł mój ojciec” albo „Jak umarła moja matka?”. Troskliwi, psia kość!

– urwała nagle i zasłoniła usta dłonią, pojawiwszy, jaką strzeliła gafę. – Ojej, przepraszam, nie to miałam na myśli. Głupio zabrzmiało.

– To nic, to nic. – Joanna machnęła ręką. – Wiesz, sama się nad tym zastanawiałam na cmentarzu. Było mi głupio, że nie jest mi przykro. – Znowu napełniła kieliszki. – Czuć żal, że się nie czuje żalu. Cóż za paradoks. Doprawdy, zabawne.

– Widziałaś, Rafał też przyszedł. – Barbara rozpaczliwie pragnęła zmienić temat.

– Kto?

– Rafał, przyjaciel Heleny. Chyba.

– Ten przystojniak w garniturze? – W głosie słyhać było szczere zainteresowanie. – Jak to „chyba”?

– A bo widzisz, to dziwna historia. Wiem, że przez jakiś czas się spotykali. Helena wspominała czasem, że idą do teatru albo na kolację. Raz czy dwa wyjechali nawet wspólnie na wakacje. Ale mieszkali oddzielnie. I rzadko pokazywali się razem. Na wszystkie imprezy Helena przychodziła sama. Widziałam go kilka razy, przypadkiem. Ale nigdy nie zamieniłam z nim nawet słowa. Taki tajemniczy wielbiciel. A wiesz, jego też nie zawiadamałam. Popatrz, jak to się wieści rozchodzą!

Sączyły koniak, gawędziły. W końcu Barbara spojrzała dyskretnie na zegarek.

– Ojej, jak późno, muszę już iść. Do mnie stąd to niezły kawałek drogi.

– Nie martw się, odwiozę cię.

– Po tym?! – Spojrzała znacząco na opróżnioną do połowy butelkę koniaku. – Mowy nie ma!

– Masz rację – skapitulowała Joanna.

Przy drzwiach pożegnały się jak najserdeczniejsze przyjaciółki, choć znały się tylko kilka dni.

\*

Po latach pracy w policji Pucki wiele potrafił wyczytać z twarzy rozmówcy. Właściwie w kryminalnym nie była to aż tak wielka sztuka, jakby to się mogło wydawać. Osobnicy o twarzach pokerzysty trafiali raczej do kolegów z gospodarczego, a i to tylko wtedy, gdy rzecz dotyczyła naprawdę grubych afer. Zresztą siedząca naprzeciwko niego sympatyczna blondyneczka nawet nie próbowała ukrywać emocji. Bo i po co? W szeroko otwartych, niebieskich oczach widać było mieszaninę uczuć typową dla osób, które po raz pierwszy zetknęły się z organami ścigania: ekscytacja, ciekawość i lekki niepokój.

Dziewczynę wezwał na przesłuchanie bardziej z obowiązku niż z rzeczywistej potrzeby. Przeczytał zeznania spisane przez funkcjonariusza na miejscu zdarzenia. Typowy przypadek: kobieta mówiła dużo i chętnie, choć w rzeczywistości nie miała nic do powiedzenia. Chciała nie tyle pomóc, co chociaż przez chwilę znaleźć się w centrum uwagi. Przeżyć coś niezwykłego, o czym będzie mogła potem opowiadać znajomym przy

piwie. Dla spokoju sumienia i żeby się przełożeni w razie czego nie czepiali, postanowił mimo wszystko porozmawiać z nią osobiście.

Barbara Brodzka... Urodzona... Zamieszkała...

Ciekawe, jak stosunek komisarza do tych rutynowych pytań zmieniał się z biegiem lat. Jako młodziak stawiający pierwsze kroki w zawodzie zadawał je z pełną powagą, przejęty rolą stróża prawa. Potem przyszła rutyna – zadawał pytania szybko, nie kryjąc zbytnio znudzenia. Z czasem jednak, o dziwo, docenił uspokajającą rolę takiej rutynowej procedury. Te pytania to było coś, czego świadkowie się spodziewali. Sztampa znana z filmów i książek. Znane słowa, znane procedury. Rytuał. Dzięki niemu czuli się mniej obco. Świat stawał się znajomy, jeśli nie przyjazny, to przynajmniej mniej wrogi. Stres powoli ustępował, rozmówca rozluźniał się i stawał znacznie bardziej skory do współpracy. Bo jakoś tak jest, że nawet kryształowo uczciwy człowiek, gdy zasiądzie w pokoju przesłuchań, nabiera wody w usta. Na wszelki wypadek. Właściwie to dużo gadają tylko winni lub spragnieni pięciu minut sławy sensaci. O, tak, tym zazwyczaj usta się nie zamykają. Szkoda tylko, że tak rzadko z ust tych spływają słowa prawdy.

Twierdzi pani, że drzwi do mieszkania denatki były zamknięte? – Przeszedł w końcu do konkretów.

Tak, na pewno. Gdyby były otwarte, zapamiętałbym.

Czy to możliwe, żeby morderca ukrył się w mieszkaniu i wymknął już po pani przyjściu?

Popatrzyła na niego z przestraczem.

Skąd ten pomysł?

Widzi pani, to proste. Jeśli drzwi były zamknięte od środka, morderca musiał być wewnątrz. Biorąc pod uwagę stan, w którym znalazła pani zwłoki, możemy wykluczyć, że to denatka je zamknęła. A jeśli zostały zamknięte od zewnątrz, to cóż... wynika z tego, że zabójca miał klucz. W takim przypadku musiał to być ktoś znajomy. I to bliski.

Zastanawiała się przez chwilę. Pucki był zadowolony. Widział, że dziewczyna podchodzi do zeznań poważnie. Jeśli nawet nic do sprawy nie wniesie, to przynajmniej nie naopowiada głupot. Zawsze to coś.

Wie pan – podjęła rozmowę po chwili. – Teoretycznie ktoś mógł skorzystać z chwili, gdy poszłam do kuchni. Potem byłam dość mocno pogrążona w pracy, więc w zasadzie ktoś mógł zaryzykować i wymknąć się niepostrzeżenie, ale... – zawahała się, jakby jeszcze raz chciała rozważyć wszystkie za i przeciw – ...ale to mocno naciągane. Mieszkanie jest malutkie. Z dużego pokoju bardzo dobrze widać, co się dzieje w przedpokoju. Ten ktoś musiałby mieć stalowe nerwy i niebywałe szczęście. Nie, nie sądzę, żeby to było możliwe.

A czy zauważyła pani coś dziwnego? Nietypowego?

W jakim sensie dziwnego? – zapytała skonsternowana.



Coś co przykuło pani uwagę? Jakiś zapach albo dźwięk? Może coś stało nie na swoim miejscu? Może czegoś brakowało? Albo przeciwnie, zauważyła pani coś, czego tam nie powinno być? Nawet zupełny drobiazg może mieć znacznie.

Panie komisarzu! – Zaśmiała się. Śmiech brzmiał szczerze, radośnie. Nie było w nim ani cienia złośliwości. – To nie było moje mieszkanie. Owszem, często tam bywałam, ale specjalnie się nie rozglądałam. Gdyby chodziło o jakąś istotną zmianę... Bo ja wiem... Nowe meble, malowanie, gruntowny remont, może bym zauważyła. A i tego nie jestem pewna. Ale drobiazgi! Zresztą ze mnie kiepski obserwator. Gdy zajmę się pracą, mało co dostrzegam. Zwłoki w wannie zauważyłam dopiero po kilku godzinach, a to trudno nazwać drobiazgiem.

Nie da się pani odmówić logiki – odparł z lekką nutą sarkazmu.

Rzucił jeszcze kilka pytań. Zgodnie z przewidywaniami odpowiedzi nie wniosły nic nowego. Nie było sensu marnować czasu. Tak szybko, jak to tylko możliwe, uporał się z formalnościami. Na zakończenie, w przyпыływie kurtuazji, wylewnie podziękował Barbarze.

Bardzo pani dziękuję. Niezwykle mi pani pomogła informacjami o kluczu. To bardzo zawężyło krąg podejrzanych.

Nieoczekiwanie z twarzy kobiety znikł uprzejmy uśmiech. Zasepiła się. Czyżby wyczuła nieszczerłość w głosie Puckiego? Fakt, jej opowieści nic nie wniosły. O zamkniętych drzwiach wiedział z poprzednich zeznań. Po prostu chciał być miły.

Panie komisarzu – bąknęła przepraszającym tonem. – Nie chciałam pana wprowadzić w błąd. Dopiero teraz coś sobie uświadomiłam.

Słucham? – W sercu Puckiego zrodziła się iskierka nadziei. Czyżby jednak spotkanie nie poszło na marne? Czyżby coś sobie przypomniała?

Bo widzi pan, tam, w mieszkaniu Heleny był taki stary zamek. Chyba jeszcze z lat siedemdziesiątych. Aż dziw, że toto jeszcze działa. Yale. Samozatraskujący. Zapamiętałam, bo u rodziców był taki sam. W dzieciństwie kilka razy siedziałam na wycieracze, czekając aż ktoś wróci do domu, bo zatrzasknęłam klucze w środku. Morderca mógł zrobić to samo – po prostu trzasnąć. Nie potrzebował klucza.

Pucki milczał. Nie dał po sobie poznać, że aż się cały gotuje ze złości. Już on powie technikom do słuchu, co o nich myśli! Banda leni! Patałachy! Jak mogli taki fakt pominąć! Grzecznie pożegnał Barbarę i dopiero, gdy za kobietą zamknęły się drzwi, z całych sił walnął pięścią w biurko. Pomogło. Wrócił spokój.

– A taka była piękna koncepcja – mruknął sam do siebie. Zdegustowany podreptał do kantyny. Powinni mieć coś chłodnego do picia.

## ROZDZIAŁ 3

Życie biegło własnym rytmem. Joanna wpadła w wir codziennych obowiązków, dziwiąc się samej sobie, jak szybko wszystko wróciło do normy. Było w tym coś nienormalnego, nieludzkiego. Jedynym trwałym śladem po owej tragicznej nocy pozostała znajomość z Barbarą, powoli przeistaczająca się w przyjaźń. Spotykały się nie tak często, jakby sobie tego życzyły, ale prawie codziennie rozmawiały przez telefon lub przynajmniej ucinają sobie krótką pogawędkę na Facebooku.

Przesyłała właśnie Barbarze adres sklepu z tanią, markową bielizną, gdy rozdzwoniła się komórka. Dźwięczna melodia – motyw lorda Vadera – mogła oznaczać tylko jedno: dzwoni naczelny. Ciekawe, co się urodziło? – pomyślała. – Zwykle ze zleceniami dzwoni ktoś z redakcji, ale żeby sam szef... – Nie ociągając się dłużej, odebrała rozmowę.

– Dzień dobry! Jak tam się czuje moja ulubiona tłumaczka? – zawołał tak sztucznym entuzjazmem, że Joanną aż zatrzęśło z odrazy. Na pewno coś knuje – pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos, zamiast tego ograniczyła się do sztamkowej formułki.

– Dzień dobry, miło pana słyszeć.

– Pani Joanno najdroższa, mam dla pani coś bardzo pilnego, dałaby pani radę wpaść dzisiaj po tekst?

– Dobrze, będę za jakieś dwie godzinki. Pasuje panu?

– Ależ tak, czekam na panią. Do widzenia! – I nie czekając na odpowiedź, rozłączył się.

\*

Sprawa, jak zwykle, okazała się „tekstem na wczoraj”. Potem przyszło kolejne zlecenie – tym razem na opasłe, durne tomiszczce dla egzaltowanych nastolatek pełne scen seksu napisanych tak upiornie, że od samej lektury człowiekowi mogła przejść ochota na cokolwiek. Na seks w szczególności. Praca wciągnęła Joannę bez reszty. A może dała jej schronienie? Cukierkowy świat zakochanych licealistek i ich infantylnych dylematów pozwalał zapomnieć o realnych problemach. Czas mijał jak z bicza trzasa. Ani się obejrzała, jak dni dzielące je od tragedii zaczęły zmieniać się w tygodnie.

\*

Śledztwo posuwało się naprzód w ślimaczym tempie. Prowadzący sprawę komisarz Pucki bez oporu odpowiadał na wszystkie pytania Joanny w sposób tyleż uprzejmy, co kompletnie nieprzydatny.

– Tak, pobraliśmy odciski palców. Tak, bardzo dużo...

– Tak, zidentyfikowaliśmy. Należały głównie do ofiary i znajomych...

– Nie, nie są podejrzani. Każdy z nich rozsądnie uzasadnił, skąd się wzięły...

Do przekazanych przez Joannę rewelacji na temat sekty podszedł z dużą rezerwą.

– Tak, wiemy. Tak, sprawdzamy ten trop. Tak, mamy też inne...

– Ależ oczywiście, będę panią informował...

– Skądże, nie przeszkadza pani...

\*

W końcu policja zakończyła badanie śladów na miejscu zbrodni i zezwoliła rodzinie na powrót do mieszkania.

Koszmar powrócił. Trzeba było opuścić bezpieczny świat małego, amerykańskiego miasteczka, odłożyć na bok duchowe rozterki dorastającej młodzieży i wrócić do rzeczywistości. Skrzeczącej. Nakazującej posprzątać, posegregować rzeczy, zacząć załatwiać formalności spadkowe.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Barbary i nie poprosić jej o pomoc przy porządkowaniu rzeczy Heleny, ale ostatecznie zrezygnowała. To wszystko było zbyt intymne, by dopuszczać do udziału obcych. Kilka razy, pod byle pretekstem, odkładała niemiłe zadanie na później, aż nadszedł czas, gdy wymówki się skończyły.

\*

Była tu dopiero po raz drugi. Jakoś tak wyszło, że za życia siostry spotykały się albo na mieście, albo u Joanny. Owej pamiętnej, lipcowej nocy nie zwracała uwagi na otoczenie. Dopiero teraz miała szansę się rozejrzeć. Ciasna, duszna kłitka – bo trudno nazwać mieszkaniem dwie dziuple zwane dumnie pokojami, łazienkę i niewielką kuchnię – o mało nie przyprawiła Joanny o atak klaustrofobii. Ledwie mogła się obrócić, stojąc w niewielkim, kwadratowym przedpokoju, zdominowanym przez upchniętą w kącie, sięgającą sufitu szafę. Tuż nad głową zwisał pawlacz w tym samym ponurym, ciemnym kolorze. Resztę pomieszczenia zajmowały otwarte drzwi do kuchni i łazienki. Ciemnobrązowy, ubłocony chodnik pogłębiał uczucie przygnębienia. Stała tak przez chwilę, walcząc z przemożną chęcią ucieczki. Nic dziwnego, że Helena tak pedantycznie dbała o porządek. I bez bałaganu nie było się gdzie ruszyć.

Po chwili opanowała się i ruszyła do dużego pokoju. Gdy otworzyła drzwi, poczuła na twarzy uderzenie gorącego powietrza – w wychodzącym na południe, niewietrzoną od dawna pomieszczeniu panował okropny zaduch. Ruszyła śpiesznie w stronę okna. Cały parapet zastawiony był różnokolorowymi doniczkami, z których smętnie sterczały kikuty uschniętych kwiatów. Wypaczona futryna stawiała opór, Joanna musiała niezle się naszarpać i napocić, nim w końcu, po kilku minutach walki, zdołała otworzyć okno. Przez chwilę wdychała łąpczywie świeże powietrze, zastanawiając się, co dalej. Nie miała pomysłu, od czego zacząć. Postanowiła więc najpierw po prostu się rozejrzeć.

W salonie straszyla okropna, pamiętająca jeszcze lata siedemdziesiąte meblościanka. Taka na wysoki połysk. Skąd Helena wytrzasnęła takie paskudztwo? Może zostało po

poprzednim właścicieli? Wszystkie otwarte półki wypełniały książki. Tomów było tak wiele, że ustawiono je w dwóch rzędach, spora kupka leżała też na podłodze obok kosztownego mebla. Joanna zaczęła je przeglądać z zainteresowaniem, zapominając na chwilę, gdzie jest i po co tu przyszła. Kochała książki, uwielbiała czytać, potrafiła tkwić w księgarni godzinami, buszując wśród półek. Dobór lektury Heleny świadczył albo o niezwykle szerokich zainteresowaniach nieboszczki, albo o kompletnym ich braku. Pozycje sprawiały wrażenie dobranych losowo. Obok siebie stały romanse, kryminały, klasyka, powieści wojenne i sensacyjne, a nawet kilka tomików poezji. Dziwne. Wyglądało to tak, jakby mieszkało tu kilka osób i każda dostawiała swe ulubione lektury – pomyślała.

Była rozczarowana. Liczyła w duchu, że biblioteczka powie jej coś o siostrze: kim była, czym się interesowała, jak żyła. Jednakże z tego bezładnego zbioru nie można było wysnuć żadnych wniosków. Może poza tym, że gospodyni lubiła czytać. Jej przyjaciele chyba o tym wiedzieli i często obdarowywali książkami. A może wręcz przeciwnie, nie mieli pojęcia co kupić, więc wybierali bezpieczny, niezobowiązujący prezent? Wiele tomów miało na stronie tytułowej dedykacje.

*Droziej Heluni, w dniu urodzin Basia, Dla Heleny pod choinkę, Pomyśl o mnie, odwracając kartkę – najdroższej Helenie R.*

Nagle dostrzegła na najwyższej półce albumy ze zdjęciami. Stały równo, na grzbietach miały przyklejone kolejne numery: 1, 2, 3...

Sięgnęła po pierwszy. Różowa, infantylna okładka w motylki przywodziła na myśl egzaltowaną nastolatkę, jakież więc było zdziwienie Joanny, gdy zamiast spodziewanych zdjęć z dzieciństwa znalazła fotografie sprzed zaledwie dziesięciu lat. Co do tego nie było wątpliwości – pod każdym zdjęciem widniała data i krótki opis. Oprócz zdjęć w albumie wklejone były także wycinki z gazet, bilety, suszone liście i kwiaty, a nawet ozdoby wycięte z kolorowego papieru. Wiele fotografii umieszczono na ozdobnym tle. Wszystkie opatrzone krótkim notkami. Ściągnęła z półki kolejne albumy, ułożyła z nich spory stosik obok kanapy i zaczęła powoli, metodycznie przeglądać je strona po stronie, starając się nie uronić żadnej informacji.

Ze stron albumu uśmiechała się do niej elegancka, zadbana kobieta po trzydziestce. Nawet na zdjęciach z wakacji była zawsze starannie uczesana i w nienagannym makijażu. Dopiero teraz, po śmierci, opowiadała siostrze o sobie.

*Helsinki, konferencja „Grafika fraktalna – nowy kierunek czy moda”, wygłaszam referat.*

*Egipt, rejs po Nilu, dzień pierwszy – wsiadamy na statek.*

*Ja i Rafał w Zakopanem.*

Zdjęcia robiono z zadziwiającą regularnością, Helena prawie co tydzień wklejała nową fotografię, dokumentując nie tylko istotne wydarzenia, ale i sprawy błahe lub wręcz banalne.

*Ja i Rafał w parku.*

*Imieniny Basi.*

*Dziś kupiłam nowe firanki.*

Czego jak czego, ale tego się nie spodziewała. Szczególnie po kimś, kto zawodowo zajmował się komputerami. Jakiś zagorzały technofob mógł nadal, niczym w dziewiętnastym wieku, pracowicie wklejać zdjęcia do albumu, ale Helena? Grafik komputerowy! Zrozumiałaby jeszcze jakieś stare, pamiątkowe fotografie sprzed lat, z czasów, gdy nie wymyślono jeszcze aparatów cyfrowych ani slifoci trzaskanych masowo komórkami Zrozumiałaby jakieś wyjątkowo udane ujęcie powiększone i powieszona w ozdobnej ramce na ścianie, ale żeby tak drukować i układać w albumach zupełnie zwyczajnie zdjęcia! Dziwne. Chociaż, z drugiej strony, ludzie robią mnóstwo irracjonalnych rzeczy: dziergają godzinami skarpetki, stoją nad garami, gotując dzemy, szyją ubrania, chociaż wszystko można dostać za grosze na pobliskim bazarku albo w markecie. To nie album, tylko pamiętnik – pomyślała w przeblysku nagłego olśnienia, odkładając tom oznaczony cyfrą jeden. Przeciągnęła się leniwie i zaczęła przeglądać drugi, nieco cieńszy.

Analizując kolejne zdjęcia, ze zdziwieniem zauważyła subtelną zmianę w wyglądzie siostry. Mężczyzna nie zwróciłby na to uwagi, a gdyby nawet dostrzegł, to i tak by zignorował. Różnica była ledwo dostrzegalna, a jednak istotna. W pierwszej chwili Joanna bardziej poczuła, niż zrozumiała, że coś jest nie tak. Uważniej przyjrzała się fotografiom i po chwili dostrzegła pierwszy konkret. Im dłużej patrzyła na podobiznę siostry, tym więcej dostrzegała detali. Nienaganna dotąd fryzura oklapła, dodatki nie pasowały do stroju, tak jakby Helena bez zastanowienia zakładała pierwsze kolczyki czy korale, które nawinęły się jej pod rękę. Eleganckie, niebotyczne szpilki zastąpiły płaskie buty bez wyrazu. Coś się stało. Ze wzmożonym zainteresowaniem zaczęła przerzucać stronice. Nagle o mało nie krzyknęła – brakowało co najmniej dziesięciu kartek. Ktoś je wyrwał. Świadczyły o tym dobitnie postrzępione, sterczące niechlujnie brzegi. To nie pasowało do Heleny – pomyślała Joanna. – Nawet gdyby chciała pozbyć się jakichś stron, wycięłaby je starannie. Albumy prowadziła wręcz pedantycznie. Zerknęła na datę. Ponad sześć lat temu, prawie siedem – obliczyła szybko. Co się zdarzyło? Czy chciała coś zachować w sekrecie? O czymś zapomnieć? A może zrobił to ktoś inny, ktoś, kto chciał ukryć swą twarz uwiecznioną na zdjęciach? Morderca! – Przemknęło jej przez głowę. Muszę porozmawiać o tym z Barbarą – postanowiła.

## ROZDZIAŁ 4

Nastał sierpień, a wraz z nim nadeszło prawdziwe lato: upalne, słoneczne i rozleniwiające.

Joanna i Barbara siedziały w niewielkim ogródku przed kawiarnią. Filiżanki i pucharki z topiącymi się w popołudniowym słońcu lodami odsunęły na bok. Większą część stolika zajmował album. Obie kobiety żywo komentowały oglądane zdjęcia.

– Masz rację, wygląda inaczej – entuzjasmowała się Barbara. – No i te wyrwane kartki, myślę, że powinnaś pokazać to policji.

– I co im powiem? Że przestała się modnie czesać? Wyśmieją mnie. Powiedzą, że pewnie miała więcej pracy albo remont w mieszkaniu.

– Masz rację, musimy same dowiedzieć się, o co chodziło. Na policję pójdziesz, gdy będziemy znały konkrety. Wtedy nie będą mogli nas zignorować.

– Ale jak? – Joanna nie podzielała zapału młodszej koleżanki.

– Ty sama niewiele wskórasz, ale ja mogę powęszyć na uczelni.

– W wakacje?

– Za dwa tygodnie zaczyna się sesja poprawkowa. Wiele osób na pewno się pojawi. Dziekanaty działają normalnie.

– A co niby mogą widzieć w dziekanacie?

– Ojej, niekoniecznie w dziekanacie. Na wydziale. Nie masz pojęcia, co to jest uczelnia. Pewnie myślałaś, że to świątynia nauki. – Parsknęła śmiechem. – To gniazdo os z małomiasteczkową mentalnością. Wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. A już na pewno wszystko, co złe. Zostaw to mnie.

– Nie sądzisz, że to trochę dziecinne, takie prywatne śledztwo dwóch blondynek? Nicco śmiesznie to wygląda.

– Dlaczego śmieszne? – fuknęła. – Na widok policji ludzie nabierają wody w usta. A mnie powiedzą. Znam ich. Kiszą się we własnym sosie i umierają z nudów. Obmawianie innych to najtańsza i podstawowa forma rozrywki.

– Ale skąd wiesz, że powiedzą prawdę? Wiesz, jak to jest z plotkami – nigdy nie wiadomo, co się zdarzyło, a co jest wytworem wyobraźni. Ludzie zawsze koloryzują, nie ma na to siły.

– A o to już niech się martwi policja. – Chichot Barbary był tak zaraźliwy, że Joanna nie mogła się powstrzymać i wybuchła szczerym śmiechem.

Nagle Barbara spoważniała:

– Mam do ciebie prośbę. Trochę mi głupio, ale...

– Dawaj, o co chodzi.

– Pracowałam z twoją siostrą nad sporym zleceniem, nie chciałabym go stracić. Klient zgodził się, żebym dokończyła sama, ale wszystkie materiały zostały u Heleny. Muszę je odzyskać i to możliwie jak najszybciej. Czy mogłabym poszperać? Teraz to twoje mieszkanie.

– Po pierwsze, jeszcze nie moje. Trzeba przeprowadzić postępowanie sądowe, a to może trwać latami. A poważnie, to żaden problem. Mnie te materiały nie są do niczego potrzebne.

– Kiedy możemy się umówić?

– Dziś nie dam rady, zresztą nawet nie mam przy sobie kluczy, ale jutro pasuje mi jak najbardziej.

– O której?

– Myślę, że po obiedzie. Trzecia? Wpół do czwartej?

– Dobrze, o trzeciej.

Gawędziły przez chwilę, ciesząc się pięknym, letnim dniem. Nagle Joannę coś tknęło. Jako osoba racjonalna, mocno stojąca na ziemi, nie wierzyła w przeczucia, ale tym razem nie mogła oprzeć się wrażeniu, że czuje na sobie czyjś wzrok. Wbrew sobie zerknęła dyskretnie w bok i uśmiech zastygł jej na twarzy. Po drugiej stronie ulicy stał młody mężczyzna ubrany w powiewną, zieloną szatę. Ten sam, którego widziała na pogrzebie. W pierwszym odruchu chciała poderwać się z miejsca i podbiec do chłopaka. Opanowała się jednak. Delikatnie kopnęła Barbarę pod stołem i z podnieceniem wyszeptała:

– Popatrz, stoi tam!!!

– Kto?

– Ten sekciarz. Pamiętasz, pytałam o niego po pogrzebie.

– Gdzie?

– Po drugiej stronie ulicy, obok kiosku.

– Nic nie widzę.

Joanna odwróciła się nerwowo. Ulicą szła starsza pani, prowadząc na smyczy wyjątkowo pokracznego psa. Z przecznicy wyłoniła się para zakochanych. Koło kiosku nikogo nie było.

– Był przed chwilą – powiedziała bez przekonania. – A może tylko mi się wydawało? – dodała po chwili. – Chyba nerwy mi puszczają.

\*

Barbara знала wszystkie zakamarki w mieszkaniu Heleny. Bez najmniejszego trudu znalazła kawę i cukier, zaparzyła po filiżance dla siebie i Joanny, po czym z lekkim ociąganiem przystąpiła do pracy.

– Trochę mi niezręcznie – zwróciła się do Joanny zajętej przeglądaniem garderoby i dzieleniem jej na dwie sterty: rzeczy do wyrzucenia i do przekazania organizacji

dobroczynej – tak grzebać w cudzych rzeczach.

– Przecież nie robisz tego z wścibstwa.

Mimo pozornego spokoju obie czuły się nieswojo, rozmowa przychodziła z trudem, zamilkły więc i każda wróciła do swego zajęcia. Po przejrzeniu zawartości biurka Barbara poszła do drugiego pokoju poszukać kilku brakujących dokumentów. Nie upłynął więcej niż kwadrans, gdy rozległ się stamtąd jej pełen podniecenia głos

– Niesamowite!

– Co znalazłaś?

– Sama zobacz!

Szczerze zaciekawiona Joanna po chwili była już w drugim pokoju obok Barbary, która wyciągała ku niej oprawiony w szare płótno wydruk.

– *Zastosowanie metod numerycznych do automatycznej synchronizacji prądnic* – odczytała Joanna. – I?!

– Nie miałam pojęcia, że zajmowała się elektrotechniką!

– Ale przecież to jest o programowaniu – powiedziała Joanna, przerzucając kartki. – Co w tym dziwnego, była informatykiem?

– O jeju! – Nie dawała za wygraną Barbara. – Ludzie myślą, że informatyk to taki ktoś, kto na komputerze i księgowość poprowadzi, i most zaprojektuje, i bilet na pociąg sprzeda. Informatycy też się specjalizują. Są programiści, administratorzy, bazodanowcy...

– No i?

– Helena zajmowała się grafiką fraktalną. To tak jakbyś – zamilkła na chwilę, najwyraźniej szukając trafnego porównania – u germanisty znalazła słownik mongolsko-chiński.

– Wiesz, ja mam po dziadku *Poradnik młodego zduna* – zbagatelizowała.

– Ale to leżało w szufladzie szafki nocnej, przy łóżku. Musiała nad tym pracować!

– Albo użyła jako podstawki pod filiżankę, żeby nie odparzyć blatu, a potem odruchowo schowała do środka. Mogło tam leżeć od lat – ucięła dyskusję Joanna.

Helena miała nosa do interesów, potrafiła wyniuchać chałturę na kilometr, nie zaszkodzi się temu przyjrzeć. – Barbara mruknęła sama do siebie, odkładając książkę na stertę rzeczy do zabrania. Zlustrowała stosik krytycznym spojrzeniem.

Sporo tego – skonstatowała. – Matka się wścieknie, jak to wszystko do domu przytargam.



## ROZDZIAŁ 5

Komisarz Pucki miał doła. Mijały tygodnie, a śledztwo nie posunęło się nawet o milimetr. Przesyłkę z długo oczekiwаныmi informacjami o dziecku przyjął więc niemalże jak dar losu. Byłe jak rozdarł szarą kopertę, z której wypadło kilka kartek. Rzucił się na nie jak wygłodniały pies na stek.

Córka denatki, Katarzyna, urodzona szóstego grudnia dwa tysiące trzynastego roku. Matka wraz z dzieckiem opuściły szpital po pięciu dniach. Nic więcej nie udało się ustalić.

Cała radość komisarza ulotniła się w jednej chwili.

– Wiele mi to nie dało – mrucał. Zwyczaj rozmawiania z samym sobą był kolejnym, powszechnie znanym, dziwactwem komisarza. Koledzy podśmiewali się z tych monologów od lat, mniej lub bardziej otwarcie, w zależności od stopnia zażyłości, ale Pucki nie przejmował się kpinami. Jeszcze w czasach szkolnych przekonał się, że rozmowa – nawet jeśli jest to tylko dyskusja z samym sobą – pomaga uporządkować informacje, sprecyzować myśli i skupić na problemie.

– Co za różnica, chłopak czy dziewczyna? – Wstał, przeciągnął się, podszedł do okna. Przez kilka minut stał tak, obserwując przejeżdżające ulicą z rzadka samochody.

– Chociaż, z drugiej strony – kontynuował – to dziwne. To wręcz nieprawdopodobne, żeby nie dało się znaleźć żadnych informacji o dzieciaku. Powinna być zarejestrowana w jakiejś przychodni – przerwał, licząc coś na palcach. Jeśli dziewczynka nie chodziła do przedszkola, to w tym roku nadszedł czas, by poszła do zerówki. Dzieciaki chorują, matki biorą zwolnienia, to wszystko zostawia ślad w papierach. W najgorszym przypadku, tfu, tfu, powinien istnieć akt zgonu. A tu nic, kompletnie nic.

– Nie ma innego wyjścia, trzeba będzie popytać sąsiadów. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że trafię na jakąś wścibską staruszkę.

\*

Pucki, wbrew procedurom, nie lubił wzywać ludzi na przesłuchania do komendy. Z doświadczenia wiedział, że najporządniejszy obywatel dostaje wtedy nagłego ataku amnezji, nic nie wie, nic nie pamięta, każde słowo cedzi, jakby było na wagę złota. Zresztą ci nieliczni, którzy mówili dużo i chętnie, wcale nie byli lepsi: albo łgali jak najęci, albo pletli niesamowite bzdury, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę.

Oczywiście, mógł spokojnie siedzieć w biurze, a rozmowy z sąsiadami zlecić młodszemu funkcjonariuszom, ale wspaniała, słoneczna pogoda zachęcała do wyjścia. Wyciągnął z szuflady informację o kolejnych miejscach zamieszkania ofiary. Tym razem dopisało mu szczęście – Helena od ponad dziesięciu lat mieszkała w tym samym bloku, w centrum

miasta. Nie musiał nawet zapisywać adresu – było to to samo mieszkanie, w którym znaleziono zwłoki.

Pierwsza rozmowa okazała się kompletną klapą. Gdy Pucki zadzwonił do drzwi znajdujących się na prawo od mieszkania denatki, otworzyła mu młoda, na oko dwudziestokilkuletnia kobieta, niebrzydka, ale zaniedbana. Owalną twarz o niemal klasycznych rysach otaczały krótko przycięte, ciemne, przetłuszczone włosy, które od kilku dni nie widziały grzebienia. Żałosnego obrazu dopełniały okropne, czarne legginsy, rozciągnięty t-shirt i rozdeptane kaptcie.

– Dzień dobry, o co chodzi? – zapytała nadspodziewanie miłym, ciepłym, seksownie wibrującym głosem, pasującym bardziej do naiwnej licealistki niż zapuszczonej kury domowej.

– Dzień dobry, policja, komisarz Mieczysław Pucki. – Przedstawił się, wyciągając jednocześnie w jej stronę legitymację służbową.

– Anna Bankiewicz. Pan pewnie w sprawie tego morderstwa pod osiemnastką? – Kobieta ożywiła się, w jej oczach pojawił się dobrze znany Puckiemu błysk niezdrowej ciekawości. Za dużo rozrywek w życiu to ona nie ma – pomyślał, ale na głos odparł uprzejmie.

– Zgadła pani, chciałbym zadać w tej sprawie kilka pytań. Czy mogę wejść?

– Ależ tak, oczywiście – zgodziła się skwapliwie.

W mieszkaniu panowała niesamowita duchota, wszędzie unosił się zapach gotowanych kartofli, kociej kuwety i czegoś, czego komisarz wołał się nie domyślać.

W pokoju grał telewizor. Choć może właściwszym określeniem byłoby: ryczał. Nadawano kolejny odcinek brazylijskiego tasiemca. Gospodyni podeszła do odbiornika i wyłączyła go.

*Dzięki Bogu prawdziwa zbrodnia ciekawi ją bardziej niż perypetie bohaterów serialu.* – Pucki ucieszył się w duchu.

– Może napije się pan herbaty albo kawy?

– Herbaty, jeśli można – odparł, starając się, by wyraz twarzy nie zdradził, jakim obrzydzeniem napawa go myśl o picciu lub, nie daj Boże, jedzeniu czegokolwiek w tym mieszkaniu.

Gdy pani domu wyszła do kuchni, jak diabeł z pudełka, nie wiadomo skąd, wyskoczyła dwójka dzieci zaciekawionych przybyciem nieoczekiwanego gościa. Chłopcy, jeden w wieku około pięciu lat, a drugi o jakiś rok młodszy, wpatrywali się w komisarza szeroko otwartymi oczami. Szybko jednak doszli do wniosku, że nieznajomy pan jest zupełnie nieinteresujący i zaczęli biegać po zagraconym do granic możliwości pokoju, piszcząc przy tym niemiłosiernie i potrącając stojące im na drodze meble.

Pucki, zdeklarowany stary kawaler, miał ochotę udusić rozszalałe bachory gołymi rękami, zwyciężył jednak profesjonalizm. Na widok powracającej z herbatą Anny Bankiewicz uśmiechnął się promiennie i powiedział:

– Jakie energiczne dzieci. Żywe srebro. Ale wolałbym porozmawiać z panią na osobności.

Nie mógł wymyślić niczego głupszego. Chłopcy, usłyszawszy o tajemnicy, natychmiast porzucili zabawę i wskoczyli na kanapę, z niewiadomych przyczyn układając się głowami w dół, a nogi opierając na oparciu.

Pucki chrząknął znacząco, ostentacyjnie mieszając gorzką herbatę.

– Chłopcy, marsz do siebie – krzyknęła matka. Bez rezultatu. Dopiero po kilku minutach próśb, gróźb i użyciu siły udało się pozbyć niezdolnej progenitury.

Pucki odetchnął.

– A więc – zaczął, gdy gospodyni usiadła w końcu przy stole – czy dobrze znała pani denatkę?

– To znaczy, panią Helenę? Tę co to ją zabili pod osiemnastym? – Upewniła się, jakby w bloku co drugi dzień znajdowano jakieś zwłoki.

– Tak.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo. Bo widzi pan... – zacięła się – jakoś nie wypada źle mówić o zmarłych.

– Rozumiem, ale najważniejsze jest złapanie przestępcy. Tylko prawda może w tym pomóc. – Zachęcił kobietę komisarz, zastanawiając się jednocześnie, ile razy w życiu powtarzał te słowa.

– No tak, ma pan rację. Bo widzi pan, ona była jakaś taka nie do ludzi. Wszystko jej przeszkadzało: a to muzyka za głośno, a to dzieci hałasują, a to się wściekła, że śmieci wystawiam wieczorem na klatkę schodową. „Śmierdzi” – mówiła. Powiem szczerze, unikałam jej.

– Tym niemniej, wie pani, jak miała na imię. – Nie dawał za wygraną.

– Na początku, gdy tylko się sprowadziliśmy, to będzie już ze trzy lata, próbowałam się z nią zaprzyjaźnić. Jestem z małego miasteczka. Tam wszyscy się znają. A sąsiad u nas to jak najbliższa rodzina. Gdy się z kimś mieszka przez ścianę, wie się o nim więcej niż o własnym rodzeństwie. Poza tym żyje się łatwiej. Raz ja pomogę tobie, raz ty mnie... Rozumie pan?

Pucki pokiwał głową ze zrozumieniem. Jego matka pochodziła z niewielkiej, zapomnianej przez Boga i ludzi, miejsciny. Jeździł tam czasem w odwiedziny do dziadków. Miał wrażenie, że jeśli babka postanowiła ugotować bigos, całe miasteczko wiedziało o tym, zanim jeszcze zdążyła kupić kapustę.

– Ale jak okazała się taką zołą. – Anna najwyraźniej zaczynała się rozkręcać, czując, że ma w komisarzu wdzięcznego słuchacza. – Powiedziałam sobie: „nie to nie”. I tyle. Potem spotykałyśmy się tylko przy okazji, na schodach albo w sklepie.

– A tego dnia, gdy ją zamordowano, widziała pani coś może albo słyszała?

– Niestety nie. Pamiętam, że bolała mnie głowa, położyłam się wcześniej spać. Obudziłam się dopiero, gdy przyjechała policja.

- Miała jakiś znajomych, odwiedzali ją?
- Czy ja wiem? Czasem ktoś do niej przyszedł. Żadnych pijatyk ani awantur u niej nie było, nie mogę powiedzieć.
- Może mi pani opowiedzieć o tych gościach?
- A co tu opowiadać. Ludzie jak ludzie. Normalni. Ja tam zresztą nie mam czasu się przyglądać. Przy dzieciach cały czas jest zajęcie, mąż pracuje do nocy, wszystko na mojej głowie.

Jakby na potwierdzenie tych słów za ścianą rozległ się straszny łoskot, a potem przeraźliwy pisk.

Kobieta odstawiła szklankę i popędziła do drugiego pokoju. Komisarz doszedł do wniosku, że nic już tutaj nie wskóra i czas najwyższy się wycofać. Ostrożnie wsunął głowę do dziecięcego pokoju, gdzie starszy chłopczyk okładał brata plastikową koparką, młodszy darł się wniebogłoso, a nieszczęsna matka próbowała ich rozdzielić.

– To ja już pójdę. Nie będę dłużej przeszkadzał – wrzasnął, starając się przekrzyczeć okropny tumult. – Proszę mnie nie odprowadzać – dodał pośpiesznie i zrejterował, pozostawiając nietkniętą herbatę.

\*

W pozostałych mieszkaniach nikogo nie było, a przynajmniej nikt nie zareagował na uporczywe dzwonienie. Komisarz już miał się poddać i do listy niepowodzeń dopisać kolejny nieudany dzień, gdy w końcu uśmiechnęło się do niego szczęście. Najpierw usłyszał powolne kroki, a po chwili zobaczył człapiącą staruszkę. Bez wątpienia kierowała się do mieszkania naprzeciwko miejsca zbrodni. Uradowany Pucki podszedł do kobieciny i starając się jej nie przestraszyć, zagadnął:

- Dzień dobry, jestem z policji, czy mogę z panią zamienić kilka słów?
  - Z policji, a skąd mam wiedzieć, że z policji? Każdy może powiedzieć, że z policji! Tyłu się teraz porobiło oszustów! – Starowinka patrzyła podejrzliwie spode łba.
  - Ma pani rację, nigdy dość ostrożności. Oto moja legitymacja. Komisarz Pucki. – Ukłonił się i szarmancko cmoknął oniemiałą ze zdziwienia kobiecinę w upstrzoną starczymi plamami, pomarszczoną dłoń.
  - No nie wiem. – Na twarzy babiny malowała się wewnętrzna walka. Przez chwilę trudno było orzec, co zwycięży: strach czy ciekawość.
  - To może siądziemy na ławeczce przed domem? Albo zaproszę panią na komendę?
  - Nie, nie. – Staruszka złamała się. – Porozmawiajmy u mnie. Może mi pan jeszcze raz pokazać legitymację?
  - Proszę uprzejmie. – Wyciągnął ponownie legitymację. – I proszę dać mi tę siatkę.
- Cierpliwie poczekał, aż obejrzy dokument ze wszystkich stron. Wiedział, że pośpiech może zniszczyć z takim trudem zdobyte, wciąż jeszcze bardzo kruche, zaufanie.
- No dobrze, wejdźmy – oznajmiła w końcu.

Zaprowadziła Puckiego do pokoju, a sama znikła w kuchni, obiecując wrócić za chwilę. Komisarz rozejrzał się. Wnętrze było niesamowite. Ciężkie, przytłaczające meble oklejone kiepskiej jakości fornirem, pamiętające jeszcze czasy Gomułki, obite wytartym aksamitem zwaliste fotele, ogromny stół i solidne krzesła zdawały się urągać prawom fizyki i zasadom geometrii – niemożliwe było upchnąć tyle gratów na tak niewielkiej przestrzeni. W oknie, ledwie widocznym zza zasłaniających je, ustawionych na parapecie kwiatów, wisały pożółkłe, ręcznie robione firanki. Stół, serwantka i komoda, a nawet oparcia foteli przyozdobione były koronkowymi serwetkami, na ścianie wisała haftowana Matka Boska Ostrobramska, ale największe, wręcz wstrząsające wrażenie wywarła na komisarzu kolekcja porcelanowych figurek. Było ich kilkadziesiąt: przede wszystkim pastereczki – białe i różowe, anioły oraz damy w krynolinach. Towarzyszyły im mniej liczne kotki i pieski. Pucki dostrzegł też wciśnięte w kąt stadko słoni, wszystkie z trąbkami do góry.

Na środku stołu, w ogromnym kryształowym wazonie, pysznił się bukiet sztucznych róż. Jak można mieszkać w czymś takim? – zastanawiał się. Rozmyślenia przerwało mu wejście gospodyni.

– Przepraszam, że kazałam panu czekać. Musiałam schować zakupy do lodówki. W taki upał wszystko psuje się od razu.

– Ależ oczywiście, rozumiem. Z przyjemnością odpocząłem chwilę. Bardzo wygodny ten fotel – dodał, by przypodobać się staruszce.

– Mój nieboszczyk mąż też go lubił. Zawsze po obiedzie ucinał sobie tutaj drzemkę. Ale gdzież moje maniery, nie przedstawiłam się dotąd panu. Jadwiga Białobrzaska.

– Bardzo mi miło. – Wstał i uklonił się szarmancko.

– Jeśli dobrze zrozumiałam, interesuje się pan morderstwem? O co chciał pan zapytać?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Może pani zauważyła coś podejrzanego? – zagaił, a po chwili dodał, aby zachęcić ją do mówienia: – Każda informacja może okazać się cenna.

– Akurat tego dnia nie było mnie w domu. Pojechałam do córki zająć się wnukiem. Wróciłam koło dziewiątej.

– Od jak dawna pani tutaj mieszka?

– Od samego początku – odpowiedziała. – Wprowadziliśmy się tu z mężem w sześćdziesiątym czwartym.

– A czy pamięta pani, kiedy wprowadziła się denatka?

– Pewnie, że pamiętam. Równo dziesięć lat temu. Dobrze pamiętam, bo w tym samym roku wyszła za mąż moja córka.

– Z dokumentów wynika, że miała dziecko, nie wie pani czasem, co się z nim stało.

– Wie pan, to dziwna historia. Pamiętam, że była w ciąży. Narzekała, że się źle czuje. Puchły jej ręce i nogi. Potem znikła na pół roku, może dłużej. Wróciła sama, bez dziecka. Nie pytałam, co się z nim stało, a ona nie mówiła. Pewnie umarło. Bo inaczej przecież by je przywiozła, prawda?

- Pani Jadwigo, jest taka delikatna sprawa, nie chcę pytać rodziny, żeby ich nie urazić. Helena była panną, nie mamy informacji o ojcu dziecka. Może pani coś wie?
- Ja tam się do cudzych spraw nie wtrącam, sąsiadów nie podglądam.
- Pucki z trudem powstrzymał cisnący się na usta uśmiech. Życie nauczyło go, że takie deklaracje składały zazwyczaj największe plotkary.
- Własnego nosa pilnuję– ciągnęła niezrażona. – Ale przychodził tu taki jeden. Bardzo kulturalny. Zawsze w garniturze, pod krawatem. Niedzisiejszy taki. Dwurzędówkę nosił. Buty eleganckie, na moje oko nie ze sklepu, tylko robione na obstalunek. Nigdy go nie widziałam w dzinsach ani bez marynarki.
- Myśli pani, że mógł być ojcem?
- A jak inaczej. Przychodził do niej, jak z brzuchem chodziła. Bukiety przynosił, czekoladki, owoce. Jakby to cudzy bękart był, nie przychodziłby przecież, prawda?
- Słusznie, słusznie, że też o tym nie pomyślałem. – Komisarz ze wszystkich sił starał się przypodobać staruszce. – A potem, gdy już wróciła bez dziecka, czy nadal przychodził?
- A jakże. Nawet częściej. I nigdy z pustą ręką. A to kwiaty przyniósł, a to ciastka, a to butelkę wina.
- Pucki pomyślał, że jak na osobę, której nie interesują cudze sprawy, Jadwiga Białobrzeska zna zadziwiająco wiele szczegółów z życia sąsiadki. W tej chwili nie uważał tego jednak za wadę. Wręcz przeciwnie.
- Nie wie pani może, jak się nazywał? – zapytał bez większego przekonania.
- Na imię miał Rafał, słyszałam jak się do niego zwracała. Ale nazwiska nie znam.
- Czy zauważyła pani czym przyjeżdżał? Autobusem? Taksówką?
- Taki elegancki pan autobusem! Skądże, samochodem przyjeżdżał.
- Pamięta pani może markę – indagował, czując, że wymaga chyba za dużo od wścibskiej sąsiadki. Jakież było jego zdumienie, gdy podchwyciła temat:
- Audi A4, granatowym – odparła bez chwili zastanowienia.
- Jest pani pewna? – Pucki nie był w stanie ukryć niedowierzania.
- Nie jestem ślepa, wiem, co widziałam. – Oburzyła się. – Aaaa, pan pewnie myśli, że tylko mężczyźni potrafią odróżnić malucha od mercedesa? – dodała po chwili. – Niech pan podejdzie do okna.
- Słucham?
- Niech pan podejdzie do okna.
- Komisarz niechętnie wstał, by spełnić jej życzenie.
- Niech pan patrzy nie na mnie, tylko przez okno – burknęła poirytowana. – A teraz niech pan sprawdza, czy naprzeciwko stoi biały samochód?
- Tak, stoi, ale...
- Peugeot 406, zgadza się?– zapytała ze złośliwą satysfakcją. – Proszę rozejrzeć się dobrze, powinien tam gdzieś stać Ford Sierra, ciemnozielony, taki trochę porysowany.

- Rzeczywiście!
  - To teraz mi pan wierzy?
  - Nie ukrywam, zaimponowała mi pani. – W głosie komisarza brzmiał szczerzy podziw. Wrócił na fotel, wyjął z kieszeni ukochany notes i z namaszczeniem zapisał „Audi A4, granatowe, właściciel Rafał, ustalić nazwisko”.
- To nie był wcale taki zły dzień – pomyślał z zadowoleniem.

## ROZDZIAŁ 6

Samodzielne wykonanie zlecenia było nie lada wyzwaniem. Zamawiający, rozumiejąc powagę sytuacji, zgodził się na pewne opóźnienie, ale nie wykazał się przesadną tolerancją. Przez trzy bite tygodnie Barbara pracowała po osiemnaście godzin na dobę, wypijając przy tym nieprawdopodobne ilości kawy.

Jedynym przerywnikiem w pracy były kłótnie z matką, wróżącą córce rychłą śmierć z głodu i wyczerpania. Gdy oddała pracę klientowi, zamiast spodziewanej ulgi poczuła tylko niesamowite zmęczenie. Nieoczekiwanie cała energia ulotniła się jak powietrze z przekłutego balonika. Czowała pustkę, brak napędzającej ją przez wiele dni adrenaliny. Zachowywała się jak zombie. Dopiero po dwóch dniach całkowitego marazmu powróciła do jako takiej równowagi fizycznej i psychicznej.

W sobotni poranek leżała w łóżku, delektując się aromatem herbaty różanej (żadnej kawy przez najbliższy kwartał!) i rozmyślając, co zrobić z tak pięknie rozpoczętym dniem. Przez okno wpadały promienie słońca, bezchmurne niebo zachęcało do spaceru. Nagle jej wzrok padł na szarą książkę leżącą na parapecie. Zupełnie wyleciało mi z głowy – pomyślała. Ciekawe, co Helena w niej wypatrzyła? Skąd to zainteresowanie prądnicami? Nie, to bez sensu, ważne są nie prądnice, tylko metody numeryczne, czyli po prostu programowanie.

Zdjęła książkę z parapetu i z powrotem wróciła do łóżka. Zaczęła przeglądać uważnie strona po stronie.

Była to praca magisterska sprzed sześciu lat. Całe fragmenty zaznaczono na czerwono, gdzieś tam widniał ogromny wykrzyknik, a na marginesach tu i ówdzie pojawiały się tajemnicze notatki: „Z.M. art.”, „Por. algor.”, „100%”. Na ile zdołała się zorientować, był to charakter pisma Heleny – świadczyły o tym bardzo charakterystyczne litery: kształtne, wręcz wysmukłe, a jednocześnie kompletnie nieczytelne, jakby składały się wyłącznie z pionowych kresek. Nikt poza Heleną nie stawiał takich dziwolągów.

– Hmm... Pewnie zakreślenia i wykrzykniki też wyszły spod ręki Heleny – zastanawiała się. – Wygląda na to, że to ten sam długopis.

Zagłębiła się w lekturę, próbując zrozumieć, dlaczego akurat te fragmenty wzbudziły zainteresowanie Heleny. Przeglądanie szło jak po grudzie. W końcu musiała przyznać przed samą sobą, że nic nie rozumie z czytanego tekstu. Ostatni raz z elektrotechniką miała do czynienia w liceum, a nawet wtedy nie był to jej ulubiony dział fizyki. Po trzech kwadransach udręki doszła jedynie do wniosku, że „Por. algor.” to skrót od „porównaj z algorytmem”. Wniosek ten był na tyle oczywisty, że nie sposób było go uznać za duże osiągnięcie. Właściwie nie można go było uznać za osiągnięcie jakiegokolwiek.



– Wystarczy tego dobrego, może raczysz wstać. – Rozległo się pukanie i gniewny głos matki. – Cały dzień zamierzasz przespać?

– Już wstaję, mam – jęknęła zrezygnowana.

Nie miała najmniejszej ochoty siedzieć w domu, słuchać zrzędzenia matki i narzekania młodszej siostry. Szybko zjadła śniadanie, wrzuciła do torby zagadkową pracę magisterską i pod pierwszym lepszym pretekstem wyszła z domu. Piękny, wrześniowy poranek zachęcał do spaceru. Przez dobre pół godziny błądziła bez celu. W końcu z braku lepszego pomysłu poszła do parku. Ostatnimi czasy władze gminne wykazały się nadspodziewaną energią i szczodrością, doprowadzając go do porządku: oczyszczono staw, wyremontowano stare ławki, postawiono kilka nowych, odnowiono alejki, posadzono sporo kwiatów, a nawet zatrudniono strażników, dzięki czemu straszące od lat zarośla, stanowiące schronienie dla wszelakiego autoramentu mętów, zamieniły się w przyjemne miejsce, chętnie odwiedzane przez mieszkańców.

Jak na wizytę w parku było dość wcześnie – nie minęła jeszcze dziesiąta – Barbara mogła więc w spokoju usiąść na swej ulubionej ławeczce nad wodą i wrócić do rozmyślań o prądnicach, algorytmach i metodach numerycznych. Słońce grzało przyjemnie, wiał leciutki wiatr, ciszę zakłócało tylko kwakanie kaczek.

Skoncentrowana na lekturze nie czuła upływu czasu. Park powoli zaczął się zaludniać. Alejki wypełniły młode matki pchające wózki, właściciele psów, chichoczące nastolatki, a ławeczki okupowały plotkujące emerytki.

– Nie ma ludzkiej siły, nic dzisiaj nie wymyślę. – Poddała się. Odłożyła książkę na bok, zamknęła oczy, wystawiła twarz ku słońcu, by choć przez chwilę cieszyć się latem. A jednak tajemnicza publikacja nie dawała jej spokoju. Zagadka tkwiła w mózgu jak zadra. Zdarza się, że jakiś drobiazg nie daje nam spokoju. Może to być plama na szybie albo uporczywa melodia, której tytułu nie możemy sobie w żaden sposób przypomnieć. Barbara czuła przez skórę, że nieszczęsna zagadka będzie ją dręczyć, dopóki nie dowie się, o co chodziło Helenie. Im dłużej nad tym myślała, tym bardziej była przekonana, że szara oprawa kryje ważną tajemnicę. Ale jaką? Dobrze byłoby pogadać z fachowcem, ktoś taki mógłby pchnąć ją na właściwy trop. Sęk w tym, że wśród znajomych nie miała nikogo, kto chociaż pobieżnie zajmowałby się taką tematyką. Przeczesując w pamięci profesje przyjaciół, ze zdumieniem zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo są różnorodne: programiści, pianistka, sędzia, policjant, operator, właściciel sklepu obuwniczego – długo by wymieniać. Niestety, wśród tego bogactwa nie było żadnego specja od elektrotechniki. Ani jednego. Pozostawała tylko autorka pracy – jej nazwisko figurowało, oczywiście, na stronie tytułowej. Znajdę babę, nie ma zmiłuj – pomyślała, po czym zerknęła na zegarek.

– O rety, wpół do trzeciej, spóźnię się na obiad. Matka mnie zabije. Mieszkanie z rodzicami, jest wygodne, ma jednak swoje minusy – mruknęła pod nosem i ruszyła w stronę domu.

Nie ma nic bardziej dołującego niż niedokończona, czekająca na swoją kolej, niemiała praca. Niby już niedużo zostało, niby nie ma pośpiechu, niby nie ma się czym przejmować, ale uporczywa myśl o wiszącym nad głową widmie rozgrzebanej roboty tkwi w mózgu i doskwiera niczym wystający gwóźdź w bucie. Joanna miała tego świadomość, a jednak cały czas odkładała na później dokończenie sprzątanego mieszkania Heleny. W końcu jednak sama przed sobą musiała przyznać, że preteksty, które wynajduje, są coraz bardziej żałosne. W sobotni poranek zrozumiała – pora wziąć byka za rogi.

– Już niedużo zostało – mruknęła, ale nie poczuła się ani trochę podniesiona na duchu. – Dwie, no góra trzy godziny i będzie po sprawie. Koniec z odkładaniem na jutro! – dodała na głos i żeby nie dać sobie czasu na zmianę decyzji, od razu dziarsko ruszyła do samochodu.

Los jej sprzyjał. Nie dość, że ulice były puściuteńkie, bo kto by się tłukł po mieście w weekend o tak nieludzkiej porze, to jeszcze udało się złapać zieloną falę; ani razu nie stanęła na światłach. O dziwo, bez trudu znalazła też miejsce parkingowe, dosłownie o kilka kroków od bloku Heleny. Sprawdziła, która godzina. Od wyjścia z domu nie minęło nawet dwadzieścia pięć minut. Nieco tym podbudowana energicznie ruszyła przed siebie. Niestety, gdy stanęła przed drzwiami mieszkania, szczęśliwa passa dobiegła końca. Za nic w świecie nie dało się przekręcić klucza w zamku. Niby martwa rzecz, a jaka wredna! Pal sześć, że włożył jakoś opornie, sęk w tym, że dalej ani drgnął. Dałaby sobie rękę uciąć, że gdy ostatnio wychodziła z mieszkania Heleny – wciąż nie potrafiła o nim myśleć jako o swoim – zamek działał bez zarzutu. O pomyłce nie było mowy. Do dość kiczowatego, różowego breloczka przymocowane były co prawda trzy klucze, ale różniły się od siebie wyraźnie. Nie sposób było wybrać nie ten, który potrzeba. Do górnego zamka mógł pasować tylko średni. Bardziej dla spokoju sumienia niż z wiary w powodzenie próbowała użyć najmniejszego. Oczywiście, nic z tego nie wyszło. Największym, płaskim, nawet nie było co sobie głowy zawracać.

Zirytowana, ze złością szarpnęła klamkę. Drzwi otwarły się bez problemu. Wniosek był oczywisty: nie mogła przekręcić klucza, bo drzwi cały czas były otwarte.

– Jak mogłam zapomnieć zamknąć?! – mruknęła skonsternowana. – Zakręcona jestem jak słoik dżemu!

Weszła do środka i stanęła jak wryta. Wnętrze wyglądało niczym po ataku średniej wielkości huraganu. Podłoga w przedpokoju usłana była gratami wyrzuconymi w pośpiechu z otwartego na oścież i zięjącego pustką pawlacza.

Ruszyła przed siebie, stąpając uważnie, by na coś nie nadepnąć. W salonie walały się pozrzucone z półek książki, z otwartych szuflad zwisały bezładnie na wpół wyciągnięte

fragmenty garderoby, obok przewróconego stolika lśniły w blasku wpadających przez okno promieni słońca fragmenty potłuczonej filizanki.

Poczuła narastającą z każdą chwilą falę przemożnego strachu. A co, jeśli włamywacz nadal tu był? Spięta, bliska paniki, nasłuchiwała przez chwilę. Zadrżała, gdy panującą wokół, grobową ciszę przerwało dobiegające z kuchni skrzypnięcie podłogi. W irracjonalnym odruchu wstrzymała oddech i z całych sił zacisnęła powieki. Minęła minuta, potem dwie, lecz dźwięk się nie powtórzył. Wyglądało na to, że w mieszkaniu nie było nikogo. Mimo to wcale nie czuła się bezpiecznie. Niepewnie, powoli ruszyła dalej, cały czas gotowa rzucić się do ucieczki. Kuchnia prezentowała się jeszcze gorzej niż pokój. Wszędzie pełno było odłamków szkła i porcelany, podłogę zaścielała warstwa rozsypanej kaszy, cukru, mąki i makaronu. Ktoś desperacko czegoś szukał. Ale czego? A co, jeśli nie znalazł? A co, jeśli wróci? Joanna wołała o tym nie myśleć. Drżącą ręką wyjęła z torebki komórkę. Przed dłuższą chwilę nerwowo próbowała odblokować telefon. Bez skutku.

Ekran był czarny. Idealnie czarny i martwy. Kolejne, paniczne próby ożywienia komórki spełzły na niczym. Padła bateria. Kropka. W akcie desperacji Joanna wybiegła na klatkę i zapukała do sąsiada z prawej strony. Nikt jej nie odpowiedział. Za drzwiami panowała głucha cisza. Spróbowała drzwi z lewej. To samo. Jak pech, to pech! Przerazona ruszyła schodami na dół, w nadziei, że może na ulicy znajdzie czynny automat, ale nie dotarła nawet do półpiętra, gdy zdała sobie sprawę z naiwności takiego myślenia.

– Witamy w XXI wieku – mruknęła sama do siebie. Paradoksalnie dwie dekady temu sytuacja byłaby prostsza. Po pierwsze, w mieszkaniu Heleny stałby telefon stacjonarny, po drugie, gdzieś w pobliżu byłby automat (to, czy akurat byłby czynny to już zupełnie inna historia), a w najgorszym przypadku dałoby się pewnie dopaść jakiś pieszy patrol policji. A teraz? Komórki, internety, satelity i inne bzdety, a jak człowiekowi bateria padnie, to może co najwyżej tłuc głową w ścianę.

Stała. Wzięła głęboki wdech. Czekala, aż rozbiegane myśli nieco się uspokoją. Bieganie w tę i nazad nie miało sensu. Po namyśle uznała, że najrozsądniej będzie wrócić do domu. Tam albo znajdzie ładowarkę, albo skorzysta z telefonu Mateusza.

Dopiero, przekręcając kluczyki w stacyjce, uświadomiła sobie, że nie zamknęła mieszkania Heleny. Obrabowane czy nie, nie powinno stać otworem. Drugie włamanie, i to niemalże na własne życzenie, to już byłby nadmiar szczęścia. Niechętnie poczłapała z powrotem na górę.

Wsunęła klucz do dziurki. Chciała przekręcić, ale ani drgnął. *Déjà vu*. Jak nic włamywacz doszczętnie zepsuł ten nieszczęsny zamek. Spróbowała jeszcze raz, tym razem zupełnie bez przekonania, głównie dla spokoju sumienia. Nim ostatecznie dała za wygraną, ze złości kopnęła drzwi. Głuchy odgłos poniósł się echem po całej klatce schodowej. Nikt nie zareagował.

Przez całą drogę do domu czuła narastającą irytację. Zdecydowanie to nie był najlepszy dzień w jej życiu.

\*

– Mamy wtorek! Wtorek! I co z tego, że weekend! Dlaczego dopiero dziś się dowiaduję? Pucki aż gotował się ze złości. – Jaki znowu nowy system? Jaka awaria? – warknął w odpowiedzi na mętne tłumaczenia dyżurnego, zwanego złośliwie przez pracowników komendy sekretarkiem. – Jak dla mnie, mogliście dostarczyć list gołębiem pocztowym albo wysłać sygnały dymne! A pchnąć patrol z informacją to już nie łaska? Zresztą wczoraj byłem w biurze. Cały dzień byłem! I co? Dowiaduję się dopiero dzisiaj, a i to przypadkiem. We wtorek! A włamanie zgłoszono w sobotę!

Przerwał, bo przydługi monolog zupełnie pozbawił go tchu. Miał ochotę zdrowo kogoś objechać. Tylko co by to zmieniło?

– Proszę zająć się gościem. Podać jej kawę, herbatę, wodę... No, co tam będzie chciała – burknął w stronę spłoszonego sekretarka. – Aha, i jakieś herbatniki może się znajdują?

Było mu głupio. Mało tego, że o zajściu nie poinformowano go drogą służbową, bo podobno padł system informatyczny i raport nie dotarł z terenu, to jeszcze, jak się przed chwilą okazało, siostra denatki kilka razy dzwoniła bezpośrednio do Puckiego, ale bez skutku. Za każdym razem odpowiadano, że pan komisarz jest nieosiągalny. W końcu zdecydowała się odwiedzić go osobiście. Gdy wyłożyła, co ją sprowadza, o mało nie pękł z wściekłości. Pod byle pretekstem wyszedł z pokoju, żeby rozładować emocje i nieco ochłonać. Podczas rozmowy powinien być opanowany i profesjonalny. Z drugiej strony, chciał jak najszybciej przyjąć zeznania. Te dwa plany zdecydowanie się wykluczały. Wygarnął dyżurnemu, co o nim myśli, poszedł do łazienki, obmył twarz zimną wodą, łyknął lodowatej kranówki i dopiero, gdy poczuł, że ciśnienie wróciło do normalnego poziomu, ręce przestały drżeć, a zaciśnięte szczęki rozluźniły się na tyle, by mógł mówić, wrócił nieśpiesznie do gabinetu.

Przepraszam za zwłokę – zagaił uprzejmie. – Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć wszystko od początku. Czy coś zginęło?

– Chyba nie – zawahała się. – O ile wiem, w mieszkaniu nie było nic specjalnie cennego. Komputer zabrała policja, telewizor stoi tam, gdzie stał, pieniędzy żadnych nie było. Jakaś drobna biżuteria, też niezbyt wartościowa. Oczywiście, mogłam coś przegapić. Wie pan, panie komisarzu, nawet jeszcze nie skończyłam porządkować wszystkiego. Jakoś tak niesporo mi szło.

– Rozumiem – burknął Pucki. Wciąż nie mógł opanować irytacji. – A więc podsumujmy. Ktoś włamał się do mieszkania. Sforsował zamek. Nie wiemy, kiedy dokładnie miało miejsce zdarzenie. Nic nie zginęło.

Joanna przytaknęła skinieniem głowy.

Jest jeszcze coś – bąknęła niepewnie. – Nie wiem, czy to ważne. – Zawiesiła głos, wyraźnie czekając na zachętę.

Słucham. Proszę mówić. Nigdy nie wiadomo, co okaże się istotne. – Komisarz podchwycił bez entuzjazmu.

Znalazłam to.

Przez chwilę grzebała nerwowo w torebce. W końcu, z lekko zażenowaną miną, wyjęła pognieciony papier. Zawstydzona, próbowała go rozprasować dłonią, niczym dziecko wręczające nauczycielce wymiętoszoną pracę domową. Pucki, niewiele myśląc, wyciągnął rękę i zdecydowanym ruchem przechwycił zmaltretowany papier. Przez chwilę studiował dokument w skupieniu.

Miał przed sobą polisę na życie. Helena ubezpieczyła się na niebagatelną sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy. Zabijano za mniejsze kwoty. Znacznie mniejsze. Tylko jeśli morderca zabił dla pieniędzy i wrócił, żeby znaleźć polisę, to dlaczego jej nie zabrał? Może coś mu przeszkodziło? Nie, to nie miało sensu. Polisa to tylko świstek papieru, nawet gdyby włamywacza coś spłoszyło, mógł w mgnieniu oka wsunąć papier do kieszeni i czmychnąć. Nie, to się nie trzymało kupy.

Gdzie pani to znalazła? – zapytał skonfundowany.

Leżało na podłodze. Pewnie musiało wypaść, gdy włamywacz przetrząsał szuflady.

Dlaczego uważa pani, że to ważne? – zapytał z głupia frant.

Jak to dlaczego? Przecież ten człowiek może wcale nie wiedzieć, że Helena nie żyje. Państwo go bez trudu znajdziecie. Pieniądze mu się należą, nieprawdaż? Ubezpieczyciel sam raczej nie będzie się pchał z wypłatą, jeśli beneficjent o nią nie wystąpi.

Pucki często powtarzał, że nic go nie zdziwi, a los równie często udowadniał, że to nieprawda. Ta kobieta wyglądała na rozsądną, a tymczasem okazała się naiwna jak dziecko. Nawet nie pomyślała, że ma przed oczami personalia zabójcy.

Beneficjentem jest niejaki Paweł Czarski. Rozumiem, że pani go nie zna? – zapytał głównie dla zasady, bo właściwie znał już odpowiedź.

Nie mam pojęcia, kto to taki – potwierdziła.

Proszę się nie martwić, z pewnością go odnajdziemy – zapewnił. Wstał, jednoznacznie dając do zrozumienia, że to już koniec rozmowy. Joanna też najwyraźniej miała dość, bo pożegnała się skwapliwie. Aż nadto skwapliwie.

Komisarz westchnął. Sięgnął po telefon. Czas rozpocząć poszukiwania tego całego Czarskiego. Sam nie wiedział, co o tym myśleć. Nowy trop wyglądał obiecująco, ale intuicja podpowiadała, że coś tu nie gra. I to bardzo.

## ROZDZIAŁ 7

Barbara nie była z tych, co to się szybko poddają. Owszem, miała problem, żeby zabrać się do roboty. Owszem, była mistrzem w wynajdowaniu pretekstów, by jeszcze przez chwilę nie zajmować się tym, czym naprawdę należało się zająć natychmiast. W takich chwilach koniecznie, ale to koniecznie, musiała pozmywać naczynia stojące w zlewie od kilku godzin, podlać kwiaty albo gdy już nic lepszego nie dało się wykombinować, przynajmniej napić się herbaty i to najlepiej z ciasteczką, po które trzeba było pójść do pobliskiej cukierni. Umiejętność tę doprowadziła do perfekcji na studiach. Ileż guzików zostało w końcu przyszytych, ileż dziur załatanych, ileż bezładnie rzuconych na półkę ubrań poskładanych w równiutką kostkę, tylko dlatego, żeby nie zabrać się do nauki, choć egzamin wisiał nad głową. Raz nawet posunęła się do tego, że umyła okna w całym mieszkaniu. Była mistrzynią prokrastynacji. To wszystko prawda, ale nie cała. Bo z drugiej strony, gdy już się za coś wzięła, parła uparcie do przodu niczym brygada czołgów. Nic jej nie było w stanie powstrzymać.

Tym razem też się zapała. Rozgryzie, o co chodziło z tą pracą magisterską. Joanna może się z niej naśmiewać, kpić z amatorskiego śledztwa blondynki, ale ona i tak zrobi swoje. Pełna zapału wyruszyła na uczelnię.

Wyższa Wojewódzka Szkoła Nauk Humanistycznych powstała na fali entuzjazmu, gdy przepisy zezwoliły w końcu na otwieranie prywatnych uczelni, dość szybko z przedmiotu dumy stała się wśród mieszkańców ulubionym obiektem kpin. Nazywano ją pogardliwie „Szkołą Wekowania i Plotkowania” albo krócej „Kurnikiem”. Nie minęło wiele czasu, gdy okazało się, że poziom oferowanej wiedzy, mówiąc delikatnie, pozostawia wiele do życzenia. O jakiegokolwiek pracy naukowej w tej placówce nikt nigdy nawet się nie zająknął. Zwykła drukarnia dyplomów wydawanych każdemu, kto regularnie opłacał czesne. Kadre naukową stanowiła garstka zblazowanych magistrów – nieudaczników, którym nie udało się zagrzać miejsca gdzie indziej. Teoretycznie wśród współpracowników było kilka osób ze stopniami naukowymi, ale dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, że to zwykłe „słupy”. Nikt ich nigdy na oczy nie widział i nikt nie miał nadziei, że kiedykolwiek ich zobaczy.

Niesławny ten przybytek, wlokący się konsekwentnie w ogonach wszelkich rankingów, przyciągał adekwatną brać studencką. Lwią część stanowiły dziewczęta zwabione słowem „humanistyczna”, osóbkami nader barwne, zaliczające się do jednej z dwóch kategorii. Kategoria pierwsza, mniej liczna, ale za to znacznie bardziej rzucająca się w oczy, to lepsze lub gorsze kopie Dody z wczesnego okresu jej kariery: chodzące niezdarnie na niebotycznych obcasach, opalone na mahoń nawet w środku najbardziej deszczowego listopada, zawsze umalowane, z tipsami dłuższymi niż kuse spódniczki

ledwie zakrywające równie skąpą bieliznę. Rozchichotane, rozplotkowane, potrafiące bezbłędnie wywachać każdą imprezę w mieście i równie bezbłędnie się na nią wprosić.

Kategoria druga, sama siebie określająca nieśmiało „my, intelektualistki” nosiła się skromnie. Płaskie, zamszowe buty, wymięta i lekko przykurzona całoroczna spódnica do pięt, uzupełniona w lecie powyciąganym t-shirtem, a w zimie równie powyciąganym swetrem. Całości dopełniały obowiązkowo przetłuszczone włosy.

Przez jakiś czas interes kręcił się nieźle. Co roku nowy narybek zapełniał sale wykładowe, co roku nowa grupa absolwentów, a właściwie absolwentek, otrzymywała dyplomy, przyjmowała gratulacje, by po kilku tygodniach dołączyć do grona bezrobotnych. W końcu potencjalni studenci, a może ich rodzice, zorientowali się, że studia to nic innego jak tylko pięcioletnie, bardzo kosztowne hobby. Liczba chętnych do pobierania nauki zaczęła systematycznie spadać. Biznes podupadał.

Wtedy jakaś mądra głowa wpadała na pomysł, że problemem jest nie tyle kiepski poziom uczelni (takiej herezji nikt z właścicieli nie wypowiedziałby nawet szeptem na spowiedzi), ale zły profil. Nauki humanistyczne to w rzeczy samej szlachetna pasja, która nie daje jednak żadnych perspektyw zawodowych. W dzisiejszych czasach światem rządzi technika. I tak, któregoś dnia, Wyższa Wojewódzka Szkoła Nauk Humanistycznych zmieniła nazwę na Wyższa Wojewódzka Szkoła Nauk Humanistycznych i Technicznych. Zmontowano wydziały mechaniki oraz elektrotechniki i rozpoczęto rekrutację. O dziwo, znaleźli się chętni. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Przynajmniej z finansowego punktu widzenia. Nieoczekiwanie do uczelni uśmiechnął się los. Niemiecki inwestor reaktywował stary zakład mechaniczny. Właściwie nie tyle reaktywował, co stworzył od początku, przechwytyjąc znaną niegdyś markę i pozakładowe ruiny. Inwestycja była gotowa, gdy pierwszy rocznik absolwentów zreformowanej szkoły wyższej opuszczał mury Alma Mater. Niemcom nie przeszkadzał mierny poziom fachowców. Od roboty koncepcyjnej mieli swoich ludzi. Potrzebowali wyrobników. Byle tanich. Dobrze opłacanych fachowców mieli u siebie, w Niemczech aż nadto. Wykształciła się dziwna symbioza. Młodzi, pozał się Boże, inżynierowie tyrali za grosze, nabierali z czasem doświadczenia i w końcu znajdowali sobie lepszą pracę. Część zniechęcona zmieniała branżę. Zastępowali ich nowi absolwenci, którzy po jakimś czasie, idąc w ślady starszych kolegów, zmieniali pracę, zwalniając miejsca kolejnym rocznikom. I tak to się kręciło.

Podbudowane sukcesem władze uczelni postanowiły pójść za ciosem. Przeprowadzono kolejną reformę. Nie obeszło się, a jakże, bez zmiany nazwy. Tak oto powstała Wyższa Wojewódzka Szkoła Nauk Humanistycznych, Technicznych i Informatycznych. Dlaczego informatyki nie zaliczono do nauk technicznych, pozostało na zawsze tajemnicą. Kto by się zresztą tym przejmował. Ważne, że nazwa była chwytliwa. Mury uczelni zasilili młodzieńcy marzący o tym, by w przyszłości zostać drugim Billem Gatesem albo Stevem Jobsem. Nie przyszło im do głowy, że jeśli zostali odrzuceni przez

wszystkie bardziej prestiżowe szkoły wyższe, to może po prostu nie nadają się do wymarzonego zawodu. Oczywiście w procesie rekrutacyjnym nikt nie próbował im niczego takiego zasugerować. Wręcz przeciwnie, dbano, by myśl taka nie skaziła młodych umysłów.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że Wydział Nauk Informatycznych radził sobie całkiem nieźle i to nie tylko na polu dydaktycznym. Udało się zdobyć kilka zleceń z zewnątrz, a nawet pozyskać kilka grantów. Właściciele byli szczęśliwi, a młodzi żyli marzeniami.

Budynek uczelni dobrze oddawał jej ducha. Odkupioną za grosze półruinę po jakimś upadłym biurze pieczołowicie odremontowano z wierzchu. Wymieniono spróchniałe okna, elewację otynkowano, nadając jej bezpieczny, oliwkowy kolor, schody prowadzące do głównego wejścia obłożono szarym gresem, dodano poręcze oraz przezroczyste daszek i na tym zakończono. Wewnątrz panował duch późnych lat siedemdziesiątych.

Ledwie Barbara przekroczyła próg, w nos uderzył ją specyficzny zapach. Mieszanina kurzu, pasty do podłogi i tego nieokreślonego czegoś, czym pachniały wszystkie biura i urzędy PRL-u.

Dziekanat mieścił się na pierwszym piętrze, w najodleglejszym krańcu wschodniego skrzydła.

Ogromny, praktycznie pusty budynek sprawiał lekko makabryczne wrażenie. Mimo że był środek słonecznego dnia, w kiepsko oświetlonym tanimi żarówkami korytarzu panował nieprzyjemny półmrok. Każdy krok odbijał się upiornym echem, wypaczony parkiet skrzypiał nieprzyjemnie. Nieświadomie zaczęła iść coraz szybciej. Gdy dotarła do ciężkich obitych skajem drzwi odetchnęła z ulgą. Wzięła głęboki wdech, dla zachowania formy zapukała w metalową futrynę, choć i tak wiedziała, że nikt tego nie usłyszy. Nie czekając na zaproszenie, które przecież i tak nigdy by nie zabrzmiało, weszła do środka.

Dziekanat pracował pełną parą. Konkretnie, to wszystkie pracownice z wielkim zaangażowaniem piły kawę. Jedna zagryzała herbatnikami. Wspólnie spiorunowały Barbarę wzrokiem. Poczowała się jakoś dziwnie. Jak za studenckich czasów. Szybko jednak wzięła się w garść i zaczęła recytować przygotowaną zawczasu bajeczkę.

– Szukam pracowników do sporego projektu. Czas mnie goni, potrzebuję ludzi o bardzo specyficznej wiedzy. Przypadkiem natknęłam się na pracę magisterską Marianny Pol. To dokładnie ta tematyka. Chciałbym zaproponować jej współpracę. Czy mogłabym prosić o pomoc w skontaktowaniu się z panią Marianną?

Z każdym kolejnym słowem traciła rezon. Historia, która w domu wydawała się logiczna i przekonująca, teraz brzmiała głupio i żałośnie. Wzrok dziekanicy mówił wszystko. Jeszcze zanim padło zdawkowe „w żadnym wypadku”, Barbara wiedziała, że przegrała. Nerwowo kombinowała, jak by tu się szybko i z godnością wycofać. Gdy znowu znalazła się na korytarzu, całe czoło miała zroszone potem. Co tu dużo gadać,



wygłupiała się. Z nerwów poczuła nagłą potrzebę odwiedzenia toalety. Przystanęła, próbując odgadnąć, gdzie znajduje się ten przybytek. Kiedy tak stała, rozglądając się bezradnie wkoło, usłyszała skrzypnięcie drzwi i szybkie, zdecydowane kroki. Czyżby ktoś szedł w jej kierunku? Spojrzała za siebie. Zobaczyła jedną z pracownic dziekanatu. Młoda, szczupła, jakby nieco zastraszonego dziewczyna, pomachała ręką i przyspieszyła.

Proszę pani, proszę zaczekać. – Rozległ się sceniczny szept. – Chyba będę mogła coś zrobić w tej sprawie!

Barbara nic nie powiedziała, spojrzała tylko pytająco.

Znam tę Mariannę Pol. Była dziewczyną mojego brata. Prawdę mówiąc, obszedł się z nią paskudnie. Trochę mi z tego powodu głupio. Więc jeśli rzeczywiście mogłabym jej pomóc znaleźć dobrą pracę, to dlaczego nie? – zawiesiła głos.

A nie będzie pani miała przez to kłopotów? – Barbarę nagle dopadły wątpliwości.

Jakie tam kłopoty – zaśmiała się szczerze. – Przecież nie zdradzam niczego, czego dowiedziałam się z pracy. Mogła mnie pani prywatnie zapytać, gdzie mieszka Maryśka, no nie?

Fakt – odpowiedziała, odwzajemniając uśmiech. Wyjęła smartfona i uruchomiła apkę do robienia notatek. – Proszę mi podyktować ten adres.

\*

Bywają takie dni, gdy trudno jest usiedzieć na miejscu. Opanowany zazwyczaj Pucki czuł, że go nosi. Pod byle pretekstem podrywał się z krzesła i ruszał przed siebie, byleby tylko wyjść z za biurka. Zszedł na parter do automatu z napojami. Kupił kawę, wypił do połowy, resztę wylał. Poszedł do kiosku po batonik, który natychmiast wylądował w szufladzie „na potem”. Dwa razy był w łazience umyć ręce. Odwiedził stanowisko dyżurnego, gdzie uporczywie dopytywał się, czy aby na pewno nie ma nic dla niego. Jeszcze raz poszedł do kiosku – tym razem po gazetę, choć drukowanej prasy nie czytał od lat, zadowolając się wiadomościami z radia i portali internetowych. Sprawdził czas na komórce. Dochodziła jedenasta. Za wcześnie na obiad – pomyślał z niejakim smutkiem, chociaż po prawdzie nie był wcale głodny.

Komisarz nigdy nie miał tendencji do samooszukiwania. Wiedział, że musi wziąć się w garść, inaczej przebimba cały dzień. Czuł, jak czas przecieka mu przez palce. Irytowało go to jednak nie potrafił się zmobilizować. Dlaczego? Tego nie wiedział. Ot, zły dzień i już. Bywa.

Koniec końców postanowił obejrzeć mieszkanie denatki. Zbyt wiele sobie wprawdzie nie obiecywał, bo po pierwsze, od włamania minęło już kilka dni, po drugie, siostra ofiary zdążyła już tam pewnie wszystko poprzekładać i pozacierać ślady, nie mówiąc już o tym, że miał do dyspozycji szczegółowy raport i zdjęcia. Cóż mógł takiego wypatrzyć, czego nie dojrzeliby, nie opisali i obfotografowali technicy?

– Pańskie oko konia tuczy. Może jednak coś przegapili? – mruknął w żalnym akcie samousprawiedliwienia. Nie szukając dalszych wymówek, opuścił biuro.

Na miejsce dotarł szybko. Za to szukanie miejsca postojowego zajęło mu dobrych kilka minut. Każdy centymetr chodnika zastawiony był samochodami tak, że nie dałoby się nawet szpilki wcisnąć. Nawet osiedlowy parking był wypełniony po brzegi. Ze trzy razy okrążył osiedle, dobre dziesięć minut krążył po wąskich, osiedlowych uliczkach, nim w końcu się poddał. Zaparkował pod Biedronką, na oko z kilometr od celu.

Szedł nieśpiesznie, ciesząc się pięknym, słonecznym dniem. Okolica niezbyt zachęcała do spacerów. Typowe monotonne blokowisko. Miejska sypialnia bez atrakcji, na których można by zawiesić oko. Dziwny wytwór epoki gomułkowskiej. Dosłownie dwa kroki od centrum, a miało się wrażenie, że to odległe przedmieście. We wszechobecnym zalewie szarości kolorowa witryna kawiarni przyciągała wzrok niczym egzotyczny ptak w stadzie wróbli. Pucki odruchowo spojrzął na barwny szyld w stylu lat pięćdziesiątych, na wiszące w oknie kraciaste zasłony, na czarną tablicę z wypisanym kredą menu. Lokal musiał być całkiem nowy. W lecie jeszcze nie funkcjonował, tego Pucki był pewien. Zerknął do środka. Zauważył witrynę pełną ciastek. Poczuł ssanie w żołądku. Tak, kawałek sernika z dobrą herbatą z pewnością dobrze mu zrobi. Mieszkanie może obejrzeć za godzinę. Zdecydowanym krokiem wszedł do środka.

Wewnątrz było pusto, bo i kto o tej porze miałby siedzieć w kawiarni? Dzieci w szkole, dorośli w pracy, a emeryci liczący każdy grosz raczej nie rozbijają się po knajpach.

– Państwo tu chyba od niedawna? – zagadnął do młodej, wyraźnie nudzącej się za ladą, młodziutkiej brunetki o pulchnej twarzy.

– Od dwóch tygodni – odpowiedziała z uśmiechem.

Sernika nie było. Dziewczyna poleciła szarlotkę na ciepło i herbatę z przyprawami. Przystał na szarlotkę, jednak co do herbaty wykazał się stanowczością. Zamówił tradycyjną, angielską śniadaniową, bez dodatków. Żadnego mleka, cytryny ani nawet cukru.

– Proszę usiąść i poczekać przy stoliku. Zaraz przyniosę zamówienie – poprosiła dziewczyna.

Sala miała kształt dużej litery „L”. Wybrał miejsce w kącie, przy oknie. Wyrzwał na zewnątrz. Ulica świeciła pustkami. Z miejsca, gdzie siedział, widział dobrze wejście do kawiarni. Z braku ciekawszego obiektu do obserwacji przez kilka minut gapił się bezmyślnie na szklane drzwi i wywieszkę z godzinami otwarcia, po chwili przeniósł wzrok na stojące po bokach tuje w donicach, spojrzął ku górze i uśmiechnął się promiennie. Do każdego los się czasem uśmiecha. Do podstarzałego komisarza policji też.

– Proszę zadzwonić do właściciela, zapytać – jęknął zdesperowany Pucki. Mimo znaczących spojrzeń rzucanych przez barmankę nie wrócił do stolika. Stał, nerwowo postukując palcami o ladę. Dziewczyna ostentacyjnie odwróciła się plecami. Wystukała numer. Całą rozmowę prowadziła szeptem. Była to jawna demonstracja, bo stojący tuż obok komisarz i tak słyszał dokładnie każde słowo.

– Szef mówi, że się tym zajmie osobiście. Ja nie mam nic robić – rzuciła odsuwając na chwilę telefon od ucha.

– Proszę powiedzieć, że to pilne. Bardzo pilne.

– On mówi, że to pilne – powtórzyła szeptem do słuchawki. – Szef może być tu najwcześniej za półtorej godziny – przekazała głośno, aż za głośno.

– Nie szkodzi, poczekam.– Pucki był niczym krynica cierpliwości.

– Mówi, że poczeka – znowu szept.

– Szef mówi, żeby pan w takim razie poczekał – wrzasnęła tak, że nieszczęsny policjant aż drgnął

– Oczywiście, poczekam.

– Zgodził się. Poczeka– wymamrotała półgłosem.

Sytuacja stawała się coraz bardziej absurdalna. Zabawa w głuchy telefon czy co? Komisarz z trudem powstrzymywał śmiech. Obojętnym wzrokiem lustrował witrynę ze słodyczami.

– W takim razie poproszę cappuccino i ciasteczko owsiane – powiedział z czarującym uśmiechem. – Właściwie, to mogą być dwa ciasteczka – dorzucił. Był bardzo zadowolony z siebie. Czuł, że zasłużył na nagrodę.

\*

– Proszę się nie denerwować – powtarzał Pucki łagodnym, spokojnym głosem. Robił, co mógł, by uspokoić nerwowego, małego człowieczka. – Nie ma powodów do niepokoju.

– Sam już nie wiem. Wszystkie to Giodo, Rodo, ochrona danych osobowych. Człowiek niedługo będzie musiał po ulicy chodzić z zamkniętymi oczami, bo jeszcze kogoś zobaczy i zapamięta!

– Rozumiem, rozumiem. Jeszcze raz powtarzam, nie mam do pana pretensji. Zacznijmy od początku. Kamera wisząca nad drzwiami kawiarni skierowana jest na wejście do sąsiedniej klatki schodowej. Tak?

– Tak – przyznał człowieczek niechętnie. – Ale wszystko jest legalne! – dodał natychmiast. – To było tak. Wynajmuję lokal od wspólnoty. Jak się dowiedzieli, że zamierzam zamontować monitoring, wpadli na pomysł, żeby jedna kamera pilnowała bloku. O graficy im chodziło. Cały czas mażą po ścianach, istne skaranie boskie! Początkowo nie bardzo chciałem, bo to w dzisiejszych czasach nic nie wiadomo. Wszystkie to Giodo, Rodo, ochrona danych osobowych... Nawet chciałem im dać

namiary na firmę, co to mi monitoring założyła, ale oni furt swoje. Że nie mają środków. Że i mnie to na dobre wyjdzie, bo goście chętniej przyjdą, jak okolica dobrze wygląda. Że jak im koszty wzrosną przez to monitorowanie, to podniosą czynsze za lokale użytkowe, żeby sobie odbić. Jednym słowem, za bardzo nie miałem wyjścia.

Zamilkł na moment żeby nabrać tchu, ale nim komisarz zdążył cokolwiek powiedzieć, znowu podjął przerwany monolog.

– Zresztą wszystko jest legalnie! Wspólnota ma prawo monitorować własną nieruchomość. I tabliczkę wywiesili „Obiekt monitorowany”. Mogę pokazać!

Złapał Puckiego za rękę i pociągnął ku wyjściu.

– Wierzę, wierzę – energicznie zapewnił Pucki. – Naprawdę, nie kwestionuję legalności monitoringu. Chciałbym tylko uzyskać dostęp do nagrań z ostatniego weekendu.

Człowieczek znieruchomiał. Zmrużył oczy, przekręcił głowę na bok. Taksował Puckiego podejrzliwym wzrokiem. Nie ufał policji. Węszył podstęp.

– A to nie jest tak, że potrzebny jest nakaz prokuratora?

Komisarz westchnął. Naoglądają się ludziska amerykańskich kryminalistów, naczytają mądrości w internecie, nasłuchują plotek w kuchni i każdy ma się od razu za znawcę prawa. Jednak wdawanie się w dyskusję nie miało większego sensu. Pucki dawno już doszedł do wniosku, że woli mieć święty spokój niż mieć rację. Uśmiechnął się więc przyjaźnie i odparł:

– Oczywiście, ma pan prawo żądać nakazu, ale byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zgodził się pan dobrowolnie udostępnić nam nagrania.

– A nikt się nie przyczepi, że tak bez nakazu? Bo wie pan, wszystkie to GODO, RODO, ochrona danych osobowych... – Człowieczek nie był do końca przekonany.

– Zapewniam pana, że nie. To nie ma nic wspólnego z RODO i ochroną danych osobowych. Jest nawet paragraf nakazujący pomoc organom ścigania. – Pucki chwycił się ostatniej deski ratunku. – Artykuł piętnasty, paragraf trzeci Kodeksu Postępowania Karnego: „Osoby prawne lub jednostki organizacyjne niemające osobowości prawnej inne niż określone w paragrafie drugim, a także osoby fizyczne są obowiązane do udzielenia pomocy na wezwanie organów prowadzących postępowanie karne w zakresie i w terminie przez nie wyznaczonym, jeżeli bez tej pomocy przeprowadzenie czynności procesowej jest niemożliwe albo znacznie utrudnione” – wyrecytował płynnie. Nie raz już przekonał się, że cytowanie magicznych paragrafów, jeśli nawet nie do końca pasowały do sytuacji, potrafiło zdziałać cuda. Tym razem też zadziałało.

– No jak jest paragraf, to co ja mogę? – Człowieczek poddał się ostatecznie. – Tylko musimy na specja poczekać, bo ja się na tym nie znam. Chce pan poczekać, czy mam zadzwonić, jak będzie gotowe?

– Poczekał – odparł komisarz zdecydowanym głosem i wrócił do stolika dopić resztkę całkiem już zimnego cappuccino.

\*

Nim zjawił się wezwany przez właściciela spec, minęło kolejne półtorej godziny. Pucki wypił w tym czasie americano i zjadł jeszcze jeden kawałek szarlotki. Powoli zaczynało go mdlić od nadmiaru słodczy. Do tego pioruńsko się nudził. Za każdym razem, gdy do lokalu wchodził nowy gość, komisarz wiódł za nim wzrokiem z nadzieją, że to upragniony spec. Gdy w końcu fachowiec przybył, komisarz zmęczony kolejnymi falstartami nie zwrócił na niego uwagi. A właściwie na nią, bo informatyką okazała się pulchna, szpakowata pani, dobrze po pięćdziesiątce. Pogawędziła przyjaźnie z barmanką, ale zdecydowanie odmówiła przekazania jej płyty z nagraniem.

– Wiem, moja droga, że się znamy, ale procedura to procedura. Tylko panu Winnickiemu do rąk własnych.

Nie pomogła interwencja Puckiego, nie pomogło wymachiwanie legitymacją służbową, nie pomogło cytowanie paragrafów. Dama była niezłomna. Głucha na argumenty, uparcie powtarzała swoje. Komisarz nie miał innego wyjścia, jak tylko wrócić do stolika i czekać kolejne trzy kwadranse nad szklanką herbaty bez cukru.

Gdy wychodził z lokalu, ściskając w dłoni upragnioną płytę, było późne popołudnie. Powrót na komendę o tej porze byłby kompletnym absurdem. Jeszcze parę lat temu nie miałoby to większego znaczenia. Pucki pognałby do pracy i cały wieczór, a może i całą noc, ślęczałby, przeglądając nagranie. Teraz jednak uznał, że wraca do domu, a sprawy zawodowe mogą poczekać do jutra.

– Starzeję się – mruknął melancholijnie.

## ROZDZIAŁ 8

– Musi gdzieś tu być! Głowę bym dała, że jest! – burczała zirytowana Joanna, po raz kolejny przetrząsając lodówkę. Dla pewności zajrzała też do szafki. Bez skutku. Groszku nigdzie nie było, a sałatka jarzynowa bez groszku to jak *Gwiezdne wojny* bez Hana Solo – rzecz teoretycznie możliwa, ale w praktyce totalnie pozbawiona sensu. Przez chwilę wahała się: iść do sklepu czy wysłać esemesa do Mateusza, żeby po drodze kupić puszkę. Już miała sięgnąć po telefon, gdy przypomniała sobie, że jest środa – dzień treningu. Nie ma co liczyć, że syn zjawi się przed dziesiątą. Westchnęła i bez entuzjazmu ruszyła na zakupy.

Przez chwilę pokręciła się po osiedlowym samie. Wrzuciła do koszyka serek wiejski, jogurt brzoskwiniowy, a po chwili, skuszona promocją, dorzuciła jeszcze dwie paczki pierniczków i ruszyła w stronę kasy. Zatrzymała się w pół drogi.

– Gdzie ja mam głowę – zbeształa się w myśli. – A zielony groszek?

Na półce groszku nie znalazła. Była kukurydza, była fasola, była cieciora, ale groszku nie było.

– Przepraszam, czy jest groszek? – zwróciła się do ekspedientki pracownice przekładającej z miejsca na miejsce torebki z makaronem.

– Jest – burknęła zapytana.

– A gdzie go znajdę?

– Tam stoi! – Kobieta zamaszystym gestem omiotła mniej więcej pół sklepu.

Joanna zaczęła powoli tracić cierpliwość. Rozejrzała się uważnie i dopiero wtedy dostrzegła misterną, niemal metrowej wysokości, piramidę. Sięgnęła po najwyższą puszkę, ale czy to ręka jej zadrzała, czy to konstrukcja była niestabilna, czy może otarła się o nią przechodząca obok korpulentna dama. Tak czy siak, całość zatrzęsała się, zadrzała, a kilka opakowań spadło prosto na Joannę. Cofnęła się odruchowo, stąpając przy tym tak nieszczęśliwie, że na chwilę straciła równowagę, zachwiała się i o mały włos wylądowałaby na podłodze. Przed upadkiem uratował ją wysoki, szczupły mężczyzna w wytartych dżinsach i kraciastej, flanelowej koszuli *à la* kanadyjski drwal. Uśmiechnięta twarz wydawała się dziwnie znajoma. Joanna miała wielką ochotę zapytać, czy spotkali się już wcześniej, ale doszła do wniosku, że zabrzmiałoby to jak kiepski podryw z filmu dla nastolatków. Ostatecznie ograniczyła się do konwencjonalnych podziękowań.

Myśl o tajemniczym nieznanym dręczyła ją i podczas drogi powrotnej do domu, i podczas mieszania sałatki, i podczas sprząwania w kuchni. Czuła, że wspomnienie tkwi gdzieś na granicy świadomości, że trzeba je tylko stamtąd wydobyć. Odpowiedź przyszła, jak to zwykle bywa, niespodziewanie. Nagle, zupełnie samo z siebie, z głębin pamięci wypłynęło wspomnienie pogrzebu Heleny i młodzieńca w seledynowej szacie.

Chwyciła telefon. Trzęsącą się ręką wystukała numer Barbary.

– To był on! To na pewno był on. – Od razu przeszła do rzeczy.

– Kto? Opowiedz wszystko po kolei! Nic nie rozumiem!

Joanna zrobiła głęboki wdech, przełknęła ślinę i robiąc co w jej mocy, by opanować podniecenie, zrelacjonowała niedawne wydarzenia.

– I mówię ci, to był on! Ten gość z sekty! Śledzi mnie! Jestem pewna!

– Uspokój się, proszę, i pomyśl. – Barbara zbagatelizowała jej słowa. – Ile razy go widziałaś? Raz. Do tego na pogrzebie własnej siostry. Byłaś zdenerwowana, wytracona z równowagi. Nie sądzę, żebyś była w stanie dobrze go zapamiętać. To pewnie ktoś trochę podobny, i tyle.

Jeśli chciała w ten sposób uspokoić przyjaciółkę, to osiągnęła wręcz przeciwny efekt. Joanna z trudem powstrzymała cisnące się na usta słowa oburzenia. Dlaczego Barbara jej nie wierzy?! Dlaczego uważa, że wie lepiej?! Nie była tutaj, nie widziała, ale i tak wie lepiej!

– Przecież już wcześniej mówiłam ci, że mnie śledzi! – Nie dawała za wygraną. – Najwyższy czas zadzwonić na policję.

– Jak uważasz. – W głosie przyjaciółki było słycać kiepsko ukrywany sceptycyzm. – Ja bym na twoim miejscu nie dzwoniła. Tylko się wygłupisz.

\*

Niezrażona Joanna jeszcze tego samego dnia zadzwoniła do Puckiego. Niestety, przyjaciółka miała rację. Komisarz bardzo uprzejmie, lecz stanowczo, zakończył rozmowę, zapewniając, że oczywiście zajmie się tym bezzwłocznie. Jednak ton głosu pozostawał w jawnej sprzeczności z wypowiedzianymi słowami. Oboje – i leciwy policjant, i dzwoniąca do niego kobieta – wiedzieli, że nikt na komendzie nawet palcem nie kiwnie w tej sprawie. *Histeryczka* – pomyślał Pucki, odkładając komórkę na biurko. *Stary osioł* – pomyślała Joanna, chowając telefon do kieszeni.

\*

Okolica, w której mieszkała Marianna Pol, była prawdziwą kwintesencją przeciętności. Przeciętne blokowisko zamieszkane przez przeciętnych ludzi w przeciętnej dzielnicy, z przeciętnym osiedlowym sklepem, przeciętnym bazarkiem i przeciętnym skwerkiem pełnym przeciętnych spacerowiczów. Okolica nie była ani ładna, ani brzydka, ani atrakcyjna, ani specjalnie odpychająca. Była perfekcyjnie nijaka w swej przeciętności.

Barbara wystukała numer na domofonie. Nikt nie odpowiedział. Spróbowała jeszcze raz. Bez skutku. Wyjęła telefon, odpaliła apkę, sprawdziła adres. Zgadzał się. Marianny Pol nie było w domu. I tyle.

Stała niezdecydowana, niepewna co robić: poczekać z pół godziny i jeszcze raz spróbować czy wrócić innego dnia.

- Czego szuka? – Z zamyślenia wyrwał ją skrzekliwy, lekko przepity głos.
- Słucham? – drgnęła zaskoczona.
- Pytam, czego tu szuka? – powtórzyła gruba, niechlujnie wyglądająca kobieta. Przymrużone, małe, świńskie oczka uporczywie świdrowały Barbarę.
- No tak. Ja do znajomej. Mam wrażenie, że jej nie zastałam.
- Jakiej znajomej? – indagowało babsko.
- Już miała się odciąć, rzucić jakąś ciętą ripostę, bo co babsztyla obchodzi, kto i do kogo przyszedł, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.
- Do Marianny spod siódemki – rzuciła w nadziei, że czegoś się od wścibskiej nieznajomej dowie. Nie pomyliła się.
- Niby znajoma, a nie wie, że Mańka już tu nie mieszka! – W głosie rozmówczyni cały czas brzmiało powątpiewanie.
- A bo myśmy się dawno nie widziały. Zaraz po szkole wyjechałam do Warszawy. Teraz jestem przejazdem, chciałam odwiedzić dawną koleżankę – łągała jak najęta. Nawet nieźle jej szło.
- No to nie odwiedzisz – burknęła z mściwą satysfakcją kobieta. Należała do gatunku ludzi, których nic tak nie cieszy jak cudze niepowodzenia, chociażby drobne. – Wyprowadziła się. Jakoś tak na wiosnę. Dziwne to było. Zabrała niedużo rzeczy. Wszystko się w taką małą nyskę zmieściło. Byle jak popakowane: coś tam powrzuć w torby i worki, książki powiązane sznurkiem, nawet do pudeł nie włożyła. Jakby się w pośpiechu zbierała. Za to meble zostawiła. Od tego czasu mieszkanie stoi puste. Ani nie sprzedała, ani nikomu nie wynajęła. Dziwne.
- Nie powiedziała przypadkiem, dokąd wyjeżdża?
- Niby dlaczego miała powiedzieć? Zresztą mówiłam, wszystko to jakoś w pośpiechu było, na łapu-capu. Nawet się z sąsiadami nie pożegnała. Tyle lat razem, od maleńkiego ją znałam. A kiedyś, moja droga, sąsiad to był jak rodzina. Matka, ojciec w pracy, dzieciaki z kluczem na szyi po podwórku latały, to kto akurat w domu był, ten dzieciarnię miał na oku. Pamiętam, jak kiedyś Marianka spadła z trzepaka. Pięć lat wtedy miała, może sześć, nie więcej. Wrzasku na pół osiedla narobiła. Zabrałam ją do mieszkania, obmyłam, bo cała we krwi była. Mój stary, Panie świeć nad jego duszą, zawiózł ją do przychodni. I co z tego mam? Nawet mi „do widzenia” nie powiedziała. Wsiadła do tej nyski, pojechała, i tyle ją widzieli. Nie ma wdzięczności na tym świecie, oj, nie ma.

\*

Ślad się urwał. Lekko zniechęcona Barbara poczłapała bez celu przed siebie. Musiała obmyślić kolejny krok. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. O Mariannie Pol nie widziała prawie nic. Kiedyś było łatwiej. Jak przez mgłę pamiętała grube, papierowe książki telefoniczne, Biuro Informacji Adresowej. To były nieocenione źródła informacji. A



teraz! Nawet listy lokatorów zlikwidowano. Zresztą nawet gdyby nie zlikwidowano, to i tak pożytek z nich byłby marny, bo po pierwsze, trudno latać po całym mieście i sprawdzać wszystkie bloki klatka po klatce, a po drugie, większość i tak była zamknięta – bez klucza albo kodu do domofonu nikt do środka nie wejdzie. Nie mówiąc już o tym, że Marianna mogła przenieść się domku jednorodzinnego, gdzie jak świat światem żadnych list lokatorów nie było. Mogła wyjechać do innego miasta albo i zagranicę. Mogła wyjść za mąż i zmienić nazwisko.

Kto inny w tej sytuacji dałby za wygraną. Kto inny tak, ale nie Barbara. Jej mózg pracował teraz na najwyższych obrotach. Najchętniej weszłaby gdzieś na kawę, posiedziała przy stoliku i zebrała myśli. Niestety, jeśli chodzi o lokale, okolica okazała się całkowitą pustynią. W zasięgu wzroku nie było nawet budki z kebabem.

*Nic teraz nie wykombinuję. Wrócę do domu, zjem coś i pomyślę* – postanowiła. Nie zwlekając dłużej, ruszyła na przystanek. I wtedy pojawiło się, a właściwie przyjechało rozwiązanie.

Autobus linii pięć, popularnie zwany „studencką limuzyną”, bo jeździli nim głównie studenci. Widok „piątki”, której trasa biegła obok uczelni, skierowała myśli dziewczyny na nowy tor. Opiekun pracy! – pomyślała w chwili olśnienia. Przecież tak naprawdę interesuje mnie nie Marianna, tylko jej praca. Kto jak kto, ale on będzie wiedział, dlaczego wybrała taki akurat temat. Może nawet sam go zasugerował z jakiegoś powodu? Marianna Pol obroniła pracę kilka lat temu. To szmat czasu, ale może jednak będzie pamiętał?

Uradowana wskoczyła do autobusu. O tym, jak wydobyć informacje od zupełnie obcego człowieka, wołała nie myśleć.

– Coś wykombinuję. Będę improwizować – mruknęła, sadowiac się wygodnie przy oknie. Dopiero w połowie drogi uświadomiła sobie, że nie pamięta nazwiska promotora. Coś jej się mgliście kołatało po głowie. Marchwicki? Małczyński? Miarczyński? – Szlag! – zakląła na głos, przyciągając karcące spojrzenia nielicznych współpasażerów, głównie emerytów. – Szlag! Szlag! Szlag! – powtórzyła ostentacyjnie. Niech stare pryki nie myślą, że się przejęła!

\*

Nie ma to jak zapach świeżej kawy o poranku. Pucki nachylił się nad kubkiem pełnym gorącej „zalewajki”. Wciągnął głęboko w płuca ulubiony aromat. Kawa była taka, jak lubił: duża porcja niezbyt drobno zmielonych ziaren zalana wrzątkiem. Do tego dwie czubate łyżeczki cukru. Nienawidził rozpuszczalnej: cuchnęła chemią, pozostawiała w ustach paskudny, metaliczny posmak, a do tego miała kolor popłuczyn. Kawa z ekspresu to inna sprawa. Lubiał po południu wypić sobie filiżankę dobrego espresso albo i dwie, ale śniadanie rządziło się własnymi prawami. Gęsta, słodka zalewajka nie tylko dawała cudownego kopa zastrzykiem kofeiny, ale do tego skutecznie zamulała żołądek na kilka

godzin. Takie było zdanie komisarza i tego zamierzał się trzymać, ignorując pełne pogardy spojrzenia kolegów i koleżanek raczących się przynoszonymi co rano w tekturowych kubkach wynalazkami. Dno, jak zwykle, ukazało się za wcześnie. Koniec objania, czas zakasać rękawy.

Nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Z akt wynikało, że do włamania musiało dojść między czwartkowym popołudniem, a sobotnim rankiem. Dzięki Bogu, że siostra denatki w środku tygodnia wpadła na chwilę po coś do mieszkania. Tak przynajmniej wynikało z zeznań. Dobre i to, ale i tak dawało to kilkadziesiąt godzin materiału do przejrzenia. Upiorna robota. Nawet na przyspieszonym podglądzie potrwa to ruski miesiąc. Pucki nie miał złudzeń – bez pomocy się nie obejdzie.

– Kozielczuk, Grońska, chodźcie tutaj! – wrzasnął w kierunku dwójki aspirantów.

Młodzi, wyraźnie znudzeni papierkową robotą, z radością powitali odmianę. Skwapliwie podeszli do biurka przełożonego.

– Macie tu nagrania z monitoringu do przejrzenia. Podzielcie się jakoś i do roboty!

– A czego właściwie mamy szukać?

– Nie wychodź przed orkiestrę, Grońska! Zaraz wszystko wyjaśnię – zganił komisarz.

– Sęk w tym, że sam nie do końca wiem. To wejście do bloku, gdzie dokonano włamania. Trzeba sprawdzić, kto poza mieszkańcami próbował dostać się do środka. Zapiszcie dokładny czas i wygląd osoby.

– Poza mieszkańcami? A skąd mamy wiedzieć, kto jest mieszkańcem? – Kozielczuk nie potrafił ukryć wątpliwości.

– Odrzućcie wszystkich, którzy mieli klucze do klatki lub znali kod. Teoretycznie włamywacz mógł kod podpatrzeć, ale jakieś kryterium musimy przyjąć. Pomijamy też dzieciaki. To mi nie wygląda na robotę znudzonych nastolatków. Jakies pytania?

– A jeśli ktoś dzwonił i któryś z mieszkańców mu otworzył? – zapytała niepewnie dziewczyna.

Pucki zamyślił się.

– Takich też spisywać. Ludzie bywają lekkomyślni. Obcy mógł się dostać pod byle pozorem: powiedział, że roznosi ulotki, jest z gazowni albo jakiś inny kit im wcisnął.

– Może być tego sporo... – mruknęła sceptycznie.

– To już nie wasze zmartwienie. Do roboty!

\*

Niepomny na ostrzeżenia dietetyków zafundował sobie kolejną kawę. Pociągnął łyk. Poczul miłe ciepło promieniujące z żołądka na cały organizm. Usadowił się wygodnie, wyciągnął telefon i wystukał numer starego kumpla. Paweł Roberczyk nie zrobił zawrotnej kariery w policji. Właściwie nie zrobił żadnej kariery, niespecjalnie jednak nad tym rozpaczał. Od lat był dzielnicowym, lubił swój mały posterunek i zamierzał dotrwać

tam do emerytury. Nie każdy chce od razu zbawiać świat. Ktoś musi się zająć drobnymi pijaczkami, rowerami ukradzionymi z piwnicy i domowymi awanturami.

– Cześć chłopie, kopę lat! – zagał Pucki. – Co tam u ciebie?

– Wszelki duch Pana Boga chwali! Co się urodziło?

– A musiało się urodzić? Nie można tak po prostu, towarzysko zadzwonić, pogadać?

– Bujać to my, ale nie nas – roześmiał się rubasznie Roberczyk. – Wal śmiało, o co chodzi.

– W rzeczy samej, jest sprawa. Trzeba ludzi w bloku na Miłobędzkiej popytać. W tym, co to niedawno morderstwo było, a potem włamanie, pamiętasz?

– Jasne, że pamiętam. Stary jestem, brzuch mi urósł, ale aż takiej sklerozy nie mam. Przekłęte mieszkanie. Tak mi statystyki popsuć! U nas od lat nic poważniejszego niż pijacka awantura się nie wydarzyło. Kiedyś małolaty od czasu do czasu na kiosk „Ruchu” napadły, ale kioski pozamykali, poprzenosili do centrów handlowych i galerii, smarkateria nie ma na co napadać. Wzorowy rejon. Praktycznie zero przestępczości. Aż tu, masz babo placek! Najpierw morderstwo, potem włamanie na dokładkę – sapnął ze złością. – Ale, ale, gadam i gadam jak stara baba. Do słowa ci nie dałem dojść. Już milczę.

– Podeślę tam do was jednego młodzika ode mnie.– Pucki przejął pałeczkę, korzystając z krótkiej przerwy w potoku słów kolegi.– Z tym, że wiesz, jak jest. Gość całkiem zielony jak szczypioerek na wiosnę. Taki prosto po szkole. Teorią ma głowę zabitą, za to praktyki zero. A do ludzi trzeba umiejętnie, z podejściem odpowiednim. Zresztą, komu ja tłumaczę, sam wiesz najlepiej.

– Co chcesz wiedzieć?

– Trzeba obejść mieszkańców klatki i wypytać, kto ich ostatnio odwiedzał. Interesują mnie wszystkie wizyty od czwartku do soboty rano: kto, po co, o której przyszedł, o której wyszedł.

– Możesz powiedzieć, po co ci to? Łatwiej wypytywać, gdy się wie, o co chodzi.

– To żadna tajemnica. Mam nagranie z monitoringu, ale nie wiem, czego szukać. Chcę wyeliminować legalnych gości. Wiem, że to kiepski pomysł, tyle tylko, że lepszego nie mam.

– Nie ma sprawy. Zrobi się. Dam twojemu szczawikowi ze dwóch chłopaków do pomocy.

– Aha, i jeszcze jedno. Niech też podpytają, czy nie było jakiś głuchych dzwonek domofonem albo takich niby to pomyłkowych. Jeśli były, to o której. Może uda się ustalić, kiedy włamywacze próbowali przeniknąć do środka.

– Rozumiem, rozumiem. O nic się nie martw. Przysyłaj tego swojego młodego.

\*

Młody, czyli młodszy aspirant Gajowczyk, wyprężony niczym struna słuchał w skupieniu wskazówek komisarza.

– Mieszkań na klatce jest sporo, a sprawa pilna. Dostaniesz do pomocy ludzi od dzielnicowego. Już to załatwiłem.

Twarz Gajowczyka promieniała dumą. Dostanie ludzi do pomocy. Będzie kierował grupą! Pucki zdusił cisnący się na usta uśmiech. Ech, ci młodzi, jak łatwo ich przejrzeć – pomyślał, a na głos powiedział:

– Do dzieła! Nie ma na co czekać, czas goni!

## ROZDZIAŁ 9

Kolejna wizyta na uczelni nie bardzo się Barbarze uśmiechała. Raz, że to kawał drogi, dwa, że nie była pewna, czy ktokolwiek będzie chciał z nią rozmawiać, a trzy – cała ta historia mogła być ślepym zaułkiem. Rzuciła nieszczęsną pracę Marianny Pol do kąta.

Włączyła komputer, zajrzała do skrzynki pocztowej, ale nie znalazła tam nic oprócz spamu. Na gotowe zamówienia nie liczyła – aż taka naiwna nie była, ale miała nadzieję chociaż na jedno czy dwa zapytania ofertowe. Z westchnieniem zabrała się za przeczesywanie sieci w poszukiwaniu potencjalnych zleceń. Po trzech kwadransach poddała się. Musiała stawić czoła prawdzie. To Helena zawsze pozyskiwała klientów. Od jej śmierci nie trafił się ani jeden nowy projekt, nawet najmarniejszy. Stare powolutku dobiegły końca. Jeszcze trochę i studzienka wyschnie. Z głodu ani zimna nie umrze, matka nakarmi i da dach nad głową, ale własnych parę groszy mimo wszystko by się przydało.

Co poszło nie tak? – pomyślała. – Miało być tak pięknie: najpierw studia, potem dobra praca i dorosłe, samodzielne życie. Studia owszem, skończyła, ale reszta zupełnie nie wyszła. Zamiast stabilnej posady – przypadkowe chałtury, zamiast niezależności – kolejne lata na garnuszku u rodziców, a do tego zero perspektyw. Jeśli szybko czegoś nie zrobi, utknie tu na zawsze, w klitkowatym pokoiku ze zrzędzącą nad głową matką.

– Jojczenie i narzekanie niczego nie zmieni! – skarciła się w myślach. – Bierz się, Baśka, do roboty, kiedyś w końcu się uda! Może to i dobrze, że straciłam opiekunkę. W końcu muszę stanąć na nogi, sama zacząć budować bazę klientów, sama zdobywać zlecenia. Jeśli uda się coś wycisnąć z tajemniczej pracy magisterskiej, to będzie to dobry początek. Czuję w kościach, że zbliża się zmiana.

Nie ociągała się dłużej. Uznała, że tym razem nie może iść na żywioł. Zanim wyszła z domu, dokładnie przemyślała każdy krok.

Pod uczelnię dotarła na dziesięć minut przed zamknięciem. Stała w pewnej odległości od budynku – na tyle daleko, by nie rzucać się w oczy, i na tyle blisko, by dobrze widzieć wyjście. Cierpliwie obserwowała. Gdy dostrzegła wychodzącą dziewczynę, tę samą, która podała jej adres Marianny, spacerkiem ruszyła w jej stronę. Bardzo chciała, by spotkanie wyglądało na przypadkowe.

– O, dzień dobry! A to niespodzianka! – zawołała ze sztucznym entuzjazmem.

– Dzień dobry! – odpowiedziała kobieta niepewnym głosem, jakby nie do końca pewna, z kim ma do czynienia.

– Szukałam Marianny Pol, pamięta pani?

– Oczywiście, teraz sobie przypominam. I co, udało się? Znalazła ją pani?

– Niestety nie. Wyprowadziła się. Nie wiadomo dokąd.

Przez chwilę szły w milczeniu.

– Tak sobie myślę, że może promotor Marianny, ten... jak mu tam... Doktor Marchwiński byłby zainteresowany dodatkowym zleceniem – rzuciła niby od niechcienia, udając, że dopiero co wpadła na pomysł.– Ci naukowcy każdą chałturę wezmą. Pazerni tacy. Nigdy im nie dość kasy!

– Może by i wziął, jakby był w Polsce, ale wyjechał.

– Wyjechał? Dokąd? Na długo?

– Jakoś w lipcu, dokładnie nie pamiętam. Do Stanów. Wziął roczny urlop, ale ludzie mówią, że już tam zostanie. No chyba że mu się nie powiedzie. Pewnie dlatego nie zwolnił się całkiem, żeby w razie czego mieć gdzie wrócić.

– Taki wybitny był?

– Jaki tam wybitny. Szczwany i obrotniejszy niż inni. Umiał zadbać o swoje sprawy.

– Jednak zaprosili go do Stanów.

– Fakt, czymś ich zainteresował. Ze trzy lata się wokół tego wyjazdu kręcił. Zaraz po habilitacji zaczął. Podobno jego praca zrobiła duże wrażenie, ale na tym to ja się nie znam.

– Tutaj skręcam.– Barbara wykonała ręką gest w bliżej nieokreślonym kierunku. Pożegnała się i pośpiesznie zniknęła w bocznej uliczce. Po kilku krokach przystanąła. Nie miała tu nic do roboty, po prostu chciała jak najszybciej zakończyć rozmowę. Była zła. Kolejny trop okazał się niewypałem. Kolejne zmarnowane popołudnie. Swoją drogą ciekawe, co takiego odkrywczego napisał Marchwiński, że go Amerykanie zaprosili. Wyjęła z torebki komórkę. Na pasku wyszukiwarki wpisała „Wyższa Wojewódzka Szkoła Nauk Humanistycznych, Technicznych i Informatycznych”. Dwa pierwsze linki prowadziły do newsów w lokalnej gazecie, trzeci – na stronę główną uczelni. Kliknęła. Przejrzała menu. Nic ciekawego. Spróbowała inaczej. „Biblioteka Główna Wyższa Wojewódzka Szkoła Nauk Humanistycznych, Technicznych i Informatycznych”. Lepiej. W polu „Szukaj” wpisała nazwisko „Marchwiński”. Imponująca lista publikacji składała się z szeregu zawiłych i w większości niezrozumiałych tytułów. Nawet jeśli któryś z artykułów mógł być punktem wyjścia do intratnej chałtury, Barbara i tak nie dałaby rady pociągnąć tematu. Odruchowo przewinęła ekran. Już miała zamknąć okno przeglądarki, gdy kątem oka dojrzała tytuł *Automatyczna synchronizacja prądnic z zastosowaniem metod numerycznych*.

– Czyżby? – szepnęła z niedowierzaniem, wbijając oczy w ekran komórki.

Wyszukała godziny otwarcia biblioteki. Do zamknięcia pozostały co najmniej trzy godziny. Nie tracąc więcej czasu, dziarskim krokiem ruszyła z powrotem w kierunku przystanku autobusowego.

Nawet najbardziej racjonalne osoby miewają przeczucia. Dobre albo złe. To było wyjątkowo paskudne. Im bardziej Joanna wmawiała sobie, że to wszystko bzdury, tym bardziej czuła nieprzyjemny ciężar w żołądku. Przez cały dzień nie potrafiła na niczym skupić myśli. Podczas rozmowy w redakcji była tak roztargniona, że zaniepokoiło to nawet naczelnego, który nie słynął z nadmiernej empatii.

Po kolegium od razu ruszyła do domu. Chciała wziąć gorącą kąpiel, a potem usiąść z filiżanką dobrej herbaty i obejrzeć jakiś głupi, babski film. Najlepiej komedię romantyczną z Hugh Grantem albo Richardem Gere. Coś, co pozwoli się oderwać od rzeczywistości i totalnie odmóżdżyć. Żadnych ambitnych produkcji.

Spojrzała w górę. Niebo, jeszcze kilka godzin temu słoneczne i czyste, teraz pokrywała warstwa szarych, deszczowych chmur. Do tego ten zimny, porywisty wiatr! Nie było cienia wątpliwości – lada chwila lunie jak z cebra. Pogodny poranek zwiódł Joannę. Na letnią sukienkę bez rękawów narzuciła tylko cienki, bawełniany kardigan. Zrezygnowała z płaszcza czy kurtki, nie przyszło jej nawet do głowy, żeby wziąć parasol. Jeśli zaraz nie dotrze do domu, przemoknie do suchej nitki. Zrezygnowała z zakupów, choć wiedziała, że lodówka świeci pustkami. Zadzwoi do Mateusza, niech kupi coś po drodze. Przyspieszyła kroku. Kto wie, może gdyby nie zmieniła planów, wszystko potoczyłby się inaczej?

Po pięciu minutach energicznego marszu dotarła na miejsce. Zajęta grzebaniem w torebce w poszukiwaniu kluczy nie od razu go zauważyła. Dopiero, gdy weszła do ogródka, podniosła wzrok, spojrzała na drzwi i zobaczyła, jak pochyła się, grzebiąc w zamku. Nie była głupia. Wiedziała, że w bezpośrednim starciu z młodym, wysportowanym mężczyzną byłaby bez szans. Zrobiła krok w tył, potem drugi i trzeci. Stała cicho, najciszej jak potrafiła. Lewą ręką wymacała w kieszeni komórkę. Sfotografuje drania, a zdjęcia przekaże policji. Nie wykręci się łajdak jeden! I wtedy nieszczęsne klucze wypadły jej z dłoni. Z brzękiem upadały na wyłożoną kostką ścieżkę. Mężczyzna podskoczył jak oparzony, wyprostował się, spojrzał prosto w oczy Joanny. Na chwilę znieruchomieli. Poznała go. Człowieka, który ją śledził. Tego samego, którego spotkała w sklepie, który co i rusz przemykał ukradkiem gdzieś w pobliżu. Człowieka, w którego istnienie nikt, poza nią, nie wierzył. Tego było już nadto. Zamiast uciekać co sił w nogach, uniosła telefon i pstryknęła zdjęcie. Potem drugie i trzecie. Będzie miała dowód! Muszą jej uwierzyć! Muszą!

Nieznajomy oprzytomniał. Niczym tygrys skoczył w stronę Joanny. W mgnieniu oka znalazł się tuż przy niej, złapał za nadgarstek, wykręcił tak, że aż krzyknęła z bólu. Drugą, wolną ręką, zaczął rozginać palce, którymi wciąż nerwowo ścisnęła telefon.

– Oddawaj! – warknął przez zaciśnięte zęby.

Posłusznie rozluźniła chwyt. W końcu żaden telefon, nawet najdroższy, nie był wart tego, by narażać życie. Jeśli włamywacz dostanie to, co chce, może odejdzie i da jej spokój. Rzeczywiście, gdy tylko zdobył upragniony przedmiot, puścił wyrwijącą się

ofiare. Siłą bezwładności Joanna poleciała w bok. Nadepnęła na coś okrągłego, zachwiała się, straciła równowagę i z impetem poleciała w dół. Poczuli tępe uderzenie w tył głowy.

*Tyle razy powtarzałam Mateuszowi, żeby po podlewaniu chował ten cholerny wąż! – Zdążyła pomyśleć, zanim ogarnęła ją ciemność.*

\*

– Nie tak sobie wyobrażałam pracę w policji – jęknęła młodsza aspirantka Grońska.

– Fakt, to była robota na tydzień dla miliona Chińczyków, a my musieliśmy uwinąć się w dobę – zawtórował jej zmaltretowany aspirant Kozielczuk. – Chodźmy do starego i miejmy to z głowy. Marzę o prysznicu i drzemce.

Na drzemkę przyszło im poczekać. Odprawa przeciągnęła się do późnego popołudnia, a to głównie za sprawą Grońskiej. Dziewczyna bardzo wzięła sobie do serca powierzone zadanie i każdy wybrany fragment omawiała wnikliwie, uzasadniając w najdrobniejszych szczegółach, dlaczego ten czy ów fragment nagrania uznała za ważny.

– Podejrzany numer jeden. Mężczyzna lat około dwudziestu. Podejmował kilka prób wejścia do środka. W ciągu godziny kilkakrotnie dzwonił domofonem w odstępach około dziesięciu minut. Na nagraniu widać, że z kimś rozmawia, ale nie wchodzi do środka. Tak, jakby ten ktoś z drugiej strony nie chciał go wpuścić. Bez wątplenia bardzo mu zależało, bo próby ponawiał kilkakrotnie. Ostatecznie dopiął swego. W budynku przebywał około godziny.

– Jak dla mnie, to jakiś fagas, co się z dziewczyną pokłócił. Może czymś podpadł? Laska chciała go przeczłgać i pokazać, kto tu rządzi – mruknął Kozielczuk.

Pucki w głębi duszy podzielał jego zdanie. Nie dał jednak nic po sobie poznać. Zapisał godziny wizyt młodzieńca.

– Porównamy z ustaleniami Gajowczyka – skwitował. – Proszę dalej.

Kolejny wytypowany przez Grońską podejrzany był mężczyzną w średnim wieku, eleganckim, choć – jak na gust komisarza – nieco zbyt pulchnym. Przy drzwiach ustawił się tak, jakby specjalnie chciał ułatwić nagrywanie. Na monitoringu wyraźnie widać było, że wybierał jedno po drugim kolejne numery mieszkań. Dopiero szósta próba została zwieńczona sukcesem. Według ustaleń aspirantki wewnątrz przebywał równiutko pół godziny.

– Wygląda mi na akwizytora – podsumował Pucki. – Tego gościa łatwo będzie zweryfikować. Znamy numer mieszkania, wiadomo, kogo pytać.

– Kobieta lat trzydzieści, trzydzieści pięć – kontynuowała prezentację młodsza aspirantka. – Na nagraniu dobrze widać, że pierwszy lokator, do którego zadzwoniła nie wpuścił jej. Weszła dopiero za drugim razem.

– Obstawiam, że to jakaś roztrzepana osoba, która wybrała zły numer. – Komisarz był nader sceptyczny. – Oczywiście, zweryfikujemy – dorzucił.



Tak samo podsumował kolejnych podejrzanych, parę w średnim wieku.

– Facet zagadał się z żoną i źle wstukał numer – podsumował. Grońska, acz niechętnie, przyznała mu rację.

Znacznie bardziej obiecujące było piąte nagranie. Absurdalnie wręcz umięśniony dresiarz nie zadał sobie trudu skorzystania z domofonu. Cierpliwie czekał przy wejściu około kwadransa. Udając dżentelmena, przytrzymał drzwi staruszce ciągnącej za sobą charakterystyczny, emerycki wózek na zakupy, po czym, korzystając z okazji, wszedł do środka jakby nigdy nic.

– Wszedł dopiero późnym wieczorem. Miał kilka godzin na przeszukanie mieszkania.

– Nie powiedziałaś, że wychodząc, był kompletnie pijany. Ledwie mógł na nogach ustać – rzucił Kozielczuk.

– I co z tego? – zachnęła się.

– Ja to widzę tak. To jakiś pijaczek. Chciał się napić z kumplem, ale wiedział, że jeśli trafi na jego starą, to baba go nie wpuści. Jak już stanął pod drzwiami, było łatwiej. Kobieta nie chciała awantury. Może jej było przed sąsiadami wstyd? Może to nie pierwszy raz? Nie ważne. Ważne, że popili i tyle. To nie nasz gość.

– Słuszna uwaga – pochwalił Pucki. – W obrabowanym mieszkaniu nic nie wskazywało na to, by włamywacz lub włamywacze urządził sobie libację. Skreślamy.

– Kolejne nagranie. – W głosie Grońskiej pobrzmiwała irytacja. Do roboty nikt wrywny nie jest, ale do krytykowania to każdy chętny – mówiły iskierki w oczach kobiety.

– Zatrzymaj! – krzyknął komisarz, nim aspirantka zdążyła skomentować prezentowaną scenę. – Już gdzieś faceta widziałem!

Skulona, przygarbiona sylwetka wyglądała dziwnie znajomo. Im dłużej Pucki gapił się w ekran, tym większej nabierał pewności, że gdzieś już widział tego mężczyznę. Próbował sobie przypomnieć gdzie i kiedy. Informacja tkwiła tuż, tuż pod powierzchnią świadomości, niczym zapomniane słowo, które mamy na końcu języka, i którego za nic na świecie nie możemy sobie przypomnieć.

– Puść dalej. Może potem coś mi przyjdzie do głowy – skapitulował.

Tym razem oglądali film w milczeniu. To, co widzieli na ekranie nie wymagało dodatkowego komentarza. Obcy pojawił się o zmroku. Dość długo krążył nerwowo w pobliżu drzwi. Miał pecha. Godzina powrotów z pracy minęła. Upłynęło ponad pół godziny, nim nadarzyła się szansa. Drzwi otwały się, wybiegł z nich średniej wielkości, niezwykle kosmaty kundel. Tuż za nim podążał zblazowany nastolatek ze słuchawkami na uszach. Całkowicie zatopiony w świecie muzyki, podrygiwał rytmicznie do taktu, nie zwracając specjalnej uwagi ani na psa, ani na nieznanego. Obcy pośpiesznie złapał za klamkę i szybkim krokiem, niemalże biegiem, wpadł do środka.

– Musiało mu bardzo zależeć. Tyle czasu sterczał na zewnątrz – skonstatował Kozielczuk.

– Jak długo przebywał w środku? – zapytał Pucki.

Grońska zerknęła do notatek.

– Niecałe dwie godziny – odparła.

– Wyniósł coś?

– Trudne pytanie. Z pewnością nie miał przy sobie nic dużego, ale czy nie upchnął czegoś w kieszeni albo pod ubraniem, ciężko stwierdzić. Widzieliście, że miał na sobie luźną kurtkę. Bez trudu mógł coś schować. Tylko po co miałby ukrywać, jeśli nie wiedział, że jest nagrywany? Jakby wiedział, to by ukrył twarz. Chociaż z drugiej strony, mógł po prostu zabrać coś małego. Kurtkę ma tak powyciąganą, że nie zdefasonowałby jej nawet worek kartofli – dywagowała aspirantka.

– Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że już gdzieś tego gościa widziałem! – ni z tego, ni z owego wtrącił komisarz. – Tak, wiem, że już to mówiłem, ale strasznie mnie to dręczy – dodał, widząc pytające spojrzenia kolegów. – Niech technicy znajdą jakiś w miarę czytelny kadr, zrobią powiększenie i wyostrzą go. Przepytajcie siostrę i znajomych denatki, może wiedzą, kto to jest.

– Robota na wczoraj? – spytała Grońska.

– Na wczoraj, a jakże – przytaknął Pucki.

\*

– Czasopism nie wypożyczamy. Zasoby czytelnicy udostępniamy wyłącznie na miejscu. Bibliotekarka była nieugięta.

– A ksero? – nieśmiało indagowała Barbara.

W odpowiedzi usłyszała najpierw gniewne fuknięcie, po którym nastąpił cały wykład na temat praw autorskich.

– Na miejscu, to na miejscu – jęknęła zrezygnowana, podając kobiecie wypełniony rewers.

– Proszę poczekać. To chwilę potrwa. Zamówione pozycje wydajemy wyłącznie o pełnych godzinach.

– Ale jest pięć po. Do pełnej godziny zostało pięćdziesiąt pięć minut!

Bibliotekarka spojrzała ostentacyjnie na duży, okrągły zegar, wiszący centralnie nad popiersiem patrona uczelni.

– Nawet pięćdziesiąt sześć – sprostowała zjadliwie.

– Trudno, poczekam. Wypiję coś ciepłego. Widziałam przy wejściu kawiarnię, To mi nawet dobrze zrobi.

Kawa była paskudna. Słaba, do tego lekko kwaskowata. Zamiast śmietanki jakiś zabielać w proszku. Za to cena z kosmosu. Osiem złotych za wstrętą lurę w

plastikowym kubku. Minuty ciągnęły się niemiłosiernie. Pewnie by sobie odpuściła, ale postawa bibliotekarki wydobyła z Barbary głęboko skrywane pokłady przekory i upor.

– Nie dam babie satysfakcji – burknęła, dopijając ostatni łyk kawy.

\*

Nawet najdłuższe oczekiwanie kiedyś dobiega końca. Cóż dopiero mówić o jednej godzinie, nawet jeśli godzina ta zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

Dzierżąc w dłoni upragniony numer „Współczesnej elektrotechniki”, rozejrzała się dookoła. Czytelnia była niemal pusta. Miejsc do wyboru, do koloru. Irracjonalny atawizm nakazujący przodkom kryć się w zakamarkach jaskiń pchnął Barbarę w najdalszy kąt. Usadowiła się wygodnie przy przestronnym biurku. Błat oświetlała staroświecka, niska lampa stołowa na mosiężnej nóżce zwieńczonej kloszem z zielonego szkła. Wokół panowała pełna skupienia cisza przerywana tylko cichym szelestem kartek i stukaniem klawiatur laptopów.

Lekko podekscytowana otworzyła czasopismo. Przesunęła palcem po spisie treści. Jest! Strona czterdziesta ósma! Doktor Jan Marchwiński *Automatyczna synchronizacja prądnic z zastosowaniem metod numerycznych*. Poczwała nowy przypyływ energii. Lekko już ostygły entuzjazm ponownie przybrał na sile. Zaczęła czytać.

Tekst był trudny. Bardzo trudny. Przynajmniej dla kogoś kto, jak Barbara, nie miał pojęcia o omawianym zagadnieniu. Naszpikowany fachowym słownictwem, specjalistycznymi zwrotami i piętrowymi wzorami, w których wykorzystano chyba cały grecki alfabet, nie wyglądał atrakcyjnie. Było w nim jednak coś znajomego. Pierwotne, mgliste podejrzenie powoli zamieniało się w pewność. Potrzebne było tylko ostateczne potwierdzenie.

– Czy może mi pani odłożyć to do jutra? Chciałabym jeszcze popracować z jednym artykułem – zapytała, oddając czasopismo.

– Nie ma takiej możliwości. Proszę wypełnić nowy rewers. – Kobieta wyraźnie nie należała do osób życzliwych. – Otwieramy o dziewiątej, ale rano jest spory ruch – dodała z nieukrywaną satysfakcją.

– Nie szkodzi. Najwyżej poczekam w kawiarni. Mają tam wyśmienitą kawę – rzuciła Barbara ma odchodne, zadowolona, że to do niej należy ostatnie słowo.

## ROZDZIAŁ 10

Duża, zimna kropla upadła na policzek. Druga uderzyła w czoło. W jej ślady poszły trzecia, czwarta, piąta. Kolejne drobinki wody rozpryskiwały się na twarzy nieprzytomnej kobiety. Joanna leżała nieruchomo, ani drgnęła. Zareagowała dopiero wtedy, gdy deszcz porządnie przybrał na sile, zmieniając się w nieprzerwany strumień wody. Z trudem otworzyła oczy. Niezbyt szeroko, tylko troszeczkę, ale mimo to światło, choć mdłe bo padające zza chmur, uderzyło niczym najmocniejszy reflektor. Poczowała potworny ból rozsadzający czaszkę. W ślad za nim napłynęła fala mdłości. Odruchowo zacisnęła powieki. Nie na wiele się to zdało. Ból i mdłości nie ustępowały. Dołączył do nich przenikający do szpiku kości chłód. Mokre, przesiąknięte ubranie bardziej ziębiło, niż grzało. I ten wiatr. Zimny, porywisty, przeszywający. Kolejna próba. Ostrożnie, bardzo ostrożnie otworzyła oczy. Tym razem była przygotowana na uderzenie światła i jego konsekwencje. Z całej siły zacisnęła zęby, zgięła rękę i uniosła się nieco na łokciu. Odpowiedzią był następny atak bólu i mdłości. Świat zawirował. Jakaś niewidoczna, nieubłagana siła ciągnęła ją w dół, w pustkę i ciemność. Przez chwilę walczyła rozpaczliwie, stawiając opór własnemu ciału. Na próżno. Zrezygnowana opadła na ziemię i znowu pogrążyła się w nicości.

\*

Gdy się ocknęła wokół pełno było obcych ludzi w czerwonych strojach. Ktoś trzymał ją za rękę. Z trudem odwróciła głowę. Obok klęczał Mateusz. Twarz miał bladą, oczy przerażone, prawą dłoń położył na jej dłoni, w lewej kurczowo ścisnął komórkę.

– Mamo! Dzięki Bogu, że żyjesz! Co się stało?

– Co się stało? – powtórzyła automatycznie. – Co się stało? Nie wiem. Nie pamiętam.

Przerwała. Mówienie przychodziło jej z dużym trudem.

– Ale mnie wystraszyłaś. Wraciałem do domu. Jeszcze z ulicy patrzę i widzę, w oknach ciemno. Wchodzę do ogródka, leżysz w kałuży. O mało się o ciebie nie potknąłem. W pierwszej chwili pomyślałem, że nie żyjesz. Nie wiedziałem, co robić. Normalnie zgłupiałem! Zadzwoiłem na pogotowie. I na policję. – Potok słów płynął nieprzerwanie. Chłopak chciał zamilknąć, ale nie mógł. Musiał mówić. Musiał pozwolić, by strach, przerażenie i niepewność wylały się na zewnątrz. Tylko tak mógł oczyścić umysł. Tylko tak mógł oswoić rzeczywistość. – Naprawdę nie wiesz, co się stało? Mamo! – nalegał.

– Naprawdę nie wiem – szepnęła. – Pamiętam, że szukałam kluczy. Zobaczyłam kogoś na progu, a potem... Potem nic już nie pamiętam.

– Proszę się odsunąć. Zabieramy panią na SOR.– Mężczyzna w kurtce z napisem „Ratownik medyczny” uprzejmie, ale stanowczo odsunął Mateusza na bok.

– Czy mogę z wami pojechać? Proszę?  
Ratownik zawahał się. W końcu machnął ręką.  
– Wsiadaj. Tylko nie przeszkadzaj – rzucił.  
– Dziękuję! A ty trzymaj się, mamo! Wszystko będzie dobrze – zwrócił się do matki. Zrobił, co w jego mocy, by słowa brzmiały przekonująco i wiarygodnie, ale czającego się w oczach strachu nie potrafił ukryć.

\*

A żeby was pokręciło! – wrzasnął Pucki, kończąc rozmowę. Wściekłość wręcz rozsądzała go od środka. Kiedyś mógłby chociaż trochę rozładować emocje, efektownie rzucając słuchawką. Era telefonów komórkowych pozbawiła go nawet tej drobnej przyjemności.

– Niech to diabli! – Miotał się po gabinecie niczym rozjuszony tygrys w klatce. – Najpierw trup, potem włamanie, a teraz to! Czym było „to”, do końca nie wiedział. Wypadek? Próba morderstwa? Przypadkowy atak?

Szpital odmówił udzielenia jakichkolwiek informacji. Komisarz czuł, że wybuchnie, jeśli ktoś jeszcze raz choćby napomknie o ochronie danych osobowych czy innych takich bzdurach.

– Niech to szlag! – zaklął. Przełożył portfel z dokumentami z kieszeni do teczki. Upewnił się, że ma przy sobie legitymację, chociaż ostatnimi czasy nawet ona nie bardzo pomagała w wydobywaniu zeznań.

– Jadę do szpitala na Leśnej – rzucił na odchodne do dyżurnego.  
– Coś się stało? – zapytał szczerze zaniepokojony.  
– Jeszcze nie wiem – odpowiedział enigmatycznie i zniknął za ciężkimi, skrzypiącymi drzwiami.

\*

Pucki z zadowoleniem skonstatował, że lekarz broniący własną pierśią dostępu do pacjenta, to na szczęście jedynie wymysł amerykańskich scenarzystów. Na oddział w polskim szpitalu wejść może kto chce i kiedy chce. Owszem, informacji medycznej nie uzyska, ale poza tym, odwiedzając, nie natknie się na żadne inne przeszkody.

– Ja do Joanny Tańskiej – zagadnął siedzącą przy komputerze, szpakowatą pielęgniarkę.

– Chwila. – Posłała mu zawodowy, nieszczerzy uśmiech. Sprawdziła coś na przyklejonej do blatu biurka kartce. – Sala numer dziesięć. Do końca korytarza i na lewo.

Komisarz obrzucił wzrokiem rozpiskę wykaligrafowaną starannie na papierze w kratkę. *To tyle w temacie komputerów* – pomyślał, ale na głos powiedział tylko „Dziękuję”.

\*

Na sali panował tak niewyobrażalny zaduch, że w pierwszej chwili komisarza aż zamurowało. Stał w drzwiach. Rozejrzył się niepewnie.

Przy drzwiach leżała młodziutka dziewczyna, prawie jeszcze dziecko, otoczona wianuszkami bliższej i dalszej rodziny. Łóżka pod ścianą naprzeciwko zajmowały dwie bardzo puszyste starsze panie, perorujące o czymś zaciekle. Zdaniem Puckiego ani trochę nie wyglądały na chore.

Joannę zauważył nie od razu. Już miał się wycofać przekonany, że pomylił sale, gdy dostrzegł ją leżącą na łóżku w kącie pod oknem. Była jakąś, szpitalną kołdrę, podciągnęła wysoko pod brodę. Spała.

Zauważył odrapany, okrągły stołek stojący pod kaloryferem. Przyciągnął go, ustawił w nogach łóżka, usiadł i czekał. Postronny obserwator dostrzegłby jedynie typową scenkę, na jaką codziennie można natrafić szpitalu pełnym ludzi czekających na coś: na lekarza, na badanie, na informacje o stanie kogoś bliskiego albo po prostu na koniec kolejnego dnia. Oto starszawy pan siedzi bezmyślnie, wbijając w ścianę otępiął wzrok. Ten postronny obserwator bardzo by się pomylił. Apatia i marazm były tylko kamuflażem. Mózg komisarza, nienawykły do próżniactwa, natychmiast znalazł sobie zajęcie i pracował na najwyższych obrotach. Pucki bardzo lubił takie chwile, gdy mógł całkowicie odciąć się od zewnętrznego świata. Wiele spraw nabierało wtedy ostrości, myśli stawały się bardziej klarowne, oderwane na pozór fakty łączyły się w logiczny ciąg, a zagubione kawałki układanki nagle wskakiwały na właściwe miejsca. Myślał o tajemniczym włamywaczu. Czego szukał? Czy to on zaatakował Joannę Tańską? A jeśli tak, to po co? Możesz szukać u niej tego, czego nie znalazł u denatki? Tylko dlaczego włamywał się do nieboszczki? Mógł przeszukać mieszkanie w noc zabójstwa, a jednak tego nie zrobił. Dlaczego? Może ktoś go spłoszył? Wytłumaczenie brzmiało logicznie, ale coś tu nie pasowało. Co, tego Pucki nie wiedział.

– To pan! – Słaby głos wyrwał komisarza z zadumy.

– Tak, to ja, we własnej osobie. – Uśmiechnął się przyjaźnie. – Dzień dobry! Jak się pani czuje?

Pytanie było głupie, bo jak się może czuć ktoś, komu dopiero co rozwalono głowę, ale trzeba było jakoś zagaic rozmowę. *Small talk* nigdy nie był mocną stroną Puckiego.

– Dziękuję, już lepiej. – Błady uśmiech na chwilę rozświetlił umęczoną twarz. – Co pana sprowadza? Oprócz troski o moje zdrowie, oczywiście.

– Chciałem zapytać o napad. Co się właściwie stało?

Westchnęła, lekko poirytowana. Ile razy można odpowiadać na to pytanie! Ile razy można powtarzać w kółko jedno i to samo.

– Mówiłam już pana kolegom, że niewiele pamiętam. Wróciłam do domu, ktoś grzebał przy zamku, chciałam się wycofać i wezwać policję, ale mnie zauważył. Ostatnie, co pamiętam, to szarpanina. Nic więcej nie wiem. Przykro mi.

– Czy może pani opisać tego człowieka?

Zamknęła oczy, próbując przywołać strzępki wspomnień.

– Dość młody, raczej szczupły, chociaż nie chudy. W sportowym ubraniu. Ciemnym.

– Wzrost?

Zawahała się.

– Wysoki. Sporo ode mnie wyższy o głowę, a może nawet więcej. – Zaczęła niepewnie, lecz w miarę mówienia głos nabierał pewności. – Sięgałam mu co najwyżej do ramienia.

Pucki zasepił się. Rysopis, choć bardzo ogólny, ani trochę nie pasował do włamywacza z monitoringu. Że też nie zabrał ze sobą zdjęcia! Potrzebne będzie kolejne przesłuchanie. Ech... Zmełł w ustach przekleństwo.

– To już naprawdę wszystko – szepnęła skrepowana przeciągającym się milczeniem.

– Rozumiem. Nie będę już pani dłużej męczył. Prosiłbym o wizytę na komendzie. Oczywiście, jeśli tylko zdrowie pozwoli.

Był już przy drzwiach, gdy dobiegł go słaby głos:

– Panie komisarzu!

Na sali zapanowała głucha cisza. Zamilkły terkoczące kumoszki, zamilkli goście otaczający wianuszkami młodą pacjentkę przy drzwiach. Wszyscy jak na komendę wbili wzrok w Puckiego. Nikt nawet nie próbował ukrywać ciekawości.

Nie od razu zawrócił. Obrócił się w miejscu na pięcie. Przybrał budzącą respekt postawę: nogi lekko rozstawione, ręce splecione z tyłu, broda delikatnie uniesiona. Spiorunował gapiów lodowatym wzrokiem. Z satysfakcją obserwował, jak nerwowo odwracają głowy i pośpiesznie podejmują przerwane w pół słowa rozmowy. Odliczył w myślach do dwudziestu i dopiero wtedy ruszył ku Joannie. Pochylił się nad chorą.

– Słucham – szepnął.

Uniosła się nieco na łokciach i zaczęła mówić zduszonym, ledwie dosłyszalnym głosem.

– Coś sobie przypomniałam. Wiem, kim był ten człowiek. To ten sam mężczyzna, który mnie wcześniej śledził. Ten z sekty.

Wyczerpana opadła ciężko na poduszki.

\*

Miał w głowie mętlik. Ostatnie słowa Joanny zbiły go z pantałyku. Zupełnie nie wiedział, co o tym myśleć. Z jednej strony, nie miał powodów, by nie wierzyć kobiecie – bo niby po co miałyby go oszukiwać, z drugiej strony, cała historia brzmiała absurdalnie, jak żywcem wyjęta z artykułu w brukowcu. Zdesperowany wybrał numer Jamskiego. Pokrótce zreferował sytuację.

– Nie bardzo rozumiem, w czym ci mogę pomóc – szczerze przyznał się lekarz.

– Zastanawia mnie ten nagły powrót wspomnień. Nie wydaje ci się to dziwne? Nie pamiętała nic, aż tu nagle, bach, wyskakuje z rewelacją!

– Ani trochę. Czasowa amnezja to dość częste zjawisko przy urazach głowy.  
– A czy mogło być tak, że stare wspomnienia nałożyły się na nowe? – Komisarz nie dawał za wygraną.

– Chodzi ci o to, czy mogła przypisać napastnikowi twarz, którą widziała wcześniej?

– Tak, dokładnie to mam na myśli.

– Teoretycznie to możliwe – potwierdził Jamski po krótkim namyśle.

– Czyli mogła mówić prawdę, mogła nieświadomie mylić fakty, mogła też zwyczajnie łąć – podsumował komisarz.

– Tylko po co?

– Co „po co”?

– Po co miałyby kłamać? Jeśli chciałyby coś ukryć, mogła po prostu wykręcić się utratą pamięci.

– Brzmi logicznie. Chociaż mogła skorzystać z okazji, żeby przepchnąć wersję z sektą. Chyba wyczuła, że nie traktuję tego wątku poważnie.

– To już twoja działka, nie moja.

– Jasne. Dzięki i trzymaj się – rzucił Pucki i nie czekając na odpowiedź, rozłączył się.

Spojrzał na zegarek - stary, mocno już sfatygowany, radziecki Poljot. Do końca dnia pozostały jeszcze trzy kwadranse. Za mało czasu, by zrobić coś sensownego, za dużo, żeby go tak po prostu przebimbać.

Przejrzał pozostawione przez dyżurnego notatki. Nie było ich dużo. Na samym wierzchu leżała kartka: „Barbara Brodzka prosi o telefon. Twierdzi, że ma ważną wiadomość”. Zadzwoił. Rozmówczyni, choć bez dwóch zdań podekscytowana, nic nie chciała powiedzieć przez telefon. Twardo obstawała przy osobistym spotkaniu. Nie oponował. Umówili się na dziesiątą rano następnego dnia.

Ledwie zdążył skończyć rozmowę, gdy usłyszał energiczne pukanie. Drzwi uchylły się, do środka zajrzała łysa, idealnie okrągła głowa.

– Mogę? – zapytała.

– Właź!

Drzwi otworzyły się na oścież. Stał w nich wysoki, niemłody już mężczyzna.

– Siadaj!

– Nie, nie. Ja tylko na chwilę. Przechodziłem obok i zaszedłem zamiast dzwonić. Wpadłbyś jutro do informatyki? Tak koło południa?

– Jasne, a po co?

– Niespodzianka! – rzucił radośnie łysy, zakręcił się na pięcie i zniknął. W korytarzu jeszcze długo odbijał się echem jego radosny chichot.

Pucki nigdy nie rozumiał poczucia humoru komputerowców. Właściwie z tego, co wiedział, nikt nie rozumiał ich żartów. Zresztą, kiedy byli poważni, też mało kto ich



rozumiał. Jakby stanowili jakiś osobny gatunek, przybyły z kosmosu, jedynie przez przypadek przypominający ludzi.

## ROZDZIAŁ 11

– I cóż takiego ciekawego dla mnie przygotowałaś? – zagadnął ze śmiechem, sadowiając się wygodnie.

Co jak co, ale meble informatycy załatwili sobie pierwsza klasa. Cała komenda, nawet szef, musiała zadowalać się starymi gratami: szafkami z niedomykającymi się drzwiami, niewygodnymi krzesłami, regałami, z których tu i ówdzie obłaziła okładzina, i mocno sfatygowanymi stolikami. Cała komenda, ale nie IT. Tutaj stały przestronne biurka o elegancko wyoblonych brzegach, wysokie fotele z zagłówkami i podłokietnikami, szafki z bezgłośnie chodzącymi żaluzjami. Cała reszta pomieszczenia nie wyglądała już tak imponująco. Dookoła panował wszechogarniający chaos. Całą podłogę zastawiono pudłami, pudełkami i pudełeczkami. Na stołach, parapetach, blatach szafek i nawet na pustych krzesłach wałały się jakieś części, najprawdopodobniej wykręcone ze starych komputerów. Ściany upstrzone były różnokolorowymi karteczkami samoprzylepnymi. Kilka przyczepiono nawet do okna.

– Komputer z tego lipcowego morderstwa. – Padła lakoniczna odpowiedź.

– Co z nim?

– Właściwie to już dawno powinno być załatwione, ale wiesz jak jest... Ludzi brakuje, do tego wakacje.

Pucki ze zrozumieniem pokiwał głową.

– No więc tak – ciągnął łysielec. – W końcu zabrałem się za tę maszynę. Jakbym wiedział, że to taka prościzna, już dawno miałbyś to załatwione. Kartka z hasłami przyklejona do klawiatury. Klasyka – prychnął pogardliwie. – A dalej jeszcze lepiej: plik tekstowy z loginami i hasłami na pulpicie. Masz dostęp do wszystkiego. Historia konta bankowego, maile, wizyty lekarskie. Gdybyś chciał sprawdzić, co kupowała albo gdzie się wybierała na wakacje, to pewnie też tam jest. Tu masz wydruk. Baw się dobrze! – zakończył, wręczając Puckiemu lekko wymiętą kartkę. Komisarz podziękował i ruszył do wyjścia.

– Hej, a komputer?! – Informatyk krzyknął w ślad za komisarzem. – I pokwitowanie – zachichotał.

Pucki po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że pewnych żartów nigdy nie będzie w stanie pojąć.

Łysy miał rację. Komputer okazał się kopalnią informacji lepszą niż protokoły z tygodnia przesłuchań. I, co najlepsze, w przeciwieństwie do świadków komputer nie kłamał, nie kręcił, nie mataczył, nie koloryzował, nie popadał w dygresje. Prezentował gołe fakty. Ile z tego można będzie wykorzystać w sądzie, to inna sprawa, ale tym komisarz zamierzał martwić się później. Na razie potrzebował pomysłu. Punktu wyjścia. Czegoś, od czego mógłby się odbić i pchnąć śledztwo na nowe tory.

Zaczął od konta bankowego. Dzięki Bogu, rodzina nie powiadomiła jeszcze banku. Historia finansów nieboszczki stała przed Puckim otworem. Ślęczał nad nią już trzeci kwadrans, niestety bez widocznych efektów. W pierwszym odruchu zdumiała go ogromna liczba wpływów. Praktycznie w każdym tygodniu widoczna była co najmniej jedna zielona pozycja oznaczająca wpłatę. Czasem było ich więcej, bywało, choć rzadko, że pojawiało się ich kilka jednego dnia. Podniecenie trwało tylko moment. Wystarczyła chwila, by uświadomił sobie, że to nic dziwnego. Prychnął, gdy zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo utknął mentalnie w dwudziestym wieku, w świecie „posady na państwowym” z comiesięczną wypłatą, która musiała starczyć od pierwszego do pierwszego. Teraz ludzie radzili sobie inaczej. Etat był tylko jednym z wariantów. Helena Rubiszewska była wolnym strzelcem. *freelancerem*, jak to obecnie mówiono. Żyła z chałtur i drobnych zleceń. Nawet na uczelni pracowała na umowę-zlecenie. Widocznie nie złapała żadnego dużego klienta, musiała zadowalać się drobnicą. Zaczął szczegółowo analizować wykaz operacji. Wśród wpłacających były i firmy, i osoby fizyczne. Wystarczyło zerknąć na tytuł wpłaty i już, nawet bez patrzenia na nazwę nadawcy, można było odgadnąć, z którą kategorią operacji miało się do czynienia. Firmy wypisywały całe elaboraty: numer i rodzaj umowy, czasem także numer transzy albo wewnętrzny identyfikator transakcji, natomiast osoby prywatne zazwyczaj wybierały standardowe „zasilenie konta” albo „przelew środków”. Trafił się tylko jeden dowcipniś, który wpisał: „a co to kogo obchodzi”. Same kwoty też nie wyglądały jakoś specjalnie ciekawie. W większości było to kilkaset złotych, sporadycznie trafiały się liczby czterocyfrowe, ale też nie powalały wysokością, maksymalnie dwa tysiące.

Porzucił liczby i skupił się na nadawcach. Tutaj też nic nie przyciągało uwagi. Dość pretensjonalne nazwy – pokłosie mody na angielszczyznę – sugerowały biznesowy plankton, bo jakoś tak jest, że im mniejsza firma, tym bardziej ma napuszoną nazwę. Żadna z nazw nie tylko niczego nie mówiła komisarzowi, ale nawet nie obita mu się o uszy. Co do osób prywatnych, to cóż... Jaki wniosek można wyciągnąć z tego, że ktoś nazywa się Izabela Chrzan albo Edward Siąpisz? Żadnego. Co prawda pewne nazwiska powtarzały się regularnie, ale i w tym nie było nic dziwnego. Jeśli ktoś był zadowolony z jakości i cen usług świadczonych przez Helenę, to dlaczego miał z nich nie skorzystać ponownie, gdy zaszła taka potrzeba? Nie tędy droga. Postanowił wypróbować inne podejście i skoncentrować się na wydatkach. Tutaj też czekało go rozczarowanie.

Czarne wpisy – wypłaty, okazały się równie nijakie jak zielone. Zakupy w sklepie spożywczym, czynsz, niewielka wypłata w bankomacie, czasem bilet do kina. Być może sprawny autor powieści kryminalnych, obdarzony bujną wyobraźnią, wymyśliłby na tej podstawie jakąś barwną historię, ale Pucki nie był pisarzem, tylko policjantem. Twardo stąpał po ziemi, na spekulacje pozwalał sobie niezwykle rzadko, wierzył jedynie w teorie mające mocne operacje w faktach. A fakty były bezlitosne – właścicielka konta była osobą beznadziejnie normalną, żeby nie powiedzieć: nudną.

Ostatnie podejście, czyli porównanie zysków i strat. Kolejna ślepa uliczka. Denatka za życia nie miała co prawda szczególnie wysokich dochodów, ale nie miała też długów. Każdy miesiąc kończyła z lekko dodatnim saldem. Tylko raz w ciągu ostatnich dwóch lat bilans wyniósł dokładnie zero. Nigdy jednak nie był ujemny. Nic nie wskazywało na to, by źródłem tragedii były kłopoty finansowe.

\*

Tym razem Barbara przysłała do biblioteki przygotowana. Miała przy sobie pracę magisterską Marianny Pol i laptopa do robienia notatek. Na wszelki wypadek, gdyby coś trzeba było szybko naszkicować, wzięła też notes i długopis.

Szło jej dobrze. Wiedziała, czego szukać. Zaczęła od algorytmu. Nie miała wątpliwości, był identyczny jak ten z pracy magisterskiej. Im bardziej wgryzała się w treść, tym wyraźniej widziała podobieństwa. Pokrywały się całe akapity. Oryginalny tekst sprytnie przerobiono: przeformułowano zdania, wiele słów zastąpiono synonimami, tu i ówdzie zmieniono kolejność wyrazów, ale i tak zbieżność obu tekstów nie podlegała dyskusji.

Skoncentrowała się na fragmentach zaznaczonych przez Helenę. Podobieństwo było oczywiste nawet dla laika. Po trzech godzinach wyteżonej pracy zyskała pewność. Publikacja Marchwińskiego była stuprocentowym oszustwem. Promotor praktycznie przepisał pracę podopiecznej, zmieniając styl na tyle, by oszukać proste algorytmy wyszukujące plagiaty.

– Mam cię! – syknęła z satysfakcją. Zrobiła ostatnie notatki, oddała periodyk i wielce zadowolona z siebie opuściła bibliotekę.

Gdy tylko znalazła się na ulicy, zadzwoniła do Puckiego. Komisarza nie było. Uprzejma dyżurna obiecała przekazać wiadomość. Dwukrotnie zapewniła, że szef oddzwoni, gdy tylko wróci na komendę.

Barbara miała poważne wątpliwości co do szczerości rozmówcy, ale tego dnia nic nie było w stanie zepsuć jej humoru. Całe popołudnie wyobrażała sobie, co powie podczas rozmowy z Puckim. Oczywiście wyobraźni widziała jego zdumioną minę. Napawała się przyszłym sukcesem. Przekorny los spletał jej figła.

Rano ledwie zwlekła się z łóżka. Ból głowy, zażawione oczy, opuchnięte gardło i zatkaany nos nie pozostawiały złudzeń. Poczłapała do łazienki, wyciągnęła z apteczki

termometr. Powrót do sypialni wydał się jej nadludzkim wysiłkiem. Opuściła klapę od sedesu. Usiadła.

Trzydzieści osiem i dziewięć! Zamiast wizyty na komendzie szykuje się wyprawa do lekarza. O ile dostanie numerek.

Numerek zdobyła matka. Nawet nie próbowała dzwonić do rejestracji. Założyła pierwsze lepsze ciuchy, jakie wpadły jej w rękę, i pognęła do pobliskiej przychodni. Wróciła po półtorej godziny z wyrazem triumfu na twarzy i kwitkiem potwierdzającym rezerwację wizyty u lekarza pierwszego kontaktu. Co prawda dopiero na popołudnie, ale jednak tego samego dnia. Jak tego dokonała, na zawsze pozostało głęboko ukrytą tajemnicą.

Spotkanie z Puckim Barbara odwołała sama. Nie był specjalnie rozczarowany. Wręcz przeciwnie – ton głosu zdradzał zadowolenie. Czyżby nie wierzył, że to, co ma mu do powiedzenia, jest naprawdę istotne? Jeszcze się okaże, kto ma rację. Jeszcze będzie żałował, że ją zlekceważył!

\*

– Sprawdziłam ten akt urodzenia, o który prosiłeś. – Zza pleców Puckiego dobiegł wesoły głos.

– Że co? – Myśli komisarza wciąż jeszcze krążyły wokół finansów zamordowanej Heleny Rubiszewskiej. Odwrócił się. Obok biurka stała uśmiechnięta od ucha do ucha podkomisarz Monika Więcka.

Pucki zasadniczo nie miał nic przeciwko wyemancypowanym kobietom. Właściwie nawet popierał ich aspiracje zawodowe. Nie miał nic przeciwko temu, by leczyła go kobieta lekarz, by wiozła go kobieta taksówkarz, nie przeszkadzałyby mu chyba nawet kobieta za sterami samolotu pasażerskiego, ale do kobiet w policji jakoś nie mógł się przekonać. Sam sobie ze sto razy powtarzał, że koleżanki radzą sobie z policyjną robotą nie gorzej, a czasem nawet lepiej niż mężczyźni. Sam siebie o tym przekonywał, przytaczając dziesiątki przykładów. Sam sobie nie raz wymyślał od zacofanych szowinistów. Co z tego? Na płaszczyźnie rozumowej wiedział, ale na poziomie emocjonalnym jakoś nie potrafił zaakceptować. Jedyne, co mógł zrobić, to nie pozwolić, by głęboko tkwiące w podświadomości, wyniesione z dzieciństwa stereotypy wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem. W efekcie, w towarzystwie policjantek zawsze był spięty i nienaturalny.

Z Moniką było inaczej. Gdyby miał córkę, chciałby, żeby była taka jak ona: podążająca śladami ojca, a jednocześnie zachowująca indywidualność. Podkomisarz Więcka różniła się od większości znanych Puckiemu funkcjonariuszek wbitych w bojówki i glany, przeklinających lekko zachrypłym głosem, wlewających w siebie hektolitry piwa, jakby chciały całemu światu udowodnić, że są bardziej męskie niż mężczyźni. Być może policja przyciągała ten typ kobiet, a może wręcz przeciwnie – wymuszała na nich takie, a

nie inne zachowania. Codziennie udowadnianie swej wartości, walka ze szklanym sufitem, znoszenie mniej i bardziej subtelnych kpin i docinków, to wszystko wymagało wypracowania postawy obronnej. Tak to przynajmniej tłumaczył sobie komisarz.

Monika niczego nie udawała i niczego nie udowadniała. Ani sobie, ani innym. Ubierała się wygodnie, preferowała sportowy styl, ale nawet najprostszy zestaw – zwykłe dzinsy ze sweterkiem – miał w jej wydaniu dziwną lekkość i swobodę. Przycięte równo, „na pazia”, jasne włosy zawsze były puszyste i błyszczące. Na firmowych imprezach potrafiła napić się czystej wódki, ale nie miała też nic przeciwko słodkim, „damskim” drinkom. Potrafiła siarczyście zakląć, jednak zdarzało się jej to naprawdę rzadko. Miała w sobie trudną do zdefiniowania, nieuchwytną, a jednocześnie bardzo dobrze wyczuwalną bezpretensjonalność. Wszystko, co robiła, było naturalne, pozbawione choćby cienia pozy.

– Chciał pan, żebym sprawdziła akt urodzenia córki Heleny Rubiszewskiej.

– A, no tak! I co? Ustaliłaś coś?

– Niewiele. Według aktu ojcem dziecka jest Henryk Rubiszewski?

– To samo nazwisko? Przecież nie była zamężna.

– Nie była. Henryk to ojciec denatki.

– Stop! Pogubiłem się. Ojciec denatki nie żyje. Zginął w wypadku, gdy była dzieckiem. Może to inny krewny albo powinowaty przez przypadek noszący to samo imię.

– Ocknij się, szefie, i włącz myślenie! Kiedy w papierach dziecka zamiast ojca wpisuje się dziadka?

– NN?

– Otóż to! Ojciec nieznany.

– Kolejna ślepa uliczka – westchnął.

– Niestety. – Pokiwała głową. – A pan coś znalazł?

– Na razie nie. Sprawdziłem wyciągi bankowe. Nic ciekawego. Czekam na wykaz rozmów od operatora. Nie śpieszą się.

– O! Bank dostarczył dane szybciej niż komórkowcy. A to nowość!

– Nie, nie. Łysy znalazł spis haseł i identyfikatorów do stron, gdzie za życia logowała się denatka. Wszedłem na stronę i patrzę.

– A fejs?

– Co fejs?

– Czy sprawdzał pan już Facebooka?

Pucki zarumienił się. Chrząknął. Facebooka ignorował z zasady. Kilka lat temu założył konto, żeby przekonać się, co to za zwierzę. Po trzech tygodniach je skasował. Przeraziła go skala ludzkiej głupoty. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Nigdy.

– Wiesz – wymamrotał nieco speszony – ja z tym całym fejsem nie najlepiej sobie radzę.

– To może ja? – zaproponowała nieśmiało, nie chcąc go urazić.  
– Dlaczego nie! – Ucieszył się. – Wpadnij po obiedzie, dam ci komputer. Poszperasz.  
– Pan tak serio, panie komisarzu? – Ironię w głosie Moniki łagodził szczery, serdeczny uśmiech. – A może tak wystarczy login i hasło?

Roześmiał się.

– To chyba dlatego, że jeszcze dziś kawy nie piłem. Prześlę ci mailem plik z hasłami. Pogrzeb, gdzie uważasz za stosowne. Może wypatrzysz coś, czego ja nie zauważyłem.

– Super! To ja lecę. Odezwę się, jeśli coś wyszperam. – Ostatnie słowa rzuciła już w biegu.

Potaął zaczerwienione oczy. Wstał. Rozprostował kości. Był zmęczony. Zniechęcony. Stary. Miał dość.

*Z tą kawą to nie jest wcale taki zły pomysł* – pomyślał. Ruszył do kuchni. Co by się nie działo, na kubek kawy zawsze jest czas.

\*

Kawa, jak zwykle, pomogła. Z każdym łykiem w komisarza wstępowała nowa energia. Złapał drugi oddech. Ze zdwojonym entuzjazmem powrócił do przeglądania zasobów komputera. Odpuścił sobie Facebooka, Twittera, Instagram i inne nowomodne wynalazki dla młodzieży i celebrytów. Uznał, nie bez przyczyny, że Monika robi to szybciej i skuteczniej. Dla niego to obcy świat, dla niej – naturalny żywioł. W odmętach globalnej sieci byli niczym nurek i ryba w oceanie. On potrafił przetrwać, ona nie wyobrażała sobie innego życia.

Doszedł do wniosku, że dalsze ślęczenie nad wyciągami nie ma sensu. Co miał zobaczyć, to zobaczył i niczego więcej nie wypatrzy, choćby jeszcze przez tydzień gapił się na kolumny cyfr. Sprawdził kolejne pozycje na liście łysego. Allegro i kilka sklepów internetowych. Przejrzał historię zakupów. Trochę książek, papierowych i e-booków wybieranych bez żadnej myśli przewodniej – głównie modne, szeroko reklamowane bestsellery, jakieś ciuchy, niezbyt drogie i, zdaniem Puckiego, raczej dość paskudne, kilka kompletnie bezużytecznych drobiazgów, takich, co to się je kupuje na prezent z braku lepszego pomysłu. Pewien ewenementem wśród nabytków stanowiły płyty. Nawet taki dinozaur jak Pucki wiedział, że w dobie playlist i Spotify mało kto kupuje odchodzące do lamusa krążki. Owszem, sam miał niezłą kolekcję, ale przecież należał do starego pokolenia wymierającego powoli niczym dinozaury. Z ciekawości przeleciał wzrokiem listę tytułów. Charlie Haden, Garbarek, Michał Urbaniak. Żadnego popu. Niezłe – pomyślał. Poczul nagły przyływ sympatii do Heleny.

I co z tego? Kolejna, zbędna informacja. Gust muzyczny denatki niewiele miał wspólnego ze zbrodnią. Nikt nikogo nie zabija za słuchanie jazzu. Aczkolwiek za disco-polo, kto wie... Komisarz uśmiechnął się pod wąsem.

Lekko zniechęcony, porzucił odmęty internetu. Przystąpił do grzebania w zasobach lokalnych. Było tego krocie, głównie zdjęcia i rysunki. Dość oczywiste, jeśli wziąć pod uwagę profesję zmarłej. Otworzył kilka na chybił-trafił. Jakies kwiatki, pieski, kotki, pejzaże, uśmiechnięte dzieci. Żadnej pornografii, nawet soft. Nic, co mogłoby stać się chociażby wątlým punktem zaczepienia. Zajrzał do folderu „Praca”. Znalazł mnóstwo plików o dziwacznych, niekojarzących się z niczym rozszerzeniach. Już chciał kliknąć w jeden z nich, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

– Niech informatycy się tym zajmą, bo ja co najwyżej mogę coś napsuć – skonstatował. Przeszedł do folderu „Faktury”. Zdecydowanie lepiej. Nawet on, totalny informatyczny ignorant, rozpoznał charakterystyczne rozszerzenie .xls. Same arkusze Excela. Były to starannie rozłożone po podfolderach odpowiadających poszczególnym latom rachunki. Otworzył kilka z bieżącego roku. Nazwy odbiorców i kwoty w większości pokrywały się z wpływami, które widział wcześniej na wyciągach.

– Powiem Kozielczukowi, niech zrobi pełną listę klientów i ich zobowiązań. A nuż się przyda? – Zachichotał złośliwie. Prawdę mówiąc, wcale w to nie wierzył, ale robota wyglądała na upiorną, a Pucki nienawidził Kozielczuka nienawiścią szczerą, dozgonną i całkowicie nieuzasadnioną. Młodszy aspirant niczego złego nigdy komisarzowi nie zrobił, po prostu samym swym istnieniem działał mu na nerwy. Czasem tak bywa.



## ROZDZIAŁ 12

Śledztwo jest jak pociąg. Rusza z gwizdem, przez jakiś czas toczy się równym rytmem do przodu, z rzadka przyśpiesza, a czasem ni z tego, ni z owego, staje w szczerym polu i ani drgnie.

Komisarz nie miał złudzeń – sprawa śmierci Heleny Rubiszewskiej stanęła w martwym punkcie. Zblazowany, bez większego przekonania przerzucał akta. Może coś przeoczył? Może coś niesłusznie pominął? Obiecujące ślady zawiodły, pora zająć się nieobiecującymi.

Zatrzymał wzrok na krótkiej notatce z przesłuchania Joanny Tańskiej. Polisa! Zupełnie zignorował ten trop. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Spora suma. Dla wielu osób wręcz niewyobrażalna. Co prawda beneficjent musiał zdawać sobie sprawę z tego, że będzie oczywistym podejrzanym. Tylko idiota by na to nie wpadł, ale kto powiedział, że morderca nie może być głupkiem? A może wręcz przeciwnie? Może był naprawdę sprytny. Mógł przecież rozumować podobnie jak Pucki: jestem tak narzucającym się sprawcą, że nikt nie uwierzy w moją winę; jest zbyt oczywista.

Trzeba gościa sprawdzić. Nawet jeśli to kolejna ślepa uliczka, to i tak chwilowo nic więcej nie można zrobić.

Wyciągnął z akt kopię polisy. Było tu wszystko: imię, nazwisko, data urodzenia, numer PESEL beneficjenta. Odnalezienie podejrzanego to po prostu bułka z masłem. Poczł się lepiej. Mógł działać. Apatia minęła jak ręką odjął. Otrząsnął się niczym pies strzepujący wodę z sierści i zdecydowanym gestem sięgnął po telefon.

\*

Cudownie było znów być w domu. Uciec od szpitalnego zaduchu, od mdlącego zapachu środków dezynfekujących, od chrapiących współtowarzyszek niedoli, od bezustannej paplaniny chorych i ich gości, od paskudnego jedzenia, od atmosfery smutku i niepewności.

- *Home, sweet home!* – zawołała nieco patetycznie, sadowiac się w ulubionym fotelu.
  - Zrobić ci herbaty? – z troską zapytał Mateusz.
  - Oj, tak, tak! Gorącej i mocnej. Mam dość tych siuszków, które nam dawali w szpitalu.
  - Mamo! – jęknął z udawanym oburzeniem. – Co za słownictwo!
  - „Siuski” to i tak łagodne określenie. Nie musiałeś tego pić, to nie wiesz.
- Jednocześnie wybuchnęli głośnym, beztroskim śmiechem. Życie wracało do normy.

\*

Synowskiej troski wystarczyło na niecałe dwie godziny.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś? – zapytał, gdy tylko skończył zmywanie po naprędcie zaimprovizowanym obiedzie.

– Nie, dziękuję.

– To ja wyskoczę na trochę. Umówiłem się z dziewczyną. Nie wiedziałem, że dziś wyjdiesz – dodał przepraszająco.

– Idź, idź. Dam sobie radę – zapewniła z niejakim rozrzewnieniem. Mateusz, jej syneczek, jej słodkie maleństwo, miał dziewczynę. Dorastał. Jak ten czas leci!

Zebrał się nadzwyczaj szybko.

– Na pewno sobie poradzisz? – rzucił od drzwi. – Jeśli źle się czujesz, to zostanę.

– Na pewno, na pewno! Ganiaj! Dziewczyna czeka!

Posłał jej jeszcze tylko zdawkowe „no to pa” i już go nie było.

\*

Szybko przekonała się, jak bardzo jest jeszcze słaba. Po wyprawie do łazienki dostała zadyszki. Próbowwała czytać, ale z trudem zbierała w słowa przesłonięte delikatną mgłą, skaczące litery. Włączyła telewizor. Nie pomogło. Zmęczony mózg nie nadążał, gubiła wątek, myliła postacie. Położyła się na kanapie, przykryła kocem, ale nie mogła usnąć. Usiadła. Wyjrzała przez okno. Desperacko szukała zajęcia, któremu byłaby w stanie podołać. Zatrzymała wzrok na telefonie. Chyba da radę zadzwonić. Wybrała numer. Pucki odpowiedział po pierwszym sygnale.

– Obiecałam zadzwonić, gdy wyjdę ze szpitala. – Zaczęła usprawiedliwiającym tonem.

– Cieszę się, że pani już lepiej. – Radość starego policjanta była szczera. – Czy przyjedzie pani do nas?

– Prawdę mówiąc, wołałabym nie. Jeszcze nie całkiem wróciłam do normy, ale gdyby pan mógł... – zawiesiła głos.

– Jak najbardziej. Jutro koło jedenastej rano, odpowiada pani?

– Tak. Oczywiście. Będę czekała.

Pożegnali się uprzejmie. Odłożyła telefon. Westchnęła. Czekają ją długie, samotne popołudnie.

\*

Nic tak nie pomaga zregenerować nadwątlonych sił jak dobrze przespana noc. Rano obudziła się rześka i pełna chęci do działania. Może nie była w stanie przenieść gór, pewnie nawet szafy by nie przesunęła, ale z czajnikiem i patelnią poradziła sobie bez problemu. Potem jeszcze cudownie gorący prysznic, pod którym można stać tyle, ile dusza zapagnie, i wygodne domowe ubranie zamiast piżamy i szlafroka. Co by nie mówić, człowiek ochędożony zewnątrz jest też bardziej pozbierany psychicznie.

Gdy punktualnie o jedenastej Pucki zapukał do drzwi, otworzyła mu uśmiechnięta od ucha do ucha radosna gospodyni. Po zmarnowanej, bladej kobiecie nie pozostało ani

śladu.

Usiedli w przestronnym salonie na parterze. Joanna podała kawę i herbatniki. Obok postawiła cukier w ozdobnej, kryształowej cukiernicy i fikuśny dzbanuszek ze śmietanką. Gawędzili niezobowiązująco o tym i o owym. Zrobiło się kameralnie, przytulnie, niemal rodzinie. Komisarz czuł, że najwyższa pora przejść do rzeczy, jednak wszystkie oficjalne pytania wydawały się nie na miejscu. Mijały kolejne minuty, a on zamiast zająć się konkretnymi, konwersował o pogodzie, nadchodzących premierach kinowych i zapowiadanych koncertach.

Jakimś szóstym zmysłem wyczuła rozterkę gościa. Jak na dobrą panią domu przystało ruszyła z pomocą.

– Ja tu zawracam panu głowę głupotami, a pan pewnie nie ma czasu. Straszna ze mnie gaduła, a do tego egoistka. W czym mogę pomóc?

Uśmiechnęła się przyjaźnie, ale i tak wiedziała, że wyszło nie tak, jak trzeba. Poczwała oblewający twarz rumieniec. Co za niezręczna sytuacja! Lekko zażenowany Pucki nerwowo grzebał w teczce. Wyciągnął plastikową, przezroczystą koszulkę z papierami w środku.

– Tak miło się rozmawia, ale w rzeczy samej, tym razem nie przyszedłem dla przyjemności. Proszę spojrzeć na te zdjęcia. Czy kogoś pani poznaje? Proszę się nie spieszyć.

Wyjął kilka dość kiepskiej jakości wydruków. Rozłożył je z namaszczeniem na stole, układając jeden obok drugiego, jak karty dziwnego pasjansa. O mało nie rozlał przy tym resztek kawy, gdy niezręcznie przesunął filiżankę.

– Proszę przyjrzeć się tym fotografiom. Może rozpozna pani na którymś mężczyznę, który zaatakował.

Podniosła pierwsze zdjęcie.

– Ten dzieciak z pewnością nie – odparła, odkładając na bok podobiznę dość przystojnego dwudziestolatka.

Brała kolejne odbitki, jedne odrzucała od razu, inne po dłuższym lub krótszym wahaniu.

– Przykro. To żaden z nich.

– Na pewno? Nie chcę wywierać presji, ale czasem na kiepskim ujęciu człowiek ledwie sam siebie przypomina.

– Nie chcę nikogo fałszywie oskarżać.

– Rozumiem. W razie czego weźmiemy pod uwagę fakt, że miała pani wątpliwości.

Niechętnie, z wyraźnym ociąganiem, sięgnęła po stosik papierów. Oglądała je w skupieniu, z namysłem. Potrwało to dobry kwadrans.

Pucki czekał cierpliwie. Nie poganiał. Cały czas obserwował twarz Joanny, próbując odgadnąć, jakie uczucia budzą w kobiecie podobizny kolejnych podejrzanych.

– Nie, to z pewnością żaden z nich – oświadczyła, odkładając kartki na stolik.

– Chociaż... – przerwała.

– Chociaż co? – W serce komisarza na chwilę wstąpiła otucha.

– Jednego z nich znam. To znaczy nie znam osobiście, nie wiem kto to, ale już go gdzieś widziałam. Chyba. Tak mi się wydaje.

–Którego?

Tym razem nie wahała się nawet sekundy. Sięgnęła po kartkę leżącą na samym wierzchu.

– Tego! – Wyciągnęła zdjęcie w stronę Puckiego.

Wybrała zdjęcie głównego podejrzanego. Z trudem powstrzymał cisnący się na usta tryumfalny uśmiech. Śledczy nie powinien nic sugerować świadkowi.

– Skąd go pani zna?

– Niech pomyślę. Może sobie przypomnę.

Zamknęła oczy. Czują, że wspomnienie jest tuż-tuż. Wystarczy tylko chwila, drobny impuls, by wyciągnąć je z zapomnienia.

– Nic z tego – jęknęła zawiedziona.

– To zabawne. Pewnie nie powinienem tego mówić, ale mam wrażenie, że też już gdzieś tego mężczyznę spotkałem. I tak jak pani nie mogę sobie przypomnieć gdzie i kiedy.

– Może gdzieś, gdzie byliśmy razem? – podchwyciła z ożywieniem. – Takich okazji nie było dużo. Może w szpitalu?

– Nie, raczej nie. Zdjęcie widziałem wcześniej, zanim panią odwiedziłem.

Zamilkł.

– Zrobię jeszcze kawy. A może herbaty? – zaproponowała nie tyle z gościnności, co żeby przerwać niezręczne milczenie.

Zebrała naczynia. Wstawiła czajnik. Czekając, aż woda się zagotuje, myła brudne filiżanki. I wtedy doznała olśnienia. Przed oczyma stanęła jej skulona postać w paskudnej, ortalionowej kurtce. Spracowane ręce międlące czapkę. Oczy pełne smutku.

– Wiem! – krzyknęła. – Wiem!

Nie tracąc czasu nawet na wytarcie ociekających wodą rąk, ruszyła do pokoju.

– Wiem! – krzyknęła ponownie. – Widziałam go tylko raz. W lipcu, na pogrzebie Heleny. Miał na sobie taką tandetną kurtkę, prawie jak bezdomny. Nie pasował do reszty towarzystwa.

Komisarz aż podskoczył z wrażenia. Dosłownie.

– Jasne! – zawołał. – Teraz sobie przypominam. Kurtka! Ma pani rację. Ja też go widziałem na pogrzebie w Szajmowie! Stał tam w tej swojej powyciąganej kurtczynie, miętosząc w rękach czapkę niczym chłop pańszczyźniany podczas rozmowy z ekonomem. To był on! Na sto procent!

– Doprawdy? Nie wiedziałam, że pan też tam był. Jak mogłam przegapić?

– Miała pani inne zmartwienia. Poza tym stałem z tyłu, za panią, a właściwie za sąsiednim nagrobkiem. Wolałem pozostać niezauważony.

– Śledził pan ludzi na pogrzebie? – Pytanie zabrzmiało bardziej szorstko, niż zamierzała. – Czyżby liczył pan, że mordercę ruszy sumienie i wyzna winy nad grobem ofiary? – Postanowiła obrócić wszystko w żart. Wyszło tak sobie.

Prawda była znacznie prostsza. Wręcz banalna. Tamtego dnia miał serdecznie dość siedzenia w biurze, a pogrzeb był dobrym pretekstem, żeby wyjść z komendy. Tego oczywiście nie mógł powiedzieć.

– Nie chciałem zakłócać przebiegu ceremonii – odpowiedział wymijająco.

Z opresji wybawił komisarza przerażający gwizd dobiegający z kuchni.

– Oj, woda się zagotowała. Zaraz wracam.

Uwinęła się naprawdę szybko. Pucki nie zdążył jeszcze dobrze przetrwać uzyskanych informacji, a już była z powrotem, niosąc tacę z parującą, aromatyczną herbatą.

– Chciałem jeszcze o coś zapytać. To dość delikatna sprawa. Chodzi o dziecko zamordowanej.

– Co? – Z wrażenia aż upuściła łyżeczkę.

– O dziecko pani zmarłej siostry, Heleny. Nie wiemy, co się z nim stało. Rozumiem, że nie była pani z siostrą zbyt blisko, jednak pomyślałem, że jako ciotka może pani coś wie.

– Coś? Nawet nie wiedziałam, że miała dziecko.

– Konkretnie córkę. To była dziewczynka.

– Była? – zapytała z przerażeniem.

– Źle się wyraziłem. Tak naprawdę nic o niej nie wiemy. Znamy tylko datę urodzenia. Nic więcej. Mam nadzieję, że dziecko żyje i ma się dobrze. Jednak to tylko nadzieja. Nie mogę powiedzieć niczego pewnego.

– Nie może pan, czy nie chce?

– Nie mogę, bo nic nie wiemy. Nie ma tu żadnej tajemnicy.

– A ojciec? Co z ojcem dziecka? Coś powinien wiedzieć.

– W tym sęk, że ojciec jest nieznany. Próbujemy ustalić kto to. Szczerze mówiąc, liczyłem na panią.

By pokryć zmieszanie, zaczęła intensywnie mieszać herbatę, chociaż piła bez cukru.

– Kiedy? – zapytała znienacka.

– Co kiedy? Nie bardzo rozumiem pytanie.

– Kiedy przyszła na świat? Ta dziewczynka. Wspomniał pan, że znacie datę urodzenia.

– Oczywiście – przytaknął. – Miałaby teraz koło sześciu lat.

– Sześć lat. To będzie.. – Zaczęła obliczać w pamięci. Nagle wstrzymała oddech. Zakryła usta dłonią jak ktoś obserwujący coś naprawdę strasznego.

– To było wtedy. To musiało być wtedy! – wyszeptała.

– Co? Kiedy?

– Chwileczkę, proszę zaczekać. Zaraz wrócę i wszystko panu wytłumaczę. Albo nie, lepiej niech pan pójdzie ze mną na górę. Nie mam siły niczego taskać.

\*

Przeceniła siły. Zdecydowanie. Emocje i wspinaczka po schodach zrobiły swoje. Gdy dotarła do pokoiku na piętrze, zdołała jedynie niezgrabnie opaść na krzesło. Oparła głowę na dłoniach, zamknęła oczy. Siedziała tak, ciężko dysząc, łapiąc z trudem powietrze niczym ryba wyjęta z wody.

– Wszystko w porządku? – Pucki zaniepokoił się nie na żarty.

– To chwilowe. Nic strasznego, zasapałam się i tyle. Zaraz przejdzie. Właściwie już mi lepiej. – Błady uśmiech nie wypadł zbyt wiarygodnie. Spróbowała wstać. Zachwiała się. Zawroty głowy wróciły. O mało się nie przewróciła. Z trudem utrzymała równowagę. Pośpiesznie chwyciła brzeg biurka. Usiadła.

– Chyba będzie musiał mi pan trochę pomóc. Proszę podać to granatowe pudło.

Posłusznie dźwignął wskazaną paczkę.

– Ciężkie – jęknął. – Co jest w środku?

– Albumy. Jedna z niewielu rzeczy, które zabrałam od Heleny. Głupio byłoby wyrzucić. Zresztą, to jedyne pamiątki po siostrze. Proszę mi je podać.

Przerzuciła kilka kartek w pierwszym albumie i odłożyła go na bok. To samo zrobiła z drugim. Dopiero trzeci okazał się tym, którego szukała.

– Proszę spojrzeć na te zdjęcia i porównać.

Pucki spełnił prośbę. Gapił się na podsunięte mu pod nos fotografie jak sroka w gnat. Im dłużej patrzył, tym bardziej przekonywał się, że nic szczególnego w nich nie dostrzega. Banalne fotki z wakacji, jakich w życiu widział dziesiątki.

– Jak mam być szczery, to nie bardzo rozumiem o co chodzi – skapitulował.

– Mówiłam Barbarze, że żaden mężczyzna tego nie zauważy. Te fotografie dzieli zaledwie kilka miesięcy, a proszę spojrzeć, jak bardzo Helena się w tym czasie zmieniła!

Wziął do ręki błyszczące kartoniki. Teraz, gdy wiedział, czego szukać, widział to wyraźnie.

– Zanedbała się, była smutna. Pewnie coś złego ją spotkało albo wpadła w kłopoty.

– Otóż to! A teraz niech pan zerknie na daty na odwrocie.

Zrobił, jak kazała.

– Sześć i pół roku temu.

– Teraz pan rozumie, co to były za kłopoty? Cięża. Na zdjęciach tego nie widać, bo to dopiero pierwsze miesiące. Może się martwiła, może kiepsko się czuła, a może jedno i drugie. Nieważne. Ważny jest ten mężczyzna obok niej. To Rafał. Niestety, nie znam nazwiska. Musi być ojcem. Znajdźcie go, a znajdziecie dziecko.

Pucki ponownie wbił wzrok w zdjęcie, tym razem całą uwagę skupił na mężczyźnie. Gdyby miał go określić jednym słowem, powiedziałby „wytworny”. Nie chodziło nawet

o starannie dobrany strój, gładko wygoloną twarz czy idealną fryzurę. Komisarz był przekonany, że tajemniczy Rafał wyglądałby dystyngowanie nawet w kąpielówkach albo w pizamie. Czyżby był to właściciel granatowego Audi A4, o którym opowiadała Jadwiga Białobrzaska? To miało sens.

– Czy w albumie są zdjęcia dziecka? – Nim zdążył dokończyć pytanie, już wiedział, że palnął bzdurę. – Co ja gadam – zmitygował się. – Bez sensu pytam, gdyby były, pytanie o dziecko tak by pani nie zaskoczyło.

– A wie pan, to ciekawe. Niewykluczone, że kiedyś były. Proszę to zobaczyć. – Wskazała palcem postrzępiony brzeg w miejscu, gdzie ktoś wyrwał kartki.

– Rzeczywiście – odparł kurtuazyjnie. Nie bardzo wiedział, co o tym myśleć. Jeśli dziecko nie żyło, matka mogła wyrwać zdjęcia, by nie przypominały jej traumatycznego wydarzenia. Chociaż doświadczenie uczy, że w takich wypadkach kobiety raczej pielęgnują najdrobniejsze pamiątki. Z drugiej strony, jeśli nie matka, to kto? Może zareagowała nietypowo? Ludzie różnie sobie radzą z tragediami. Nic teraz nie wymyśli, wyrwanymi stronami będzie się martwić później, na razie trzeba skoncentrować się na tym, co los mu podsunął.

– Czy mógłbym pożyczyć na trochę kilka zdjęć? Takich, na których dobrze widać tego Rafała. Oddam, jak tylko technicy zrobią odbitki.

– Oczywiście, proszę sobie wybrać. Czy jeszcze w czymś mogę pomóc? Nie chcę być nieuprzejma, ale chyba muszę odpocząć.

– Już mnie nie ma. Dziękuję, bardzo mi pani pomogła – wyrecytował kurtuazyjną formułkę. Czy rozmowa rzeczywiście pomogła, czy tylko wprowadziła dodatkowe zamieszanie do zagmatwanego śledztwa? To pytanie nurtowało Puckiego. Dziecko mogło być ważne – skłócenie, walczący o potomka rodzice do niejednego mogą się posunąć. Z drugiej strony, mógł to być kolejny mylny trop. Tak czy owak należało odszukać partnera ofiary. Komisarz znał tylko imię i markę samochodu. Teraz zdobył zdjęcie. Nie za dużo. Czy to wystarczy? Szczerze wątpił.

\*

Dziecko! To wszystko zmieniało. Przynajmniej jeśli żyło. Sprawdziła godzinę. Prawie czwarta. Kancelaria powinna być otwarta. Sięgnęła po telefon, wybrała numer.

– Dzień dobry, chciałam umówić spotkanie z mecenas Zielińską... Tak, jestem klientką... Nie, nie śpieszy mi się... Z pewnością nie w tym tygodniu, raczej w przyszłym... Tak, w środę o trzynastej będzie wyśmienicie... – Do widzenia!

## ROZDZIAŁ 13

Są takie dni, kiedy czas przecieka człowiekowi przez palce niczym woda przez sito. Niby się nie obijasz, niby cały czas jesteś zajęty, pod koniec jesteś zmachany jak dorożkarska szkapa, ale gdybyś miał tak uczciwie, bez koloryzowania powiedzieć, co konkretnego zrobiłeś, możesz co najwyżej milczeć.

Jeden z takich dni właśnie dobiegał końca. Od rana Pucki gdzieś biegał, coś załatwiał, z kimś się spotykał. Wyprodukował stertę zupełnie zbędnych raportów, sprawozdań i notatek służbowych, odbębnił dwa zebrania, z których wynikało, że „na razie nic nie wiemy, ale ciężko pracujemy i powoli, ale konsekwentnie posuwamy sprawę do przodu”, wynudził się na szkoleniu z zapobiegania przemocy w miejscu pracy, odbył z tuzin bezowocnych rozmów i wykonał tyleż równie bezowocnych telefonów. Nawet na lunch nie miał czasu wyskoczyć. Zadowolił się kawą i kanapkami zjedzonymi pośpiesznie przy biurku. Co z tego, jeśli efekty był mniej niż mierne. Były żadne. Nie pchnął śledztwa do przodu nawet o milimetr.

*Starzeję się – pomyślał. – Dziesięć lat temu po robocie pobiegłbym rześki z kumplami na piwo, a teraz ledwie zipię. Ech...* – Westchnął ciężko i z ociąganiem zaczął zbierać papiery, cały czas rozmyślając nad ciężkim losem podstarzałego policjanta. Z zadumy wyrwał go sygnał telefonu. Spojrzał na wyświetlacz. Dzwoniła Barbara Brodzka. Uparta baba. A już myślał, że da mu spokój. Na ogół cenił sobie współpracę ze świadkami, ale nienawidził domorosłych detektywów. Naogląda się taki seriali dla kucharek albo naczyta powieści dla młodzieży i żyje w przekonaniu, że sam poprowadzi dochodzenie lepiej niż policja. Pół biedy, jeśli tylko łązi po sąsiadach i wypytuje – najwyżej ktoś go objedzie za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Gorzej, gdy z każdą rewelacją biegnie na policję i zaczyna pouczać. Trzeba takiego typu wysłuchać, sporządzić protokół, podjąć wątek. Jakby mało było roboty i bez tego.

Odczekał chwilę. Nic z tego. Babsko nie poddawało się. Zrezygnowany odebrał.

Przywitał się uprzejmie. Propozycję spotkania przyjął z nadmiernym wręcz entuzjazmem.

Dobry śledczy musi być niezłym aktorem. Tym razem Pucki wzbił się na wyżyny. To była kreacja na miarę Oskara. Barbara Brodzka w życiu by się nie domyśliła, co myśli o niej i jej działaniach.

\*

Zebrała włosy w koński ogon. Spojrzała w lustro. Efekt nie był satysfakcjonujący. Mimo „kościółkowej” garsonki i niewygodnych czarnych butów na obcasie wciąż nie wyglądała wystarczająco poważnie. Wpatrywała się z dezaprobatą w swe odbicie. Co by tu zmienić? Kok!



– Mamo! – wrzasnęła tak, że słysząc ją było nawet w sąsiednim mieszkaniu. – Mogę wziąć szpilki do włosów?

– Szpilki? – Matka nie kryła zdumienia. – Możesz. A po co ci?

– Jak to po co? Włosy chcę upiąć! Po cóż by innego?

Męczyłaby się z tymi nieszczęsnymi szpilkami chyba do końca dnia, gdyby zaciekawiona matka nie zajrzała pod byle pretekstem do pokoju.

– Daj, pomogę ci – powiedziała, widząc nieporadne próby córki. – A właściwie, co się stało? Wyglądasz... Jak by to powiedzieć... Jak nie ty. Idziesz na rozmowę o pracę? – zapytała z nadzieją. Nie od dzisiaj uważała, że córka powinna znaleźć sobie jakieś godne szacunku zajęcie, najlepiej „na państwowym”, bo te wieczne zlecenia to nic dobrego.

– Nie, po prostu chcę, żeby taki jeden potraktował mnie poważnie.

– Co za jeden?

– Nieważne. Po prostu taki jeden i już.

Matka nic nie odpowiedziała. Wzruszyła tylko ramionami i wbiła ostatnią szpilkę. Odrobinę mocniej, niż to było konieczne. Dawno już straciła nadzieję, że jakoś dogada się z córką. Bez słowa wróciła do swojego pokoju.

\*

Wkraczając do gabinetu Puckiego, Barbara czuła się głupio. To nie był dobry pomysł. Być może z zewnątrz wyglądała na osobę dystygowaną i godną zaufania, ale przebranie ograniczało ją, krępowało i pozbawiało pewności siebie. Matka miała rację. Nie była sobą. Była żalonym przebierańcem. Spięte ciasno włosy ciągnęły, sprawiając, że bolała ją cała skóra na głowie, szpilki kłuły i uwierały, garsonka ograniczała ruchy. Do tego te nieszczęsne buty. Tak rzadko chodziła na wysokim obcasie, że teraz z trudem utrzymywała równowagę. Poruszam się z gracją krowy na lodzie – pomyślała zła na siebie. Trzeba było założyć normalne adidas, dzinsy i co najwyżej narzucić marynarkę. Na zmianę garderoby było już jednak zdecydowanie za późno. Nie miała innego wyjścia, jak tylko robić dobrą minę do złej gry.

– Dzień dobry – wyciągnęła rękę na powitanie, starając się nadać głosowi nieco nonszalancki ton.

Postanowiła od razu przejść do rzeczy. Z przepastnej torby wyciągnęła pracę Marianny Pol. Podetknęła ją komisarzowi pod nos.

– Znalazłyśmy to w mieszkaniu Heleny. Proszę zobaczyć, ile porobiła notatek na marginesach! Tu i tu, i tu!

Zamaszyście przewracała kartki, co i rusz dźgając palcem oznaczone fragmenty.

Komisarz nic nie powiedział, spojrzawszy tylko pytającym wzrokiem.

– Też na początku nie wiedziałam, o co chodzi, ale pogrzebałam w bibliotece i natknęłam się na to! – Rzuciła na biurko zeszyt z notatkami. – Nie wiem, dlaczego nie

pozwolili mi skserować nawet jednej strony. Poszaleli z tą ochroną praw autorskich, ale zrobiłam notatki.

Z błyskiem tryumfu w oku stuknęła palcem w zapisaną drobnym maczkiem kartkę. Niech pan sam przeczyta.

– Automatyczna synchronizacja prądnic z zastosowaniem metod numerycznych – odczytał posłusznie.

– A teraz niech pan przeczyta tytuł pracy.

– Zastosowanie metod numerycznych do automatycznej synchronizacji prądnic.

– Widzi pan? – Spojrzała wyczekująco.

– Owszem, widzę, że tytuły podobne. Nie znam się na tym, ale pewnie to jakieś popularne zagadnienie. W nauce, jak we wszystkich dziedzinach życia, pojawiają się mody. Widocznie ostatnio modne są prądnice.

– Ale to nie chodzi tylko o tytuł! Tytuł jest nieważny! Te wszystkie fragmenty, które zaznaczyła Helena są w obu tekstach niemalże identyczne. Co najwyżej to i owo przeredagowano dla niepoznaki.

– Sądzi pani, że Marianna Pol popełniła plagiat?

– Skądże! Wręcz przeciwnie, to promotor popełnił plagiat. Praca ma wcześniejszą datę niż artykuł.

– Co pani sugeruje?

– Myślę, że Helena wykryła plagiat i dlatego została zabita! Właściwie jestem tego pewna!

– A może po prostu praca magisterska pokrywała się z dziedziną, którą zajmował się promotor? Tak często bywa.

– Nie, nie, nie! To nie jest tekst podobny. To tekst przepisany! I to od kogo? Od własnej studentki! Gdyby to wyszło na jaw, to mógłby być koniec kariery naukowej doktorka.

– Dobrze, przyjrzymy się temu – zgodził się.

Znała ten ton. Dokładnie tak samo odpowiadała matka, gdy się ją o coś prosiło. „Tak, tak, kochanie, tak zrobię” – mówiła, a potem i tak robiła po swojemu.

Barbara poczuła narastający gniew. Znowu potraktował ją jak idiotkę.

– Znowu pan mnie zbywa. – Wybuchnęła, tracąc panowanie nad sobą. – A ten cały Marchwiński siedzi sobie zadowolony w Stanach na cieplej posadce i się śmieje.

Pucki znieruchomiał.

– Marchwiński, powiedziała pani? Zdzisław Marchwiński?

– Tak, doktor Zdzisław Marchwiński.

– Momencik!

Komisarz wygrzebał z szuflady wydruk z konta Heleny Rubiszewskiej. Od dawna wyznawał zasadę, że komputer komputerem, a kwit jest kwit. Na wszelki wypadek drukował i przechowywał w aktach, co tylko się dało. Złapał papiery, położył je na

parapecie. Nie bacząc na maniery, stanął tyłem do Barbary tak, by plecami zasłonić dokumenty. Powiodł palcem po kolumnach cyfr. Nazwisko Marchwińskiego pojawiało się z zadziwiającą regularnością. Co miesiąc, dokładnie piątego, wpłacał tysiąc złotych. Tytuł przelewu za każdym razem był taki sam; oczywiście nieśmiertelne „zasilenie konta”. To rzeczywiście wyglądało na szantaż. Sama kwota nie była z pewnością imponująca, ale za to stała. Tak mógł postąpić mądry szantażysta: wykorzystywać ofiarę skutecznie, ale żądać sum nieprzekraczających jej możliwości. Lepiej krowę codziennie doić i mieć zagwarantowane świeże mleko, niż zarznąć ją, napchać się raz do wypęku, ale za to stracić stałe źródło dochodu. Nie mówiąc już o tym, że jednorazowa, zbyt wysoka kwota mogła być dla ofiary nie do zaakceptowania. W bilansie zysków i strat jednorazowa afera mogłaby wydać się mniej groźna niż doszczętne wyczyszczenie konta. Pod warunkiem, że było co czyścić. Tak, cała sprawa naprawdę wydawała się godna zbadania.

Zebrał papiery, schował je na powrót do szuflady.

– To ciekawy trop. Z pewnością się tym zajmiemy. Dziękuję za informacje!

Tym razem nie wątpiła w szczerść jego słów.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po opuszczeniu komendy, było pozbycie się tych nieszczęsnych szpilek i wsuwek. Nie bacząc na ciekawskie spojrzenia przechodniów, zdecydowanym ruchem zlikwidowała kok. Pokręciła energicznie głową, pozwalając, by włosy rozsypały się luźno. Co za ulga! Szkoda, że nie wzięła butów na zmianę, o ileż wygodniej byłoby bez tych upiornych obcasów. Ale co tam, warto było się trochę pomęczyć. Najważniejsze, że przekonała tego uparciucha. Zadowolona z siebie, lekko utykając, ruszyła w stronę przystanku.

\*

– Szefie, dziś przyjdzie ten gość od polisy na życie. Pamięta pan?

– Tak, oczywiście pamiętam – zełgał bezczelnie, bo tak naprawdę zapomniał na śmierć. – Za ile będzie?

– Za jakieś czterdzieści minut.

Komisarz nie dał nic po sobie poznać, ale odetchnął w głębi ducha. Dzięki Bogu, zdąży jeszcze wypić kawę i pozbierać myśli: poukładać w głowie to, czego dowiedział się o Marchwińskim i przygotować się do przesłuchania tego, jakże mu tam było...

\*

Paweł Czarski okazał się korpulentnym, lekko łysiejącym panem w średnim wieku. Wyglądał na starszego, niżby to wynikało z daty urodzenia. W czasach młodości Puckiego o kimś takim mówiono „podtatusiały”. Małe, głęboko osadzone, lekko zaczerwienione oczy nerwowo lustrowały otoczenie. Robił, co mógł, by wyglądać na spokojnego i wyluzowanego, ale z dość miernym skutkiem.

Standardowe pytania o imię, nazwisko i miejsce zamieszkania jeszcze bardziej wyprowadziły mężczyznę z równowagi. Było jasne jak dwa razy dwa jest cztery, że gość ma coś na sumieniu. Co, tego Pucki jeszcze nie wiedział, ale zamierzał się dowiedzieć. *Co za dzień – pomyślał. – Podejrzani mnożą się jak króliki w Australii.*

Przesłuchiwany od początku szedł w zaparte. Nie zna Heleny Rubiszewskiej. Nic nie wie. Nic nie pamięta. Skapitulował dopiero, gdy komisarz podetknął mu pod nos kopię polisy.

– To pańskie dane? – zapytał retorycznie.

Grubasek przez chwilę studiował w skupieniu dokument. Kombinował. W końcu uznał, że nie ma co kręcić. W dokumencie jak wół stało, że chodzi o niego. Gdyby nie numer PESEL, mógłby obstawać przy zbiegu okoliczności, w końcu ani nazwisko Czarski, ani tym bardziej imię Paweł nie należały do szczególnie egzotycznych. Jednak teoria, że dwóm osobom o takich samych personaliach nadano przez pomyłkę ten sam numer PESEL, była zbyt naciągana. Nie pozostało nic innego, jak tylko zrobić dobrą minę do złej gry.

– Aaaa! To! – Pacnął się w czoło gestem tak teatralnym, że nawet w szkolnych jasełkach uznanoby go za nazbyt sztuczny. – To stara historia. Zupełnie zapomniałem.

– Ach, tak! – Pucki był wcieleniem uprzejmości. – Proszę sobie przypomnieć.

Grubasek nieco się zacukał.

– Co mam opowiedzieć?

– Co to za polisa, dlaczego jest pan beneficjentem, takie tam.

– Polisa jak polisa. Halina musiała jakoś zdobyć moje dane i podać ubezpieczycielowi.

– Halina?

Czarski niespokojnie poprawił się na krześle. Niezgrabnie wyciągnął szyję, zezując na leżącą na biurku kopię polisy.

– Helena – sprostował pośpiesznie.

– Dlaczego wybrała akurat pana?

– To ją proszę zapytać. Kto tam za babą trafi.

– Pani Rubiszewskiej raczej nikt już o nic nie zapyta.

– Czy...? – W powietrzu zawisło niedokończone pytanie.

– Tak, Helena Rubiszewska nie żyje.

Twarz przesłuchiwanego na moment przybrała dziwny wyraz. Pucki nie był pewien, co wyrażała: strach, ulgę, zdumienie, zaskoczenie? A może wszystkiego po trochu?

Komisarz nie naciskał. Czekał. Obserwował. Analizował. W oczach rozmówcy jak na dłoni widział rozterkę. Mógł przyjąć standardową taktykę przesłuchania: wykorzystać niepewność zbitego z tropu rozmówcy, wyrzucić presję, nie dać mu czasu na wymyślenie nowej historyjki. Metoda często działała, ale równie często dawała odwrotny skutek – przesłuchiwany zamykał się w sobie i za żadne skarby nie można z niego było wyciągnąć nawet najprostszej, niewinnej informacji. Postanowił wybrać inny wariant. Dać

Czarskiemu czas. Niech coś wymyśli, niech plecie, co chce. Przyłapanego na kłamstwie najłatwiej przyprzeć do muru. Zresztą, z kłamstwa też można wyciągnąć użyteczne wnioski, chociażby dowiedzieć się, jakie fakty są dla podejrzanego niewygodne, co woli przemilczeć lub przeinaczyć. Jeśli to wiesz, wiesz, gdzie szukać.

Nieoczekiwanie Czarski rozluźnił się, uśmiechnął, wyglądał wręcz na zadowolonego.

– Jeśli nie żyje, to znaczy, że należą mi się pieniądze? – zawołał, nie próbując nawet ukrywać radości.

– Myślę, że tak. Proponuję z tym pytaniem zwrócić się do ubezpieczyciela. Teraz jednak wróćmy do naszych spraw. Powtórzę pytanie: – Dlaczego Helena Rubiszewska wyznaczyła pana na beneficjenta polisy?

– Oj, to stara historia. – Zrobił minę zawstydzonej panienki. – Przez pewien czas byliśmy ze sobą blisko. Powiedziałabym: bardzo blisko.

– Na tyle blisko, że zrobiła z pana spadkobiercę?

– Nawet bliżej. – Uśmiechnął się lubieżnie i puścił do komisarza oko.

– Byliście aż tak blisko – słowo „tak” Pucki wymówił nieco głośniej i wolniej – a nie pamiętał pan ani jej imienia, ani nazwiska.

– Kto by tam pamiętał wszystkie panny. – Zachichotał. Z ust nie zniknął wulgarny, obleśny uśmiešek.

– Rozumiem. Czy wiedział pan o polisie?

– Już mówiłem, że nie. To musiał być jej pomysł.

– Jak pan myśli, dlaczego podjęła taką decyzję?

– Już mówiłem, że nie wiem. Pewnie z miłości. Widocznie miała taki kaprys.

– Proszę mi w takim razie powiedzieć, kiedy ostatni raz widział pan Helenę Rubiszewską?

– Niech pomyślę, będzie ze trzy lata temu.

– Pamięta pan okoliczności?

– Okoliczności? – Zawahał się. – Znaczą, gdzie i kiedy?

– Tak.

– Dnia i godziny dokładnie nie pamiętam. Jakoś zimą chyba. Tak, tak, zimą! – Początkowo zacinał się, zatrzymywał, zastanawiał, lecz z każdym słowem opowieść nabierała tempa. Mówił coraz pewniej i płynniej. – Do kawiarni ją zaprosiłem. Powiedzieć, że zrywam. Po prawdzie, to mi się znudziła. Trafiłem na młodszą i bardziej chętną, rozumie pan?

Pucki nie skomentował. Z kamienną miną kontynuował przesłuchanie.

– Jak ona do tego podeszła?

– A jak miała podejść? Popłakała troszkę, pojęczała i dała spokój. Do miłości człowieka zmusić się nie da – zakończył sentencjonalnie.

– Nigdy potem już się nie widzieliście?

– Nie.

- Na pewno? Nawet przypadkiem?
- Na pewno – potwierdził energicznie. Zbyt energicznie.

\*

Dalsza rozmowa nic nie wniosła. Czarski trzymał się swojej historii. Bez sprzeciwu podpisał zeznania, solennie obiecał, że zadzwoni, jeśli tylko sobie coś przypomni, i radośnie opuścił komendę.

\*

Zmęczony komisarz wstał, podszedł do okna, oparł się dłońmi o parapet i znieruchomiał. Widok nie był zbyt imponujący: niewielki, wybetonowany parking, z lewej strony szlaban, z prawej ogromny kontener na śmieci. Nie chodziło jednak o podziwianie pejzażu. Musiał pomyśleć. Cała historia nie trzymała się kupy. Po pierwsze, Paweł Czarski raczej nie był typem amanta. Na Apolla Belwederskiego nie wyglądał, inteligencją ani erudycją na kolana nie powalał, elegancją nie urzekał. Oczywiście, o niczym to nie świadczyło, liczy się wnętrze, a nie wygląd i tak dalej, ale Pucki jakoś nie potrafił wyobrazić sobie łysawego, dość prymitywnego tłuszciocha w roli pogromcy damskich serc.

Poza tym, jeśli Czarski rzucił Helenę, dlaczego nie zlikwidowała polisy albo nie zmieniła beneficjenta? Przez jakiś czas mogła liczyć na to, że niewierny kochanek wróci, ale trzy lata to dość czasu, by nawet najbardziej naiwna osoba pozbyła się złudzeń. Mało prawdopodobne, że porzucona kobieta chciałaby wspierać byłego partnera. Dobrze, jeśli w takiej sytuacji dama nie próbuje się mścić. Na troskę z jej strony nie ma co liczyć.

Na dodatek historia o bliskiej znajomości była niewiarygodna. O ile przy dużej dozie dobrej woli można było uwierzyć, że mężczyzna w pierwszej chwili nie skojarzył, o kim mowa – każdemu zdarza się zaćmienie umysłu, szczególnie jeśli okoliczności są stresujące, a przesłuchanie z pewnością taką okolicznością jest - o tyle to, że pomylił imiona dyskredytowało historyjkę. Można zapomnieć imię przygodnej dziewczyny, z którą spędziło się jedną noc, ale nie kogoś, kto wyznacza cię na głównego beneficjenta polisy opiekującej na ćwierć miliona.

I jeszcze jedno. Dlaczego Helena Rubiszewska w ogóle ubezpieczyła się na życie? Osoby samotne, a Helena była samotna, rzadko to robią. Bo niby po co? Takie inwestycje robi się, aby zabezpieczyć finansowo najbliższych: dzieci, męża, żonę, partnera. Zresztą ludzie przed pięćdziesiątką rzadko decydują się na taki krok. Odganiają myśli o własnej śmiertelności. Potrzebny jest jakiś silny bodziec, by ich do tego pchnąć. Czy Helena Rubiszewska czegoś się bała? I czy Paweł Czarski miał z tym coś wspólnego? Czy dlatego zaprzeczał, jakoby znał denatkę? *Trzeba się będzie typowi przyjrzeć. Zdecydowanie jest z nim coś nie tak!* – pomyślał.

## ROZDZIAŁ 14

Niechybnym znakiem powrotu do zdrowia jest nuda. Joanna właśnie osiągnęła ten frustrujący etap rekonwalescencji, przez który każdy chory musi przebrnąć: czuła się na tyle dobrze, że wręcz rozpierała ją chęć działania. Miała dość leżenia, oglądania filmów i słuchania radia. Jednak, gdy próbowała wziąć się do roboty, bardzo szybko opadała z sił. Nawet tłumaczenie – praca umysłowa, niewymagająca fizycznego wysiłku, szła jak po grudzie.

Bezmyślnie klikała kolejne łącza, brnąc w coraz to dziwniejsze obszary sieci. Obejrzała nieprzebraną liczbę zdjęć słodkich piesków i kotków, trafiła na stronę, gdzie miłośniczka szydełkowania prezentowała galerię własnoręcznie wydzierganych, włóczkowych świnek i krówek, znalazła kilka „absolutnie genialnych” (przynajmniej zdaniem auterek) przepisów na ciasta, by za chwilę zagłębić się w lekturze artykułu o problemach finansowania współczesnej astrofizyki. Gdy doczytała do końca, dostrzegła na dole napis „przeczytaj także”. Pierwsze miejsce wśród proponowanych artykułów zajmował tekst poświęcony przeróżnym sektom. Tematyka był zupełnie nieinternująca, ale pobudziła nowe skojarzenia.

\*

Powodowana nagłym impulsem Joanna wpisała w oknie wyszukiwarki słowa „Promień prawdy”. W wyniku otrzymała ponad trzy i pół miliona linków: od religijnych, przez literackie. Dopisała z przodu słowo „seкта”. Nie pomogło. No tak, bo jaka sekta przyzna się oficjalnie do tego, że jest sektą? Joanna fuknęła zdumiona własnym brakiem rozsądku. Usunęła wyraz „seкта”, za to nazwę „Promień prawdy” ujęła w cudzysłów. Wyszło znacznie lepiej. Już na pierwszej stronie znalazła łącze „Promień prawdy – Ośrodek Duchowego Wsparcia”. Kliknęła. Na ekranie pojawiła się elegancka, nowoczesna witryna utrzymana w pastelowej tonacji. Dyskretne logo przedstawiające wyciągniętą pomocną dłoń, mimo że nie było ani duże, ani krzykliwe, od razu rzuciło się w oczy. Ktoś to dobrze przemyślał, ktoś kto znał się na rzeczy. „Jesteśmy tu, by Ci pomóc. Czekamy!” – głosiło wypisane pod spodem kursywą hasło. Wyświetlony pod nim znacznie mniejszą czcionką tekst zachęcał do kontaktu z ośrodkiem. Okrągłe, uprzejme zwroty pełne ogólników i komunałów, nieniosące za sobą praktycznie żadnej treści. *Problemy... Wsparcie... Porozumienie...* Słowa, które mogły znaczyć wszystko, a w praktyce nie znaczyły nic. Marketingowy bełkot. Frazesy będące jedynie gładkim

wprowadzeniem do ostatniego zdania-zaproszenia: *Przyjdź, zobacz, kim jesteśmy i co możemy dla Ciebie zrobić!*

W nadziei, że być może zdjęcia zdradzą więcej, przeszła do zakładki „Galeria”. Liczba i zawartość fotografii nie rzucały na kolona. Ani jednego człowieka, ani jednej twarzy czy choćby sylwetki. Same wnętrza. Wszystkie urządzone z tą samą prostotą i elegancją, jaka cechowała witrynę ośrodka. Niskie, szklane stoliki, fotele w kształcie przydrożnych głazów, perfekcyjnie wkomponowana w wolną przestrzeń niewielka fontanna, zdobiące ściany, czarno-białe zdjęcia artystyczne, wysmakowane kompozycje kwiatowe. Stonowane kolory. Brakowało tylko klasycznej muzyki w tle. Przypominało to bardziej luksusowe SPA albo poczekalnię u modnego psychoanalityka niż siedzibę sekty. Na zdjęciach nie było nic z tego, czego spodziewała się Joanna. Żadnych nawiązań orientalnych czy religijnych. Tylko prostota i dyskrecja. Tak, to był właśnie przekaz podprogowy skierowany do potencjalnych gości – „jesteśmy dyskretni, bardzo dyskretni!”.

– Ciekawe, po co wam ta dyskrecja? Co chcecie ukryć? – mruknęła zaintrygowana. Zerknęła w górny róg monitora. Było dopiero kilka minut po jedenastej. Do spotkania z adwokatką zostało kilka godzin. Miała czas. Bez zbędnego namysłu zadzwoniła po taksówkę i zaczęła pośpiesznie szykować się do wyjścia.

\*

Stała na środku chodnika, patrząc bezradnie dookoła. Pod siedzibę „Promienia prawdy” przyjechała pod wpływem impulsu, bez żadnego planu. Dopiero po wyjściu z taksówki zaczęła gorączkowo rozmyślać, co dalej. Nie może przecież sterczeć jak kołek na środku drogi. W pierwszym odruchu chciała wejść do budynku, ale zrezygnowała, zanim jeszcze zrobiła pierwszy krok. Jeśli napastnik rzeczywiście był członkiem sekty, nie należało pchać mu się w łapy. Spojrzała na drugą stronę ulicy. Szczęście jej sprzyjało. Dokładnie naprzeciwko była mała kawiarnia. Właściwie cukiernia, z dwoma mikroskopijnymi stolikami wciśniętymi w kąt. Idealne miejsce do obserwacji.

Zamówiła bajaderkę z cappuccino. Dla niepoznaki ostentacyjnie ułożyła na stoliku komórkę. Od niechcenia dłubała łyżeczką w ciastku, uderzając przy tym od czasu do czasu palcem w ekran telefonu. Chciała wyglądać jak znudzona gospodyni domowa zabijająca czas bezmyślnym surfowaniem po internecie.

Kolejne minuty mijały, a za oknem nic ciekawego się nie działo. Kilka razy ktoś wszedł do siedziby „Promienia prawdy”, kilka razy ktoś wyszedł. Jak to w publicznych budynkach bywa.

Sprawdziła, która godzina. Nie było sensu wracać do domu. Zamówiła kolejne ciastko.

– Nie powinnam jeść tyle słodczy, ale macie tu takie pyszności – zagadnęła sprzedawczynię.



– Bardzo mi miło, że pani smakuje – odparła ekspedientka, okraszając odpowiedź sztucznym, służbowym uśmiechem niepozostawiającym cienia wątpliwości co do tego, ile ją obchodzi opinia przygodnej klientki.

Lekko zażenowana Joanna wróciła do stolika. Bez większej nadziei wyrzała przez okno. Po kiego grzyba tu przyjechała? Czego oczekiwała? Cały ten pomysł był głupi i tyle! Zmarnowała tylko czas.

I wtedy przyszedł. Poznała go od razu. Ta sama sylwetka, ten sam chód, te same oczy. Odwróciła się plecami do witryny, w nadziei, że jej nie zaważył. Drżącą z podniecenia ręką wybrała numer Puckiego.

– Oby odebrał! Oby tylko odebrał! – powtarzała w duchu.

Odebrał od razu.

\*

Dotarcie do kawiarni zajęło komisarzowi niecałe pół godziny. Czuł się jak idiota. To nie było profesjonalne zachowanie, ale co miał zrobić? Doświadczenie uczyło, że jeśli już cywil rozpocznie prowadzenie swego, pozał się Boże, dochodzenia, to żadna siła nie jest w stanie go powstrzymać. Wewnętrzny głos podpowiadał, że jeśli nie pojedzie na spotkanie z Joanną, kobieta nie da za wygraną. A co, jeśli postanowi samodzielnie ruszyć śladem domniemanego przestępcy? A co, jeśli to nie domniemany, a prawdziwy przestępca? Dlaczego miałby nie zaatakować ponownie? Pełen takich niewesołych myśli komisarz wkroczył do cukierni.

– Nadal jest w środku? – zapytał bez ogródek, pomijając nawet powitanie.

– Tak – szepnęła, jakby ktoś poza Puckim i sprzedawczynią mógł usłyszeć.

– Dobrze. Pomyślmy, co dalej. Nie mogę przecież wejść do środka i zaaresztować wszystkich jak leci. Jak rozpoznam właściwego człowieka?

– Ja go rozpoznam! – palnęła bez namysłu.

– Tego tylko brakowało! – prychnął. – Jeśli to rzeczywiście on, to też panią rozpozna. W najlepszym przypadku spłoszymy go, a wtedy szukaj wiatru w polu, w najgorszym – zaatakuj ponownie, żeby uciszyć świadka.

Zamilkł, bardziej dla efektu niż z rzeczywistej potrzeby, bo plan działania zdążył już sobie ułożyć po drodze.

– Zrobimy tak – podjął. – Jeśli wszedł, to kiedyś musi wyjść. Posiedzimy, poczekamy. Pani mi go wskaże, a ja zajmę się resztą. I od razu uprzedzam: proszę za mną nie iść. Pani ma stąd zniknąć, gdy tylko będzie to możliwe. „Możliwe” w tym przypadku oznacza, gdy tylko zdoła pani odejść niezauważona przez podejrzanego. Czy to jasne?

Przytaknęła. Chciała zaprotestować, powiedzieć, że się nie zgadza, że nie zamierza tu tkwić nie wiadomo ile, że ma swoje sprawy do załatwienia, że się nie boi, że bez obaw wskaże tego drania. Chciała, ale zrezygnowała. Spojrzała w oczy Puckiego i zrozumiała, że nie ma miejsca na dyskusję.

– W takim razie muszę wykonać jeden telefon – burknęła. W rzeczy samej musiała przecież odwołać spotkanie z adwokatką.

\*

Puckiego mdliło. Owszem, lubił słodcyce, nawet bardzo, ale co za dużo to niezdrowo. Napoleonka, dwie eklerki i wuzetka, do tego popite słodką kawą z mlekiem, to za dużo nawet dla najbardziej zatwardziałego łakomczucha. Komisarzowi marzył się ogórek kwaszony i kufel zimnego piwa z przyjemną goryczką. Takich rarytasów w ofercie cukierni, rzecz jasna, nie było.

– Idzie! – szepnęła Joanna. – To on!

Z budynku wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna. Rozejrzał się niepewnie, jakby kogoś szukał, po czym dziarskim krokiem ruszył przed siebie.

– Proszę zapłacić za mnie – syknął Pucki, pośpiesznie kładąc na stole dwa banknoty dwudziestozłotowe. – I tak jak mówiliśmy: proszę za mną nie iść pod żadnym pozorem. Ma pani zniknąć, gdy tylko się da – dodał.

Joannę zagniewał nieco i belferski ton, i to, że traktował ją jak nieposłuszne dziecko. Mimo wszystko nie dała tego po sobie poznać, skinęła jedynie potakująco głową. Zadowolony komisarz bez dalszych ceregieli wypadł na ulicę.

Szedł zdecydowanie, ale nie za szybko. To nie mogło wyglądać jak pościg. Na szczęście śledzony mężczyzna zatrzymał się na pustym przystanku autobusowym.

Pucki podziękował losowi. Brak przypadkowych gapiów ułatwiał zadanie.

– Dzień dobry. Komisarz Mieczysław Pucki – przedstawił się. – Chciałbym z panem porozmawiać. Oczywiście, może pan odmówić – dodał pośpiesznie.

Reakcja nieznanego była zaskakująca. Nie zdziwił się, nie zaprotestował, nie oburzył. Nie poprosił nawet o pokazanie legitymacji. Zrobił natomiast coś, czego doprawdy trudno było oczekiwać. Uśmiechnął się szeroko, radośnie, od ucha do ucha.

– Bogumił Rzepski – odparł i wyciągnął do policjanta rękę, jakby byli dwoma biznesmenami przedstawionym sobie właśnie przez wspólnego znajomego na przyjęciu. W całej tej scenie było coś absurdalnego. Brakowało tylko, by mężczyzna wyjął z kieszeni kajdanki, zatrzasnął je na własnych nadgarstkach, a potem z uśmiechem wręczył kluczyki komisarzowi.

– Pan zapewne w sprawie zajścia na Jarzębinowej?

Oniemiały z wrażenia Pucki nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Zdobył się tylko na milczące kiwanie głową.

– Cieszę się, że mnie pan znalazł, komisarzu. Szczerze mówiąc, ulżyło mi. Czy chce pan porozmawiać od razu, czy umówimy się na jakiś inny termin? – ciągnął mężczyzna tak naturalnie, jakby zatrzymanie przez policję było rzeczą najnormalniejszą w świecie. Fakt, z formalnego punktu widzenia nie było to o zatrzymanie, ale mimo wszystko...

– Jeśli można teraz... – bąknął skonfundowany Pucki, z trudem odzyskując dar mowy – może w takim razie wrócimy do pańskiego biura?

– Czy nie powinniśmy zrobić tego formalnie, na komisariacie?

– Na komendę może pan przyjść później, podpisać oficjalny protokół – wiedział, że to nie jest właściwa odpowiedź. Ten gość skołował go kompletnie. O dziwo, propozycja nie spotkała się ze entuzjastycznym przyjęciem.

– Nie, nie! – zaprotestował Rzepski. – Lepiej zrobmy wszystko tak, jak należy. Poza tym – dodał wyraźnie zadowolony z nowego argumentu – ośrodek niedługo się zamyka. Nie chciałbym trzymać recepcjonistki po godzinach.

– Jak pan sobie życzy. W takim razie zapraszam do mojego samochodu. Zaparkowałem niedaleko.

Przez całą drogę nie zamienili ani jednego słowa. Komisarz nie miał pojęcia, co o tym wszystkim sądzić.

\*

W całej swej długoletniej karierze Pucki nie pamiętał przesłuchania, które poszłoby tak sprawnie i gładko. Bez zgrzytów przebrnęli przez standardowy zestaw pytań o personalia. Gdy padło sakramentalne sformułowanie: „co panu wiadomo na temat wydarzeń z dnia trzeciego września bieżącego roku?”, zeznania popłynęły wartko niczym górski strumień.

– Tuż przed trzecią wyszedłem z pracy. Zwykle siedzę w biurze znacznie dłużej, ale tego dnia zamierzałem wybrać się na Jarzębinową. Komunikacją miejską to godzina z okładem, a nie chciałem nachodzić nieznanym, bądź co bądź, ludzi zbyt późno. Nie wiem, o której dokładnie dotarłem na miejsce. Sądzę, że po szesnastej. Przy furtce nie było dzwonka albo ja go nie zauważyłem. Tego nie jestem pewien. W każdym razie postanowiłem wejść na teren posesji. Pomyślałem, że może dzwonek jest przy drzwiach, a nie przy bramie. Sęk w tym, że tam też go nie było. Zapukałem, ale bez większego przekonania. Dom był piętrowy, więc jeśli gospodarze byli na górze, raczej nie mieli szans mnie usłyszeć. I rzeczywiście, nikt nie zareagował. Zapukałem głośniejsze. Prawdę mówiąc, waliłem w drzwi pięścią. Nie to, żebym był zły czy zirytowany. Co to, to nie. Po prostu chciałem narobić hałasu. Nawet w szybę parę razy stuknąłem. Bez skutku. Przyłożyłem ucho do drzwi, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w środku. Wewnątrz panowała kompletna cisza. Co miałem zrobić? Uznałem, że nie ma co tak sterczeć pod drzwiami, szczególnie, że zbierało się na deszcz. Już miałem odejść, gdy zobaczyłem kobietę. Trzymała w ręku telefon i krzyczała coś bez sensu. Groziła policją. Zupełnie nie słuchała moich wyjaśnień. Podeszedłem do niej, chciałem ją jakoś uspokoić, nakłonić, żeby nie dzwoniła. Opacznie zrozumiała moje intencje. Zrobiła krok do tyłu, potknęła się i upadła.

Uciekłem. Wiem, wiem, że zrobiłem źle. Powonieniem sprawdzić, czy jest przytomna, wezwać pogotowie, poczekać na przyjazd karetki. Teraz to rozumiem, ale wtedy nie myślałem trzeźwo. Pomyślałem, jak to wygląda z boku. Jak nic policja wzięłaby mnie za włamywacza. Spanikowałem.

Od tamtego dnia cały czas dręczy mnie sumienie. Chciałem nawet zgłosić się dobrowolnie na policję. Kilka razy byłem o krok od tego, ale w ostatniej chwili brakowało mi odwagi. Dzisiaj, gdy pan się zjawił, naprawdę mi ulżyło.

– Rozumiem – podsumował Pucki. – Ludzie w szoku często zachowują się nieracjonalnie. Proszę mi powiedzieć, dlaczego chciał się pan spotkać z poszkodowaną?

– Sądziłem, że ma ważne dokumenty, które powinny jak najszybciej trafić z powrotem do naszego ośrodka.

– Joanna Tańska nie wspominała o żadnych związkach z „Promieniem prawdy”.

– Bo żadnych związków z naszą organizacją nie miała – odpowiedział ani trochę niezbity z tropu Rzepski. – Dokumenty przez pomyłkę zabrała jej siostra, Helena, a ona, jak wiadomo, już niczego nikomu nie odda. Musiałem więc prosić o zwrot spadkobierców.

– Dopiero teraz? Od śmierci Heleny Rubiszewskiej minęło już sporo czasu.

– To trochę skomplikowane. Świętej pamięci Helena zabrała papiery tuż przed śmiercią, a my zorientowaliśmy się dopiero po jakimś czasie. Szczerze mówiąc, początkowo myśleliśmy, że policja zorientuje się w sytuacji i odda nam dokumenty, więc czekaliśmy. Gdy zrozumieliśmy, że nic z tego, musieliśmy ustalić, kto przejął majątek zmarłej. Trochę czasu to zajęło. Nie jesteśmy policją ani nawet prywatnymi detektywami. Nie mamy ani umiejętności, ani środków.

– Jasne. Jednak poszkodowana zeznała, że była przez pana śledzona na kilka tygodni przed atakiem. Jak pan to wytłumaczy?

Przesłuchiwany zrobił minę łobuziaka przyłapanego na niewinnej psocie.

– To nie tak. Kilkakrotnie chciałem do niej podejść, wyjaśnić sprawę i poprosić, by odesłała dokumenty na adres ośrodka. Tylko okoliczności za każdym razem były niesprzyjające. Musiała mnie wtedy zauważyć.

– Niesprzyjające?

– Zawsze ktoś jej towarzyszył, a sprawa była delikatna. Chodziło o poufne dane klientki. To nie było coś, czym chcielibyśmy się chwalić. Co by pan pomyślał, gdyby teczka z pana historią choroby albo z danymi bankowymi znalazła się u osoby postronnej? Przecież to by była piarowa katastrofa. Zależało mi, to znaczy nam, organizacji, na tym, by liczba wtajemniczonych osób była jak najmniejsza.

– Jeśli to tak wrażliwe dane, to dlaczego opuściły siedzibę ośrodka?

– Sam tego do końca nie rozumiem. Już mówiłem – przez pomyłkę. Wygląda na to, że sekretarka dała pani Helenie złą teczkę. Błąd ludzki, jak to teraz mawiają. Nie powinien się zdarzyć, ale się zdarzył. Bywa.

– A propos poufnych danych. Czym właściwie zajmuje się „Promień prawdy”?

– Pomagamy osobom w trudnych sytuacjach życiowych. Potrzebujących jest dużo, organizacje rządowe nie dają rady, a pozarządowe... Teoretycznie jest ich mnóstwo, ale praktyka nie wygląda tak różowo. Zazwyczaj są to organizacje prezentujące bardzo skrajne poglądy. Proszę sobie wyobrazić na przykład samotną dziewczynę w ciąży. Co ma do wyboru? Z jednej strony, organizacje skrajnie feministyczne, z drugiej ultrakatolickie. I jedni, i drudzy robią świetną robotę, ale nie każdemu z radykałami po drodze. Albo weźmy inny przykład – mąż agresywnej alkoholiczki. Kobieta upija się, bije dzieci. Co on ma zrobić? Użyje siły – wyjdzie na damskiego boksera, nie użyje – dzieci ucierpią. I tak źle, i tak niedobrze. Większość antyprzemocowych ruchów pomaga kobietom. Fakt, że dzieje się tak nie bez przyczyny, ale nietypowe sytuacje też się zdarzają. Do tego dochodzi wstyd. Szczególnie w niewielkich, tradycyjnych społecznościach, gdy taki facet się poskarży wyjdzie na niedojdę, bo co to za chłop, co sobie z własną babą nie umie poradzić. Wyobraża pan to sobie?

Pucki sobie nie wyobrażał. Wyobraźnia doszła do granic możliwości, stanęła przed betonową ścianą i nie zamierzała posunąć się do przodu ani o milimetr.

– Albo...

– Dobrze, dobrze, zrozumiałem – przerwał komisarz. – To chyba wszystko. Proszę poczekać, zaraz przygotuję protokół do podpisania.

\*

Gdy Rzepski wychodził z komendy, na dworze panował zmrok. Pora była zdecydowanie zbyt późna na kawę. Późno, nie późno, przy kawie zawsze lepiej się myśli. Co prawda na nic innego niż własnoręcznie przygotowana zalewajka nie było co liczyć, ale lepszy rydz niż nic. Ważne, że pachniała.

Wrócił do biurka, ustawił kubek w bezpiecznej odległości od papierów, żeby ich przez przypadek nie zalać, i zaczął porządkować notatki z przesłuchania.

W ogólnym zarysie zeznanie trzymało się kupy. Nie pasował tylko jeden szczegół – zaatakowana nie wspominała nic o wzywaniu policji. Z drugiej strony, uczciwie przyznała, że nie wszystko pamięta. Lekarz też potwierdził, że częściowa amnezja w jej stanie to rzecz normalna. Nad tym szczegółem można było zasadniczo przejść do porządku dziennego. Nie on budził wątpliwości komisarza.

Dręczyło go co innego. Przesłuchiwany ani razu się nie zająknął, ani razu się nie zastanowił. Na wszystko miał gotową odpowiedź, jakby od dawna był przygotowany do rozmowy z policją. I ten ton! To nie był głos kogoś opowiadającego swoją wersję wydarzeń, to nawet nie był głos kiepskiego aktora deklamującego wyuczoną rolę, Tak mógł recytować przy tablicy uczeń wyrzucający z siebie wykutą na pamięć lekcję fizyki. Niewinny człowiek tak nie mówi. Tak mówi przestępca sprzedający wymyśloną i wielokrotnie przećwiczoną zawczasu bajeczkę.

Wstał. Podeszedł do okna.

– A może się czepiasz? – powiedział do swego odbicia w lustrze. – Może nie ma w tym nic podejrzanego? Rzepski wspominał przecież i o wyrzutach sumienia, i o tym, że kilkakrotnie wybierał się na policję. Mógł tę rozmowę wielokrotnie przeżywać w wyobraźni.

Prawdopodobna czy nie, opowieść wydawała się i tak mniej fantastyczna niż wersja Joanny Tańskiej o tajemniczej sekcji i równie tajemniczej zemście.

– I co ja mam tym z fantem zrobić? – zapytał postać w szybie.

Odpowiedziało mu jedynie obojętne wzruszenie ramion.

## ROZDZIAŁ 15

Z mecenas Zielińską znały się jeszcze z czasów szkolnych. Nie były serdecznymi przyjaciółkami, nie chodziły nawet do tej samej klasy. Ten sam rocznik, ale pani mecenas – wtedy po prostu „Zdziśka z pierwszej c” wybrała profil humanistyczny, a Joanna matematyczno-fizyczny. Tej bardzo wszak powierzchownej znajomości wystarczyło, żeby ich stosunki w sposób naturalny wyszły nieco poza sztywną ramę relacji prawnik–klient.

Pani adwokat poszła znajomej na rękę i przeniosła odwołane spotkanie na kolejny dzień. Spotkały się późnym popołudniem, a właściwie wczesnym wieczorem, tuż przed zamknięciem kancelarii.

\*

Wysłuchała uważnie opowieści Joanny. Odpowiedziała nie od razu.

– No to nam się nieco pokomplikowało – podsumowała. – Zawsze, gdy w grę wchodzi osoba nieznana z miejsca pobytu, zaczynają się schody, a tutaj mamy dodatkowe komplikacje. W sumie nie wiadomo nawet, czy dziecko w ogóle istnieje. Sprawa się przeciągnie jak nic. Może w tym czasie policja ustali, czy dziewczynka żyje czy nie. To by wiele uprościło.

Przerwała, bo zdała sobie sprawę z tego, jak można zinterpretować ostatnie słowa.

– Oczywiście, mam nadzieję, że mała żyje. – Pośpieszyła z wyjaśnieniem, robiąc wszystko, by zatrzeć złe wrażenie. – Chodził mi jedynie o to, że ustalenie stanu faktycznego bardzo by pomogło. W tej chwili mamy kilka możliwości. Pierwsza, dziecko nie żyje. Druga, dzieciak ma się dobrze i pozostaje pod opieką dalszego członka rodziny. Może nawet ojca? A nuż się znalazł, zrozumiał błąd i zapragnął poznać potomka? I możliwość trzecia: dziecko zostało oddane do adopcji. Teoretycznie powinien być ślad w papierach, ale z tego, co mówiłaś, sytuacja jest zagmatwana. Ktoś mógł czegoś nie dopatrzeć, coś przeoczyć. Papiery mogły się gdzieś zaplątać po drodze. Nie takie rzeczy już widziałam!

Jeśli mała nie żyje – co ufam, nie jest prawdą – sytuacja jest jasna. Dziewczynka nie mogła mieć męża ani własnych dzieci z przyczyn oczywistych, więc ta linia dziedziczenia by odpadła. Adopcja też rozwiązuje sprawę, bo powoduje całkowite przerzucenie stosunków. No chyba że adopcja niepełna. To mało prawdopodobne, ale w tym bałaganie niczego wykluczyć niepodobna. Mamy jeszcze opcję rodziny zastępczej.

Przerwała. Joanna milczała, bo co mogłaby powiedzieć. O prawie nie miała bladego pojęcia, a nie należała do osób paplających, co im ślina na język przyniesie. Na szczęście, zanim cisza zrobiła się niezręczna, pani mecenas podjęła przerwany wywód.

– To wszystko spekulacje. Na tę chwilę musimy założyć, że twoja siostrzenica żyje i ma pełne prawo do dziedziczenia. Cóż, trzeba będzie wystąpić o powołanie kuratora procesowego. Tak, tak. To będzie najlepsze wyjście. Zgadzasz się?

Ostatnie zdanie zabrzmiało bardziej jak stwierdzenie niż pytanie. Joanna przytaknęła. Nawet jeśli problem można było rozwiązać inaczej, to ona o tym nie widziała, bo i skąd?

– A co z mieszkaniem? – padło nieśmiałe pytanie.

– No tak. Mieszkanie. Prawo dysponowania nabędziesz dopiero po postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. O ile spadek przypadnie tobie, a nie dziecku. Na tym etapie trudno wyrokować. Z wynajmem sprawa też jest skomplikowana. Formalnie kodeks cywilny nie zabrania wynajmowania cudzego mieszkania, ale może z tego wyniknąć masa awantur, kłopotów i nieporozumień. Nie wspominając już o tym, że bez prawa własności żadna agencja nie podejmie się pośrednictwa. Musiałabyś szukać lokatora na własną rękę. W mojej ocenie nie warto.

– Rozumiem, ale utrzymanie kosztuje. Nawet jeśli mieszkanie stoi puste i nikt w nim nie mieszka, trzeba uregulować czynsz i jakieś minimalne opłaty za światło, wodę, wywóz śmieci. No i wiadomo, jak mieszkanie stoi puste, to aż się prosi o włamanie. Nie ma tam nic cennego, co warto by było ukraść, ale nawet tych kilku rzeczy, które zostały, szkoda. Mogą poniszczyć, bałaganu narobić, szyby powybijać.

– Dobrze, powiem ci, co ja bym zrobiła. Z tym, że mówię to nieoficjalnie. Pamiętaj, to przyjacielska rada, a nie konsultacja adwokata. W razie czego się wyprę.– Mrugnęła porozumiewawczo.

– Jasne. *Out of record*, jak mawia młodzież.

– Otóż to. *Out of record*. Znajdź kogoś wśród przyjaciół albo jeszcze lepiej kogoś z rodziny, kto zaopiekuje się mieszkaniem. Niech pokrywa koszty eksploatacji. Lokal nie będzie stał pusty, nie będzie kusił błękitnych ptaków, no i nie będzie generował kosztów. Spiszcie umowę użyczenia, żeby w razie czego skarbówka się nie czepiała. To nie do końca zgodne z przepisami, ale nie sądzę, żeby ktoś zwrócił na to uwagę.

– Zastanowię się. Dziękuję!

Opuszczając kancelarię mecenas Zielińskiej, Joanna nie czuła się ani odrobinę mądrzejsza. Musiała ochłonać, pomyśleć. W takiej sytuacji najlepiej pomagał spacer. Uświadomiła sobie, że do mieszkania Heleny ma nie więcej niż dwadzieścia minut niezbyt szybkiego marszu. Warto by tam zajść, zobaczyć, co i jak, i chociażby otworzyć okna. A przy okazji przejdzie się i przewietrzy umysł. Zajrzała do torebki. Klucze były w środku. Taki drobny przejaw bałaganiarstwa – gdy już raz coś włożyła do torebki, zostawało tam na zawsze. No, może nie na zawsze, ale na długie tygodnie z pewnością.

\*

Spacer to nie był najlepszy pomysł. Normalnie pokonywała bez zmęczenia znacznie dłuższe trasy, ale po raz kolejny przekonała się, że jeszcze nie całkiem odzyskała siły. Na



miejsce dotarła zasapana i zmęczona, choć przecież nie szła zbyt szybko.

Musiała odpocząć. Nic tak nie stawia na nogi jak filizanka mocnej, aromatycznej herbaty. Wstawiła czajnik. Sięgnęła po kubek do wiszącej nad zlewem szafki. Wyczerpanie dawało o sobie znać. Poruszała się niemrawo i niezgrabnie. Zaczepiła bransoletką o aluminiowy uchwyt. Szarpnęła. Nadwątlona wiekiem nitka pękła. Kolorowe paciorki z głośnym stukiem potoczyły się we wszystkie strony.

– A niech to diabli! – zaklęła.

To była pamiątka. Sznurek koralików z weneckiego szkła dostała wiele lat temu od Waldka. Świeżo upieczony małżonek przywiózł je jako podarunek z pierwszego rejsu. Za kolorowe, za pstrokate, nie były ani trochę w guście Joanny. Początkowo nosiła je tylko dlatego, by nie sprawić mężowi przykrości. Potem przywykła. Rano odruchowo wsuwała ozdobę na rękę. Był to automatyczny nawyk, taki sam jak mycie zębów czy ścielenie łóżka. Czynność wykonywana bez zastanawiania. Bez bransoletki na przegubie czuła się jakaś niekompletna.

Z braku lepszego pomysłu zaczęła zbierać koraliki do pustego kubka. Całkiem sporo się tego uzbierało. Za dużo, żeby przesytać do portmonetki. Jak na złość, podczas porządków powyrzucała wszystkie zalegające w kuchni stare torebki, pudełka i słoiki. Przeszła do pokoju w nadziei, że tam coś znajdzie. Po długich, bezowocnych, poszukiwaniach w dolnej szufladzie komody natknęła się na niewielką, bawełnianą bandankę. Przesypała koraliki, związała chustkę w gustowny węzełek, jaki nosili średniowieczni podróżnicy. Da radę!

Spróbowała zasunąć szufladę. Bez skutku. Przyciskała, skrzynia nie chciała się jednak wsunąć do końca. Wystawała jakieś pięć – sześć centymetrów. Joanna nadaremnie próbowała i tak, i siak. Coś wyraźnie utknęło z tyłu i blokowało.

Mogłaby machnąć ręką. Sterczy to sterczy. Komu przeszkadza, że sterczy? W końcu nikt tu mieszka. Co z tego, jeśli natręctwo było silniejsze od zdrowego rozsądku. Im bardziej Joanna starała się nie myśleć o nieszczęsnej szufladzie, tym bardziej drażnił ją widok niedomkniętego mebla. Poddała się. Sapiąc z wysiłku, wyciągnęła skrzynię i delikatnie zdjęła ją z prowadnicy. Wsunęła rękę do wnętrza komody. Wymacała coś miękkiego. Skarpetka. Głupia, wełniana skarpetka jakoś tam wpadła i utknęła.

Dla pewności wsunęła ponownie rękę do środka. A nuż coś jeszcze zostało? Tym razem wymacała gładki, płaski przedmiot. Wyciągnęła znalezisko. Jej oczom ukazała się niewielka, ciemnoniebieska książeczka ozdobiona wizerunkiem złotego trójzębu. Widniejący pod godłem napis „Ukraine Passport” nie pozostawiał pola do domysłów.

– Co u licha? – szepnęła zdumiona.

Zajrzała do środka. Niewiele myśląc, przeszła do ostatniej strony. I wtedy zdumiała się jeszcze bardziej. Tak bardzo, że aż nieświadomie krzyknęła.

– Konstatin Błockij. Nationality Ukraine – przeczytała drżącymi z wrażenia ustami. – Po naszymu byłoby Błockij, a może Błocki? – rozważała na głos.

Jednak to nie imię i nazwisko nieznanego Ukraińca wywarło takie piorunujące wrażenie. Tym, co wstrząsnęło Joanną do głębi, było zdjęcie. Z ostatniej strony paszportu spoglądała znajoma twarz. Twarz, którą widziała na pogrzebie. Twarz domniemanego włamywacza.

Nie bacząc na późną porę, wybrała numer Puckiego. O dziwo, odebrał dość szybko. Nawet jeśli był niezadowolony z wieczornego telefonu, niczego nie dał po sobie nic poznać. Początkowo nie mógł zrozumieć, o co chodzi rozhisteryzowanej kobiecie. Opowiadała coś bez ładu i składu, o rozerwanej bransoletce, o zepsutej szufladzie, o jakieś skarpetce. Pozwolił, by się wygadała, poczekał, aż emocje nieco ostygną. Stopniowo, bez pośpiechu, uspokoił rozmówczynię. Metodycznie, krok po kroku, wy dobył wszystkie, istotne informacje.

– Proszę odłożyć paszport i nie dotykać go więcej – poinstruował na koniec. – Może zostały jakieś odciski palców, chociaż szczerze w to wątpię.

– Dobrze – zgodziła się skwapliwie.

– Proszę teraz wrócić do domu. Jutro rano przyjadę po panią na Jarzębinową. Czy o ósmej nie będzie za wcześnie?

– Nie, nie, skądże. O ósmej będzie wyśmienicie.

Osunęła się na fotel. Całe podniecenie opadło równie niespodziewanie, jak się pojawiło, a wraz z nim z ciała odpłynęły resztki energii. Była sflaczała jak balonik, z którego spuszczone powietrze. Na samą myśl, że miałaby wstać i dokąś jechać, zrobiło się jej słabo. Wybrała numer Mateusza.

– Hej – zaczęła, robiąc wszystko, by zabrzmieć niefrasobliwe. – Jestem na Parkowej, w mieszkaniu Heleny. Trochę jestem zmęczona, najchętniej bym tu przenocowała. Mógłbyś przyjechać?

– Mamo, muszę? Jestem u kolegi. Stąd na Parkową jest godzina drogi albo i więcej.

– Nie chcę żebyś sam nocował w domu.

– Mamo, nie jestem dzieckiem. Dam sobie radę.

– Tak, wiem, ale po tym włamaniu... Pewnie przesadzam, ale oka bym nie zmrużyła z niepokojem.

– A gdybym został na noc u Bartka?

– No nie wiem. Co no to jego rodzice?

– Zaczekaj.

– Baaaaaaartek! – wrzasnął na całe gardło. – Mogę u was zostać na noc?

Po drugiej stronie rozległo się tupanie, zaskrzypiały drzwi, w tle toczyła się rozmowa, której słów Joanna nie mogła rozróżnić. W końcu z oddali dobiegł ryk:

– Załatwione. Zostajesz!

– Słyszałaś. – Mateusz podjął przerwana rozmowę. – Mogę zostać.

– Nie dało się nie usłyszeć – odparła ze śmiechem. – Baw się dobrze!

– No, to pa! – zakończył rozmowę, nie dając matce szansy na zmianę zdania.

Poczuła ulgę. U kolegi Matusz będzie bezpieczny. Tam nikt nie będzie się włamywać. Może powinna wyjechać z miasta na jakiś czas? Przynajmniej dopóki nie złapią włamywacza. Jutro musi zapytać komisarza o zdanie. Właśnie! Komisarz! Że też o tym nie pomyślała. Jeszcze raz wybrała numer Puckiego.

– Przepraszam, że niepokoję, ale czy moglibyśmy się jutro spotkać od razu w mieszkaniu Heleny?

– Jeśli tak pani woli, to oczywiście. O której?

– Może być bez zmian, o ósmej. Pasuje panu?

– Tak, jak najbardziej. W sumie to nawet będzie mi wygodniej.

\*

Po skończonej rozmowie długo siedziała jak skamieniała, bezmyślnie ściskając w rękę telefon. Cała sytuacja z dnia na dzień stawała się coraz bardziej fantastyczna. Tyle lat żyła sobie spokojnie, aż tu nagle, bach! Najpierw tajemnicze morderstwo, potem sekta, a teraz afera międzynarodowa. Brakuje tylko ataku Marsjan. To nie mogło dziać się naprawdę. Albo oszalała, albo śni. Albo jedno i drugie: oszalała i śni sen szaleńca.

Siedziałyby tak jeszcze, Bóg wie jak długo, gdyby nie poczuła dziwnego, niepokojącego zapachu. Wciągnęła powietrze głęboko do nosa. Ostatnie wątpliwości znikły. Skądś dochodził swąd spalenizny.

– O matko! – krzyknęła i pędem pobiegła do kuchni.

Nad osmalonym czajnikiem unosiła się chmura czarnego dymu. Wyłączyła gaz, złapała czajnik i bardziej wrzuciła niż wstawiła go do zlewu. Odkręciła zimną wodę. Syk, kłęby pary i nieziemski smród. Czajnik bez dwóch zdań można było spisać na straty. Ze wszystkich zmartwień Joanny, to akurat wydawało się najmniej godne uwagi. Wszystko jest względne. Nawet ciężar gatunkowy zmartwienia.

## ROZDZIAŁ 16

Pucki zazwyczaj robił odprawy z samego rana. Uważał, że zebrania urządzone w środku dnia jedynie dezorganizują pracę – więcej z nich szkody niż pożytku. Ósma piętnaście to optymalna godzina. Kwadrans to aż nadto, żeby się ogarnąć, zrobić kawę albo herbatę, wymienić najświeższe ploteczki i wejść w codzienny rytm. A jeśli ktoś miał problemy z dotarciem na czas? Taka osoba, zdaniem komisarza, powinna pomyśleć o zmianie pracy. Policja to nie miejsce dla spóźnialskich i śpiochów.

Czasem jednak nawet największy uparciuch musi nagiąć zasady. Rano Pucki zajęty był sprawami ważniejszymi niż nasiadówka. W pierwszej kolejności należało zająć się odnalezionym paszportem: podjechać do Joanny Tańskiej, zabezpieczyć dowód, powypełniać papiery. Obliczył sobie, że do południa powinien ze wszystkim zdążyć. Okazał się nadmiernym optymistą. W rezultacie na odprawę wyznaczoną na punkt dwunastą wpadł zdyszany, a do tego spóźniony o prawie dziesięć minut.

– Przepraszam, że musieliście czekać – burknął. Nie zabrzmiało to ani trochę jak przeprosiny. – Nie traćmy czasu i przejdźmy od razu do rzeczy. Zaczniemy od bieżących zadań. Kozielczuk, co z listą klientów Heleny Rubiszewskiej?

Aspirant Kozielczuk poderwał się z miejsca. Stał wyprostowany niczym struna. Wprost emanował z niego entuzjazm.

– Sprawdziłem faktury za ostatnie pięć lat. W większości są opłacone. Zostało trochę zaległości, ale to drobne sumy. Nic, na co warto by zwrócić uwagę. Zrobiłem zestawienie w Excelu ze wszystkimi szczegółami. Na wszelki wypadek przygotowałem też wydruk dla pana komisarza. – Schylił się, podniósł leżącą na podłodze kartonową teczkę i z niewinną miną położył ją przed Puckim.

Salę wypełnił dziwny odgłos: ni to charczenie, ni to gulgotanie. Wszyscy obecni wbijali wzrok w podłogę, robiąc co w ludzkiej mocy, by pohamować śmiech.

– Dziękuję, aspirancie. Coś jeszcze? – spytał lodowato.

– Nie, to wszystko. – Kozielczuk ani trochę nie stracił rezonu. Co gorsza, szczeniak był wyraźnie z siebie zadowolony.

– Jeszcze ktoś? Coś? – Omiótł uczestników odprawy nieprzyjnym wzrokiem. Zauważył, że Monika z pewnym ociąganiem podnosi rękę.

– Podkomisarz Więcka, słucham! – warknął.

– Udało mi się ustalić tożsamość części osób obecnych na pogrzebie Heleny Rubiszewskiej.

– O! To ciekawe. Proszę kontynuować.

– Czy mogę? – zapytała nieśmiało, kładąc na blacie plik kartek. – Zrobiłam wydruki, żeby każdy miał swoją kopię. – Bardzo starannie podkreśliła słowo „każdy”.

Pucki zachował dyplomatyczne milczenie.

– Proszę brać po jednym zestawie. – Wskazała na pliki kartek, spiętych spinaczami. – To są zdjęcia z pogrzebu. Podpisałam osoby, które udało mi się zidentyfikować. Na wszelki wypadek ponumerowałam fotografie. Łatwiej będzie się do nich odwoływać w razie potrzeby.

Znowu zapadło milczenie. Słysząc było tylko szelest papieru.

– Dobra robota! – pochwalił Pucki. – A tak przy okazji, jeśli już macie zdjęcia przed sobą... Od razu możecie podpisać jeszcze dwie osoby. Na zdjęciu numer dwa, trzeci od lewej to Bogumił Rzepski, członek organizacji „Promień prawdy”, a na trzecim mężczyzna stojący w tle, koło drzewa, to obywatel Ukrainy, Konstantin Błockij. Zapisano?

Odpowiedziało mu gorliwe potakiwanie głowami.

– Dobrze! Wróćmy jeszcze na chwilę do ustaleń podkomisarz Więckiej. Widoczny na kilku zdjęciach mężczyzna, zidentyfikowany przez aspirantkę jako Rafała Malewski to domniemamy ojciec dziecka Heleny Rubiszewskiej. Czy wiemy o nim coś więcej? O Malewskim, nie o dziecku, oczywiście – dodał pośpiesznie.

Monice lekko zrzędała mina.

– Niewiele. Nie szukałam. Wiem tylko, że jest współwłaścicielem niezłe prosperującej sieci hurtowni budowlanych. Nie sądziłam, że to ważne.

– Rozumiem – uciął. – Ktoś ma jeszcze coś do dodania? Ktoś chce zabrać głos?

Nie było chętnych.

– Następny punkt. – Zerknął do notatek. – Zapoznam was teraz z aktualnym stanem śledztwa.

Przez kolejny kwadrans referował ostatnie wydarzenia: historię plagiatu, zeznanie Rzepskiego, wyjaśnienia złożone przez Czarskiego, historię odnalezienia paszportu.

– Pytania? – zakończył lakonicznie.

Pytań nie było.

– W takim razie ostatnia sprawa. Przydział zadań. Podkomisarz Więcka, skoro już zidentyfikowałaś Rafała Malewskiego, proszę dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Przed wszystkim miejsce pobytu – trzeba faceta szybko znaleźć i wezwać na komendę. Zobaczymy, co ma do powiedzenia. Poza tym interesują mnie wszystkie szczegóły. Nawet najdrobniejsze. Zrozumiano?

– Tak jest! – niemal krzyknęła. Nie potrafił wyczytać z jej twarzy, czy to szczerzy entuzjazm, czy jedynie kpina.

– Koziolczuk, dla ciebie Marchwiński. Na początek trzeba znaleźć specja od prądnic. Sprawdź, czy mamy na liście biegłych jakiegoś elektrotechnika. Tylko ma być naukowiec z tytułem, a nie gość, co to w garażu naprawia silniki elektryczne. Niech porówna artykuł doktora z pracą Marianny Pol. Potrzebuję fachowej ekspertyzy, czy to plagiat, czy nie.

Zamilkł na chwilę. Zerknął do notesu. Odchrząknął.

– Grońska! – podjął.– Zajmiesz się Ukraińcem. Na razie dyskretnie. Podpytaj dzielnicowych, powęsz w środowisku imigrantów ze Wschodu. Na razie nie chcę wszczynać oficjalnych poszukiwań, bo do szczęścia brakuje mi tylko ukraińskiego MSZ. To wszystko.

– A Rzepski? – padło z sali.

– Rzepskim zajmę się sam. Wszyscy wiedzą, co mają robić? To ostatnia chwila na zadawanie pytań – zązartował. Nikt się nie zaśmiał.

– No to rozejść się! Do roboty!

Westchnienia ulgi, szuranie odsuwanych krzesel, tupot nóg. Koniec narady to jej najlepszy moment.

– Podkomisarz Więcka! – rzucił w ślad za odchodzącą kobietą. – Proszę jeszcze na chwilę zostać.

Uśmiechnęła się tryumfalnie. Wiedziała, o co chce ją zapytać.

– Siadaj i gadaj! – oznajmił, gdy tylko za ostatnim uczestnikiem narady zamknęły się drzwi.

– A tak konkretnie to o czym mam gadać? – zapytała z niewinną miną.

– Nie udawaj idiotki. Skąd masz te zdjęcia?

– Jak to skąd? Z Facebooka. Mówiłam, że pogrzebię. Sam mi szef dał hasło.

– Z Facebooka? Jaja sobie robisz! Kto umieszcza na Facebooku zdjęcia z pogrzebu? Rozumiem, gdyby to była osoba publiczna, ale prywatna ceremonia?

– Witamy w XXI wieku! – Roześmiała się przyjaźnie, bez śladu złośliwości. – Pan, oczywiście nie ma konta na fejsie?

– Nie mam i mieć nie zamierzam.

– No właśnie. Dlatego nie ma szef pojęcia, co ludzie tam wrzucają. Od fotki własnego śniadania po fotorelację z porannej wizyty w toalecie. Zdjęcia z pogrzebu to doprawdy pikuś.

– No dobra, niech ci będzie. Wierzę. A tak bardziej szczegółowo?

– Bardziej szczegółowo to nie ma za bardzo o czym opowiadać. Zalogowałam się na konto nieboszczki. Połąziłam po stronach znajomych. Całkiem sporo ich miała. U jednej laski znalazłam całą serię zdjęć. Dziewczyna się lansowała.

– Lansowała? Na pogrzebie?

– Przyszła z nowym chłopakiem. No wie pan, pierwszy razy wystąpili jako para. Musiała się pochwalić. Potem wystarczyło już tylko trochę cierpliwości, kilka godzin klikania i *voilà!*

– Hmm... – Pucki zasępił się. – Ci sami ludzie podnoszą larum, że ich prywatność jest naruszona, bo w bloku wisi lista lokatorów.

– List lokatorów od lat już nie ma.

– Niech ci będzie! Kiedyś podnosili larum, bo wisiały listy.

- Niech szef nie zrzędzi. Jako policjanci powinniśmy być zadowoleni.
- Jako policjant zadowolony jestem bardzo. Jako obywatel jestem przerażony, że mieszkam wśród idiotów.
- Nadal szef zrzędzi!
- A zrzędze! Już niedługo zostanę emerytem, a emeryt musi zrzędzić. Trenuję na zapas.

Wybuchnęli gromkim, niepohamowanym śmiechem. Śmiali się długo, aż im łzy pociekły po policzkach.

\*

Śmichy-chichy, a robota czeka. Pucki chętnie by jeszcze sobie pożartował z Moniką, ale poczucie odpowiedzialności zwyciężyło.

– Pora wracać do pracy – zakomenderował.

Więcka wyszła. Dobry humor pozostał.

– Panie komisarzu, jak sobie przydzielisz Rzepkiego, to bierz się za Rzepkiego. – Sam sobie wydał rozkaz. Rozłożył na biurku protokół przesłuchania. Przeczytał raz. Potem drugi. Poczł ten dziwny niepokój, który pojawiał się zawsze, gdy podświadomość już wiedziała, że wpadał na trop. Tak jak czasem czujemy, że zapomniane, potrzebne słowo mamy tuż-tuż na końcu języka, tak Pucki czuł, że ma przed oczami ważną wskazówkę, że patrzy na nią, że musi tylko to nazwać. Po raz kolejny przeczytał tekst. I wtedy zobaczył. Tak, to było to! Nie namyślając się długo, złapał za telefon.

– Pani Joanno, przepraszam, że niepokoję. Wiem, że zająłem już dziś pani mnóstwo czasu, ale czy mógłbym dziś to pani wpaść? Najlepiej tak koło czwartej.

Zgodziła się, bo niby dlaczego miałyby się nie zgodzić?

\*

Na miejsce dotarł mocno przed czasem – kilka minut po piętnastej. Zaparkował po drugiej stronie ulicy. Przez chwilę obserwował posesję z perspektywy. Dom Joanny Tańskiej zajmował miejsce w samym środku szeregu jedenastu identycznych, wąskich, zrosniętych ze sobą segmentów. Nie było szans, by dostać się do ogródka inaczej niż przez główną furtkę albo bramę. Żeby wejść z boku, trzeba by przejść przez pięć innych podjazdów, przeskakując przy tym całkiem wysokie, metalowe płoty. Bardzo ryzykowne.

Wyszedł z samochodu. Postanowił obejść osiedle dookoła. Wszedł w mały, równoległy do Jarzębinowej, zaułek. Obie ulice wyglądały jak lustrzane odbicia: takie same szeregowce z podjazdami od frontu, takie same, niewielkie ogródeczki z tyłu. Wszystkie działki przylegały do siebie. Dwadzieścia dwa spłachetki ziemi podzielonej tak skąpo, że nie wydzielono między nimi nawet wąskiej ścieżki.

Pucki nie miał najmniejszych wątpliwości: tędy też nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby przedostać się na teren należący do Joanny. Mało tego, że drogę zagradały stalowe ogrodzenia, znacznie wyższe niż te, które widział od frontu, to jeszcze część działek otoczono gęstymi, wysokimi na ponad dwa metry, żywopłotami. Bez drabiny ani rusz. Tak, gdyby ktoś chciał się włamać do państwa Tańskich, musiałby wejść od frontu.

Zadowolony wrócił do punktu wyjścia. Przystanął przed furtką. Słupek po stronie klamki był podwyższony. Wyglądało to dość paskudnie, ale za to było praktyczne. Na końcu sterczącej belki, mniej więcej na wysokości twarzy dorosłego mężczyzny, przymocowano nowoczesny domofon: taki z mikrofonem i kamerą. Pucki uśmiechnął się zadowolony jak kot, który dopadł garnek śmietany. Dla pewności zerknął na zegarek. Dochodziła czwarta. Aż mruknął z zadowolenia. Zadzwoił.

– Proszę wejść. Furtka nie jest zamknięta. – Z głośnika dobiegł spokojny, kobiecy głos.

W otwartych drzwiach stała pani domu.

– Dzień dobry. Zapraszam. Co się stało?

– Przepraszam za najście. – Zaczął, gdy już wygodnie rozsiadł się w fotelu usłużnie wskazanym przez gospodynię. – Właściwie nie ma aż tak wielkiego pośpiechu, ale przyczepiła się do mnie jedna taka myśl i nie daje mi spokoju. Wie pani, jak to jest, coś zaczyna człowieka dręczyć i męczy niczym bolący ząb.

Łgał całkiem przekonywująco. To, co chciał zobaczyć, już zobaczył. Zostały jedynie nieistotne szczegóły.

Uwierzyła. Ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Chciałbym, żeby pani jeszcze raz wróciła pamięcią do dnia napadu. Może coś sobie pani przypomni?

Zamknęła oczy, próbując wywołać z pamięci jakiś głęboko ukryty obraz.

– Nic z tego – oznajmiła w końcu. – Czarna dziura.

– To może inaczej. Czy próbowała pani krzyczeć? Wzywać pomocy? Obezwładnić włamywacza.

– Pan tak serio pyta?

Przytaknął.

Fuknęła oburzona.

– Czy ja wyglądam na nastolatkę z horroru klasy „B”, co to się uparcie pcha do ciemnej piwnicy, obowiązkowo przy wtórze grzmotów i ponurej muzyce?

– Nie chciałem pani urazić, ja tylko... – bąknął.

– Ależ, panie komisarzu! Trochę sobie stroję żarty. A tak poważnie. Z pewnością nie krzyczałam, a tym bardziej nie rzucałam się na nikogo. Chwileczkę! Jednak coś sobie przypominam!

– Tak?



– Zobaczyłam mężczyznę manipulującego przy drzwiach. Trochę mnie wystraszył, ale nie wpadłam w panikę. Chciałam po cichutku odejść, tak żeby mnie nie zauważył. Z pewnością nie krzyczałam. I wtedy przyszedł mi do głowy idiotyczny pomysł, że zrobię fotkę.

– Po co? – wtrącił Pucki, choć było to pytanie retoryczne. Właściwie domyślał się po co.

– Nikt mi nie wierzył, gdy mówiłam, że mnie śledzi. Chciałam mieć dowód, że nie zmyślam. I po co mi to było? – dodała gorzko. – Teraz i bez zdjęcia mam dowód.

– Przykro mi. – Zakłopotany Pucki nie potrafił wymyślić mniej szampowej odpowiedzi.

– Trudno, stało się. Wracając do tamtego popołudnia. Tak jak mówiłam, chciałam zrobić zdjęcie. Wtedy mnie zauważył. Rzucił się na mnie. Zaczął mi wrywać telefon.

– Jak pani sądzi, czy mógł odnieść wrażenie, że chce pani wezwać policję?

– Nie pomyślałam o tym wcześniej, ale teraz, gdy pan o tym wspomniał... Tak, to możliwe.

Usłyszał już wszystko, co chciał wiedzieć. Odpowiedzi Joanny Tańskiej nieco go rozczarowały. Jej opowieść zasadniczo pokrywała się z zeznaniem Rzepskiego: przekonany, że kobieta chce wezwać policję, chciał jej zabrać telefon. Co prawda stanowczo zaprzeczała, jakoby podniosła krzyk, ale, paradoksalnie, to tylko potwierdza wersję podejrzanego. Ludzie zazwyczaj zupełnie nieświadomie dodają do wspomnień wyimaginowane elementy. Nie kłamią świadomie. Po prostu pewne rzeczy wydają im się tak oczywiste, że przyjmują je za pewnik. Pamięć ludzka to dziwny mechanizm. Dużo ciekawsza była inna nieścisłość. Wchodząc na posesję Tańskich, nie sposób było nie dostrzec dzwonka. Rzepski kręcił. Co do tego komisarz nie miał najmniejszych wątpliwości. Trzeba będzie gościa przycisnąć.

\*

Drzwi otworzyły się na oścież. Tylko jedna osoba na komendzie miała dość tupetu, by wejść do cudzego gabinetu bez pukania. Stary.

– Pucki, do mnie! Kurcgalopkiem! – Głęboki, mocny bas wypełnił całe pomieszczenie.

– Pędzę na jednej nodze! – odparował.

Niewtajemniczonej osobie mogłoby się wydawać, że obserwuje wesole, przyjacielskie przekomarzanie. Pucki niewtajemniczony nie był. Wiedział, że żarty szefa są jak cukrowa otoczka na tabletkę. Kolorowa i słodka skorupka skrywa w środku coś wyjątkowo paskudnego. Nie pomylił się.

Stary od razu przeszedł do rzeczy.

– Podobno wężysz wokół niejakiego Rzepskiego?

– Tak, to prawda.

– Z jakiego paragrafu?

- Sto pięćdziesiąt siedem. Uszczerbek na zdrowiu trwający dłużej niż siedem dni.
- Odpuść.
- Co?
- Powiedziałem odpuść. Jeśli gość ma na sumieniu coś złejszego niż działalność terrorystyczna albo planowanie zamachu na głowę państwa, to odpuść.
- Pucki zbaraniał. Stary kryje przestępcę? To się w głowie nie mieści. Znał szefa ponad dekadę. Owszem, nadkomisarz Marian Dorłoś był despotą i bucem, ale despotą i bucem uczciwym. Co do tego komisarz nie miał najmniejszych wątpliwości.
- Czego się tak gapisz jak cielę na malowane wrota? Sprawa jest prosta. Tym całym Rzepskim interesuje się Główna. Chodzi o to, żeby faceta nie spłoszyć. Zacziesz się za bardzo koło niego kręcić, coś wyniucha i po ptakach! Całe śledztwo im spieprzysz.
- Kto by pomyślał, że z niego taka gruba ryba! Nigdy bym nie przypuszczał.
- Jaka tam gruba ryba. Co najwyżej średnia. Główna ma na oku organizację „Promień prawdy”. To jakiś większy przekręt. Rzepski to, że się tak wyrażę, terenowy przedstawiciel organizacji.
- No to mamy problem, bo mi się to pobicie pięknie łączy z morderstwem na Parkowej. Sto pięćdziesiąty siódmy pewnie bym bez bólu odpuścił, ale morderstwo to gruba sprawa.
- Stary zamyślił się.
- Zobaczę, co się da zrobić. Wiesz, jacy są ci z Główniej, mało wyrywni do współpracy, ale czasem idzie się z nimi dogadać.
- Masz inne wątki w sprawie z Parkowej?
- Mam.
- Świetnie. Zrobimy tak. Na razie badaj inne możliwości, a nuż coś tam wygrzebiez i problem Rzepskiego umrze śmiercią naturalną. Ja tymczasem pogadam z kim trzeba. W Główniej też nie siedzą same matoly.
- Ostatnie zdanie wymówił bez większego przekonania.

\*

Zlecenie było wyjątkowo nudne, do tego nieszczególnie intratne. Lokalny producent plastikowych profili zamówił projekt strony www. Początkowo nawet się ucieszyła. To mogło być wyzwanie. Każdy głupi potrafi zrobić ciekawy projekt dla schroniska pełnego słodkich kotków i piesków albo dla sklepu z odzieżą dla równie słodkich bobasków. Plastik wymagały pomysłu. Złudzenia nie trwały długo. Wystarczyło dziesięć minut rozmowy z zamawiającym, by wszystko stało się jasne. Potencjalnych odbiorców miała witać uśmiechnięta, cycata blondynka dzierżąca z zachwytem plastikową rurę albo złączkę. Zdjęcia, oczywiście, stokowe, bo szkoda pieniędzy na profesjonalną sesję.

Na próżno próbowała przekonać zleceniodawcę do bardziej ambitnego podejścia.

– Ja to wszystko rozumiem, droga pani Barbaro, ja to wszystko doskonale rozumiem. Proszę jednak zrozumieć mnie. Ja jestem przedsiębiorcą, nie artystą. Ja mam prostych odbiorców i ja muszę do nich dotrzeć. Ja zamawiam stronę dla budowlańców, a nie dla historyków sztuki.

Przyszło jej do głowy, że ktoś, kto tyle razy powtarza słowo „ja” musi mieć niezłe rozbuchane ego. Zrezygnowała z dalszej dyskusji. To nie miało sensu. Klient płaci, klient wymaga.

Siedziała teraz, próbując dokleić do zdjęcia nieznannej modelki plastikowe kolanko. Efekt był niezmiennie taki sam: koszmarek z gatunku „grafik płakał, jak projektował”. Nie, nie zniesie tego dłużej. Musi zrobić przerwę, bo oszaleje. Wszystko lepsze, nawet zmywanie.

Nic tak nie pobudza myślenia jak szorowanie garnka po przypalonym mleku. Trąc zawzięcie metalowym zmywakiem, roztrząsała w myślach wydarzenia ostatnich dni. Ani się obejrzała, jak jej uwagę całkowicie zaprzętnęły rozważania o śmierci Heleny.

To była najbardziej fascynująca historia, jaka jej się przytrafiła w życiu. Prawdziwa zbrodnia. I to nie kto inny, tylko ona, Barbara Brodzka, wpadła na trop. Bo co do tego, że mordercą jest doktor Marchwiński, nie miała najmniejszych wątpliwości. Szkoda tylko, że policja nie podchwyciła tego śladu. A może podchwyciła, tylko trzyma to w tajemnicy? Kto ich tam wie. Przecież nie mają obowiązku informowania kogokolwiek.

Do Barbary dotarło, że być może nigdy nie pozna zakończenia tej historii. Chyba że sama się wszystkiego dowie.

Tak! Tak właśnie robi. Zdecydowanym ruchem odstawiła niedomyty garnek, wytarła rękę i zaczęła szykować się do wyjścia.

Marchwiński mieszkający gdzieś za oceanem był, rzecz jasna, niedostępny. Pozostała tylko Marianna Pol. Należało ją odnaleźć. Trzeba jeszcze raz pojechać na uczelnię i podpytać siostrę byłego Marianny.

Nie mogła tak zwyczajnie, jakby nigdy nic, wparować do dziekanatu. Usiadła na parapecie, włożyła słuchawki, odpaliła ulubioną playlistę, wbiła wzrok w drzwi. Czekwała.

Los jej sprzyjał. Dziewczyna wyszła już po dwudziestu minutach.

– Przepraszam, pamięta mnie pani? – zawołała.

Nieznajoma zawahała się na moment.

– Dzień dobry! Oczywiście. Była pani u nas jakiś czasem temu. Szukała pani Marianny, a potem doktora Marchwińskiego. I co? Udało się?

– W tym sęk, że nie. Tak jak mówiłam, wyprowadziła się. Nie zostawiła sąsiadom adresu. Nie mam pojęcia, gdzie dalej szukać, a to naprawdę dla mnie ważna sprawa. Dlatego postanowiłam jeszcze raz zwrócić się do pani.

– Hmm... – Rozmówczyni nie wyglądała na przekonaną. – No dobrze. – Złamała się, pokonana proszącym wzrokiem Barbary. Zobaczę, co da się zrobić. Muszę podzwonić.

Wyjęła z kieszeni telefon, przez chwilę przewijała listę kontaktów. Bez pośpiechu.

– Może Zdzichu będzie coś wiedział – mruknęła i wybrała numer.

Barbara pilnie nastawiała ucha, ale mimo wysiłków słyszała tylko połowę konwersacji.

– Cześć, szukam Marianki... Tak, byłej brajda... Podobno się przeprowadza... Nie, nie mam jej numeru. Jakbym miała, to bym do niej zadzwoniła, nie do ciebie... No trudno... Dzięki... To na razie!

Następne dwie rozmowy brzmiały podobnie.

– No dobra, ostatnia próba – zakomunikowała dziewczyna. – Jeśli tu się nic nie dowiem, to nie mam więcej pomysłów.

Wybrała kolejny numer.

– No cześć... Co u ciebie?... Dobra, obiecuję, że kiedyś zadzwonię bezinteresownie, ale dziś mam sprawę. Szukam Marianki Pol... Tak, tej samej...

Zamilkła. Ktoś po drugiej stronie słuchawki coś opowiadał. Co, tego Barbara nie mogła usłyszeć, chociaż wyteżęła słuch, jak tylko mogła. Rozmowa trwała całą wieczność. Tym razem dziewczyna prawie nic nie mówiła. Słuchała uważnie, od czasu do czasu jedynie zdawkowo przytakując.

– Dziwna historia – oznajmiła, gdy wreszcie zakończyła połączenie. – W lipcu Marianka rzuciła pracę. Praktycznie z dnia na dzień. Dogadała się jakoś z szefostwem, żeby puścili ją od razu. W dwa dni załatwiła formalności i tyle ją widzieli. Nic nikomu nie powiedziała. Nikt nic nie wie.

\*

Dopiero na ulicy Barbara uświadomiła sobie, że nie zna nawet imienia dziewczyny z dziekanatu. Tylko jakie to właściwie miało znaczenie? Ważne było zupełnie co innego: Marianna Pol zniknęła.

## ROZDZIAŁ 17

– Dzień dobry, szefie! Mówisz i masz – zawołała Monika, kładąc na biurku Puckiego zapisaną drobnym maczkiem kartkę. Zazwyczaj opanowana, tego dnia od samego rana emanowała energią. Już miał zagadnąć o powód radości, ale uznał, że to nie jego sprawa. Zamiast tego zapytał.

– Co to jest?

– Namiary na Rafała Malewskiego. Adres zamieszkania, adres miejsca pracy, telefon. Telefon tylko służbowy znalazłam, ale w sumie co za różnica, nieprawdaż? Może wcale nie ma prywatnego. Teraz wielu ludzi tak robi. Nie chce im się nosić dwóch telefonów – trajkotała bez ustanku.

– Nie można była mailem przysłać? – burknął zirytowany paplaniną.

– Mailem? Do pana komisarza? Tydzień by przeleżało w skrzynce nieczytane – odparła wesoło, nic a nic niezrażona oschłą reakcją.

– No już dobrze, niech ci będzie. – Skapitulował. Gdy wyszła, pochylił się nad kartką.

Dopijając poranną kawę, rozważał, jaką by tu przyjąć strategię. Wezwać Malewskiego na komendę czy wybrać się samemu. Ostatecznie uznał, że na oficjalne wezwanie zawsze będzie czas. Na początek lepiej zadziałać z zaskoczenia, nie dać podejrzanemu czasu na przygotowanie. Tylko czy Rafał Malewski był podejrzanym?

– To się okaże – mruknął, dopijając ostatni łyk.

\*

Dzielnica Rozstaje, gdzie mieściło się biuro Malewskiego, była wyjątkowo obrzydliwa. Miejsce to upodobał sobie jeszcze za komuny drobni przedsiębiorcy. Przemiany ustrojowe niewiele tu zmieniły. Hurtownie, warsztaty, składy czy drobne zakłady rzemieślnicze budowano, kierując się głównie oszczędnością, a nie względami estetycznymi. Wszechobecne, pstrokate banery i szyldy nie dodawały okolicy uroku. I tylko ekskluzywne samochody zaparkowane pod obskurnymi barakami świadczyły o tym, jakimi sumami tu obracano.

Na miejsce trafił bezproblemowo. Nietrudno było dostrzec górujący nad okolicą, gigantyczny szyld „Malhurt”. Oryginalność i pomysłowość nie stanowiły najwidoczniej mocnych stron właściciela. Idąc od bramy do głównego wejścia, komisarz lustrował auta zaparkowane w ciągnącej się wzdłuż chodnika zatoczce. Na najlepszym miejscu, tuż przy budynku, stało lśniące czystością Audi A4. Komisarz uśmiechnął się pod wąsem. Lubił, gdy drobiazgi się zgadzały.

Po przestąpieniu progu Pucki znalazł się w innym świecie. To nie były tandetne Rozstaje, tylko eleganckie biuro, jakiego nie powstydziliby się nawet centrum stolicy. Nie tak komisarz wyobrażał sobie hurtownię materiałów budowlanych. Oczekiwał

magazynu z betonową podłogą, stalowych regałów, wózków widłowych i ścian z blachy falistej. Tymczasem zobaczył designerskie meble, starannie dobrane obrazy, idealnie czyste, puchate wykładziny dywanowe. Wszystko utrzymane w stonowanych, subtelnym barwach. Albo właściciel miał naprawdę dobry gust, albo sypnął kasą na pierwszozigowego projektanta.

Za minimalistyczną ladą recepcyjną, jakby żywcem wyjętą z pięciogwiazdkowego hotelu, dyżurował elegancki, młody mężczyzna, o żywym, inteligentnym spojrzeniu. Na widok Puckiego natychmiast poderwał się i z uprzejmym uśmiechem zapytał:

– W czym mogę pomóc?

– Komisarz Mieczysław Pucki – przedstawił się. – Chciałbym porozmawiać z panem Rafałem Malewskim.

– Czy był pan umówiony?

– Nie sędzę. – Ton głosu komisarza jasno dawał do zrozumienia, co sądzi o pytaniu.

– Nie wiem, czy szef będzie mógł pana przyjąć. – Młodzieniec zawahał się.

– Jestem pewien, że będzie mógł. Wolałabym nie wzywać go na komendę, na oficjalne przesłuchanie. – Tekst był tani, ale działał. Pucki przekonał się o tym niejednokrotnie. Tym razem też poskutkował.

– Zobaczę, co się da zrobić. Proszę chwileczkę poczekać – wybąkał wyraźnie przerażony recepcjonista. Niemalże biegiem opuścił stanowisko i po chwili zniknął za ciężkimi, mahoniowymi drzwiami.

Nie minęło więcej niż pięć minut, a już był z powrotem.

– Pan prezes zaprasza.

\*

Mimo jasnego, pogodnego dnia w gabinecie panował półmrok. Promienie słoneczne z trudem przebijały się przez opuszczone rolety. Przygnębiający nastrój potęgowała grająca w tle muzyka: ciężka, ponura, depresyjna.

Pucki nie uważał się za wytrawnego melomana, ale bez muzyki nie wyobrażał sobie życia. Gust miał eklektyczny. Słuchał jazzu, klasyki, sporadycznie popu. Skrzętnie skrywaną, nieco wstydliwą słabością, był pociąg do muzyki country. Zapytany o to, jaki gatunek preferuje, nie umiałby odpowiedzieć. Kiedyś dzielił muzykę na dobrą i złą, z czasem nabrał pokory i zaczął ją dzielić na taką, która mu się podoba, i taką, która mu nie odpowiada. Ta rozbrzmiewająca w gabinecie Rafała Malewskiego bez dwóch zdań należała do drugiej kategorii. Zdecydowanie mu nie pasowała. Technicznie nie miał wykonawcy nic do zarzucenia. Teoretycznie była wręcz wyśmienita: wystarczyło posłuchać kilku taktów, by poczuć, jak dźwięki przenikają w głąb duszy, opanowując umysł i serce. W utworze było jednak coś tak mrocznego, wręcz psychodelicznego, że komisarz z trudem przeciwstawił się ogarniającej go, wszechwładnej fali depresji. Jak można czegoś takiego dobrowolnie słuchać? I, przede wszystkim, jak można coś takiego

serwować gościom. Pucki najchętniej włożyłby do uszu zatyczki albo poprosił gospodarza o wyłączenie. Niestety ani jedno, ani drugie rozwiązanie nie wchodziły w grę.

Nieświadomy cierpień gościa Malewski energicznie wstał z fotela. Na widok policjanta zawołał:

– Czy coś się stało? Coś z Zosią? – Na twarzy mężczyzny widać było autentyczny strach.

– Zosią? – Pucki spojrzał pytająco, szczerze zdumiony.

– Zofia, moja żona. Myślałem, że coś się jej przytrafiło.

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Skąd w ogóle taki pomysł?

– Bo po co by przychodziła policja?

– Proszę się uspokoić. Za dużo się pan naoglądał seriali kryminalnych. Ja w zupełnie innej sprawie.

Mężczyzna z westchnieniem ulgi opadał na fotel. Natychmiast jednak znowu się poderwał.

– Boże! Gdzie moje maniery. Rafał Malewski. – Wyciągnął dłoń na powitanie.

– Komisarz Mieczysław Pucki – wyrecytował, ściskając podaną rękę. – Przychodzę w sprawie morderstwa Heleny Rubiszewskiej. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

– Ach, o to chodzi. – Uśmiech, który na chwilę zagościł na twarzy mężczyzny, zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – Smutna sprawa. Taka tragedia. Oczywiście, postaram się pomóc. Proszę siadać.

– Rozumiem, że znał pan Helenę Rubiszewską?

– Po co to pytanie? Gdyby pan nie wiedział, nie byłoby tej rozmowy.

– To, co wiem, i to, co pan twierdzi, to dwie różne rzeczy. Przynajmniej z prawnego punktu widzenia. Byłbym wdzięczny, gdyby mimo wszystko udzielił pan odpowiedzi.

– Przepraszam – zmieszał się Malewski. – Plotę bez sensu. Cała sytuacja jest dla mnie bardzo trudna. Tak, znałem Helenę.

– Jak długo?

– Niech pomyślę. Poznaliśmy się na konferencji w Międzyzdrojach. To będzie... – Przez chwilę obliczał w pamięci. – Mój Boże! Jedenaście lat. Kto by pomyślał! Ależ ten czas leci.

– Jaki charakter miała państwa znajomość?

Mężczyzna stracił resztki pewności siebie. Podniósł się z fotela. Stał plecami do komisarza. Wbił wzrok w ścianę. Odpowiedział nie od razu.

– Wolałabym o tym nie rozmawiać. Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Helena nie żyje, wszystko skończone, po co wywlekać stare historie?

– Śledztwo polega właśnie na wywlekaniu starych historii.

– Wszystkich? Myślałem, że tylko tych związanych ze sprawą – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Nigdy nie wiadomo, co jest związane ze sprawą, a co nie. – Komisarz udał, że nie dostrzega wrogiego tonu. Nie pierwszy raz spotkał się z agresją. Już go nie dziwiła. Kiedyś, kiedy był młody, wkurzało go, że świadkowie nie chcą współpracować. Przecież rodzinie, przyjacielom, a nawet znajomym powinno zależeć na wykryciu prawdy. Z czasem zrozumiał. Był dla nich obcy. Wtykał nos w nie swoje sprawy. Wyciągał na światło dzienne głęboko skrywane tajemnice. Otwierała szafy, z których wypadły kolejne trupy. Opór był naturalną reakcją.

– Przecież to też pan wie. Mieliśmy romans.

– Wie pan, że Helena Rubiszewska urodziła dziecko?

– Tak – szepnął ledwie dosłyszalnie. – I zanim pan zapyta, od razu powiem: tak, to ja byłem ojcem – dodał łamiącym się głosem.

– Co się z nim stało?

Malewski odwrócił się. Ruchy miał ociężałe jak na zwolnionym filmie. Usiadł. Spojrzał prosto w oczy komisarza. Pucki ze zdumieniem zauważył łzy spływające po policzkach mężczyzny.

– Naprawdę pan nie wie? Umarła. To była dziewczynka.

– Przepraszam. – Skonsternowany komisarz nie bardzo wiedział co powiedzieć. – Bardzo mi przykro. Naprawdę nie wiedziałem.

W Malewskim coś pękło. Oparł głowę na dłoniach i, niepytany, zaczął opowiadać.

– Gdy poznałem Helenę, przechodziłem trudny okres w życiu. Kłopoty w pracy, kryzys w małżeństwie. Do tego doszła ciężka choroba matki. Nigdy nie byłem specjalnie towarzyski, nawet w szkole nie miałem przyjaciół. Gdy okazało się, że potrzebuję wsparcia, nikogo obok mnie nie było, a Helena umiała słuchać. Początkowo myślałem, że to tylko przyjaźń. Naprawdę w to wierzyłem. Spędzaliśmy razem coraz więcej czasu i jakoś tak samo wyszło.

Przerwał. Wyjął z szuflady paczkę chusteczek higienicznych. Wytarł zażawioną twarz.

– Przepraszam. Rozkleiłem się.

– Nie ma się czego wstydić. Czasem w najtwardszym człowieku coś pęknie.

Malewski spojrzał na komisarza z wdzięcznością. Potrząsnął głową i znacznie spokojniejszym głosem podjął przerwana opowieść.

– Gdy okazało się, że jest w ciąży, była załamana. Samotna kobieta po trzydziestce, freelancerka bez stałego zatrudnienia. Początkowo chciała nawet usunąć ciążę. Z trudem ją powstrzymałem. Powiedziała, że się rozwiodę. Wyśmiała mnie. Powiedziała, że i tak za mnie nie wyjdzie. Nagle, dosłownie z dnia na dzień, zmieniła zdanie. Postanowiła urodzić. Wyglądała na zadowoloną. Aż któregoś dnia zniknęła. Nie odbierała telefonów, nie odpowiadała ani na maile, ani na esemesy. W domu też jej nie było. Jeździłem kilka razy, ale nigdy jej nie zastałem. Nie wiedziałem, co robić. Próbowałem pytać w szpitalach. Bez skutku. Formalnie byłem obcym człowiekiem, nawet gdyby chcieli, nie



mogli mi udzielić informacji. Wreszcie, gdy już myślałem, że zwariuję ze strachu, zadzwoniła. I wtedy się dowiedziałem. Nasza córeczka przyszła na świat niezdolna do życia. Umarła po kilku godzinach. Nigdy jej nie zobaczyłem.

– Wiem, że to trudne pytanie, ale czy po tej tragedii nadal utrzymywaliście państwo znajomość?

– Tak. Właściwie nic się nie zmieniło. Hela zaskakująco szybko przyszła do siebie. Czyż to nie dziwne?

– Ludzie różnie reagują na traumę– rzucił sztapową odpowiedź. – Proszę wybaczyć, ale muszę zadać jeszcze jedno, niedyskretne pytanie. Jak układają się pana stosunki z żoną?

– Pewnie pan nie uwierzy, ale całkiem nieźle. Jesteśmy zgodnym małżeństwem. Tak jak mówiłem, kilka lat temu przeszliśmy kryzys, nieco oddaliliśmy się wtedy od siebie, jednak z czasem wszystko wróciło do normy.

– Czy żona wiedziała o pana romansie?

– Raczej nie. Pewności, oczywiście nie mam, ale nie sądzę. Żona jest bardzo pochłonięta pracą. Świata poza nią nie widzi.

– Gdy przyszedłem, zapytał pan, czy coś złego przytrafiło się żonie. To było szczere, odruchowe pytanie. Pan naprawdę był przerażony. Jednak ten wieloletni romans... Nie bardzo rozumiem, który związek był dla pana ważniejszy.

– Nie wiem, co to ma do rzeczy, ale jeśli koniecznie musi pan wiedzieć, to na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi. Oba były ważne. Każdy na swój sposób, każdy inaczej, ale jednak oba.

– Czyli nie chciał pan zakończyć romansu?

– Chyba nie sugeruje pan... – Malewski aż poczerwieniał z oburzenia.

– Nic nie sugeruję. Tylko pytam.

Lata pracy pozbawiły komisarza subtelności i skrupułów. Gdy chciał się czegoś dowiedzieć, potrafił przycisnąć wszystkich, bez różnicy. Wyznawał zasadę, że każdy może być winny, każdy może kłamać, nikomu nie wolno ufać, a już najmniej pograżonej w żalu rodzinie. Nie raz i nie dwa widział, jak bezwzględny morderca perfidnie wykorzystywał żalobę, by uchylić się od składania zeznań. Dochodzenie to nie proces, domniemanie niewinności jest dla sędziów, nie dla policjantów. Tak przynajmniej uważał Pucki, a jednak czuł się nieswojo, wypytując Malewskiego. W głębi duszy wiedział, że nic na gościa nie ma, nawet najdrobniejszej poszlaki. Siedział tu tylko z jednego powodu: znudzony romansem kochanek brutalnie pozbywający się partnerki to scenariusz znacznie bardziej prawdopodobny niż zemsta sekty, afera w kręgach naukowych czy tajemniczy, ukraiński zabójca.

– Kiedy ostatni raz widział pan Helenę Rubiszewską? – Pucki postanowił wykorzystać chwilę dekoncentracji rozmówcy. Jeśli przestępca miał coś do ukrycia, najłatwiej było go przyłapać, zmieniając nieoczekiwanie temat. Zaskoczony człowiek odpowiada

odruchowo, a gdy zorientuje się co chlapnął, zazwyczaj jest już za późno. Tym razem strategia nie zadziałała: albo Malewski był przygotowany na to pytanie, albo zwyczajnie nie miał nic do ukrycia.

– Jakiś tydzień przed jej śmiercią. Może trochę dłużej. – Padła spokojna, rzeczowa odpowiedź. – Oboje byliśmy bardzo zajęci. Ona dostała pilne zlecenie, a ja... W mojej branży lato to czas żniw. Pracujemy po dziesięć, dwanaście godzin na dobę, a bywa że i dłużej.

– Czy coś pana zaniepokoiło w jej zachowaniu?

– Wtedy nie. Chociaż teraz, gdy o tym myślę, mam wrażenie, że była jakaś poddenerwowana, podminowana, jakby nadmiernie podniecona. Głowy za to nie dam. Być może to nadinterpretacja. Wiem, co się stało, i przypisuję nadmierne znaczenie nieistotnym drobiazgom. Równie dobrze mogła być tylko zmęczona, przepracowana albo niewyspana. Trudno powiedzieć.

– Czy potem jeszcze się kontaktowaliście? Maile? Telefony?

– Nigdy nie pisaliśmy do siebie maili ani esemesów. To ze względu na Zosię, moją żonę. Nie jest wścibska, nigdy celowo nie grzebałaby w mojej poczcie czy telefonie, ale przecież mogłaby na coś trafić przez przypadek. Wie pan, strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Lepiej na zimne dmuchać – wtrącił komisarz ze zrozumieniem. – A telefony?

– Tak, rozmawialiśmy raz.

– O czym?

– Nic ważnego, taka konwencjonalna pogawędka. Jak to się mówi: o wszystkim i o niczym.

– Kto zadzwonił, pan czy pani Helena?

– Ja. Ona nigdy do mnie nie dzwoniła. Taki mieliśmy układ.

– Ze względu na pańską żonę, jak rozumiem?

– Tak, ze względu na żonę – odpowiedział poważnie, udając, że nie dostrzega ironii.

– To by było wszystko – oznajmił Pucki, wstając.

Czy to złudzenie, czy rzeczywiście przez chwilę dostrzegł w oczach Malewskiego ulgę?

– Byłbym wdzięczny, gdyby w najbliższym czasie pofatygował się pan na komendę. Spiszemy oficjalny protokół. Potrzebny mi do akt.

Mężczyzna w milczeniu skinął głową.

Tuż przed wyjściem, gdy już kładł rękę na klamce, uznał, że nadszedł czas na ulubiony chwyt – zagranie „na Columbo”, jak zwykli mawiać policjanci z pokolenia Puckiego. Odwrócił się, zrobił krok do środka, pacnął dłonią w czoło i z niewinną miną powiedział:

– Jeszcze tylko jedno pytanie.

Malewski, który już zdążył wrócić do swoich zajęć, podniósł wzrok znad papierów.

– Słucham? – burknął wyraźnie niezadowolony.

– Czy miał pan klucze do mieszkania Heleny Rubiszewskiej?

– Miałem – odpowiedział z pewnym wahaniem.  
– I nadal je pan ma?  
– Tak, mam. Wypadałoby je oddać nowej właścicielce. Że też nie przyszło mi to wcześniej do głowy. Dobrze, że zwrócił mi pan na to uwagę, komisarzu.  
– Nie ma za co – mruknął Pucki.  
Wychodząc, nie powiedział nawet „do widzenia”. Myśłami był już zupełnie gdzie indziej.

\*

– Szefie! Znaleźliśmy go. Chyba znaleźliśmy – zameldowała Grońska.  
– Jak to „chyba”? Znaleźliście czy nie? – Pucki nie był w nastroju do gry w półśłówka.  
– Podobno pracuje na budowie u jednego gospodarza w Zawilowie. Ale wiem pan, jak jest. Na stałe zatrudniony jest jeden majster i ze dwóch Polaków na umowie, tak na pokaz, jakby kontrola wpadła, a Ukraińców i Białorusinów zatrudniają na dniówki, jak akurat jest ktoś potrzebny. Rano umowa – wieczorem wypłata do ręki. Błockij podobno od trzech dni tam robi, ale jak długo to potrwa, Bóg jeden raczy wiedzieć.  
– To na co jeszcze czekamy? Trzeba tam wleźć pod byle pozorem. Możecie sprawdzić wizy, pozwolenia na pracę. Bo ja wiem co jeszcze? Złapcie jakiegoś inspektora BHP i zróbcie niezapowiedzianą wizytę. Najlepiej zgarnijcie wszystkich, co robią na czarno. Im później Błocki się domyśli, że to o niego konkretnie chodzi, tym lepiej. I chcę go widzieć najpóźniej jutro. Jeśli zdąży uciec, ktoś bardzo, ale to bardzo tego pożałuje.

\*

Groźba poskutkowała, bo następnego dnia rano, równo w południe, Konstantyn Błocki w asyście funkcjonariusza, czekał pokornie w pokoju przesłuchań. Przygarbiony, ze wzrokiem wbitym w podłogę nie wyglądał na króla zbrodni, a co najwyżej na drobnego krętacza. Pucki pomyślał, że gdyby nie znał kontekstu, wziąłby Błockiego raczej za ofiarę niż za sprawcę przestępstwa.

Komisarz był za starym wygą, by przywiązywać jakiegokolwiek znacznie do wyglądu zewnętrznego, był jednak też człowiekiem, któremu nieobce są ludzkie słabości. A uleganie pozorom jest jedną z najbardziej rozpowszechnionych przypadłości rodzaju ludzkiego. Szedł na przesłuchanie w optymistycznym nastroju. Dowody – zapis z monitoringu i zdjęcia z pogrzebu – były mocne. Właściwie sprawę włamania mógł uznać za rozwiązaną. Kto wie, może i nie tylko włamania, ale i morderstwa? Był pełen zapału i nadziei, niczym biegacz, który na kilka metrów przed metą złapał drugi oddech.

Tak było rano. Teraz, gdy popatrzył na skuloną za stołem kupkę nieszczęścia, cała energia wyparowała. Napłynęła nowa, potężna fala rezygnacji i towarzyszące jej uczucie stagnacji. To miałby być nieuchwytny złoczyńca, którego tyle tygodni tropił bez skutku?

Odegnał od siebie czarne myśli. Przecież tyle razy miał do czynienia z naprawdę przebiegłymi przestępcami, którzy na pierwszy rzut oka wyglądali, jakby nie potrafili do trzech zliczyć.

– Pucki, weź się w garść – skarcił się w duchu. Przeczesał dłonią szpakowate, mocno już przerzedzone włosy, strzepnął wyimaginowany pyłek z poły swetra, starannie wyrównał leżące na stole akta. Szereg na pozór zbędnych, a w istocie starannie przemyślanych czynności. W ten sposób komisarz zyskiwał czas, by przyjrzeć się podejrzanemu, ocenić go i wybrać najlepszą strategię przesłuchania.

Wbrew obawom, Błocki współpracował. Nie próbował zasłaniać się nieznajomością języka, nie żądał adwokata, nie przejawiał agresji, nie wygłaszał tyrad o prześladowaniu nielubianych cudzoziemców. Jednym słowem: nie próbował kręcić. Na pytania Puckiego odpowiadał sprawnie, choć bez entuzjazmu. Ku wielkiej uldze i równie wielkiemu zaskoczeniu komisarza dość szybko przebrnęli przez wstępne formalności i przeszli do meritum.

– Czy znał pan Helenę Rubiszewską?

Kolejna niespodzianka. Pucki przygotowany był na protesty, zaprzeczenia, negację. Błocki ani myślał się wypierać.

– Panią Helenę. Oczywiście, że znał. Ona dobra była. Pomagała. Ona wiedziała, że nam niełatwo.

– Nam? – wpadł mu w słowo komisarz.

– Ukraińcom. My potrzebne, to nas tolerują. Jakby my wyjechali, to kto by na budowach robił albo w sklepach? Do roboty biorą, tam gdzie Polaki robić nie chcą. Tylko niby się uśmiechają, niby miłe są, ale co za plecami mówią, to aż przykro powtarzać. Myślą, że my nie słyszym i nie rozumiem. Ile razy ja słyszał, że Ukraińcy to bandyty i morderce. A pani Helena nie taka. Ona zawsze powtarzała, że wszędzie są ludzie i dobre, i złe. I u Polaków, i na Ukrainie, i gdzie tylko na świecie. I zajęcie pomagała znaleźć. Jak kto ze znajomych ludzi do roboty szukał, to poleciła, bywało sama jakąś pracę dała. Dobra była kobieta, oj dobra.

– Panu też pomagała?

– Nu bywało. Ja jej mieszkanie malowałem i czasem coś naprawiłem. Jak kran przeciekał albo coś trzeba było przybić albo przykręcić. Takie drobiazgi.

– Dlaczego włamał się pan do jej mieszkania?

– Ja się nie włamałem!

– Mamy nagranie, na którym widać, jak pan wchodzi do bloku tamtej nocy, gdy obrabowano mieszkanie Heleny Rubiszewskiej.

– Nu tak. Był ja tam, ale nic nie zabrałem. Wszedłem ja do środka, to prawda, popatrzałem, niczego nie znalazłem i poszedłem.

– To po co pan tam wchodził?

Ukraińiec milczał. Niczym dziecko włożył rękę do ust. Nerwowo obgryzał paznokcie.

– Proszę odpowiedzieć – naciskał komisarz. – Czego pan szukał?  
– Ja u niej zostawił passport. Ona przeze mnie zginęła! – wybuchnął nieoczekiwanie.  
Puckiego zamurowało. Tego się nie spodziewał. Zrobił głęboki wdech i spokojnym, rzeczowym głosem zapytał:

– To pan ją zabił?

Mężczyzna uniósł głowę. Z przerażeniem spojrzał prosto w oczy komisarza.

– Nie, nie, nie! – krzyknął, nie mogąc opanować wzburzenia.

– Przecież przed chwilą powiedział pan...

– Ja powiedział, że przeze mnie, nie, że ja zabił. – Błocki nie dał komisarzowi dokończyć. – Znaczy, że to oni ją zabili przeze mnie. Nie, że ja zabił.

– Jacy oni?

Twarz przesłuchiwanego stężała. Znieruchomiał. Znowu wbił wzrok w podłogę.

– Ja nic więcej nie powiem. Nic nie wiem – oznajmił.

Pucki jeszcze przez kwadrans zadawał pytania. Bezskutecznie. Jedyłą odpowiedzią było uparte, nieustępliwe milczenie.

\*

– Szefie – szepnęła Monika czekająca tuż przy wyjściu z pokoju przesłuchań.

Zaczekała, aż Pucki zamknie drzwi. Odciągnęła go kilka kroków. Popatrzyła uważnie dookoła. Dopiero, gdy zyskała pewność, że nikt ich nie słyszy, dokończyła.

– Czy nie powinniśmy czasem zawiadomić konsulatu?

Pucki uśmiechnął się szyderczo.

– Powinniśmy. Mamy na to trzy dni. Zawiadomimy jutro albo i pojutrze. Wszystko w pełnej zgodzie z przepisami. Na razie niech nasz ptaszek posiedzi sobie w spokoju, pomyśli, dojrzeje. A nuż przemówi?

## ROZDZIAŁ 18

Cała niedziela upłynęła na nerwowym pakowaniu. Na próżno Mateusz tłumaczył, że wycieczka potrwa tylko tydzień, że naprawdę jest już wystarczająco dorosły, żeby sam mógł wybrać potrzebne rzeczy i włożyć je do plecaka, że jadą tylko do Krakowa i Wieliczki, a nie za koło podbiegunowe. Joanna nie dawała za wygraną. Skrupulatnie wybrała ubrania, starannie je wyprasowała (Mamo! Kto przy zdrowych zmysłach prasuje slipki!), zrobiła spis rzeczy (Mamo! Nie jestem przedszkolakiem!), dwukrotnie sprawdziła, czy aby na pewno niczego nie zapomniała i spakowała kilka rzeczy na wszelki wypadek (Mamo! Po co mi we wrześnie szalik!), dołożyła tabletki od bólu głowy, od biegunki, od przeziębienia i od kaszlu (Mamo! Tam też są apteki!).

Przez cały wieczór wyrzekała na dzisiejsze czasy i szkoły, które zamiast uczyć, wyciągają jedynie pieniądze z rodziców.

– Jeszcze się dobrze rok szkolny nie zaczął, a oni już urządzili wycieczkę. Kto to słyszał! – biadoliła.

Nastawiła budzik na szóstą. Oczywiście obudziła się pół godziny wcześniej. Klasyczne reisefieber. Przez trzy kwadransy szalała: poganiała syna, szykowała śniadania – to do zjedzenia na miejscu, i to drugie, na drogę, co i rusz zerkała na zegarek, czy aby nie jest już późno, a do tego nie ustawała w udzielaniu dobrych, matczynych rad. Mateusz, choć znosił to wszystko ze stoickim spokojem, poczuł ogromną ulgę, gdy w końcu znalazł się po drugiej stronie drzwi.

W pierwszej chwili Joanna też odetchnęła. Przysiadła nad kubkiem gorącej herbaty i miseczką musli z jogurtem. Napawała się panującą wokół, błogą ciszą.

Wtem coś skrzypnęło w korytarzu: może rozeschnięty panel, może drzwi od szafy, a może jeszcze coś innego. Cichy, ledwie dosłyszalny dźwięk, który normalnie by zlekceważyła. Normalnie, ale nie dziś. Dziś nic nie było normalne. Świadomość tego, że oto siedzi sama w domu, do którego kilka dni temu próbowano się włamać, dosłownie ją sparaliżowała. Prawie natychmiast pojawiła się kolejna, równie zdradziecka i przerażająca myśl – włamywacz był na wolności, w każdej chwili może uderzyć ponownie.

Wiedziała – to było głupie. Bardzo głupie. Hysteryczne. Przecież gdyby Mateusz nie wyjechał i tak przez większą część dnia nie byłoby go w domu. Zresztą, nawet gdyby był, nic by nie pomógł. Co mógł wskórać nastolatek, do tego niespecjalnie wysportowany, w starciu ze zdeterminowanym, przebiegłym mordercą? Joannę przeszył lodowaty dreszcz.

– Co za głupoty! – warknęła. Energicznie zanurzyła łyżkę w płatkach. Nie doniosła jedzenia do ust. Zastygła z ręką wpół drogi. Znowu coś zaskrzypiało. Tym razem na zewnątrz. Ktoś kręcił się koło domu. Podeszła do okna, stanęła nieco z boku tak, by

móc obserwować podjazd, nie będąc widoczną. Prychnęła zirytowana. To sąsiad szedł do domu z reklamówką pełną bułek.

Wróciła do przerwane go śniadania. Im bardziej myślała o tym, by nie panikować, tym bardziej nerwowo reagowała na każdy, najcichszy nawet odgłos. Dom pełen był trzasków, skrzypnięć, zgrzytów i puknięć. Za każdym razem, gdy coś usłyszała, podskakiwała jak ukłuta szpilką. Włączyła laptopa, wybrała ulubioną playlistę, podkręciła dźwięk do maksimum. Efekt okazał się odwrotny od zamierzonego. Podświadomie nasłuchiwała, czy gdzieś, zagłuszony muzyką, nie rozbrzmiewa jakiś zdradziecki odgłos. Poczłapała do salonu. Włączyła telewizor. Para prowadzących jakiś durny program śniadaniowy z zaaferowanymi minami dyskutowała o trendach jesiennej mody dla mężczyzn. Znowu jakiś dziwny dźwięk. Nastawiła uszu. Dobiegał z kuchni. Ktoś stukał w okno. Poderwała się z miejsca. Pobiegnęła sprawdzić kto to. Na zewnątrz nikogo nie było, tylko tłusty gołąb stał na parapecie i zawzięcie coś dziobał. Odetchnęła. Znała to ptaszysko uparcie paskudzące gdzie popadnie. Odganiała go kilka razy dziennie, a on ciągle wracał. Ostatnio tak zbeszczelniał, że przestał nawet reagować na puknięcie w szybę.

Wróciła do pokoju. Właśnie dobiegał końca blok reklam przed porannym programem informacyjnym. Dopiero dziewiąta! Jest w domu sama niecałe dwie godziny, a już o mało nie oszalała. Jak tak dalej pójdzie, do końca tygodnia kompletnie zwariuje. Żeby chociaż miała psa albo nawet kota! Byleby coś żywego po domu chodziło. Może kupić jakiegoś szczeniaka? Albo adoptować? Co za głupota! Przecież nie poleci z samego rana kupować zwierzaka.

Byleby tylko jakoś przetrwać do końca tygodnia, do powrotu Mateusza. Wtem doznała olśnienia. Barbara! Zaprosi Barbarę! Pomieszkają razem przez tydzień. Jej będzie różnie, a Barbara odpocznie kilka dni od rodziców, przecież nie raz narzekała na wieczną rodzicielską kuratelę.

Bez dalszego namysłu chwyciła za telefon.

\*

– Zrobimy sobie babski wieczór. Kupimy ciasto, dobre wino, obejrzymy jakiś film. Ty wybierasz! – kusila nie do końca przekonaną przyjaciółkę.

– Powiem szczerze, przedstawiłaś to tak, że trochę się boję. Ochroniarz ze mnie żaden.

– Przecież ci tłumaczę, że nie ma żadnego zagrożenia. Mam schizę i tyle.

– Słuchaj, mam lepszy pomysł. – Szczerą radość Barbary można było wyczuć nawet przez telefon. – Letni domek!

– Masz letni domek?

– Nie, nie ja. Helena miała. Chyba nie sprzedawałaś?

– Jak miałam sprzedać, jeśli nawet nie wiedziałam o jego istnieniu. A gdzie to jest?

– W Zawodziu. Trochę z boku, jakieś dwa kilometry za wsią. Dookoła las, cisza, spokój. Jak w Bieszczadach, tyle że do cywilizacji blisko. Do sklepu w kwadrans na rowerze dojedziesz. Jest woda, kanalizacja, nawet internet i ogrzewanie. Jakby ktoś miał ochotę, można siedzieć choćby cały rok. Helena często tam jeździła, gdy miała większe zlecenia. Nazywała to miejsce „domem pracy twórczej”. Ja tam byłam wszystkiego ze dwa, może trzy razy, ale miejsce dobrze pamiętam. Na pewno trafię.

– A jak wejdziemy do środka?

– Mam klucze. Helena dała mi je na przechowanie, na wszelki wypadek, jakby swoje zgubiła albo gdzieś zostawiła. To co, wchodzisz w to?

– Jasne! Za dwie godziny u ciebie?

– Lepiej za trzy. Muszę się ogarnąć. Wstyd powiedzieć, ale dopiero wylazłam z łóżka.

– Super. To ja wyskoczę w tym czasie na zakupy. Zrobię trochę zapasów. Będę u ciebie po dwunastej.

\*

Na miejsce dotarły wczesnym popołudniem. Zaparkowały z tyłu domu, pod niewielką wiatą obrośniętą dzikim winem. Poza miastem panowało już niepodzielnie babie lato. Powietrze pachniało jesienią. Liście zdążyły pożółknąć, tu i tam spoza resztek zielni przebijały plamy czerwieni i brązu. Wzdłuż ścieżki prowadzącej do głównych drzwi kwitły wrzosy i drobne astry. Na środku trawnika królowała krwistoczerwona kanna. Płot ledwie można było dostrzec spod gęstych, późnych malin. Joanna nie wytrzymała. Rzuciła walizkę na ziemię, podbiegła do krzaków, zaczęła garściami rwać soczyste owoce i – jak dziecko – obiema rękami wpychała je pośpiesznie do ust.

– Ależ słodkie! W sklepie takich nie kupisz za żadne pieniądze. Chodź! Spróbuj!

Barbary nie trzeba było długo namawiać. Skwapliwie przyłączyła się do wielkiego obżarstwa. Rwały maliny, nie bacząc na sok skapujący po twarzy i dłoniach. Zaśmiewały się przy tym do rozpuku. Po porannym strachu i rozterkach nie pozostało ani śladu.

Jesienne słońce nie jest tak gorące jak letnie. Choć stało wysoko na bezchmurnym niebie, od ziemi ciągnęło chłodem i wilgocią.

– Chodźmy do środka – zaproponowała Barbara. – Trochę mi zimno.

Pozbierały porzucone bezładnie na ścieżce bagaże i chichocząc jak pensjonarki, ruszyły w stronę domku.

\*

W środku panował półmrok. Przez okna zasłonięte gałęziami gęstych krzewów wpadało niewiele światła. Pachniało dymem z papierosów.

– Ależ ktoś tu musiał nakopcić, jeśli tyle czasu czuć – skonstatowała Joanna.

– Przecież Helena nie paliła!

– Raczej nie mieszkała tu sama. Popatrz!



W pomieszczeniu panował nieład. Bardzo męski nieład. Wszędzie poniewierały się puszki po piwie. Na kanapie leżały malowniczo porozrzucane części garderoby: złachane spodnie od dresu, powyciągany sweter, para niezbyt świeżych skarpetek. Na podłodze stała wypełniona po brzegi petami, obtłuczona, gliniana popielniczka. Na blacie niskiego stolika centrale miejsce zajmował talerz z resztkami posiłku. Obok walały się sztuce i dwie torebki po słonych orzeszkach.

Barbara zabrała bagaże. Wspięła się po stromych schodach na poddasze, gdzie, jak pamiętała, były dwie niewielkie sypialnie. Joanna została na dole. Poszła do kuchni rozpakować zapasy. Coś tu nie grało. Za życia Heleny nie były ze sobą zbyt blisko, poznały się jednak na tyle dobrze, by dla Joanny jedno było jasne – cały ten bałagan był bardzo, ale to bardzo nie w stylu zmarłej siostry. Nie pasował też do Rafała. Co prawda jego znała jeszcze słabiej, właściwie wcale – tyle co z fotografii i opowieści Barbary, jednak wydawało się to wręcz nieprawdopodobne, by ten elegancki, opanowany mężczyzna zmieniał się wieczorem w dresiarza rozrzucającego gdzie popadnie puszki po piwie. Chociaż kto wie? Może najbardziej dystyngowani ludzie muszą niekiedy złapać trochę luzu? Dlaczego ktoś nie miałby usiąść od czasu do czasu przed telewizorem w papuciach i z puszką piwa? Tak, bałagan dał się jakoś wytłumaczyć. Jednak jeszcze coś było nie tak. Coś nieokreślonego, co nie dawało Joannie spokoju.

Postawiła torbę z zapasami na kuchennym blacie. Zaczęła wyjmować kupione rano jedzenie: bułki, herbatę, ser żółty, wędliny, mleko. Rozpakowała ponad połowę rzeczy, gdy nagle tuż za plecami usłyszała przerażający łomot. Podłoga zadrżała, zadzwoniły stojące na suszarce szklanki. Obróciła się przerażona. Od razu dostrzegła źródło hałasu: ogromną, zwalistą lodówkę „Mińsk”, liczącą sobie chyba z pół wieku, hałaśliwą niczym czołg, a jednak wciąż na chodzie. Odetchnęła z ulgą. Pomyślała, że dobrze się złożyło, nie trzeba będzie czekać, aż komora się wychłodzi. Otworzyła drzwiczki. Wewnątrz było pełno jedzenia. Świeżego. Wyjęła butelkę mleka. Spojrzała na datę ważności. Mleko było wczorajsze. I wtedy zrozumiała. Pojęła, co dręczyło ją od chwili, gdy tylko przestąpiła próg domku. Zapach. W pokoju niewietrzonym od przeszło dwóch miesięcy powinien panować zaduch. Tymczasem powietrze było świeże. Cuchnęło tytoniem, ale nie było tego charakterystycznego aromatu porzuconego pomieszczenia. Te resztki jedzenia na talerzu w pokoju też nie mogły być starsze niż dzień, półtora. Stała sparaliżowana z twarzą pobladłą ze strachu, wpatrzona w otwartą lodówkę, cały czas trzymając w ręku butelkę mleka.

Tak ją zastała Barbara. Zbiegła z góry zadyszana i przerażona. Położyła rękę na ramieniu przyjaciółki.

– Słuchaj – wyszeptała schrypniętym głosem. – Tam na poddaszu! Musisz to zobaczyć!

Joanna ocknęła się. W jednej chwili odzyskała energię.

– Tutaj ktoś mieszka! Wpakowałyśmy się do cudzego domu! Może Helena komuś go wynajęła przed śmiercią?

– O mój Boże! I jeszcze to tam, na górze! Chodź ze mną. Musisz to zobaczyć! Nie spodoba ci się.

– Nigdzie nie idę! Spadamy stąd, zanim pojawią się gospodarze. Zbieraj rzeczy i znikamy.

Niecierpliwym ruchem strąciła dłoń Barbary. Zamknęła lodówkę. Zaczęła szybko wrzucać wypakowane produkty z powrotem do torby.

Barbara nie protestowała. Posłusznie pognęła na górę po walizki. Gdy wróciła, Joanna stała już gotowa do wyjścia.

– Jeszcze tylko do toalety skoczę. Dwie minuty niczego nie zmieniają.

Joanna niechętnie skinęła głową. Chciała jak najszybciej uciec, znaleźć się daleko stąd. Zupełnie nie uśmiechała jej się wizja spotkania z nieznanymi mieszkańcami domku Heleny.

Dwie minuty. Niby niewiele. Niby nie powinny zrobić różnicy, a jednak zrobiły. Gdy z łazienki dobiegały odgłosy mycia rąk, z podjazdu dobiegł pisk hamulców i odgłos żwiru pryskającego spod opon.

Przez chwilę miała nadzieję, że samochód przejedzie obok. Próżną. Silnik umilkł, trzasnęły drzwiczki, brzęknął uzbrajany alarm. Zachrobotał klucz w zamku. Męski, niski głos zaklął szpetnie. Drgnęła klamka. Drzwi otworzyły się powoli. W progu sterczał jak wryty wysoki, barczysty mężczyzna lat około trzydziestu. Okrągłymi ze zdumienia oczami świdrował Joannę. Pół kroku za nim stał znacznie starszy, ale równie dobrze zbudowany osiłek. Szczyrzył zęby w sardonicznym uśmiechu. Najgroźniejszy grymas nie byłby nawet w połowie tak przerażający jak ten pozornie przyjazny wyraz twarzy.

– Kim pan jest? – wydukała wystraszona Barbara, w tej właśnie chwili wychodząca z łazienki.

– To ja się pytam, kim wy, do cholery, jesteście i co tu robicie? – warknął przybysz.

– To pomyłka – bąknęła Joanna, próbując wybrnąć z sytuacji. – Pomyliłyśmy domy. Już nas nie ma. Zmykamy. Do widzenia! – zawołała z przesadnym entuzjazmem.

– Co to, to nie, moje panie! – odezwał się milczący dotąd, starszy mężczyzna. – Najpierw sobie to i owo wyjaśnimy.

– Włóż! – popchnął towarzysza. Weszli do środka. – Przypilnuj, żeby nie dały nogi! – dodał.

Trzasnęły zamykane drzwi. Złowieszczo zgrzytnął przekręcany klucz. Choć nie padła żadna groźba, obie kobiety poczuły spływające po plecach strużki zimnego potu.

\*

Jeszcze nie tak dawno temu Pucki był głęboko przekonany, że migreny to jedynie wymysł autorki powieści dla kobiet podchwycony ochoczo przez zagorzałe czytelniczki.

Pewnie trwałby w tej wierze jeszcze długo, gdyby jakieś dwa, trzy lata temu nie dopadł go przesywający, pulsujący ból głowy gorszy od najgorszego kaca. Nie mógł znieść światła – przewiercało mózg niczym świder. Każde otwarcie oczu było torturą godną hiszpańskiej inkwizycji. Nie miał w oknach zasłon – uznał, że na ostatnim piętrze wieżowca zwróconego ku rzece nie są mu do niczego potrzebne. Kto i jak miałby zaglądać mu w okna? Ptaki? Korzyści z tego nie ma, tylko kłopot z praniem. Jednak owego dnia, gdy skręcał się z bólu, pożałował, że nie ma jak zasłonić okien. Resztką sił przeciągnął materac do przedpokoju. Na wierzch rzucił poduszkę i koc. O mało nie zwymiotował z wysiłku. Cały weekend spędził, leżąc skulony w zaimprovizowanym barłogu.

Pierwszy atak zignorował. Podobnie drugi. Za trzecim razem skapitulował. Poszedł do przychodni. Wiele to nie dało. Młody, pewny siebie lekarz wkurzył komisarza rozwlekłym wywodem o tym, że ani płeć, ani wiek pacjenta nie pasują do opisanej choroby. Na potwierdzenie swych słów cytował źródła i statystyki. Nie powiedział tego wprost, ale dał mocno odczuć – podejrzewał, że Pucki symuluje. Dopiero przyparty do ściany przyznał, że owszem, choroba atakuje czasami, choć rzadko, niezwykle rzadko – co z całą mocą podkreślił – mężczyźni w średnim wieku. Z ogromną niechęcią, manifestując każdym gestem nieufność i sceptycyzm, wystawił receptę na Imigran.

– Do stosowania doraźnego – poinstruował lodowatym tonem. – Proszę wykupić receptę, żeby mieć lek pod ręką, ale nie przyjmować zapobiegawczo. Jeśli pana znowu dopadnie, wtedy należy wziąć jedną tabletkę. Jeśli to nie pomoże, przyjmowanie kolejnej dawki podczas tego samego napadu jest bezcelowe. Drugą tabletkę można przyjąć w trakcie kolejnego ataku.

Podziękował. Pożegnał się grzecznie, choć w głębi duszy miał wielką ochotę nawrzucać zarozumiałemu konowalowi. Lek wykupił. Draństwo kosztowało ponad stówkę za opakowanie zawierające tylko dwie tabletki. Dzięki Bogu, okazało się skuteczne.

Migrena zwykle atakowała w sobotę ranę i ustępowała w niedzielę późną nocą. Tym razem też nie zrobiła wyjątku. To był jeden z tych poniedziałków, gdy przyszedł, a właściwie przywłókł się do pracy skonany i wściekły, po dwóch dniach, które przetrwał tylko dzięki tabletkom i opuszczonym, grubym, nieprzepuszczającym światła roletom.

Ofiarą złego humoru komisarza jako pierwszy padł Kozieluczuk. Aspirant z samego rana zapukał energicznie do gabinetu przełożonego. Zbyt energicznie.

- Wejść – wycedził Pucki przez zaciśnięte zęby. – Musicie robić taki rumor?
- Tak jest, panie komisarzu! – odpowiedział ni w pięć, ni w dziewięć Kozieluczuk.
- Ciszej, proszę. Jak będę chciał, żeby cała komenda się o czymś dowiedziała, to zwołam odprawę. Na razie wystarczy, że mnie poinformujesz. Melduj, co masz do powiedzenia.

– Tak jest, panie komisarzu! – powtórzył aspirant, ani trochę nie zbity z pantałyku. – Ja w sprawie Marchwińskiego, pan komisarz zlecił mi się nim zająć.

Zamilkł.

– Wiem, co zleciłem. Nie musisz mi przypominać. Rozumiem, że czegoś się dowiedziałeś.

– Tak jest, panie komisarzu!

Pucki zagryzł zęby. Pomyślał, że jeszcze jedno „tak jest” i nie wytrzyma, wyrzuci chłopaka na zbity pysk za drzwi.

– No więc tak. Zacząłem od poszukiwania tej studentki, co to jakoby Marchwiński jej magisterkę przepisał, tej Marianny Pol. Dziewczyna przepadła jak kamień w wodę. Wyprowadziła się, zmieniła pracę. Nowego adresu nikomu nie zostawiła. A wie pan, co w tym wszystkim jest najlepsze? Zniknęła dwa dni po tym, jak zamordowano Helenę Rubiszewską. Potem sprawdziłem tego Marchwińskiego. Facet wyjechał do Stanów. Na rok. Czy wróci, to inna sprawa. Ale to nie wszystko! Opuścił kraj dokładnie w dniu przeprowadzki Marianny Pol. Pomyślałem, że razem nawiali. Co prawda nie ma żadnych dowodów na to, że kobieta wyjechała z Polski, ale przecież mogła czmychnąć do któregoś z krajów Unii i ewentualnie stamtąd ruszyć dalej.

– Ciekawe, w rzeczy samej ciekawe. Coś jeszcze?

– A jakże! Uznałem, że jeśli Pol i Marchwiński zwiali, to mogę zająć się przynajmniej artykułem. Zacząłem szukać specjalisty od prądnic, tak jak pan komisarz kazał. Chwilę to trwało, aż w końcu znalazłem. Momencik – przerwał. Wyjął z kieszeni niewielki notesik, przerzucił kilka stron. – Mam! – krzyknął uradowanym głosem i zaczął pośpiesznie czytać:

– Doktor Jerzy Kłys. Kolega i współpracownik Marchwińskiego. Interesowała ich ta sama tematyka, zrobili nawet razem kilka komercyjnych projektów. Nic wielkiego, ale zawsze coś. Ten cały Kłys najpierw mocno kręcił. Mam wrażenie, że nie chciał sypnąć kumpla. Postraszyłem go troszeczkę. Nie, nie, żadnej siły! Co ja jestem, Brudny Harry? – Pośpieszył z wyjaśnieniami, widząc grymas niezadowolenia na twarzy przełożonego. – Zacytowałem tylko paragrafy o utrudnianiu pracy policji. To zawsze działa – zachichotał. Spoważniał, gdy dostrzegł, że Pucki nie podziela jego wesołości. Odchrząknął i podjął przerwana opowieść. – No więc tak jak mówiłem, ten Kłys początkowo kręcił. Twierdził, że na podstawie notatek osób trzecich nie jest w stanie dokonać analizy. Ściemniał, że musi iść do archiwum zapoznać się z pracą Marianny Pol, potem do czytelnicy, że nie ma czasu, że zarobiony jest, i tak dalej, i tak dalej. Coś przebąkiwał o honorarium za analizę. Ja mu na to, że policja korzysta tylko z usług stałych ekspertów, ale jak się wykaże, to kto wie, może następnym razem... No pod włos go wzięłem. Chyba połknął haczyk, bo obiecał, że na wtorek coś przygotuje. Ma jutro do nas przyjść.

– Dobra robota! – pochwalił nieszczercze komisarz. Nie czuł nawet śladu satysfakcji. Właściwie był nawet zły. Najchętniej pognałaby Kozielczuka wraz ze wszystkimi rewelacjami do wszystkich diabłów. Nienawidził takich spraw, gdzie zamiast eliminować kolejne tropy musiał co i rusz podejmować nowy. W głębi duszy liczył na to, że aspirant pomoże mu wykluczyć wątek plagiatu – czegoś tak absurdalnego nie spotkał w całej swej karierze – a tu masz, mało tego, że nie można Marchwińskiego skreślić z listy podejrzanych, to jeszcze trzeba się mu bliżej przyjrzeć. Po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że nie lubi aspiranta. Wybitnie irytujący smarkacz!

## ROZDZIAŁ 19

Krzesło miało już swoje lata, niejedno musiało przejść. Powinno już dawno wylądować na śmietniku, ktoś jednak bardzo je lubił i cierpliwie reperował. Ktoś z pewnością bardzo uparty i zdeterminowany, ale zupełnie niemający pojęcia o stolarce czy chociażby majsterkowaniu. Jedną nogę wymieniono na nową, mniejsza z tym, że w zupełnie innym kolorze niż reszta mebla, gorzej, że zdecydowanie krótszą od reszty. Rozeschnięte oparcie zbito gwoździami. Jeden z nich wylazł nieco na wierzch i boleśnie uwierał Joannę. Spróbowała zmienić pozycję. Nie pomogło. Gwóźdź nadal dokuczał, a do tego boleśnie podrapał plecy. Zaklęła z bezsilnej złości, lecz z zakneblowanych ust wydobył się tylko nieartykułowany pomruk. Przywiązano ją bardzo starannie. I mocno. Pętle zaciśnięte na nadgarstkach i kostkach wżynały się w skórę, odcinając dopływ krwi. Dłonie i stopy drętwiały coraz bardziej. I tak bardzo chciało się jej do toalety. Spojrzała w bok. Na podobnym krześle, może nieco mniej zdezelowanym, tak samo przywiązana i zakneblowana siedziała Barbara.

Tkwiły tak ponad godzinę. Początkowo chciały uciec. W innych okolicznościach dziwaczne ruchy i podskoki, które wykonywały, próbując przesunąć krzesła, pewnie wydałyby się zabawne, ale tym razem nikomu nie było do śmiechu. Co gorsza, żałosne wysiłki zakończyły się bolesnym upadkiem Barbary. Zwabiony hałasem młodszy mężczyzna przycłapał niemrawo z kuchni, gdzie naradzał się z towarzyszem. Z politowaniem popatrzył na leżącą kobietę, zachichotał, kopnął w oparcie. Barbara jęknęła, wywołując u prześladowcy kolejną falę chichotu.

Przestał się śmiać równie nagle jak zaczął. Dźwignął krzesło razem z przywiązaną Barbarą tak lekko, jakby to była lalka na dzieciennym krzeselku.

– Spokój ma być! Jak się następnym razem któraś wywali – nie podniosę. Będzie leżeć – warknął. Od razu pojęły, że to nie jest czcza groźba.

Siedziały teraz zrezygnowane, nasłuchując dochodzących zza ściany strzępków rozmowy. To, co słyszały, budziło najpierw niedowierzanie, potem strach, a na końcu przerażenie.

– Nie mam pojęcia, co to za baby, może rzeczywiście wlaży tu przez przypadek?

– Stuknij się w czoło? Przez przypadek? Jaki przypadek? Nie włazi się przez przypadek do domu zamkniętego na klucz!

– Myślisz, że to policja?

Trzasnęły drzwi lodówki. Dźwięk nalewanego płynu. Znowu drzwi lodówki. Głośne przetykanie. Uderzenie kubka z impetem odstawianego na blat. Parsknięcie – ktoś coś wypluwał. Głośne przekleństwo.

– Cholerne mleko skisło! Ależ paskudztwo! Mówiłem...

- Daj spokój. Potem będziesz narzekał. Co z babami?
- Z policji czy nie z policji, nie przyłazły tu bez powodu. Coś wiedzą. A jak wiedzą, to prędzej czy później chlapną gdzieś ozorem. Trzeba je unieszkodliwić. Zrobimy tak...

\*

Jerzy Kłys dotarł na komendę trzy minuty przez wyznaczoną godziną. Z Puckim przywitał się zdawkowo, wręcz oschle. Nie wyglądał na specjalnie zadowolonego. Niechęci też nie okazywał. Twarz miał nieprzeniknioną niczym Sfinks.

– Dziękuję, że zgodził się pan nam pomóc – zagaił Pucki. – Co wykazała pańska analiza? – Od razu przeszedł do rzeczy.

Kłys podniósł z podłogi skórzaną aktówkę. Powoli otworzył teczkę. Wyjął plik papierów – odbitek ksero, odręcznych notatek i wydruków. Z namaszczeniem rozkładał kartki na stole, starannie segregując je na oddzielne stosiki.

– Czy mógłbym dostać coś do picia?

Wyraźnie grał na czas. Starał się odwlec nieprzyjemny moment jak pacjent w poczekalni u dentysty przepuszczający kolejne osoby poza kolejką.

– Kawa? Herbata? Woda? – Nieco zirytowany komisarz trzymał nerwy na wodzy. Nie miał innego wyjścia. Kłys, świadomie lub nie, wyświadczał mu przysługę i to niemałą. W dzisiejszych czasach darmowa opinia eksperta trafia się nie co dzień. – Z cukrem i mlekiem? – dodał, siląc się na uprzejmość.

– Czarną, bez cukru – mruknął pytany takim tonem, jakby właśnie obrzucono go obelgami.

Komisarz przyniósł plastikowy kubek pełen gorącego, aromatycznego napoju. Z narastającą frustracją obserwował, jak gość z powagą miesza łyżeczką niesłodzoną kawę.

– Może przejdziemy do rzeczy? Nie chcę marnować pańskiego czasu. – Nie wytrzymał w końcu.

– Sprawa jest prosta. – Słowom Kłysa towarzyszyło głębokie westchnienie. – Te teksty są praktycznie identyczne. Nie rozumiem jednak, dlaczego policja się tym zajmuje. Przykra sprawa, ale prawda jest taka, że sporo magistrantów oszukuje – jedni kupują prace, inni przepisują cudze publikacje. Fakt, uczelnia powinna tego bardziej pilnować, weryfikować i tak dalej, ale kto ma na to czas? Zresztą to tylko praca magisterska: zaraz po obronie ląduje w archiwum, a po pięciu latach idzie na przemiał. Nikomu wielka krzywda się nie dzieje. A tu zaraz policja, dochodzenie! Za to prawdziwych przestępców nie ma komu łapać.

Sens przydługiego wywodu nie od razu dotarł do komisarza.

– Twierdzi pan, że to Marianna Pol popełniła plagiat? – krzyknął szczerze zdumiony.

– Przecież o to wam chodziło, miałem ustalić, czy prace są identyczne. Sprawdziłem. Ustaliłem. Są. Kropka.

– To akurat rozumiem doskonale. Chodzi mi o to, na jakiej podstawie twierdzi pan, że praca magisterska jest plagiatem artykułu Marchwińskiego, a nie odwrotnie?

Tym razem to Jerzy Kłys wyglądał na szczerze zdumionego.

– Sugeruje pan, komisarzu, że to pan doktor Marchwiński przepisał pracę własnej magistrantki? – Słowa „pan doktor” wymówił szczególnie dobitnie, trochę po to, by podkreślić absurdalność przypuszczenia, a trochę po to, by zaprotestować przeciwko pogardliwej formie użytej przez Puckiego.

– Na to wskazuje chronologia publikacji. Praca pani Pol została obroniona na kilka miesięcy przed publikacją doktora. Napisana została jeszcze wcześniej. Promotor miał dostęp do wersji roboczej, czyli na długo przed obroną. Czasu było aż nadto, żeby przepisać cały tekst z najdrobniejszymi szczegółami.

– To niemożliwe! – Mężczyzna aż poczerwieniał z oburzenia.

– Jeszcze bardziej niemożliwe jest to, by studentka przepisała nieopublikowany artykuł, nieprawdaż? Podróż w czasie możemy odrzucić, jak mniemam – ironizował.

– Mogła dobrać się do notatek doktora! Artykuł pewnie był gotowy na długo przed oficjalną publikacją. Wie pan, ile teraz trzeba czekać, zanim tekst ukaże się w druku? Miesiące, a bywa, że i rok! Prasa drukowana ginie, nie ma gdzie publikować, a chętnych dużo. Czego by nie mówić o internecie, publikacje w prasie tradycyjnej to wciąż jeszcze większy prestiż.

Ktoś mniej doświadczony niż Pucki zakończyłby rozmowę, gdy tylko główna kwestia została rozstrzygnięta. Komisarz miał jednak własne podejście. Lubił pogadać ze świadkiem nieco dłużej, podywagować, pociągnąć za język w sprawach, zdawałoby się, bez znaczenia, niezwiązanych ze śledztwem. Zadziwiające, jak wiele można się było dowiedzieć w trakcie takich, na pozór błahych, pogaduszek. Ludzie zaczynali paplać i nieświadomie opowiadali o rzeczach, o których oficjalnie nigdy by nie wspomnieli. Nie chodziło o tajemnice, raczej o drobiazgi, które świadkowie uznawali za nieistotne, niewarte wzmianki, a które pozwalały policjantowi spojrzeć na wiele zdarzeń z nowej perspektywy. Teraz też postanowił poświęcić kilka minut na niezobowiązującą pogawędkę.

– No dobrze, załóżmy, że jakoś dobrała się do notatek promotora. I co? Autor nie zauważył, że przepisała jego tekst? Jeśli laik rozpoznał, że to ordynarny plagiat, to jak mógł tego nie dostrzec fachowiec? Do tego autor tekstu?

Kłys niespokojnie wiercił się na krześle. Przetarł twarz dłońmi. Westchnął. Spojrzał Puckiemu prosto w oczy.

– Powiem, co myślę – zaczął niepewnie. – Jurek, to znaczy, doktor Marchwiński, jest... jakby to powiedzieć... mało odporny na kobiece wdzięki. Widzi pan, on nie był ani specjalnie majątny, ani szczególnie przystojny. Tłusty, łysiejący pan z mizerną pensją, nawet niezbyt elokwentny. Dobry fachowiec, rzetelny, ale żadna tam światowa czy chociażby europejska sława. Na takich dziewczyny nie lecą. A on dziewczyny lubi,



oj, lubi! Nie chciałem o tym mówić, bo to w końcu żadne przestępstwo, ale jeśli policja pyta, to co ja mogę zrobić? Nie będę przecież kłamał.

Pucki ze zrozumieniem pokiwał głową. Nie było sensu dalej ciągnąć rozmowy. Komisarz podziękował gościowi, a ten z wyraźną ulgą opuścił komendę.

\*

Pucki siedział przy biurku z niewesołą miną. Mechanicznie przekładał leżące na biurku papiery. Myślał. Wywody Kłysa miały sens. Mówiąc precyzyjnie, miałyby, gdyby nie comiesięczne wpłaty na konto Heleny Rubiszewskiej. Co groziłoby Marchwińskiemu, gdyby wyszło na jaw, że praca jego studentki jest niesamodzielna? Prawdopodobnie nic. W najgorszym wypadku musiałby się przyznać, że nie zajrzał do pracy, którą miał sprawdzić. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent sprawę zamieciono by pod dywan, bo pewnie połowa kadry, albo i więcej, ma na sumieniu podobne grzeszki. Plagiat, to co innego. Grubsza sprawa. Warta szantażu. Zaklął pod nosem. Nadal nie był ani o włos bliżej rozwiązania zagadki.

\*

– Szefie, szefie, niech szef tu idzie, prędko! – Do gabinetu wpadała zasapana Monika.

– Co się dzieje? – Kogoś innego Pucki posłałaby do wszystkich diabłów, ale Monika nie była sensatką. Jeśli uznała, że coś jest ważne, to komisarz jej wierzył. Pośpiesznie włożył akta do sejfu i ruszył za podekscytowaną koleżanką.

– Powiesz mi w czym rzecz?

– Na komendę przyszła matka Barbary Brodzkiej. Chce zgłosić zaginięcie córki. Podobno dziewczyna wyszła z domu wczoraj rano, nie wróciła na noc, nie odbiera telefonów. Dyżurny chciał ją delikatnie spławić. Na szczęście ona jest z tych, co to lubią się awanturować. Darła się tak, że słyhać ją było chyba na ulicy, a już przy moim biurku na pewno. Wyjrzałam, żeby zobaczyć, o co chodzi. Młodziak na dyżurce wyglądał, jakby miał ochotę uciec gdzie pieprz rośnie. Żał mi go było. Pomyślałam, że pomogę. Gdy usłyszałam, o kogo chodzi, od razu coś mi w mózgu zaskoczyło. Pogadałyśmy przez chwilę – chciałam się upewnić, że to nie przypadkowa zbieżność nazwisk. Nie ma wątpliwości – zaginiona Barbara Brodzka to nasz świadek. Może to nic ważnego – dziewczyna mogła zabalować z kolegami – ale myślę, że mimo wszystko warto się sprawie przyjrzeć. A co pan sądzi, szefie?

– Sądzę, że masz rację. Za chwilę się przekonamy.

\*

W poczekalni przy dyżurce jak zwykle kręciło się sporo ludzi. Niektórzy czekali cierpliwie, siedząc na niewygodnych, składanych krzeselkach ustawionych rzędem pod ścianą. Inni przechadzali się nerwowo w tę i nazad. Ktoś zawzięcie wystukiwał coś na

ekranie smartfona. Mała, rozczochrana kobieta z pasją nieadekwatną do sytuacji studiowała tablicę ogłoszeń pełną plakatów i ulotek informacyjnych. Młody człowiek tłumaczył coś dyżurnemu, energicznie przy tym gestykulując.

Pucki od razu dostrzegł Brodzką. Stała w kącie, grzebiąc w przepastnej torebce. Wyglądała jak starsza, nieco grubsza i zdecydowanie gorzej uczesana kopia córki. Podobieństwo było uderzające. Nie czekając na Monikę, podszedł do kobiety.

– Dzień dobry! Komisarz Pucki, w czym mogę pomóc?

Drgnęła zaskoczona. Otwarta torebka wypadła jej z dłoni. Na podłogę potoczyły się najprzeróżniejsze drobiazgi: telefon, portfel, grzebyk, puderniczka, klucze. Czegóż to kobiety nie noszą przy sobie!

Przyklękła. Zaczęła gorączkowo wrzucać do torebki rozsypane przedmioty. Pucki chciał jej pomóc, ale powstrzymała go gestem.

– Przepraszam – powiedziała płaczącym głosem. – Z nerwów ręce mi się trzęsą.

– Przejdźmy może do mojego gabinetu – zaproponował. – Tam spokojnie porozmawiamy.

Z wdzięcznością skinęła głową. Wstając, stęknęła cichutko.

– Stawy – wytłumaczyła. – Wiek robi swoje. Zdrowie już nie to!

Pucki, choć sam cieszył się końskim zdrowiem, zrobił wielce zatroskaną minę i dla zwiększenia efektu pokiwał ze zrozumieniem głową. Miał nadzieję, że wyszło naturalnie. Przykładał dużą wagę do budowania więzi emocjonalnej ze świadkiem.

\*

– Rozumiem, że martwi się pani o córkę? – podjął, gdy już całą trójką usadowili się w gabinecie.

– Proszę posłuchać. – Głos Brodzkiej drżał z emocji – Wiem, co pan myśli i co myśli ten tam przy wejściu. Wam się wydaje, że stara baba histeryzuje. Ale ja wiem, co mówię! Tak, jestem nadopiekuńcza. Ja to wiem i moja córka to wie. Wie, że łatwo wpadam w panikę i wie też, że mi to szkodzi. Nerwy mogą mnie zabić! Bo ja, proszę pana, po dwóch zawałach jestem. Dlatego zawsze, ale to zawsze, Basia mówi mi, dokąd i na ile wychodzi. Jak gdzieś wyjeżdża na dłużej, to codziennie dzwoni.

– Wiem, że zgłosiła już pani sprawę dyżurnemu funkcjonariuszowi, ale byłbym wdzięczny, gdyby powtórzyła pani wszystko jeszcze raz, po kolei.

– Po kolei to po kolei. Jak pan sobie życzy. – Wzruszyła ramionami, ale posłusznie zaczęła opowiadać. – Cała ta historia od samego początku mi się nie podobała. W poniedziałek rano zadzwoniła nowa przyjaciółka Basi, tak... jak jej tam... Joanna Tańska.

– W poniedziałek, czyli wczoraj? – wtrąciła Monika. Pucki spiorunował ją wzrokiem. Nienawidził, gdy ktoś bez potrzeby przerywał świadkowi. Szczegóły można będzie doprecyzować później. Na razie trzeba korzystać z tego, że kobieta jest skora do

mówienia. Niech gada. Im więcej, tym lepiej. Potem odsieje się ziarno od plew. Gorzej, jeśli powie za mało, pominie coś istotnego. Szkoda może być nie do naprawienia.

– Oczywiście, że wczoraj. Przecież nie tydzień temu! – zachnęła się szczerze oburzona.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto by czekał ponad tydzień, gdy dziecko jest w niebezpieczeństwie? – Wbiła w Monikę oskarżycielskie spojrzenie.

– Z pewnością nie! Rzeczywiście, głupio zapytałam. Przepraszam, że przerwałam – zmitygowała się podkomisarz.

– Proszę kontynuować. Nie ma czasu do stracenia! Każda minuta może być ważna!

Argument Puckiego przemówił Brodzkiej do wyobraźni. Fuknęła jeszcze, by podkreślić swe oburzenie, po czym już bez szemrania podjęła przerwana opowieść.

– Na czym to ja stanęłam? Ach tak, już wiem. No więc w poniedziałek z rana do Basi zadzwoniła Joanna Tańska. Gadały z kwadrans albo i dłużej. Trochę się zdenerwowałam, bo akurat jedliśmy śniadanie. To znaczy Basia jadła, bo ja wstaję wcześniej, a córka lubi pospać, więc dla niej szykuję oddzielnie, jak się obudzi. Właśnie kończyłam smażyć jajecznicę, jak ta Tańska zadzwoniła. Jajecznica jak wystygnie, to już do niczego się nadaje. Kto to słyszał wydzwaniać o takiej porze! Gdy tylko skończyły gadać, Basia oznajmiła, że wyjeżdża na kilka dni i zaraz zaczęła się pakować. Nawet śniadania nie zjadła. Cała jajecznica przepadła! To ja specjalnie na targ chodzę, jajka wiejskie kupuję, po półtora złotego sztuka, na wiejskim masełku smażę i po co? Żeby do kubła wyrzucić! – zamilkła, na nowo poruszona bezsensownym marnotrawstwem.

– O której córka wyszła z domu?

– Koło południa, dokładnie nie pamiętam, prasowanie robiłam. Na pewno przed pierwszą, bo jak o pierwszej włączyłam *Trudne sprawy* na Polsacie, to już jej nie było.

– Odjechała sama czy z panią Tańską?

Brodzka zamyśliła się.

– A to dobre – odparła po namyśle. – Głowę bym dała, że pojechały razem, ale teraz, jak pan o to pyta, to tak sobie myślę, że przecież ja tej Tańskiej właściwie nie widziałam. Pamiętam, że Basia wzięła torbę, krzyknęła „auto czeka” czy jakoś tak i pobiegła na dół. Tak, tak! Wcale nie powiedziała „Joanna czeka” czy „Joanna przyjechała” tylko „auto czeka”. Tego jestem pewna.

– Mówiła może, dokąd się wybierają?

– Nie, jakoś w tym pośpiechu tak wyszło, że nie powiedziała. Wspomniała coś o świeżym powietrzu i lesie. Nie dopytywałam się. Trochę na nią byłam zła. Poza tym pomyślałam, że jak wieczorem zadzwoni, to mi wszystko opowie. Nie zadzwoniła. Ani wczoraj wieczorem, ani dziś rano. Zwykle do córki nie dzwonię – czekam, aż sama się odezwie, ale jak do obiadu nie dała znaku życia, nie wytrzymałam. Nie odbiera. Z dziesięć razy dzwoniłam albo i piętnaście. I nic. Nie odpowiada. Coś się musiał stać! Jestem pewna.

Niespodziewanie przerwała i zaniósł się płaczem.

Pucki radził sobie bez problemu i z upartymi świadkami, i z agresywnymi, ale wobec łez był bezsilny. Wszelkie starania opanowania sytuacji dawały skutek odwrotny do zamierzonego. Czy to w pracy, czy życiu prywatnym, gdy pocieszał – płaczący co najwyżej jeszcze bardziej się nakręcał. Gdy starał się przemawiać do rozsądku – wychodził na cynika, gdy próbował być surowy – niezmiennie zarzucano mu brak empatii. W odruchu samoobrony nauczył się salwować ucieczką. Nie dosłownie, w przenośni, ale skutecznie. Tym razem też zastosował sprawdzony manewr.

– Podkomisarz Więcka się panią zajmie. Trzeba spisać zeznania i oficjalnie zarejestrować zgłoszenie zaginięcia.

Monika obrzuciła komisarza wzrokiem godnym bazyliuszka. Co tam! Najważniejsze, że opanowała sytuację.

W gabinecie zapanowała błoga cisza. Co dalej? Najlepiej zacząć od rzeczy oczywistych. Sięgnął po akta. Wyszukał numer telefonu Barbary Brodzkiej. Może dziewczyna z jakiegoś, sobie tylko znanego powodu, nie chciała rozmawiać z matką? Wystukał numer. W odpowiedzi usłyszał jedynie mechaniczny głos: „Abonent czasowo niedostępny lub ma wyłączony telefon”. To jeszcze o niczym nie świadczyło. Mogła paść bateria, telefon mógł się zepsuć, Barbara mogła go celowo wyłączyć. Kolejny krok był równie oczywisty. Znowu chwilę pogrzebał w aktach – tym razem w poszukiwaniu numeru Joanny Tańskiej. To samo: najpierw chwila oczekiwania, a potem ten sam, kobiecy głos: „Abonent czasowo niedostępny lub ma wyłączony telefon”. Wciąż nie widział powodu do paniki. Awaria dwóch telefonów była co prawda mało prawdopodobna, ale mimo wszystko możliwa. Poza tym, starsza Brodzka wspominała o świeżym powietrzu i lesie, a to mogło oznaczać dowolne zadupie poza zasięgiem jakiegokolwiek sieci.

Tyle podpowiadał rozsądek. Policyjny instynkt mówił coś zupełnie innego.

## ROZDZIAŁ 20

Są ludzie, których przeciwności losu demotywiają, i są tacy, dla których wszelkie przeszkody to dodatkowy bodziec do działania. Konstantin Błocki bez wątpienia należał do drugiej grupy. Nie uznawał słów „niemożliwe” i „niewykonalne”, a stwierdzenia „nie ma wyboru” i „nie ma wyjścia” uważał za z gruntu fałszywe. W jego mniemaniu wyjście istniało zawsze, a wybór polegał na tym, czy się z owego wyjścia skorzysta czy nie. Odkąd pamiętał, zawsze kierował się zasadą „Nie pozwól, by szansa przeszła ci koło nosa, bo druga może nigdy się nie trafić”. Kto inny na jego miejscu dawno by się poddał: aresztowany w obcym kraju, praktycznie złapany na gorącym uczynku, bez przyjaciół, bez pieniędzy, bez dokumentów. Kto inny, ale nie Konstantin Błocki. Wiedział, że może liczyć tylko na siebie. Był cierpliwy. Był czujny. Wypatrywał okazji.

Areszt śledczy z zewnątrz przypominał parterowy barak w kształcie litery U. Otwarta przestrzeń przylegała do ściany sądu rejonowego. W ten sposób w środku powstał kwadratowy dziedziniec wykorzystywany jako spacerniak. Stał na nim teraz Konstantin Błocki i czujnym okiem lustrował otoczenie.

Dach części parterowej zabezpieczono zwojami drutu kolczastego. Przeszkoda trudna do pokonania dla kogoś nieposiadającego żadnych narzędzi. Ucieczka tą drogą to ostateczność, wymagałaby sporo przygotowań.

Przeniósł wzrok na zamykający plac czteropiętrowy budynek sądu. Pierwszą kondygnację tworzył ceglany, gładki mur. Ślepy. Za to od pierwszego piętra wwyż ciągnęły się rzędy starannie zakratowanych, wąskich, dwuskrzydłowych okien. Popatrzył wyżej. Żadnego drutu kolczastego. Zwyczajny, płaski dach. Kręciła się po nim grupka robotników, zawzięcie łatająca pamiętającą jeszcze lata siedemdziesiąte warstwę papy. W umyśle więźnia powoli zaczynał kiełkować plan. Plan wart przemyślenia i dopracowania.

Błocki stał nieruchomo, wgapiając się w smołujących dach mężczyzn. Nie zmienił pozycji nawet wtedy, gdy przerwali pracę, odłożyli narzędzia i wśród śmiechów i przepychanek zniknęli w drzwiach nadbudówki. Bezmyślnie wbijał wzrok w pustą przestrzeń. Pozornie bezmyślnie, bo w rzeczywistości cały czas pozostawał spięty i skupiony.

Gdy na dziedzińcu rozpoczęło się zamieszanie był gotów do działania. Czujne oko natychmiast wychwyciło dziwne zachowanie jednego ze współwięźniów. Wysoki, lekko przygarbiony, szpakowaty mężczyzna zachwiał się lekko raz, potem drugi i trzeci. Powoli, niczym na zwolnionym filmie, upadł na ziemię. Leżał bezwładnie jak szmaciana lalka, z trudem łapiąc powietrze.

Jeden ze strażników bez pośpiechu podszedł do skulonego więźnia. Był starym wyjadaczem, z niejednym symulantem miał w życiu do czynienia. Zatrzymani udawali

choroby z wielu powodów: czasem liczyli na przeniesienie do szpitala – mało ekskluzywnego, ale mimo wszystko wygodniejszego niż przepelnione do granic możliwości cele, czasem próbowali ucieczki, a czasem robili to po prostu z nudów.

– Wstawać, nie mam ochoty na wygłupy – warknął.

Leżący ani drgnął. Twarz miał bladą, oczy wytrzeszczone z przerażenia, czoło zroszone kropelkami potu. Strażnik ostrożnie przykucnął. Przez chwilę taksował więźnia wzrokiem, złapał go za przegub, a gdy nie wyczuł pulsu, dotknął szyi tam, gdzie przebiega tętnica. Zbladł.

– Kurwa! On nie udaje! – wrzasnął.

Strażnicy, dotąd ospali i senni, ruszyli do działania. Biegali niczym mrówki krzątające się wokół zniszczonego mrowiska. Stracili cenne minuty, które mogły uratować życie chorego. Jeśli drań nie przeżyje, prokurator bez dwóch zdań dokopie się do zaniedbania. A jeśli nie prokurator, to pismaki na pewno. Nikt nie miał głowy do obserwowania Konstantina Błockiego. Miał swoją szansę i skorzystał z niej bez wahania.

Przebiegł przez cały dziedziniec, z każdą chwilą nabierając rozpędu. Podskoczył. Udało się! Palce prawej dłoni zahaczyły o kraty na pierwszym piętrze. Podciągnął się na tyle, by lewa ręka też dosięgnęła poprzecznego pręta. Poprawił uchwyt. Napiął mięśnie. Zagryzając zęby z wysiłku, rozpoczął mozolną wspinaczkę. W duchu podziękował nadgorliwemu projektantowi, który nakazał założyć kraty także na drugim piętrze. W zamyśle miały chronić przed włamaniem do budynku sądu, ale teraz spełniły zupełnie inną rolę – stanowiły wspaniałe oparcie dla rąk i nóg uciekiniera. Za to kolejne dwie kondygnacje okazały się prawdziwym wyzwaniem. Najważniejsze to nie ulec panice. Uważnie lustrował mur dookoła. Wypatrywał wyszczerbionych cegieł, ubytków, nierówności, rozważnie wybierając te, które mogły posłużyć jako uchwyt. Poranione palce zostawiały na ścianie krwawe ślady. Zdawało się, że minęła cała wieczność, nim dotarł do trzeciego piętra. Stał na wąskim parapecie. Dyszał ciężko. Z trudem przezwyciężył pokusę, by zostać tu dłużej, odpocząć, nabrać sił. Ruszył dalej. Mozolnie pisał się ku górze. Centymetr po centymetrze. Na moment stracił nadzieję. Pomyślał, że nie ma szans. Chciał zrezygnować, poddać się, wezwać pomoc. Niech się dzieje, co chce, byleby go ściągnęli z tej cholernej ściany! Jednak wrodzony upór zwyciężył. Kazał pisać się dalej. Dodał odwagi w najbardziej ryzykownym momencie, gdy trzeba było odbić się od kolejnego parapetu, by uchwycić kraj dachu.

Zawisł nad przepaścią. Nie miał wątpliwości – upadek na wybetonowany dziedziniec z tej wysokości może skończyć się tylko w jeden sposób. Nabrał powietrza w płuca, zebrał resztki sił i zdobył się na ostatni wysiłek. Czuł każde ścięgno, każdy napięty mięsień ciągnący go mozolnie w górę, ku wolności. Wyprostować ręce! Podciągnąć się! Zgiąć! Gdy tułów oparł się o gładką, śmierdzącą smołą powierzchnię, Błocki zrozumiał, że ma szansę na zwycięstwo. Pojął też, że za wcześnie jeszcze na świętowanie. Przeturlał się jak najdalej od krawędzi, wstał i ruszył ku nadbudówce, w której niedawno zniknęli

robotnicy. Z obawą nacisnął klamkę. Los nadal mu sprzyjał – drzwi nie były zamknięte. Pośpiesznie wszedł do środka. Wewnątrz, na wbitych byle jak w ścianę gwoździach, wisały ubrania robocze pozostawiane przez pracujących na dachu mężczyźn. Konstatin nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Szybko zrzucił więzienne łachy, zwinął je w kłębek i wcisnął w najciemniejszy kąt. Sięgnął po pierwszy z brzegu kombinezon. Założył. Trochę za duży, ale co tam! Nie było czasu na przymiarki.

Teraz liczyło się jedno – nie ulec panice, iść normalnie, zdecydowanie, ale nie biec. Wyglądać jak zwykły przechodzień, robotnik wybierający się na nieco spóźnione drugie śniadanie.

Przy wyjściu stał znudzony strażnik. Sennym wzrokiem obserwował wchodzących. Wychodzącymi nie interesował się wcale. Najwyraźniej nie wiedział jeszcze nic o wydarzeniach w areszcie śledczym.

– Jak tam robota? – zagadnął, widząc mężczyznę w stroju roboczym. – Naprawicie w końcu ten cieknący dach?

Błocki mruknął coś niewyraźnie, wykrzywając twarz w parodii uśmiechu. Z trudem powstrzymał się, by nie przyśpieszyć kroku.

Musiał zapanować nad narastającą ekscytacją. Zachować spokój. By nie poddać się instynktowi, sam sobie wydawał w myślach polecenia. Iść wolno. Pod żadnym pozorem nie przyśpieszać. Jeszcze dwadzieścia kroków, dziesięć, pięć, jeden... Otworzyć ciężkie, skrzypiące drzwi. Zejść po schodach. Przejść wzdłuż budynku. Skręcić za rogiem. Wskoczyć do nadjeżdżającego autobusu. Usiąść na wolnym miejscu z obojętną miną. Nie przyciągać uwagi. Przejechać dwa przystanki. Spokojnie wysiąść. Zniknąć w płątaniu małych uliczek. Iść przed siebie jakby nigdy nic.

Nawet najtwardszy piechur w końcu się znuży. Konstantin stracił rachubę czasu. Nie wiedział, jak długo błądził bez celu. W końcu głód i zmęczenie dały o sobie znać. W kieszeni kombinezonu znalazł batonik. Zjadł pół, drugą część zostawił przezornie na później. Chętnie przysiadłby chociaż na chwilę, ale gdzie? Dworce, galerie handlowe, parki – miejsca, gdzie zwykle mógł odpocząć zbłąkany przybysz – odpadały, za dużo tam kamer i policji. W oddali usłyszał bicie dzwonów. Może kościół? Albo jeszcze lepiej cmentarz. Tak, to był dobry pomysł. Po kwadransie dotarł na miejsce. Przeszedł kilka metrów główną aleją. Na skrzyżowaniu stała staroświecka, ręczna pompa. Rozejrzał się. W pobliżu nie było nikogo. Pośpiesznie umył zakrwawione, poobijane ręce. Podstawił twarz pod lodowaty strumień. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest spragniony. Pił szybko, łapczywie. Na koniec obmył twarz i wytarł mokre ręce w nogawki spodni. Wolał dłużej nie stać na widoku – w każdej chwili ktoś mógł się pojawić. Skręcił w jedną z bocznych, wąskich drózek. Ruszył w stronę ceglanego muru, tam gdzie mieściły się najstarsze, dawno już zapomniane groby. Przysiadł na zmurszałej, na wpół rozwalonej ławeczce. Utkwił wzrok w porośniętej chwastami mogile. Ktoś musiał tu

jednak czasami przychodzić, bo wśród lekko pożółkłej trawy stały wypalone znicze. Zakurzone, poprzewracane, pewnie zostały tu po ostatnich Zaduszkach.

Błocki nigdy nie spoglądał w przeszłość. Co się stało, to się nie odstanie – tak zwykła była mawiać jego matka, a on się z tym w stu procentach zgadzał. Co dobrego, oprócz frustracji, może wyniknąć z roztrząsania minionych wydarzeń? Trzymał się tej zasady niewzruszenie, aż do dziś. Gdy tak siedział na cmentarnej ławce, zagubiony, przestraszony, bezradny, nie był w stanie odegnąć cisnących się do głowy, upartych myśli. Źle mu było w domu? Pewnie, że było ciężko, czasy niepewne, o pracę trudno, a pensje kiepskie. Koledzy jeździli na zarobek, przywozili dolary i euro. Namawiali, żeby spróbował. *Kurica nie ptica, Polska nie zagranica* – mówili. Nie spodoba ci się, wrócisz. Dał się przekonać. Przyjechał. Owszem, pieniądź miał z tego niezły, ale czy było lepiej? W domu był kimś, szanowanym inżynierem. Fakt, ledwie wiązał koniec z końcem, ale nie on jeden. Za to mieszkał wśród swoich. A tutaj? Wylądował na samym dnie. Robił na czarno, na budowie, bez gwarancji, że jutro nie wyląduje na bruku. Co rano budził się z trwogą, co wieczór zasypiał przestraszony. Mógłby wrócić do siebie, ale jakoś mu było głupio. Wstyd może by jakoś przełknął i wrócił, gdyby nie marzenie. Prawdziwe, wielkie marzenie, że wyjdzie na Zachód. Ten prawdziwy Zachód. Był dobrym fachowcem, znał języki, dlaczego miałby nie spróbować. Miał nawet plan: będzie udawał Polaka. Dla Francuzów, Niemców czy Austriaków wszyscy Słowianie byli tacy sami. Zamieszkałby na prowincji, gdzie nie byłoby prawdziwych Pszeków. Nikt by się nie zorientował. Potrzebował tylko polskiego paszportu, a i polski dyplom inżyniera by się przydał. Co do dyplomu nie był pewien, czy go reszta Unii honoruje, czy nie, ale dodatkowy papier z pewnością nie zawadzi. Już prawie wszystko zorganizował, już był tak blisko celu, gdy nagle wszystko się posypało. I jeszcze to aresztowanie! Czy aby dobrze zrobił, uciekając? Gdyby został, może jakoś by się wywinął, może coś by wymyślił, a tak... Marzenie, jego wielkie marzenie, rozsypało się niczym domek z kart.

\*

Pucki dziarskim krokiem zmierzał do wyjścia. Popołudnie było piękne, słoneczne. Postanowił wrócić do domu na piechotę; zażyć ruchu, rozprostować kości, łyknąć trochę świeżego powietrza. Właśnie kończył chować papiery w sejfie, gdy do gabinetu zajrzała Grońska.

– Znajdzie pan chwilę, szefie, zanim pan wyjdzie? – zagadnęła. – Mam dwie wiadomości: dobrą i złą. – Teatralnie zawiesiła głos.

Komisarz nie był w nastroju do przekomarzanek. Spokojnie przekładał dokumenty.

Nie doczekawszy się reakcji, nieco zawiedziona aspirantka podjęła przerwany wątek:

– Dobra wiadomość jest taka, że nie musimy już sobie głowy zawracać ukraińskim konsulem.

– A zła? – zapytał tknięty złym przeczuciem.



– Zła jest taka, że Błocki uciekł z aresztu śledczego.  
– Co? – wrzasnął. Z wrażenia o mało nie upuścił teczek z papierami.  
– Uciekł. Nawiał. Dał nogę.  
– To zrozumiałem. Chodzi mi o to jak i kiedy.  
– Jak, to nie wiem dokładnie. Wiem za to kiedy – dzisiaj rano. Szczegółów nie znam. Dowiedziałam się tylko tyle, że mieli tam jakieś zamieszanie na spacerniku, a Błocki z tego skorzystał. Szukają go.

– Kto prowadzi sprawę?  
– Nadkomisarz Miłobędzki z Wojewódzkiej.  
Pucki westchnął. Leniwe popołudnie diabli wzięli.  
– Jakby mnie ktoś szukał, to jestem w Wojewódzkiej – oznajmił zrezygnowanym głosem, z namaszczeniem zamykając sejf.

Grońska wycofała się pośpiesznie. Nie wiadomo, co staremu do głowy strzeli. Jeszcze, nie daj Boże, wpadnie na pomysł, żeby z nim pojechała. Miała dzisiaj randkę, którą przekładała już dwa razy. Trzeciego razu Paweł mógł nie wytrzymać. I tak wykazał się dużą cierpliwością i zrozumieniem. Ten związek dobrze rokował i nie zamierzała zaprzepaścić szansy z powodu jakiegoś cholernego, ukraińskiego uciekiniera.

\*

W Wojewódzkiej powitano Puckiego uprzejmie, choć nieco chłodno. Miłobędzki, człowiek konkretny, nienawidzący owijania w bawełnę, od razu przeszedł do rzeczy.

– Na ten moment niewiele mogę powiedzieć. Sprawa jest świeża. W mojej opinii należy odrzucić wersje pomocy z zewnątrz. Za dużo elementów przypadkowych.

– Jakies szczegóły? – indagował komisarz. – Wiecie niewiele, ale ja wiem jeszcze mniej. Prawdę mówiąc, wiem tylko, że Błocki uciekł. Ucieczka indywidualna czy grupowa?

– Indywidualna. Według mnie zupełnie nieplanowana. Zatrzymany wykorzystał sprzyjający zbieg okoliczności. Zresztą, co ja będę gadał. Zamiast strzepić język po próżnicy, pokażę ci zapis z monitoringu. Sam się przekonasz.

Włączył laptopa. Odwrócił ekran tak, by mogli obaj jednocześnie oglądać odtwarzane nagranie. Pucki obserwował w skupieniu, Miłobędzki komentował.

– Od tego się zaczęło. Zasłabł niejaki Morski, drobny złodziejasek. Żadna gruba ryba, ale dobrze znany organom. Strażnicy myśleli początkowo, że to ściema. Widzisz? Dopiero tutaj zaczynają akcję ratowniczą. A tu widać, gdzie popełniono błąd. Zgodnie z regulaminem nakazano wszystkim wrócić do cel. Zgarniają aresztantów ze spacernika, tyle tylko, że nikt nie spojrzał do góry. Wystarczyłby jeden rzut oka – pełznący po ścianie Błocki był widoczny jak na dłoni. Co z tego, jeśli wszyscy patrzyli w inną stronę. I to z grubsza byłoby tyle – oznajmił, zatrzymując odtwarzanie. – Dalej jest już tylko reanimacja Morskiego. Nota bene nieskuteczna.

- To wszystko? – Pucki nie ukrywał rozczarowania.
  - Mamy jeszcze kilka drobiazgów. W nadbudówce, na dachu, znaleźliśmy porzucone ubranie. Zginął za to kombinezon jednego z robotników naprawiających dach. Wniosek jest prosty: zbieg wszedł do nadbudówki, przebrał się, a potem wyszedł głównym wejściem.
  - Tak sobie po prostu wyszedł? Jak gdyby nigdy nic? Nikt go nie zatrzymał?
  - Niby dlaczego ktoś miał go zatrzymywać? Ochrona sprawdza osoby wchodzące do sądu, a nie wychodzące. Do tego po budynku płacze się kilka ekip. Akurat uruchomiono jakieś środki na najpilniejsze remonty. Robotnicy wchodzą i wychodzą. Nikogo to nie dziwi.
  - Co z wejściem na dach? Nie powinno być czasem zamknięte?
  - Teoretycznie pewnie tak. Ale w praktyce nie było tam niczego cennego. Trochę papy, narzędzi i stary kombinezon. Kto by chciał to ukraść.
  - Akurat stary kombinezon ktoś ukradł – wtrącił Pucki.
  - Tu mnie masz! – Miłobędzki roześmiał się szczerze. – Jednak nie w tym rzecz. Sam widzisz, że to nie wygląda na zaplanowaną ucieczkę. O ile na upartego można by założyć jakąś zmwę z robotnikami na dachu: celowo otwarte drzwi, z rozmysłem pozostawiony kombinezon i tym podobne – choć osobiście uważam, że to bzdura – to jednak trudno uwierzyć, że Morski z premedytacją zszedł na serce, żeby umożliwić komuś ucieczkę.
  - Co dalej?
  - Standard. Patrole przeszukują miasto, ogłosiliśmy alarm w całym województwie, w najbliższym czasie zamierzamy rozszerzyć poszukiwania na resztę Polski. Ale sam wiesz, jak jest. To szukanie igły w stogu siana. Jeśli miał współników albo pomocnych przyjaciół, może już być gdziekolwiek w Europie: od Sztokholmu po Rzym. Nie przeczeszemy całej Unii. Pozostaje liczyć na łut szczęścia.
  - Innymi słowy: „szukaj wiatru w polu”.
  - Właśnie tak. Niestety.
- Zamilkł. Pucki też milczał, bo nic więcej nie było do powiedzenia. Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Cóż więcej mogli zrobić?

\*

Wracając z Wojewódzkiej do domu, komisarz kierowany nagłym impulsem zadzwonił do Barbary Brodzkiej. Nikt nie odebrał. Numer Joanny Tańskiej również milczał. Po godzinie, siedząc wygodnie we własnym mieszkaniu, powtórzył próbę. Z równie mizernym skutkiem. Mechaniczny głos deklamujący znaną formułkę: „Abonent czasowo niedostępny lub ma wyłączony telefon” brzmiał złowieszczo. Komisarzem po raz kolejny tego dnia owładnęło złe przeczucie.

## ROZDZIAŁ 21

Nie mógł usnąć do późna. Im bardziej próbował uporządkować fakty, tym większy mętlik miał w głowie. Dopiero nad ranem zapadł w płytki, przerywany, niedający wypoczynku sen. Obudził się rozkojarzony i zdekoncentrowany. Nieopatrznie upuścił butelkę z mlekiem. Rozbiła się z niemiłym brzękiem. Odłamki szkła rozprysły się po całej kuchni. Odruchowo rzucił się, by je pozbierać. Udało się sprzątnąć tylko jeden kawałek. Drugi, ostro zakończony, boleśnie wbił się Puckiemu w dłoń. Komisarz zaklął. Pobiegnął do łazienki, zostawiając po drodze krwawy ślad. Rana była niegroźna, ale bardzo głęboka. Nim zdążył ją jako tako oporządzić, wszystko dookoła wyglądało jak po świniobiciu. Sprzątanie szło mu jak po grudzie. Krew zamiast wsiąkać w szmatę, rozmazywała się, tworząc brunatne mazaje. Czas naglił – wiadomo, rano przed wyjściem do pracy każda minuta się liczy.

Machnął jeszcze pary razy szmatą – bez większego rezultatu. W końcu się poddał. Uznał, że dokończy porządki później.

Wrócił do kuchni. Nie wyglądała dobrze. Tutaj też ogarnie wieczorem, jak wróci.

– Szklanej butelki mi się zachciało – burczał, wkurzony, gdy w pośpiechu wdepnął w pokrywającą podłogę białą, lepka kałużę.

Na domiar złego nie miał niczego innego na śniadanie. – Wsuwanie suchych płatków kukurydzianych uznał za przegięcie.

Do pracy przyszedł zły, niewyspany, głodny, a do tego spóźniony. Dzień nie zapowiadał się dobrze.

Robota szła jak krew z nosa. Rozgrzebanych spraw i niedokończonych zadań było mnóstwo, tyle tylko, że niewiele z nich można było kontynuować. Obiecujący wątek „Światła prawdy” i Bogumiła Rzepkiego przyblokowała Komenda Główna. Sprawa plagiatu, nie tak dobrze rokująca, lecz mimo wszystko warta zbadania, utknęła w martwym punkcie: przebywający w Stanach Marchwiński był poza zasięgiem, Kłys zeznał wszystko, co wiedział, można nawet trochę więcej, a Marianny Pol cały czas szukali. Błocki zwiął. Tańska i Brodzka – świadkowie być może nie kluczowi, ale ważni – przepadły jak kamień w wodę. Zostali Malewski i Czarski – obaj, zdaniem komisarza, coś ukrywali. Obu należało jeszcze trochę przycisnąć, tyle tylko, że w przypadku Malewskiego Pucki nie miał żadnego punktu wyjścia, niczego, czym mógł zasachować rozmówcę. I tak drogą eliminacji wyklarował się plan na resztę dnia.

Pucki sprawdził w aktach adres Czarskiego. O tej porze rozsądniej byłoby szukać człowieka w miejscu pracy, ale w aktach stało jak wół „bez stałego zatrudnienia”.

*Najwyżej się przewietrzę – pomyślał. – Siedząc w biurze i tak niczego nie wysiedzę. Przy okazji złapię po drodze jakąś drożdżówkę albo pączka, bo mi kiszki marsza grają.*

\*

Dzielnica, w której mieszkał Czarski, od kilku lat przeżywała renesans. Zaniebane przez kilkadziesiąt lat przedwojenne kamienice uratowano w ostatniej chwili. Chylące się ku upadkowi budynki, w znacznej części przeznaczone do rozbiórki, wykupiła za grosze grupa energicznych inwestorów. Zaryzykowali. Wpakowali ogromne pieniądze w remonty i modernizację, potem jeszcze większe w reklamę. Udało się. Tam, gdzie jeszcze kilka lat temu po zmroku nie zapuszczały się nawet policyjne patrole, stało teraz eleganckie osiedle, zamieszkane przez finansową i intelektualną śmietankę miasta, pełne wyrastających jak grzyby po deszczu kafejek, butików i ekskluzywnych salonów piękności.

Szczęście sprzyjało komisarzowi. Mimo niezbyt sprzyjającej pory zastał Czarskiego w domu. Grubasek nie ukrywał zaskoczenia. Z drugiej jednak strony nie wyglądał na przestraszonego.

– Witam, witam, pana komisarza – zawołał radośnie od progu. – Proszę wejść. Co pana komisarza sprowadza? Czyżbyście złapali mordercę?

– Dzień dobry, niestety jeszcze nie – odparł Pucki mechanicznie, rozważając w duchu, dlaczego miałby osobiście fatygować się do świadka z informacją o zakończeniu śledztwa. – Widzę, że pan jest bardzo zainteresowany wynikami dochodzenia.

– Po prawdzie to jestem. Nie będę ściemniać. Wystąpiłem o wypłatę odszkodowania z polisy, a tu zonk! Ubezpieczyciel nie wypłaci ani grosza, dopóki śledztwo trwa. Kanalie. Do brania składek to są pierwsi, ale jak przyjdzie co do czego i trzeba płacić, potrafią się migać w nieskończoność.

– Świetnie się składa, bo w takim razie z pewnością chętnie pan odpowie na kilka pytań. Im szybciej zgromadzimy informacje, tym szybciej zamkniemy sprawę, a pan otrzyma swoje pieniądze.

Czarski w jednej chwili spowaźniał. Radosny uśmiech znikł bez śladu. Rozbiegany wzrok błędził nerwowo gdzieś nad głową komisarza.

– Jasne, w czym mogę pomóc? – zapytał głosem sugerującym, że pomagać wcale nie ma ochoty.

Pucki wykonał kilka teatralnych gestów: nie pytając gospodarza o zgodę, rozsiadł się wygodnie w fotelu, założył nogę na nogę, wyjął notatnik, potem długopis, przybrał zatroskaną minę. Dopiero, gdy uznał, że zrobił odpowiednie wrażenie i uświadomił rozmówcy powagę sytuacji, przeszedł do zadawania pytań.

– Podczas poprzedniego przesłuchania zeznał pan, że z Heleną Rubiszewską łączyły pana bliskie stosunki. Zeznał pan także, że związek zakończył się z pana inicjatywy. Zgadza się?

Czarski nic nie odpowiedział, tylko energicznie pokiwał głową. Nie rozumiał sytuacji. Nie wiedział, do czego dąży policjant. Uznał, że najlepiej i najbezpieczniej będzie jak najmniej mówić.

– Brakuje mi informacji o tym, kiedy nastąpiło zerwanie. Czy mógłby pan... – podsunął usłużnie komisarz.

– Jakies sześć lat temu. No, może trochę więcej. To stara historia – odparł po chwili wahania.

– Jest pan pewien? – W głosie komisarza zabrzmiała dziwna nuta.

– Jak najbardziej. – Tym razem Czarski nie zawahał się ani chwili.

– Roooozuuuiem. – Pucki szybko coś zanotował, spojrzał szyderczo na rozmówcę i cały czas wbijając weń oczy, zadał kolejne pytanie.

– Zeznał pan też, że jedyną przyczyną zerwania było, jakby to delikatnie ująć, nawiązanie znajomości z bardziej atrakcyjną kobietą. Czy tak?

– Jak najbardziej.

– Innych powodów nie było?

– Nie, nie było.

– Na pewno?

– Na pewno! Ile razy mam powtarzać? Znudziła mi się. Bywa. Trafiała się młodsza, chętna i miła, to skorzystałem. Może to nie było fair, ale karalne nie jest. Z całym szacunkiem, ale policji nic do tego!

– Pozwoli pan, że to ja będę decydował, co jest sprawą policji, a co nie jest. Dlatego jeszcze raz zapytam: czy były jakieś inne powody zerwania?

– Nie! – wrzasnął Czarski, wyraźnie już poirytowany.

– To dziwne – ciągnął Pucki niewzruszenie, kompletnie ignorując wybuch złości przesłuchiwanego. – Bo widzi pan, sześć lat temu Helena Rubiszewska urodziła córkę. Akurat wtedy, gdy według pana zeznań, zerwaliście ze sobą, bo – tu przerwał, ostentacyjnie przekartkował notatnik i z namaszczeniem przeczytał: – *Znudziła mi się. Bywa. Trafiała się młodsza, chętna i miła to skorzystałem.* To pana słowa.

Czarski nie stracił rezonu.

– Powiedziałem, że sześć lat temu albo trochę dłużej. Wiem, co mówiłem. – wrzasnął.

– Owszem, ale ciąża to nie atak serca. Nie pojawia się nagle. Chce pan powiedzieć, że partnerka była w zaawansowanej ciąży, a pan nie zauważył?

– Może nie sześć, a siedem lat? Czas tak szybko leci. Mogłem się pomylić. Swoją drogą, kto by pomyślał, że tak szybko się pocieszy. Taka zakochana była, a tu patrz pan. Ledwie się rozstaliśmy, a od razu znalazła nowego amanta.

– Bardzo pan przekonywujący. – Komisarz nawet nie próbował ukryć drwiny. – Jest tylko jeden szkopuł. Polisa. Wystawiona niemalże równo sześć i pół roku temu. Na kilka miesięcy przed urodzeniem córki. Pan zrywa z kobietą, a ona kilka miesięcy później, w

przypląwie wdzięczności za to, że wymienił ją pan na nowszy model, ubezpiecza się na pana korzyść. Mam w to uwierzyć?

Zapadła cisza. Pucki zrozumiał, że tę rundę wygrał. Trzeba iść za ciosem, nie wolno pozwolić, by przeciwnik się otrząsnął. Jeśli teraz uderzy celnie, wygra cały mecz.

– To jak to było naprawdę, panie Czarski? Powie pan w końcu czy nie?

– Co mam powiedzieć? No co? Trzeba jakoś żyć. Na chleb zarabiać, na czynsz, na ubrania! Człowiek ledwie koniec z końcem jakoś wiąże, a tu sępy tylko czyhają, żeby mu ostatni grosz wyrwać! Kichnąć nie można, żeby zaraz nie kazali zapłacić! Matka mi w zeszłym roku umarła, od spadku nie mogli wziąć podatku, bo przepisy nie pozwalają, to wie pan do czego się przyczepili? Że PIT-u z rozliczeniem dochodów matki nie wysłałem! Nawet nieboszczykom każą podatki płacić!

Z twarzy grubaska zniknął głupkowaty uśmiezek. Zastąpił go grymas złości. Policzki zalał czerwony rumieniec. Ręce drżały. Facet był naprawdę wściekły. Wyglądał, jakby lada chwilę miał dostać wylewu. Poderwał się z krzesła na równe nogi. Już nie mówił, lecz krzyczał.

– Spokojnie, spokojnie. Pańskie dochody zupełnie mnie nie interesują. Nawet jeśli coś pan kombinuje, to nie moja sprawa. Nie jestem z wydziału przestępstw gospodarczych, tylko z kryminalnego.

Złość Czarskiego minęła, jak ręką odjął. Zamilkł. Z powrotem opadł na siedzenie. Dyszał ciężko, ale spokojnie. Wyraźnie mu ulżyło.

Komisarz patrzył zdezorientowany. W skupieniu oceniał sytuację. W końcu zrozumiał, w czym rzecz. Co za czasy nastały, że ludzie bardziej boją się Urzędu Skarbowego niż policji! Najwyższa pora uświadomić komu trzeba, że to błędne podejście.

– Panie Czarski – zaczął z westchnieniem sugerującym, że sprawa jest niezwykle przykra – pan chyba nie rozumie powagi sytuacji. Chodzi o coś znacznie poważniejszego niż niezapłacone podatki czy przekręty finansowe. Chodzi o morderstwo! Morderstwo! Rozumie pan? Za to grozi nie dwa lata w zawiasach czy grzywna, tylko dożywocie. Czy to do pana dotarło?

Mężczyzna podniósł głowę, wbił w Puckiego pełen zdumienia i niedowierzania wzrok.

– Dożywocie? – wyjąkał. – Ale za co?

– Za morderstwo – odparł spokojnie komisarz. – Za morderstwo Heleny Rubiszewskiej. Widzę to tak: Helena Rubiszewska wykupiła polisę na życie, a jako beneficjenta wskazała pana. Dlaczego to zrobiła, tego jeszcze nie wiem, ale się dowiem. To zresztą nieistotne. Liczy się to, że jest pan właściwie jedyną osobą, która na śmierci Rubiszewskiej skorzystała materialnie. Zabił ją pan, by uzyskać wypłatę z polisy. Brzmi logicznie?

– To... To... To jakaś bzdura! Wiem, nie jestem święty, ale morderstwo! Nawet bym nie widział, jak się do tego zabrać. Przecież ja mdleję na widok krwi. Proszę zapytać w

przychodni. Nawet mięsa nie jem!

– Wie pan, podobno Hitler był wegetarianinem, więc to akurat kiepski argument. Powoli kończy mi się cierpliwość. Powie pan prawdę, czy mam szykować akt oskarżenia? – zablefował. Poszlaki były zbyt mizerne nawet jak na tymczasowe aresztowanie, nie mówiąc już o tym, że akt oskarżenia przygotowuje prokuratura, a nie policja, ale kto by się przejmował drobiazgami. Najważniejsze, żeby świadek powiedział prawdę.

Zadziałało.

– Dobrze – jęknął Czarski. – Powiem. Prędzej czy później i tak pan się do wszystkiego dokopie. Znam takich jak pan – oni nigdy nie odpuszczają.

– W takim razie słucham. – Z lodowatego głosu Puckiego nie sposób było wyczytać jakichkolwiek emocji.

– Wszystko zaczęło się jakieś osiemnaście lat temu. Po śmierci rodziców odziedziczyłem niewielki majątek: całkiem spore, dobrze prosperujące gospodarstwo agroturystyczne, do tego trochę gotówki i jeszcze z ubezpieczenia coś kapnęło. Interesu rodziców nie chciałem prowadzić. Jeszcze za ich życia przekonałem się, że nie mam do tego drygu. Najlepiej było wszystko sprzedać i zainwestować w coś nowego. Szukałem pomysłu na biznes. Okazało się, że kwota, którą dysponuję jest, jak to mówią, „ni go w kij, ni go w oko”. Za dużo, żeby przepuścić, za mało, żeby rozkręcić coś naprawdę dużego. Drobnica mnie nie interesowała. Młody byłem, planowałem zawojować świat. Chciałem wziąć kredyt, ale banki kręciły nosem. Nic im się nie podobało: a to biznesplan nieprzekonujący, a to brak stałego dochodu, a to śmo, a to owo. Kilka miesięcy tak łąziłem. Pieniądzy nie wykombinowałem, ale zyskałem coś znacznie cenniejszego. Poznałem ludzi. Młodych, ambitnych, z pomysłami, poszukujących funduszy na start. Na śmieciówkach, bez stałego zatrudnienia dla banków byli niewiarygodni. Biedacy wpadali w zakłętę około: żeby dostać kredyt, potrzebowali pracy, ale żeby samemu sobie tą pracę zorganizować, potrzebowali kredytu. I wtedy mnie olśniło. Pożyczki. Będę pożyczka potrzebującym. Tym, których banki odprawiły z kwitkiem. Tak to się zaczęło. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Wszystko szło świetnie aż do dziś.

– Co to ma wspólnego z polisą Heleny Rubiszewskiej?

Czarski prychnął z politowaniem.

– Przecież to oczywiste. Nie mogłem tak po prostu rozdawać pieniędzy bez żadnego zabezpieczenia. Pożyczający musiał się ubezpieczyć. W razie nieszczęścia inkasowałem pieniądze z polisy. No, inkasowałem, to dużo powiedziane. Do tej pory zdarzyło mi się to tylko raz. Ten byłby drugi.

– Czyli Helena Rubiszewska była panu winna ćwierć miliona?

– Nie, aż tyle to na pewno nie. Zaraz panu dokładnie powiem. Podszedł do stojącego pod oknem obdrapanego biurka. Wyjął z szuflady duży kołonoatnik. Błyszcząca

okładka, którą ozdobiono upiornie różowymi, infantylnymi kwiatkami, wyglądała przedziwnie w rękach drobnego lichwiarza.

– Tiaaaa... – Czarski w skupieniu przeglądał zapiski. Przed przewróceniem każdej kolejnej kartki z namaszczeniem lizał tłusty, niezbyt czysty palec. Puckiego lekko zemdlilo.

– Mam! – zawołał zadowolony. – Dług razem z procentami wynosił sto dwadzieścia pięć tysięcy.

– Sto dwadzieścia pięć? Przecież polisa opiewa na dwa razy tyle.

– A co w tym dziwnego? Nie wszyscy spłacają zobowiązania w terminie. Bywa, że dług rośnie. Muszę mieć dodatkową gwarancję.

– Rozumiem. Jeszcze jedno pytanie. Ile wynosił dług Rubiszewskiej w dniu jej śmierci?

– Nic. Nic mi nie była winna.

– Jak to?

– Wszystko spłaciła. To była dziwna historia. Bardzo dziwna. Rubiszewska przyszła do mnie jakoś tak ponad sześć lat temu. Może siedem. Jeśli to ważne, mogę sprawdzić w papierach. Chciała wykupić mieszkanie. Tak przynajmniej twierdziła. Standardowa sytuacja: dochody miała całkiem wysokie, w pełni wystarczyłyby na spłacanie miesięcznych rat, ale co z tego, jeśli pochodziły w większości z prac zleconych. Pensyjka na uczelni stała, ale gorzej niż nędzna. Banki kręciły nosem. Dowiedziała się o mnie. Nawet trochę byłem zaskoczony, gdy mi wyjaśniała, czego chce, bo ode mnie pożyczają albo zupełnie desperaci, zadłużeni wyżej kokardek, tacy, co to by i z diabłem pakt zawarli, byleby jeszcze pięć złotych pożyczyć, albo młodzi, ambitni z pomysłami, ale bez grosza przy duszy za to z wiarą w przyszłość i, przede wszystkim, we własną wyjątkowość. Helena nie pasowała do żadnej z tych grup. Dlaczego tak jej na tym mieszkaniu zależało – nie wiem. Nie moja sprawa. Interes wyglądał dobrze: spora suma, małe raty, czyli dla mnie stały dochód na lata. Początkowo wszystko szło zgodnie z planem, aż tu nagle bach! Minęło ledwie pół roku, kiedy zaczęła spłacać po kilka rat na raz. W parę miesięcy zwróciła cały dług z odsetkami. Rozliczyliśmy się, oddałem jej polisę i było po sprawie. Prawdę mówiąc, całkiem o niej zapomniałem.

– Zwrócił pan polisę?

– Przecież mówię. Spłaciła pożyczkę, to oddałem zabezpieczenie. Jestem uczciwym przedsiębiorcą, nie jakimś oszustem. Poza tym muszę dbać o opinię. Gdyby się rozniosło, że naciągam klientów, szybko poszedłbym z torbami. W tym biznesie dobra opinia to podstawa.

– A jednak nie zlikwidowała polisy. Czy to nie dziwne?

– Nie, ani trochę. Wiele osób tak robi. Szczególnie takich po czterdziestce. To ten wiek, gdy do człowieka zaczyna powoli docierać, że nie jest nieśmiertelny, że może zachorować albo umrzeć. Tak czy siak, wielu z nich pewnie by w końcu wykupiło ubezpieczenie. Więc jeśli już je mają, to dlaczego mieliby się pozbywać? Tyle tylko, że



mnie wykreślają, a podają kogoś z rodziny. Ostatecznie, jeśli przez kilka lat bulili składki, to szkoda im tracić kasę. Młodzi częściej anulują ubezpieczenie, choć też różnie z tym bywa.

– Jednak Helena Rubiszewska nie zmieniała beneficjenta. Dlaczego?

– Jak Boga kocham, nie wiem – zaperzył się grubasek.

Tym razem Pucki uznał, że jest to szczere oburzenie. Chciał coś powiedzieć, ale Czarski nie dał mu dojść do słowa.

– Teraz tak sobie myślę, że pewnie odkładała to na później – wtrącił z uśmiechem, zadowolony z własnej przenikliwości. – Wie pan, jak to jest: masz na zrobienie czegoś mnóstwo czasu, więc ciągle odkładasz na jutro i w końcu musisz się spinać w ostatniej chwili. Na pewno panu też się zdarzyło!

Komisarz pokiwał głową.

– To ma sens – powiedział uspokajającym tonem. Nie zadał kolejnego pytania. Potrzebował czasu, by przetrawić nowe informacje.

Sześć lat temu Helena Rubiszewska potrzebowała pieniędzy. I to bardzo ich potrzebowała. Na tyle, by skorzystać z usług pokątnego lichwiarza. Po mniej więcej pół roku jej sytuacja materialna nieoczekiwanie uległa radykalnej zmianie. Kobieta w krótkim czasie spłaciła cały dług, kwotę niemałą nawet dla dobrze sytuowanej osoby. Coś się musiało w jej życiu wydarzyć. Coś nieoczekiwanego. Coś, czego nie mogła przewidzieć. W przeciwnym razie nie wchodziłaby w szemrane interesy, tylko poczekała.

Co więcej, nie był to jednorazowy przyływ gotówki, bo wtedy zwróciłaby całą kwotę za jednym zamachem, a przecież Czarski wyraźnie powiedział, że spłata zajęła kilka miesięcy. Można więc wykluczyć niespodziewany spadek, wygraną na loterii czy inną nagrodę. Wszystko wskazywało na to, że zdobyła stałe źródło niezłego zarobku. Brzmiało logicznie, tyle tylko, że zupełnie nie znajdowało pokrycia w faktach, przynajmniej w tych, które Pucki zebrał w trakcie śledztwa.

W tym czasie zaszła w ciążę i urodziła dziecko. Może więc źródłem dochodów nie była dodatkowa praca, ale sponsor? I znowu teoria nie pasowała do faktów. Malewski, choć majątny, nie pasował. Znał się z Rubiszewską znacznie dłużej. Gdyby miał sypnąć pieniędzmi, zrobiłby to wcześniej. Gdyby dziecko przeżyło, to co innego. Wtedy mógłby czuć się zobowiązany do utrzymywania córki, ale skoro umarło, nagły przyływ hojności nie miał najmniejszego sensu. Ktoś trzeci? To zasadniczo możliwe. Mogła grać na dwa fronty – prowadzić się z majątnym wielbicielem, a Rafała trzymać w odwodzie. Co prawda taka historia bardziej pasowałaby do dwudziestoletniej piękności niż do obdarzonej dość przeciętną urodą pani po trzydziestce, ale kto wie. Gusta bywają różne. Poza tym w dzisiejszych czasach trzydziestka, a nawet zadbana czterdziestka, potrafi wyglądać atrakcyjnie.

Seria chrząknięć, najpierw delikatnych, potem coraz bardziej natarczywych, wyrwała komisarza z zadumy. Aluzja była aż nadto przejrzysta.

– Oj, panie Czarski. Nie można tak było od razu powiedzieć prawdę, zamiast kręcić? – Pytanie było retoryczne, więc brak odpowiedzi ani trochę nie zdziwił Puckiego. – Bardzo mi pan pomógł! – rzucił przyjaźnie na pożegnanie.

– Obym tylko tego nie pożałował – mruknął gospodarz, gdy za komisarzem zamknęły się drzwi.

\*

Pucki wszedł do samochodu. Włożył kluczyki do stacyjki, ale nie odpalił silnika. Wyjął z kieszeni telefon. Wybrał numer Barbary Brodzkiej. Bez skutku. Dzwoniąc do Joanny Tańskiej, nie miał złudzeń. Z każdym kolejnym sygnałem ogarniały go coraz gorsze przeczucia. Gdy tylko usłyszał „Abonent...”, rozłączył się, nie czekając aż mechaniczny, kobiecy głos dokończy natrętną frazę.

## ROZDZIAŁ 22

Po powrocie do biura Pucki zwołał szybkie zebranie zespołu. Zamierzał pokrótce zreferować, czego dowiedział się od Czarskiego. Zeznania odebrał jako spójne i wiarygodne, ale chciał żeby ktoś z młodzików, może Gajowczyk albo Kozielczuk, powęszył nieco wokół lichwiarza. A nuż zażywny grubasek ukrywał coś jeszcze? Warto byłoby też zagadnąć tych od przestępstw gospodarczych. Prawdopodobnie nie interesowała ich taka płotka jak Czarski, ale nigdy nic nie wiadomo. Zapytać nie zawadzi. Już miał zacząć mówić, gdy wtem w kieszeni Grońskiej zaryczała krowa. Ryczała głośno i przeraźliwie. Policzki aspirantki oblały się szkarłatem.

– Przepraszam – bąknęła, nerwowo manipulując przy telefonie. – Zapomniałam wyciszyć. Tyle razy tłumaczyłam matce, żeby nie dzwoniła, gdy jestem w pracy. Powinna wyłączyć, ale jak nie odbiorę albo przynajmniej szybko nie oddzwonię, matka od razu wpada w panikę. Ciągle jej powtarzam, że osiemnaście lat już dawno skończyłam, że pracuję tu, gdzie pracuję, że czasem naprawdę nie mogę rozmawiać. Mogę sobie gadać. Jak grochem o ścianę. Wysłucha, pokiwa głową, a za kilka dni znowu to samo. Sama chyba siedzi na telefonie, bo jak do niej dzwonię odbiera ledwie skończę numer wybierać. Gorzej, że od innych oczekuje tego samego. – Grońska paplała, próbując ukryć zmieszanie.

– Stop! – krzyknął Pucki – Co powiedziałaś?

– Że od innych oczekuje tego samego – odparła zdumiona.

– Nie, nie to. Poprzednie! Powiedziałaś, że odbiera natychmiast.

– No tak – przytaknęła, nadal nic nie rozumiejąc.

– Właśnie! Moja matka robi tak samo, chociaż mam dwa razy tyle lat co ty! Czasami myślę, że ona nawet do toalety chodzi z telefonem. A twoja? – Tak energicznie wskazał palcem Kozielczuka, że aż dźgnął aspiranta w brzuch. Ten, zdezorientowany, cofnął się dwa kroki, po czym przytaknął równie zdumiony jak Grońska.

– I moja też! – zawołał Gajowczyk, nie czekając, aż komisarz wywoła go po imieniu. – I co z tego? Wszystkie matki tak mają.

– No fakt – wtrąciła Monika.

– Właśnie! – zawołał triumfalnie komisarz. – Jeśli wszystkie, to Joanna Tańska też. Przecież ma syna. Barbara Brodzka, owszem, mogła wyjechać do lasu, wyłączyć telefon i zniknąć dla świata. To nawet normalne, że dorosła kobieta chce się choć na chwilę wyrwać spod kurateli rodziców. W to mogę uwierzyć. Ale Joanna Tańska, matka nastolatka! Nie, to po prostu niemożliwe. Że też wcześniej na to nie wpadłem. Monika – zwrócił się do Więckiej – pojedziesz do szkoły i delikatnie, powtarzam!, delikatnie

podpytasz młodego Tańskiego. Tylko nie rób paniki. Wiesz, jak prokuratura reaguje na odpytywanie nieletnich.

– Czego konkretnie mam się dowiedzieć?

– Jak to czego? Gdzie jest pani Tańska i jak się z nią można skontaktować. Aha, jakby młody był już po lekcjach, pojedź do nich do domu. Na co jeszcze czekasz? Ganiaj!

\*

Monika zadzwoniła po czterdziestu minutach.

– Czego się dowiedziałas? – Przeszedł od razu do rzeczy, pomijając nawet zdawkowe powitanie.

– Właściwie, to niczego – przyznała. – Od poniedziałku dzieciaki są na wycieczce. Wrócą w piątek. W szkole jest remont. Firma budowlana nie wyrobiła się w wakacje, kończą dopiero teraz. Hurgot taki, że własnych myśli nie słychać. Nic dziwnego, że wysłali młodzież w Polskę.

Jakby na potwierdzenie słów policjantki w tle rozległ się najpierw upiorny zgrzyt i świst, a potem huk, jakby się pół domu zawaliło.

– *Wyjechali na wakacje, wszyscy nasi podopieczni...* – zanucił pod nosem Pucki, na tyle jednak głośno, że Monika usłyszała.

– No nie wiem – odparła sceptycznie. – O ile znam matki, powinna wydzwaniać trzy razy dziennie, udzielać dobrych rad, ostrzegać, nakazywać i tak dalej. Jeśli jest bardzo rozsądna i zrównoważona, mogłaby się powstrzymać, ale na pewno nie wyłączyłaby dobrowolnie telefonu. Każda matka w takiej sytuacji nosi komórkę przy sobie. Pamiętam, gdy brat wyjechał z kolegami pod namiot, matka zabierała swoją nawet na mszę do kościoła. Cały czas powtarzała „a nuż coś się stanie i Bartuś zadzwoni”. Bartuś miał wtedy dziewiętnaście lat, jakby szef nie wiedział.

– Może była przewrażliwiona? – sprzeciwił się nieśmiało. – Moja aż taka nie była.

– Nie była przewrażliwiona, tylko normalna. Matki wszystkich naszych kolegów robiły dokładnie tak samo. Nie chcę nikomu wytykać wieku, ale w czasach, gdy pan chodził do szkoły, komórek nie było.

– Coś w tym jest – mruknął mimo wszystko nieco urażony. – Sądziś, że w tym wyłączonym telefonie naprawdę jest coś podejrzanego?

– Ja nie sądzę, ja wiem! Coś tu śmierdzi. I to bardzo.

Pucki po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo nie rozumie otaczającego go świata. Ot, jeszcze jeden powód, żeby w końcu przejść na emeryturę. Jak ma efektywnie prowadzić śledztwo, jeśli mentalnie tkwi w minionej epoce? Tylko patrzeć, a zacznie każdą opowieść zaczynać od zdania: „bo za moich czasów...”

– Hej, hej! Szefie! Jest pan tam! – W słuchawce rozległ się głos zaniepokojonej przydługą ciszą Moniki.

– Jestem, jestem. Zastanawiałem się, co dalej. Posłuchaj. Jest jeszcze wcześniej. Zdasz do prokuratury. Rób, co chcesz, ale masz wydusić od nich nakaz dla tych gości od telefonów komórkowych.

– Operatora... – podsunęła usłudźnie.

– Jak zwał, tak zwał. Niech przygotowują nam informacje o tym, gdzie ostatnio przebywały Joanna Tańska i Barbara Brodzka. Nawet ja wiem, że mogą to ustalić. Masz być u nich jeszcze dzisiaj, żeby potem nie ściemniali, że wykasowali dane czy inne takie. Jutro do obiadu mam mieć wyniki na biurku. Zrozumiano?

– Chwileczkę, muszę wiedzieć, o którego operatora chodzi. Jest kilku.

– Oni i tak wszyscy siedzą w centrum, sto metrów od siebie. Nie kombinuj, tylko gnaj i urabiaj kogo trzeba. Jeśli okażą się oporni, postraszyć prokuraturą, urzędem skarbowym, klątwą rabina, czym chcesz, byle zmiękli. Ja zaraz pójdę do techników, podam im numery. W pięć minut ustalę mi wszystko, co trzeba. Podeślę ci esemesa. Może nie urodziłem się w dobie internetu, ale esemesy opanowałem. Dinozaury też to i owo potrafią.

\*

Ustalenie operatora zajęło nie pięć, a dwadzieścia pięć minut. Pucki był co prawda głęboko przekonany, że technik zdecydowanie przesadza i najzwyczajniej w świecie urządzi przedstawienie dla jednoosobowej publiczności, by podkreślić wagę swej wiedzy i głębię umiejętności, jednak podejrzewa zachował dla siebie. Po co robić sobie wrogów?

Wracając do gabinetu, natknął się na Kozielczuka.

– Świetnie, że pana widzę, szefie – zawołał aspirant. – Mam dla pana informację. Prawdziwa bomba!

– Słucham – odparł sztywno komisarz, z góry krytycznie nastawiony do wszelkich rewelacji nieulubianego podwładnego.

– Chłopaki z Zawodzia dostali zgłoszenie o włamaniu do domku letniskowego.

– Rzeczywiście bomba. Zbrodnia stulecia. Może jeszcze ktoś zameldował o zaginięciu kota albo psa?

– Ojej, szefie. Proszę pozwolić mi dokończyć. Włamanie to drobiazg. Włamań do domków letniskowych co roku jest mnóstwo. Ważne jest co innego. Wie pan, kto zgłosił przestępstwo?

– Skąd niby mam wiedzieć? – komisarz był coraz bardziej poirytowany. Czy ten gówniarz nie może chociaż raz powiedzieć czegoś normalnie? Koniecznie musi cyrk odstawiać.

– Marianna Pol! – oznajmił Kozielczuk z namaszczaniem.

– Nasza Marianna Pol? Ta, której tyle czasu bezskutecznie szukamy?

– Ta sama!

– Może to tylko zbieg okoliczności. – Komisarz wciąż nie był do końca przekonany.

– Żaden zbieg okoliczności. To na sto procent ona. Pał sześc, że imię rzadkie, nazwisko niezbyt popularne, a już połączenie to w ogóle unikat. Mam coś lepszego. Chłopaki z komisariatu w Zawodziu spisali dane z dowodu zgłaszającej. Wszystko się zgadza. To ona.

– Trzeba wydebić adres, a jeszcze lepiej telefon, i wezwać kobietę na przesłuchanie. Zajmiesz się tym?

– Tak jest, szefie! – odpowiedział i uśmiechnął się szeroko, od ucha do ucha.

Pucki zupełnie nie mógł zrozumieć przyczyny radości młodego policjanta. Pomyślał, że pewnie Kozieluczk korzysta z każdej nadarżającej się okazji, by wyszczerzyć zęby i pokazać je całemu światu. Trzeba przyznać, że zęby ma gówniarz niesamowite: białe i równiutkie, aż trudno uwierzyć, że naturalne. Gdybym ja miał takie, ludzie mówiliby, że to sztuczna szczęka – pomyślał. Po raz drugi tego dnia poczuł się bardzo, bardzo staro.

\*

Błocki czuł, że bolą go wszystkie kości. Noc przespał, a właściwie przekimał byle jak, zwinięty na gołej ziemi, w przydrożnym rowie. Nad ranem obudził go przeszywający chłód. Kombinezon nawilgł od porannej rosy. Głowa bolała nieziemsko. W ustach capilo jak w starym kapciu. W tej chwili wszystko by oddał za tabletkę od bólu głowy, szczoteczkę do zębów i suche ubranie. Najgorsze jednak było to, że nie wiedział, co dalej. Włókł się przed siebie bez celu, zziębnięty, spragniony i głodny. Dłużej tak nie da rady. Wróci do siebie, umyje się, prześni, przebierze, spakuje trochę rzeczy. Jeśli pod domem czeka na niego patrol, to trudno. Ryzyk-fyzyk. Gdy tylko podjął decyzję, od razu poczuł się lepiej. Przyśpieszył. Czekala go godzina z okładem szybkiego marszu.

Od dwóch lat wynajmował razem z kilkoma kolegami mieszkanie na ostatnim piętrze starego bloku z wielkiej płyty. Nie było tam luksusów: po tapczaniku na osobę, miejsce na walizkę, w której każdy trzymał swoje rzeczy, bo szafy nie było, wspólna kuchnia z dużym, nakrytym kraciatą ceratą stołem, trochę wyszczerbionych kubków i talerzy – każdy z innego kompletu, łazienka i przedpokój zawalony kapotami i zastawiony butami. W przeszłości bywało, że siadał na łóżku i z rozgoryczeniem rozglądał się dookoła. W przeszłości bywało, że narzekał na surowe warunki, na brak pralki i kolejkę do kibla. W przeszłości, ale nie dziś. Dziś wszystkie niedostatki mieszkania nie martwiły go ani trochę. Myślał tylko o jednym. O tym, czy któryś z chłopaków jest w domu i wpuści go do środka. Przecież nie miał ze sobą kluczy.

Był Witalij. Zły, bo tego dnia nie znalazł roboty. Żeby jakoś wykorzystać czas, postanowił zrobić pranie. Namoczył koszulki i dwie pary dżinsów – praktycznie wszystko, co miał, poza wyjściowym ubraniem. Stał teraz w bokserkach i powyciąganym podkoszulku, wpatrując się ze zdumieniem w Konstantina.

– To naprawdę ty? – szepnął na widok kolegi. Rozejrzał się nerwowo dookoła. – Właż, zanim cię ktoś zobaczy! – nakazał, uchylając nieco szerzej drzwi. – Nie myślałem,

że przyjdiesz. Wczoraj przychodzili policjanci. Pytali o ciebie. Kazali donieść, jak się pojawisz. No ale bez gaci na komisariat nie polecę, no nie? – Zaśmiał się chrapliwie.

Konstantin opadł ciężko na tapczan. Ściągnął buty. Smród przepoconych stóp uderzył w nozdrza.

– Muszę się natychmiast umyć, coś zjeść i przespać. Potem zabiorę trochę rzeczy i znikam – oznajmił.

– Nie boisz się, że cię tu przydybią?

– Jak przydybią, to trudno. Będzie, co ma być. Wczoraj byli, może dziś nie przyleżą. Do łba im nie przyjdzie, że mogłem się schować we własnym mieszkaniu. Podobno najciemniej jest zawsze pod latarnią.

– W sumie racja – przytaknął Witalij. – Miskę z praniem odstaw do kuchni! – krzyknął w ślad za człapiącym niezdarnie towarzyszem.

\*

Pucki nigdy, nawet we wczesnej młodości, nie był typem podróżnika. Jak tylko mógł wykręcał się od szkolnych wycieczek, nigdy nie czuł pokusy, by przyłączyć się do kolegów-włóczykijów przemierzających kraj z plecakami i namiotem. Za granicę też niezbyt go ciągnęło. Pewnie, że to i owo chętnie by zobaczył, ale myśl o pakowaniu, czekaniu na lotniskach, godzinach spędzonych w ciasnym, pełnym obcych ludzi samolocie, skutecznie zniechęcała komisarza do dłuższych wojaży. Jedyne, co było w stanie wyciągnąć go z domu, to wizja ciekawego koncertu. Najchętniej wybierał występy muzyków mniej znanych, licząc, że trafi się wśród nich przyszła sława. Ta niewinna pasja zakiełkowała w duszy Puckiego wiele lat temu. Trafiła na podatny grunt i zmieniła się w prawdziwy nałóg. Wszystko zaczęło się zimą dziewięćdziesiątego drugiego, gdy z jakiś błahych powodów rodzinnych musiał spędzić kilka tygodni u ciotuchny w Krakowie. Ciotuchna, osoba niezwykle dobroci i pracowitości, była kobietą niezwykle nudną, potrafiąca godzinami rozprawiać na jeden z dwóch ulubionych tematów: o swych nieprzeliczonych chorobach oraz o losach bohaterów ulubionych seriali, a że mieszkała w pokoju z kuchnią, nie bardzo dało się umknąć przed nieprzerwanym potokiem słów. Czy można się dziwić, że siostrzeniec robił, co mógł, by tylko wieczorem uciec na miasto? Wśród Krakusów nie miał ani przyjaciół, ani nawet bliższych znajomych, pozostawały więc tylko przybytki kultury: kina, teatry i koncerty. Gdyby nie przymus, nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy kupić bilet na festiwal prezentujący młodych muzyków. Zawsze sądził, że są to imprezy odwiedzane wyłącznie przez najbliższe rodziny początkujących artystów. Już po pierwszym koncercie zrozumiał swój błąd. Usłyszał kawał naprawdę dobrej muzyki. Szczególną uwagę zwrócił na szczupłego szatyna z zawadiacko wystrzępioną grzywką. Spod modnych prostokątnych okularów w grubych, ciemnych oprawkach spoglądały inteligentne, szare oczy. Młodziak miał niewiele ponad dwadzieścia lat, ale to, co wyrabiał z fortepianem, było wręcz

niesamowite. Pucki nie miał wątpliwości, że chłopaka czeka wspaniała przyszłość. Tego samego zdania było jury. Na XVII Międzynarodowym Konkursie Młodych Zespołów Jazzowych „Jazz Juniors” Leszek Możdżer zdobył wyróżnienie indywidualne. Komisarz śledził bacznie dalsze poczynania jazzmana, miał wszystkie płyty pianisty, ale nigdy więcej nie udało mu się usłyszeć go grającego na żywo.

Tego wieczoru w pobliskim pubie grała mało znana grupa Deszcz. Technicznie zespołowi daleko było do perfekcji, ale młodzi muzycy mieli w sobie to coś, co różni artystę od rzemieślnika. Świetnie się rozumieli, dźwięki płynęły naturalnie, instrumenty prowadziły nieustanny dialog, interakcję, której nie można wyćwiczyć ani wypracować – trzeba czuć i rozumieć każdy akord, grać sercem, bawić się muzyką, przeżywać ją cały czas jak najwspanialszą przygodę.

– Chłopaki mogą jeszcze wyrosnąć na ludzi – mruknął do barmana, zamawiając trzecie piwo.

Wrócił do stolika. Zamknął oczy. Na chwilę wszystkie problemy zakryła mgła niepamięci. Zapomniał i o morderstwie Heleny Rubiszewskiej, i o zaginionych kobietach, i o zbiegłym Ukraińcu. Słuchał, jak powstaje nowe, ulotne dzieło, dzieło, którego nikt po raz drugi nie usłyszy.

\*

Marianna Pol zjawiała się na posterunku kilka minut po dziesiątej. Na tle regulaminowych białych ścian i nijakich, szarych strojów funkcjonariuszy, wyglądała niczym rajski ptak z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Gęste, błyszczące włosy przyciągały uwagę patrzących niesamowitą, szmaragdową barwą. Długie aż do ramion kolczyki pobrzękiwały cichutko przy każdym poruszeniu głowy. Luźna bluza i powiewna spódnica choć mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, nie sprawiały wrażenia pstrokaczny, lecz przywodziły na myśl bujność wiosennej łąki. Całości dopełniały zabawne buty – glany z lakierowanej, turkusowej skóry.

Zamiast torebki dziewczyna miała na ramieniu płócienną torbę – worek z napisem „chodzę z psem” i nadrukiem przedstawiającym wesołego kundelka z zawadiacko zakręconym ogonem. Komisarz nawet przez chwilę nie miał wątpliwości, że dwuznaczny dodatek został wybrany z rozmysłem.

– Czyżbyście już złapali włamywaczy? Tak szybko? – zawołała radośnie na powitanie. – A mówią, że policja jest nieskuteczna!

– Aż tak efektywni nie jesteśmy – odparł ze śmiechem. – Włamanie zgłosiła pani dopiero wczoraj. Prawdę mówiąc, wezwałem panią w zupełnie innej sprawie.

– Doprawdy? Czegóż w takim razie chcą ode mnie dzielni stróże prawa?

Pucki nie od razu odpowiedział. W wesołości Marianny Pol było coś nienaturalnego. Zachowywała się jak nastolatka próbująca buńczuczną postawą niezdarnie zamaskować



strach i niepewność. Kobieta bez wątpienia nie była tak pewna siebie i wyluzowana, jak to usiłowała zasugerować. Trzeba dać do zrozumienia, że przejrzał jej grę.

– Proszę usiąść – oznajmił grobowym głosem. – Czeka nas dłuższa rozmowa. Raczej nieprzyjemna.

– O, doprawdy? – Nie pozwoliła tak szybko zbić się z tropu. – W takim razie zamieniam się cała w słuch. Miejmy to jak najszybciej za sobą.

– Chodzi o pani pracę magisterską – zawiesił głos, dając sobie chwilę na obserwację zachowania rozmówczyni. Wyglądała na szczerze zaskoczoną.

– Moją pracę magisterską? – zapytała, starannie akcentując każde słowo. Zabrzmiało to, jakby zadała trzy oddzielne pytania: Moją? Pracę? Magisterską? – Od kiedy to policję interesuje elektrotechnika?

Nadal mówiła szybko i zdecydowanie, ale doświadczone ucho komisarza wychwyciło, że nie jest już taka pewna siebie jak przed chwilą.

– Elektrotechniką w rzeczy samej, raczej się nie zajmujemy, ale naruszeniem praw autorskich i oszustwami – jak najbardziej. Otrzymaliśmy zgłoszenie, że pani praca niemalże w całości pokrywa się z publikacją doktora Marchwińskiego.

– Doprawdy? I co zamierzacie w związku z tym? Zabierzecie mi tytuł magistra?

– Odbieranie tytułów to nie nasza sprawa. Nas interesuje prawo. Nie wiem, czy ma pani świadomość, że za plagiat prawo karne przewiduje szereg kar – od grzywny, przez ograniczenie wolności, do pozbawienia wolności do lat trzech. Artykuł sto piętnasty, ustęp pierwszy prawa autorskiego – odparł chłodno Pucki.

– Nawet bym się przestraszyła, tyle tylko, że żadnego plagiatu nie popełniłam.

– Jak w takim razie wytłumaczy pani fakt, że pani praca i artykuł doktora Marchwińskiego opublikowany w czasopiśmie „Współczesna Elektrotechnika” są niemalże identyczne?

– Nie zauważył pan, że moja praca jest znacznie wcześniejsza niż publikacja doktora?

Komisarz odetchnął z ulgą. Udało się!

– Czyli jednak co nieco pani wie o sprawie? Może wcale nie takie małe co nieco? – rzucił uszczypliwie.

Zagryzała wargi. Wbiła wzrok w podłogę. Podszedł ją jak dziecko. Nie miało sensu dalej strugać wariatki. Nadszedł czas na zmianę strategii.

– Tak, ma pan rację, wiedziałam. Tyle tylko, że to nie ja przepisałam tekst doktora. To on skopiował moją pracę.

– Mam w to uwierzyć? Szanowany naukowiec ściąga od własnej studentki? Z całym szacunkiem, ale to nieco naciągane.

– Wiem, jak to brzmi – westchnęła. – Dlatego nie zgłosiłam sprawy. Doszłam do wniosku, że wszyscy pomyślą tak jak pan. Odpuściłam.

– A jednak powiedziała pani Helenie Rubiszewskiej.

– Przecież to nie ja jej powiedziałam, tylko ona mnie! – zawołała piskliwym głosem.

– Zaraz, zaraz. Chyba się nieco w tej historii pogubiłem. Czy może mi pani opowiedzieć wszystko od początku? Po kolei i ze szczegółami.

– Po kolei, to po kolei. Helenę Rubiszewską poznałam zaraz na początku studiów magisterskich. Oczywiście moich, bo ona uczelnię skończyła już dawno. Szukała młodych ludzi do pracy w niewielkim projekcie. Robota prosta, ale żmudna. Wie pan, takie za przeproszeniem gównem dla skąpego klienta, co to narobić się trzeba, a pieniądze niewielkie. Żaden fachowiec nie dałby się namówić, ale student to co innego. Załapałyśmy się do tej roboty we dwie, z koleżanką. Rubiszewska płaciła niewiele, ale terminowo. Nie kręciła, nie oszukiwała, więc gdy już było po robocie, zostawiłam jej swój numer telefonu. Tak na wszelki wypadek, gdyby się jeszcze jakaś chałtura zdarzyła. Odezwała się po roku. Pokazała mi artykuł. Podobno wywęszyła sprawę, testując nowym system antyplagiatowym. Czy to prawda, nie wiem. Nie wnikałam. Powiedziała, że możemy przycisnąć Marchwińskiego. Zarobić parę groszy. Poprosiłam o dzień do namysłu. Ostatecznie stwierdziłam, że w to nie wchodzę. Szantaż to nie moja bajka. Zapytała, co ma w takim razie zrobić. Powiedziałam, żeby zrobiła, co chce. Chce – niech odpuści, chce – niech idzie na policję, chce – niech ciągnie kasę od doktora. Mnie tam wszystko jedno. Byleby tylko mnie w to nie wciągała. Więcej nie wracałyśmy do sprawy.

– Nie wracałyście? Czy to znaczy, że podtrzymywałyście panie kontakt?

– Tak. Wkrótce potem zadzwoniła do mnie z nową pracą zleconą. Zrobiliśmy razem jeszcze dwa projekty. Nieźle nam się razem pracowało.

– Czy dobrze rozumiem, że nie podtrzymywały panie kontaktów prywatnych?

– I tak, i nie. Widzi pan, jest, a właściwie była, taka śmieszna sprawa. Helena wynajmowała ode mnie domek w Zawodziu. Ten, do którego było włamanie. Odziedziczyłam go po śmierci matki. Nie lubiłam tego miejsca – niby nie tak daleko, ale straszne, emeryckie zadupie. Po godzinie można z nudów zęby w ścianę wbić. Chciałam od razu sprzedać, ale potem pomyślałam, że lepiej poczekać. Miasto rośnie, zajmuje coraz większy obszar, ziemia z każdym rokiem zyskuje na wartości. Na żadnej lokacji nie ma takiego przebiccia jak na glebie. Jednak niezamieszkały dom szybko niszczeje. Wystarczy parę lat i zmienia się w ruinę. Opowiedziałam Helenie, jakoś tak przy kawie, że nie wiem co zrobić: sprzedać źle, nie sprzedać, też niedobrze. Ona na to, że wynajmie działkę ode mnie. Miała pokrywać koszty eksploatacji, dbać o dom i ogród plus płacić jakiś symboliczny czynsz. Rozwiązanie dobre dla obu stron: mnie zdejmowało kłopot z głowy i zapewniało niewielki, ale stały dochód, a ona za śmieszne pieniądze miała do dyspozycji fajną miejscówkę. Fajną w jej mniemaniu. Z tego, co wiem, często jeździła do Zawodzia. Nie mam pojęcia, co ją tam ciągnęło. Teraz od początku muszę kombinować, co z tym fantem zrobić. Szukanie nowego najemcy to wcale nie taka prosta sprawa.

Zrobiło się ciekawie. Najpierw ktoś splądrował mieszkanie Rubiszewskiej na Parkowej, potem przeszukał domek w Zawodziu, gdzie często bywała. Do pierwszego

włamania przyznał się Błocki. Czy mógł mieć na sumieniu także drugie? Teoretycznie po ucieczce z aresztu mógł. Pucki nie miał wątpliwości – należało pociągnąć ten trop.

– Kiedy dokładnie miało miejsce włamanie? – zapytał.

Odpowiedziała nie od razu.

– Właściwie to nie wiem. Mogli się włamać wczoraj rano, a mogli nawet kilka miesięcy temu. Ostatni raz byłam w Zawodziu prawie rok temu. Nie miałam powodu, żeby tam jeździć. Wszystkim zajmowała się Helena. Wczoraj pomyślałam sobie, że muszę zajrzeć na działkę, zabezpieczyć co trzeba przed zimą: wodę z rur spuścić, wyłączyć korki, pozamykać okiennice. Pamiętam, że rodzice zawsze tak robili. Miałam trochę wolnego czasu po południu. Wsiadłam w samochód i pojechałam. Trafiłam na największe korki, bo wszyscy akurat wyszli z pracy. Jechałam z półtorej godziny. Zanim dotarłam na miejsce, zdążyło się ściemnić. No i się zaczęło! Niech pan sobie wyobrazi: podjeżdżam, a tam we wszystkich oknach jasno. Iluminacja jak na sylwestra. Wtedy jeszcze nic nie podejrzewałam. Pomyślałam, że Helena wyjeżdżała z domku w pośpiechu i zapomniała zgasić światło. O mało mnie krew nie zalała, jak pomyślałam o rachunku za prąd. Potem mnie coś tknęło. Można zapomnieć wyłączyć lampę w jednym pokoju albo w korytarzu, ale nie w całym domu! Nabrałam podejrzeń. Podjeżdżam pod same drzwi, ale nie wysiadam z samochodu, tylko przez szybę patrzę. I co widzę? Chałupa otwarta na oścież. Głupia nie jestem. Wrzuciłam wsteczny, wycofałam do najbliższego skrzyżowania i dopiero wtedy zadzwoniłam na policję. Trzeba przyznać, że przyjechali szybko.

– Czy wchodziła pani do środka?

– Do domu? Przecież mówię, że nie. Skąd mogłam wiedzieć, czy kogoś tam nie ma? Poczekaliśmy na policjantów. Oni weszli pierwsi, sprawdzili, co i jak, i dopiero wtedy weszłam. Oj, ale rozgadałam się, Zawsze, jak tylko się dorwę do głosu, zaraza wpadam w dygresje. Przepraszam!

– Ależ skąd! To wszystko bardzo ważne informacje. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy coś zginęło?

– Pojęcia nie mam! Przecież już panu mówiłam – praktycznie tam nie bywałam. Co miałam zabrać po rodzicach, zabrałam na samym początku. Z tym, co zostało, Helena miała postąpić wedle własnego uznania: zachować, co jej przypadnie do gustu, a resztę wyrzucić albo rozdać. Do tego włamywacze wszystko poprzewracali do góry nogami. W tym bałaganie nikt by się nie zorientował, co wyniesiono, a co zostało.

– Nikt z sąsiadów nic nie zauważył?

– Tam nie ma sąsiadów. Formalnie to Zawodzie, ale do wsi jest spory kawałek. Prawdę mówiąc, ja bym się bała sama tam mieszkać, ale Helenie to nie przeszkadzało.

– Czy coś pani jeszcze przychodzi do głowy, co mogłoby nam pomóc?

– W sprawie włamania to wszystko – oznajmiła kategorycznie. Pucki odniósł wrażenie, że kobiecie bardzo zależy na zmianie tematu. – Co do doktora

Marchwińskiego... – Zrobiła teatralną pauzę, którą ostatecznie utwierdziła komisarza w przekonaniu, że jego podejrzenia są ze wszech miar słuszne. – Miałam nie mówić, ale pewnie i tak się w końcu pan dowie. Myślę, że Helena mogła go szantażować.

Spojrzał na nią pytająco, ale nic nie powiedział.

– Pewnego dnia przyszedł do mnie do domu. Był wściekły. Krzyczał, że chcę mu zrujnować życie, że te głupie oskarżenia o plagiat mogą położyć kres jego karierze naukowej. Wspominał też coś o wyjeździe do Stanów, który przez aferę może nie dojść do skutku. Dał się tak, że aż sąsiadka przysłała z awanturą. Jej zresztą też się dostało. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy zagroziłam policją. Potem jeszcze z pół godziny mu klarowałam jak chłop krowie na miedzy, że nie wiem, o co chodzi, i z żadnym szantażem nie mam nic wspólnego. Nie wiem, czy uwierzył, czy nie. W każdym razie dał mi spokój.

– Dlaczego od razu pani tego nie powiedziała?

– A jak pan myśli? Zaskoczył mnie pan. Przestraszyłam się. To był taki odruch. Śmierdząca sprawa, od której chciałam trzymać się z daleka. Na szczęście zreflektowałam się. Przecież gdyby pan dowiedział się, że kłamałam, byłabym pierwszą podejrzaną. Czy nie tak?

– Rzeczywiście, dobrze, że się pani zreflektowała. Lepiej późno niż wcale. To chyba wszystko na dziś.

Uwadze komisarza nie umknął wyraz ulgi, który po tych słowach pojawił się na twarzy Marianny Pol.

– Oj, jeszcze jedno! – zawołał, gdy już stała w drzwiach gotowa do wyjścia. – Zaraz po śmierci Heleny Rubiszewskiej zniknęła pani na dłuższy czas. Dość nagle porzuciła pani dotychczasowe miejsce pracy. Jak pani to wytłumaczy?

– Tu nie ma nic do tłumaczenia – burknęła. – Wcale nie zniknęłam i niczego nie porzuciłam. Znalazłam lepszą robotę. Skorzystałam z okazji i tyle.

– Rozumiem, w końcu wszyscy pracujemy dla pieniędzy.

– Właściwie wcale nie o pieniądze chodziło – wyjaśniała w nieoczekiwanym przystępie szczerości. – Miałam dość. Ile można chodzić do pracy, jak człowieka nogi same w drugą stronę niosą. To był jakiś koszmarny bastion samczego szowinizmu.

– Meeto? – mruknął z przekąsem.

– Nie, nie to. – Zignorowała złośliwość. – Nikt mnie ani nie molestował, ani jawnie nie prześladował. Chodzi o to, że nie traktowano mnie poważnie. Wszystkie moje inicjatywy i uwagi ignorowano. Początkowo myślałam, że widocznie są głupie albo niewiele warte, ale z czasem zauważyłam, że jeśli to samo powiedział facet, pomysł od razu podchwytywano. To, co mówiłam, było dla nich niczym brzęczenie muchy: słyszalne, ale niewarte uwagi. Za plecami mówili o mnie „świnka morska”.

– Świnka morska? Dlaczego?

– Och, to taki dowcip z brodą. Chyba jeszcze Noe na arce opowiadał go zwierzakom. „Kobieta inżynier jest jak świnka morska: ani to świnka, ani z morza”.

Pucki nie roześmiał się.

– Kiepski żart – skomentował z kamienną twarzą. – Nieśmieszny.

– Właśnie – przytaknęła. – Dziwi się pan, że miałam dość i zwiałam przy pierwszej okazji?

Nie dziwił się.

– Rozumiem. To ma sens, ale zmieniła pani też mieszkanie.

– A, to! – machnęła ręką. – To akurat zbieg okoliczności. – Znajomy wyjechał na kontrakt na dwa lata za granicę. Nie chciał sprzedawać domu ani go wynajmować. Tym bardziej nie chciał go pozostawić bez opieki na tyle czasu. Umówiliśmy się, że mogę tam zamieszkać po kosztach: zapłacę tylko za eksploatację. Wie pan, woda, gaz, prąd, takie tam. Czynsz zerowy. Żartował, że odpracuję w polu, dbając o ogródek. Grzechem by było nie skorzystać ze sposobności. Zabrałam z mojej nory to, co najpotrzebniejsze, i zwiałam najszybciej, jak się dało. Pan by zrobił inaczej?

– Pewnie nie.– Uśmiechnął się przepaszająco, choć przecież zadawanie wścibskich pytań było jego pracą. – Teraz to już naprawdę wszystko. Dziękuję pani!

Czyżby udało się rozwiązać przynajmniej jedną zagadkę – tajemnicę zniknięcia Marianny Pol? Wszystko na to wskazywało, a jednak komisarz nie potrafił pozbyć się wątpliwości.

## ROZDZIAŁ 23

Konstantin Błockij wyspany, wymyty i najedzony, odzyskał wrodzoną pogodę ducha. Wiedział, że musi uciekać. Przystąpił do działania. Jak zwykle postępował metodycznie. Zaczął od wymiany: oddał Witalijowi porządną, skórzaną walizkę w zamian za plecak. Trochę mu się zrobiło żal, bo walizka była elegancka i droga, a plecak wyglądał na taki, co to wiele przeszedł, ale bez wątpienia był wygodniejszy. Poza tym mężczyzna włączący się po mieście z plecakiem to normalny widok – nikt nie zwróci na niego uwagi. Wędrując z walizką, wyglądałaby głupio. Spakował się starannie, bez pośpiechu. Każdą rzecz dziesięć raz obrócił w rękach, zanim zdecydował: zabrać czy zostawić. Z jednej strony, musiał się ograniczać, bo ile kilogramów można targać na własnym grzbiecie, z drugiej strony, powinien zabrać wszystko, co potrzebne, bo przy ograniczonych funduszach na zakupy nie było co liczyć.

Plan był prosty. Pojedzie bussem do Katowic, a tam złapie połączenie do Niemiec, najlepiej do Berlina – miał tam kilku znajomych. Trzeba będzie ich odszukać. Dalej się zobaczy. Musi wymyślić, jak zdobyć dokumenty. Ale to potem. Najważniejsze to uciec z Polski.

\*

Jak pech, to pech. Chociaż przyszedł sporo przed czasem, w busie nie było już wolnych miejsc. Następny odjeżdżał dopiero za dwie i pół godziny. Nie było sensu siedzieć na przystanku; ani to miłe, ani bezpieczne. Policja nie jest głupia. Z pewnością patrolują przystanki i dworce. Trzeba gdzieś przeczekać. Przypomniał sobie o pubie „U Molly”. Miłe miejsce z dobrym piwem, niedrogim, chłodnym i niechrzczonym, a do tego całkiem blisko dworca.

Zamówił kufelek, siadł w kącie i powoli sączył bursztynowy płyn. Właściwie nie miał ochoty na browar, ale nie mógł przecież siedzieć przy pustym stole. Obserwował nielicznych gości: grupę roześmianych młodziaków, posępnego, starszego pana w skórzanej kurtce smętnie obserwującego kostki lodu w szklaneczce whisky, dwie trajkoczące blondynki ciągnące przez rurki sok pomarańczowy ze wspólnej szklanki i mężczyznę w średnim wieku, który wpadł „na jednego” po robocie. Konstatin nigdy nie pozwolił sobie na taką przyjemność. Zawsze po pracy wracał prosto do domu. Co najwyżej wpadał do osiedlowego sklepu po coś do jedzenia. Wybierał rzeczy proste: ziemniaki, kaszę, smalec, mleko. Czasem tylko przy niedzieli sobie zaszalał: kupił pęto taniej kiełbasy albo zgrzewkę piwa. Każdy grosz odkładał na potem, na realizację Wielkiego Marzenia. I co mu z tego przyszło? Teraz pewnie wszystko wyda na ucieczkę. Pieniądze przepadną, jakby psu pod ogon wetknął. Trzeba było cieszyć się życiem, używać, nie kombinować. Im dłużej myślał, tym więcej miał wątpiwości. Po co mu ta

cała ucieczka? Co zrobi, jeśli nie znajdzie znajomych w Berlinie? Co, jeśli nie zechcą mu pomóc? Czy już do końca życia ma się chować i rozglądać na boki? Może lepiej sobie odpuścić? Pójść na policję, przyznać się do włamania, odsiedzieć swoje i potem zacząć z czystą kartą? Do roboty na budowie biorą każdego, nikt nie żąda zaświadczeń o niekaralności. Tak, zdecydowanie tak będzie najlepiej.

Dopił piwo jednym haustem, zgarnął plecak i ruszył przed siebie. Wyszedł z ciemnego pubu na ulicę oświetloną silnym, popołudniowym słońcem. Oślepiiony, odruchowo zmrużył oczy. Nie patrząc, zrobił krok przed siebie.

Głuche uderzenie. Pisk hamulców. Przeszywający ból. Słodko-metaliczny smak w ustach. I ta głupia, bezsensowna, uparcie powracająca myśl: „i po co mi to było?”.

\*

– I kto by pomyślał, że wątek plagiatu okaże się perspektywiczny. Trop wyglądał na totalną bzdurę, a tu bęc! – mruzczał pod nosem Pucki, przeglądając notatki z przesłuchania Marianny Pol.

Perspektywiczny czy nie, komisarz jakoś nie miał serca do badania tego śladu. Wstał, wystawił głowę za drzwi i ryknął na całe gardło:

– Kozielczuk, do mnie!

– Już lecę, szefie – odkrzyknął jak zwykle pełen zapału aspirant. Po chwili stał wyprężony niczym struna przed biurkiem komisarza.

– Mam dla ciebie zadanie. Pilne, ale bez przesady. Pociągniesz dalej sprawę Marchwińskiego. Wygląda na to, że coś jest na rzeczy. Gościa z przyczyn oczywistych przesłuchać nie damy rady, ale popytaj wśród znajomych. Może coś komuś powiedział, coś mu się wymknęło. Może ktoś go widział w pobliżu miejsca przestępstwa. Sprawdź, na ile to możliwe, gdzie był i co robił. Wiem, że zadanie nie jest łatwe, ale nikt nie obiecywał, że będzie lekko. Kombinuj.

Kozielczuk, jak to on, uśmiechnął się od ucha do ucha. Komisarz w żaden sposób nie mógł pojąć, co tak ucieszyło podwładnego, ale czy to istotne? Ważne, że choć jedną rzecz miał na jakiś czas z głowy.

Pozostawała jeszcze sprawa włamania w Zawodziu. Pucki dałby sobie rękę uciąć, że miało to związek, i to ścisły, ze śmiercią Heleny Rubiszewskiej. Czuł, że musi, po prostu musi zbadać ten trop osobiście. Nigdy nie był w Zawodziu nawet przejazdem, o położeniu wsi miał dość mętne pojęcie. Wiedział tylko, że to gdzieś na południe od miasta. Chwilę potrwało, zanim ustalił, że Zawodzie podlega pod komisariat we Włochowie. Wyszukał telefon. Zadzwoił.

Dyżurny, starszy posterunkowy Pawełko, nie ukrywał zdumienia. Oni tu co roku mają po kilka włamań do letnich domków. Stoi toto bez nadzoru, aż się prosi, żeby wejść i obrobić. Zysk zazwyczaj mały, ale i ryzyko żadne. Oczywiście, jeśli pan komisarz chce, to on albo któryś z kolegów bardzo chętnie zawiezie na miejsce i wszystko pokaże.

Lepiej niech pan komisarz przyjedzie do nas, do Włochowa. Ten okradziony domek stoi na kompletnym odludzi, trudno tam trafić nawet z GPS-em.

\*

Przyjazd Puckiego do Włochowa okazał się nie lada atrakcją. Gościa przywitał osobiście komendant. Pogawędzili chwilę, ale ostatecznie do Zawodzia komisarza zawiózł Pawełko. To on przyjął zgłoszenie o włamaniu, to on rozmawiał z poszkodowaną, to on był na miejscu przestępstwa, rozumiało się więc samo przez się, że to on pociągnie dalej sprawę.

– Ja to od razu wiedziałem, że z tym włamaniem jest coś nie tak – zagaił nieśmiało starszy posterunkowy, gdy tylko wsiedli do radiowozu.

– Nie tak? – zdziwił się Pucki. – Co nie tak?

– Bo widzi pan, ja się tych włamań naoglądałem. To zazwyczaj robota drobnych pijaczków czy innych żulików. Wybije taki okno, wlezie do środka, złapie, co mu w łapę wpadnie i w nogi. Bywa, że ta rozbita szyba to większa szkoda niż sama kradzież. A tym razem wszystko było inaczej. Ktoś tu wykręcił niezły numer. Zresztą sam pan zobaczy, już dojeżdżamy.

Samochód zjechał w leśną drogę. Co i rusz podskakiwał na wybojach, wystających korzeniach, dołkach i górkach. Pucki z niepokojem myślał o zawieszeniu i misce olejowej. Odetchnął z ulgą, gdy ich oczom ukazał się stojący na polanie, samotny dom.

– To tutaj? – zapytał.

W odpowiedzi usłyszał dziwne mruknięcie.

– Domek to spore niedomówienie. Toż to cała chałupa – zauważył Pucki, wysiadając z auta. – Popatrzmy, co było nie tak z tym włamaniem.

Podeszli bliżej. Pawełko uchylił drzwi, ale nie wszedł do środka. Postukał w zamek.

– Niech pan popatrzy, komisarzu. To solidna Gerda. Trzeba się porządnie napracować, żeby ją sforsować. To nie robota dla amatora. Czy nie prościej byłoby wybić okno? Na tym odludziu nikt by nie zauważył do wiosny.

– Jeśli włamywacze planowali wynieść coś dużego, przez drzwi byłoby im znacznie wygodniej. – Pucki nie był przekonany.

– Proszę za mną – posterunkowy zrobił zapraszający gest i ruszył zwirowaną ścieżką na tyły domu. Komisarz podążył za nim. Po chwili zrozumiał, o co chodziło koledze – wzdłuż południowej ściany rozciągał się ogromny taras, na który prowadziły dwuskrzydłowe, duże, przesuwne drzwi balkonowe. Można by przez nie spokojnie wynieść kanapę albo i szafę gdańską.

– To nie wszystko – rzucił Pawełko, gdy uznał, że komisarz napatrzył się już do woli. – Wejdzmy do środka.

Wewnątrz panował nieopisany chaos. Jakby przed chwilą przez dom przeszło tornado.

– Widzi pan? – Posterunkowy wyglądał na zadowolonego.



– Widzę. To chyba normalne, że włamywacze zrobili bałagan?

– Z całym szacunkiem, ale widać, że pan, komisarzu, drobnicą się nie zajmował. Niech pan sobie wyobrazi, że wszedł pan do cudzego domu i czegoś szuka. Co by pan zrobił? Powyciągał szuflady, powyrzucił rzeczy z szafy, może coś tam poprzesuwał. Ale czy przysłoby panu do głowy przewracać stół albo fotel? Jeszcze coś panu pokażę. Chodźmy do kuchni. Widzi pan? Sporo rzeczy wala się po podłodze: łyżki, noże, widelce, garnki, ale nic, co by się mogło potłuc. Włamywacze narobili niezłego bigosu, a jednocześnie uważali, żeby niczego nie zniszczyć.

– Faktycznie – zawołał Pucki nieco za głośno. Teraz, gdy już wiedział, czego ma szukać, zaczął dostrzegać fałszywe detale. W całym tym bałaganie było coś nienaturalnego, wręcz teatralnego. Ktoś bardzo się starał, aż za bardzo. Bo po co, na Boga, włamywacze mieliby wysypywać na środku kuchni śmiecie z kubła? Z jednej strony beztrzesko poprzewracali krzesła, a z drugiej – starannie odstawili telewizor na bok. Zdjęli obrazy ze ścian, zostawili je na podłodze, ale nic nawet nie pękło. W przejściu leżało ostentacyjnie rozbite szkło, jednak gdy komisarz pochylił się, by je z bliska obejrzeć, zauważył, że to butelka, do tego chyba pusta, bo na podłodze nie było najmniejszej nawet plamy. Wszystko zrobione na pokaz.

– Nieźle macie oko, posterunkowy – pochwalił szczerze.

Młodzieniec aż pokraśniał z dumy.

– Co dalej? – zapytał pełen entuzjazmu.

– Dalej wezwiemy techników. Niech zbiorą odciski palców, zabezpieczą ślady i tak dalej. Bo wasi pewnie tego nie zrobili? – zapytał retorycznie.

– Pewnie, że nie. – Pawełko oklapł w jednej chwili. – Prawdę mówiąc, takie sprawy u nas od razu trafiają do szuflady. Leżą sobie spokojnie aż do czasu, gdy można je umorzyć z powodu niewykrycia. Bo widzi pan, to zazwyczaj robota przygodnych włóczęgów. Dziś tu, jutro tam. I szukaj wiatru w polu. Szkoda zachodu.

– A wam, Pawełczyku, nie szkoda życia marnować na taką imitację działalności?

– E, nie. Nie narzekam. Robota spokojna, bezpieczna. Kokosów nie ma, ale za to wiem, że do domu zawsze cały i zdrowy wrócę. Na początku chciałem za bandytami biegać, ale jak żem się ożenił, to mi przeszło.

\*

– Na techników przyjdzie nam poczekać ze dwie albo i trzy godziny – oznajmił Pucki, gdy zakończył długie i żmudne negocjacje przez telefon.

– To tak, uczciwszy uszy, ni w kij, ni w oko – podsumował Pawełko. – Za długo, żeby tutaj bez celu siedzieć, za mało, żeby wrócić na posterunek i coś sensownego zrobić.

– Zróbmy tak, wy, posterunkowy, wróćcie do Włochowa, a ja sobie tutaj posiedzę. Na drzewa popatrzę. Płuca przewentyluję, wyciszę się, nerwy uspokoję. Dawno poza miastem nie byłem, dobrze mi to robi.

– E, nie. To już lepiej z panem komisarzem zostanę. Co będzie tu pan sam jak kołek tkwił. Zresztą i tak ktoś pana musi z powrotem do wsi odwiedzić. Nie będę przecież jeździł w tę i nazad.

Przysiedli na stojącej na tarasie, rachitycznej, drewnianej ławeczce. Z tego miejsca nie widać było drogi, ale Pucki uznał, że nie ma to większego znaczenia. W tej głuszy z daleka usłyszą nadjeżdżający samochód.

Starszy posterunkowy wyjął z kieszeni pomiętą paczkę tanich papierosów. Bez słowa wyciągnął w stronę komisarza. Zapalili. Od razu zrobiło się jakoś tak mniej oficjalnie. Siedzieli bez słowa, każdy pogrążony we własnych myślach. Nawet nie zauważyli, że słońce zaczyna chylić się ku zachodowi.

\*

Zaspał. Zwyczajnie, ordynarnie, zaspał. Zignorował budzik. Kilka godzin spędzonych w lesie zrobiło swoje. Organizm przeżył istny szok tlenowy. Efektu nie zniweczył nawet wypalony papieros. Spałby pewnie jeszcze dłużej, gdyby nie telefon z komendy. Dzwoniła Monika.

– Szeffie, wszystko w porządku? – zapytała.

– Coście się tacy opiekuńczy zrobili. Troskliwe misie! – wyziewał odpowiedź.

– I spróbuj tu człowieku być miły! – prychnęła. – Tak tylko, kurtuazyjnie zapytałam. Dzwonię w zupełnie innej sprawie. Wygląda na to, że znaleźliśmy Błockiego.

– „Wygląda”, czy „znaleźliśmy”. Mów jaśniej.

– Mamy informację ze szpitala. Wczoraj trafił do nich nieprzytomny mężczyzna poszkodowany w wypadku. Był bez dokumentów. Rysopis się zgadza. Do tego znaleźli go niedaleko przystanku autobusów dalekobieżnych. To też by pasowało. Pewnie zamierzał wyjechać z miasta.

– Dopiero wczoraj? Dlaczego nie od razu? Co robił cały dzień?

– Nie wiem. Może coś musiał najpierw załatwić, a może bał się, że bezpośrednio po ucieczce policja patroluje dworce? Skąd mogę wiedzieć? Zresztą wcale nie jest pewne, czy to on. Trzeba pojechać do szpitala i zobaczyć. Mam się wybrać sama czy poczekać na pana?

Pucki spojrzał na stojący obok łóżka zegarek. Dwadzieścia po ósmej! Zanim się ogarnie, zanim dotrze na komendę, minie trochę czasu. Nie ma co zwlekać.

– Gdzie leży? – zapytał znacznie przytomniejszym głosem.

– Na Młynarskiej.

– Dobrze, zrobmy tak. Jedź na Młynarską i tam na mnie czekaj. Będę najdalej za czterdzieści minut.

Zjawił się punktualnie co do minuty. Monika czekała, niecierpliwie przemierzając w tę i z powrotem poczekalnię w izbie przyjęć.

– Wiesz, na jakim oddziale leży?

W odpowiedzi skinęła głową.

– Idziemy – burknął.

Nie lubił szpitali. Nienawidził zapachu środków dezynfekujących i smrodu dusznych sal. Nienawidził widoku pacjentów zabijających czas niekończącymi się wędrówkami wzdłuż szpitalnego korytarza. Nienawidził niemal namacalnego uczucia strachu, rezygnacji i beznadziei bijącego od chorych. Nienawidził znudzonych min pielęgniarek. Nienawidził zblazowanych lekarzy. Nienawidził sztucznych uśmiechów i fałszywego optymizmu gości. Może gdzieś tam, na świecie, są szpitale takie jak na filmach: z dużymi, przestronnymi salami pełnymi kwiatów i baloników, uśmiechniętym personelem i bezinteresownymi lekarzami, może... Ale na pewno nie na polskiej prowincji.

Zatrzymali się przed wysokimi, dwuskrzydłowymi drzwiami pomalowanymi na biało olejną farbą. Naklejono na nich ogromny znak „Stop”, a pod nim, dla pewności, przymocowano jeszcze tabliczkę „Zakaz odwiedzin”.

– Nie wiem, czy nas wpuszczą – zasępił się Pucki.

Monika jedynie prychnęła i stuknęła palcem w skromną kartkę formatu A4 przyklejoną pineską do futryny.

– Regulamin Oddziału – przeczytał wydrukowany wersalikami tytuł. – No i? – Spojrzał pytająco, nie do końca pojmując intencje koleżanki.

– Punkt siódmy. – Padało lakoniczne wyjaśnienie.

– Ze względu na nadrzędną rolę procesu leczenia wizyty dozwolone są jedynie w godzinach siedemnasta–dziewiętnasta. – Z trudem odcyfrował drobny druk. Spojrzał na zdobiący wejście znak, potem na regulamin, jeszcze raz na znak i w końcu na Monikę.

– To jakaś paranoja – skwitował. – Skąd wiedziałaś?

– W zeszłym roku ciotka tu leżała. Przychodziłam do niej przez tydzień. Codziennie. Potem przenieśli ją na ogólny.

– No dobrze, ale do piątej jest jeszcze kupa czasu.

– Niechże pan będzie poważny, szefie. Tym regulaminem przejmują się tak samo jak zakazem. Wpuszczają cały dzień, chyba że akurat dzieje się coś naprawdę złego. Wtedy wyprasza wszystkich gości. No, ale temu nie ma się co dziwić.

Przewidywania Więckiej sprawdziły się co do joty. Nie tylko nikt ich nie pognał, lecz wręcz przeciwnie, bardzo uprzejmie wskazano drogę.

Mężczyzna leżał nieruchomo, przykryty aż po samą brodę. Lewą rękę schował pod kołdrę, od prawej, ułożonej równolegle wzdłuż ciała, ciągnęła się rurka kroplówki. Z zawieszzonego na stojaku woreczka powoli kapąła żółtawa ciecz. Nad łóżkiem wisiał monitor wyświetlający bez przerwy tajemnicze liczby i wykresy. Popiskiwał cichutko i rytmicznie.

Pucki uważnie przyjrzał się choremu. Choć spoczywająca na szpitalnej poduszce twarz była blada i wychudzona, choć szpeciły ją liczne zadrapania i siniaki, choć częściowo

zasłaniały ją opatrunki i wąsy tlenowe, choć oczy mężczyzny były zamknięte, komisarz od razu rozpoznał Konstantina Błockiego. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Niestety, nie miał też wątpliwości, że w najbliższym czasie świadek niczego nie zezna.

– Znaleźć znaleźliśmy, ale co z tego – sarknął.

– Kiedyś w końcu przemówi – zaproponowała Monika.

– Chyba na sądzie ostatecznym. Chodźmy zapytać lekarza. Niech nam powie, jakie są rokowania.

Pomysł okazał się chybiony. Lekarz zdecydowanie odmówił udzielania jakichkolwiek informacji. Pucki próbował i tak, i siak. I prośbą, i groźbą. Nic nie pomogło. Łapiduch zaparł się niczym osioł. Komisarz miał szczerą ochotę nawrzucać mu od serca. Z pielęgniarką poszło jeszcze gorzej. W ogóle nie chciała rozmawiać. Prośbę o to, by zadzwoniła, gdy pacjent odzyska przytomność, skwitowała takim spojrzeniem, że dla wszystkich stało się jasne – dalsze pytania nie mają najmniejszego sensu.

Jak niepyszni wrócili na komendę.

– A co z tymi danymi od operatora? Miały być gotowe wczoraj. – warknął Pucki, gdy dotarli na miejsce. Od razu pożałował swych słów. To było bardzo nieprofesjonalne. Nie powinien odreagowywać stresu na współpracownikach. Na szczęście Więcka nie należała do osób, które pozwalały sobie w kasze dmuchać.

– Miały być, to były – odparła hardo. – Są w dziale analiz. Operator dostarcza tylko tabelki z cyframi, chłopaki starają się z tego coś wycisnąć. Powinni już coś mieć.

– No to chodźmy do nich. Nie ma na co czekać.

\*

Umieblowanie pokoju szumnie nazywanego działem analiz stanowiło kilka biurek upchniętych w małym, pozbawianym okien pomieszczeniu. Kiedyś mocno rozbudowana sekcja, obecnie, po licznych cięciach budżetowych, składała się z jednej osoby. Pucki podejrzewał, że kierownictwo najchętniej zlikwidowałoby całą komórkę, ale nie bardzo wiadano, co zrobić z Henrykiem – pracownikiem cywilnym, któremu do emerytury zostały niecałe trzy lata. Wszedł w okres ochronny, więc zwolnić go nie bardzo było jak, a przenosiny do innej pracy też nie wchodziły w grę. Dożywał więc Henryk swoich dni w zaciszu zagraconego gabinetu, nienerwowo, z namaszczeniem stukając w klawisze równie jak on leciwego notebooka.

– Dzień dobry, drogi panie Henryku, ma pan coś dla mnie? – zagaiła Monika przymilnie.

– Dzień dobry. – Znacznie mniej uprzejmie przywitał się komisarz.

– A witam, witam! Dlaczego miałbym nie mieć, pewnie, że mam. Siadajcie – dodał, podsuwając gościom drewniane, niewygodne krzesła.

– Przejdźmy do rzeczy – podjął – gdy już zajęli wskazane miejsca. – Trochę musiałem pokombinować, bo plik logowań od operatora ma wyjątkowo nieprzyjazny format. Mało tego, że kiepsko się parsuje, to jeszcze zamiast wyłuskać tylko to, co ważne, napchali tam wszelakiego śmiecia.

Pucki jęknął w duchu. Zrozumiał, że czeka go długi i nieciekawy wykład. Pan Henryk znany był z tego, że zanim przeszedł do rzeczy, musiał, no po prostu musiał zafundować słuchaczom wprowadzenie teoretyczne. Tym razem jednak przeskoczył samego siebie. Komisarz o mało nie przysnął, słuchając najeżonego technobelkotem wykładu. Mało tego, że wywód sam z siebie był nudny, to jeszcze na domiar złego co i rusz pojawiały się w nim zupełnie niezrozumiałe, obrzydliwe skróty: ToA, LMU, Cell-ID, BTS. Od rozważań technicznych pan Henryk przeszedł płynnie do rozważań o wyższości amerykańskiego standardu E911 nad europejskim E112. W tym momencie Pucki musiał się mocno uszczypnąć, by nie odpłynąć.

– Tak by to wyglądało w skrócie. – Z nieskrywanym żalem zakończył dywagacje pan Henryk.

– Wybacz pan, ale chyba nie do końca zrozumiałem. Da się wyznaczyć trasę tych telefonów, czy się nie da? – jęknął komisarz.

– No przecież dopiero co tłumaczyłem. – W głosie analityka brzmiała nagana. – Da się, ale niedokładnie. Wszystko zależy od wielkości komórki, a ta zależy od gęstości stacji bazowych. W mieście to jeszcze jako tako wygląda, ale na wsi dokładność może wynosić nawet kilka kilometrów. Na przykład...

– Dobrze, dobrze. Pojęliśmy – przerwała mu w pół słowa Monika przerażona wizją kolejnej oracji. – Co może nam pan powiedzieć o trasie tych dwóch konkretnych telefonów.

– Jak chcecie – mruknął wyraźnie urażony. – Interesuje was czas od ostatniego poniedziałku, tak?

Oboje – i Monika, i Pucki – przytaknęli skwapliwie.

Pan Henryk potarł dłonie, sapnął, dziarsko uderzył w klawisze. Po chwili na ekranie ukazała się mapa pokryta szeregiem nakładających się na siebie kół.

– Najpierw pojechały na południe. Wyjechały z miasta. Tam zatrzymały się na dłużej.

– Gdzie?

– Trudno powiedzieć. To teren wiejski, stacje rozmieszczone są rzadko. W dużym przybliżeniu można powiedzieć, że w grę wchodzi trójkąt: Janikowice, Marelkowo, Włochów.

Pucki drgnął, ale nic nie powiedział. Słuchał dalej w skupieniu.

– Potem zrobiły dziwne koło, wróciły do miasta i wsiadły do pociągu.

– Jest pan w stanie tak precyzyjnie określić położenie? – Monika nie zdołała ukryć zdumienia. – Stacja nie jest duża, a pan mówił, że dokładność wynosi kilkaset metrów.

Mężczyzna uśmiechnął się tryumfalnie.

– To akurat wy-de-du-ko-wa-łem– odparł, wymawiając wyraźnie każdą sylabę. Spójrzcie na trasę. – Stuknął palcem w ekran. – Widać, że kolejne obszary wyznaczone podczas logowania do stacji bazowych pokrywają się z trasą torów kolejowych. Wracając jednak do tematu: wysiadły w Krakowie, przez chwilę pochodziły po mieście i tutaj ślad się urywa. Oba telefony wyłączono niemal jednocześnie.

– Gdzie? Wie pan, gdzie wyłączono te telefony?! – Nie wytrzymała Więcka.

– Wiem, ale myślę, że się wam to nie spodoba. Tuż nad Wisłą. – Znowu stuknął palcem w ekran. – Idę o zakład, że oba aparaty spoczywają teraz na dnie rzeki.

Ani Monika, ani Pucki nie mieli ochoty podejmować zakładu. Pan Henryk miał rację. Ta wiadomość wcale a wcale im się nie spodobała.

\*

Na poranną odprawę wszyscy stawili się w minorowych nastrojach. Nawet zwykle roześmiany od ucha do ucha Kozielczuk siedział z grobową miną. Nikt nie miał wątpliwości, to już nie była błaha sprawa zaginięcia zgłoszonego przez rozhisteryzowaną matkę, do której nie dotarło, że jej dziecko od dawna jest już dorosłą osobą i ma prawo chodzić, gdzie chce, z kim chce i kiedy chce. To była poważna, śmierdząca afera, za którą należało wziąć się jak najszybciej. Cały zespół siedział ze skwaszonymi minami. Nie mieli powodów do radości.

– Panie i panowie, daliśmy dupy po całości – oznajmił bez ogródek Pucki. Rzadko używał słów niecenzuralnych, jeśli więc ktoś miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do powagi sytuacji, to właśnie się ich ostatecznie pozbył.

– W tej chwili poszukiwanie Tańskiej i Brodzkiej ma najwyższy priorytet. Na początek ustalmy, co wiemy. Kiedy wraca z wycieczki syn Tańskiej?

– Powinni być jutro koło południa – odpowiedziała Monika bez chwili wahania.

– Okej, w takim razie masz tam być. Jeśli Tańska pojawi się odebrać młodego, nic nie rób, tylko od razu daj mi znać. Jeśli jej nie będzie, pojedź za nim i dyskretnie obserwuj dom. Poczekaj do wieczora. Jeżeli kobieta wyjechała, żeby sobie poszaleć pod nieobecność młodego, to jutro z pewnością wróci.

– Do wieczora, czyli konkretnie do której? – wtrąciła Więcka.

– Do siódmej, no, powiedzmy najdalej do wpół do ósmej. Jeżeli się do tego czasu nie zjawi – dzwoń.

Przez chwilę przerzucił notatki.

– Kolejna rzecz – podjął. – Matka Brodzkiej twierdziła, że pojechały samochodem. W tej chwili nie mamy jak sprawdzić, czy auto Tańskiej stoi w garażu, czy nie. Na tym etapie nikt nam nie da pozwolenia na wejście do środka. Grońska, ustalisz markę, kolor i numer rejestracyjny. Potem pojedziesz do Tańskich i rozejrzysz się, czy wóz nie stoi gdzieś na widoku: na podjeździe albo na ulicy. Szczerze w to wątpię, ale musimy sprawdzić, zanim ogłoszę poszukiwania. Nie chcę wyjść na idiotę.

Zamilkł. Przez chwilę przewracał kartki notesu.

– Aha, daktyloskopia – mruknął ni to do zebranych, ni to do siebie. – Muszę wystawić zlecenie na porównanie odcisków palców zebranych w Zawodziu z odciskami poszukiwanych i podejrzanych. Tańską i Brodzką mamy – pobieraliśmy po morderstwie Rubiszewskiej w celu eliminacji, Błockiego mamy, bo zdjęli przy aresztowaniu. Z resztą krucho. Marchwiński nie do zdobycia, „Światła życia” nie wolno tykać. Jest jeszcze Malewski. Trzeba go ściągnąć na komendę i pobrać odciski.

– Malewski? – Z sali padło pełne zdumienia pytanie. – A co on ma z tym wspólnego?

– Nie wiem – burknął komisarz. – Może nic, a może wszystko. Cały czas figuruje na liście podejrzanych w sprawie morderstwa Rubiszewskiej. Nie jest numerem jeden ani nawet numerem dwa, ale na razie go nie wykluczyłem. Co do tego, że zniknięcie Tańskiej i Brodzkiej jest jakoś powiązane z morderstwem na Parkowej nikt chyba nie ma wątpliwości?

Przez salę przetoczył się pomruk aprobaty.

– Jakies pytania?

Panująca w sali cisza była najlepszą odpowiedzią.

– No to do roboty! – zakomenderował Pucki.

\*

Dopiero gdy został sam, zdał sobie sprawę z tego, że nie zlecił nikomu wezwania Malewskiego. Niby pierdoła, ale trzeba się nią zająć. Już sięgał po telefon, by wezwać mężczyznę do komisariatu, gdy uderzyła go nagła myśl. Przeanalizował w pamięci przebieg śledztwa i aż prychnął ze zdumienia. Właściwie to z niewiadomych przyczyn odpuścił facetowi. Jedno krótkie przesłuchanie, z którego w zasadzie nic nie wynikło, i tyle. Jakby mężczyzna był poza wszelkimi podejrzeniem. Nic dziwnego, że współpracownicy lekko się zdumieli, słysząc nazwisko Malewskiego podczas odprawy. A przecież zostało jeszcze całkiem sporo pytań bez odpowiedzi. Jak to się stało? Przecież chodzi o osobę najbliższą denatce! Tacy są zazwyczaj najbardziej podejrzani! Niepojęte, jak mógł do tego dopuścić!

– Czy gość mnie tak zmanipulował, czy zwyczajnie się starzeję i robię głupoty? – rozważał w duchu. – Nie ma to tamto. Chociażby dla spokoju sumienia, trzeba pojechać na Rozstaje i jeszcze raz pogadać z człowiekiem. Nauczony poprzednim doświadczeniem zadzwonił do Malhurtu. O dziwo, tym razem recepcjonista nie czynił żadnych wstrętów. Zapytał jedynie, czy komisarzowi odpowiada godzina czternasta. Odpowiadała. Jak najbardziej odpowiadała.

\*

Chociaż do biura Malhurtu komisarz dotarł na kwadrans przed umówionym czasem, Malewski już na niego czekał.

– Witam, witam! – zawołał, stając w szeroko otwartych drzwiach. – Czyżby jakiś przełom w śledztwie?

– Przykro mi, ale nie. Pojawiły się nowe tropy, dlatego muszę zadać panu kilka dodatkowych pytań.

Weszli do gabinetu. W środku było równie mroczno i przygnębiająco jak podczas poprzedniej wizyty. Na szczęście tym razem muzyka była znacznie bliższa gustom Puckiego. Równie smutna, równie dołująca, ale bardziej subtelna i wyrafinowana. Im dłużej słuchał płynących z ukrytych głośników dźwięków, tym bardziej przekonywał się, że mógłby ten kawałek polubić.

– Interesujący utwór. Co to za wokalistka? – zapytał trochę z ciekawości, a trochę dla rozluźnienia atmosfery.

– Agnes Obel.

– Piękne, tylko okropnie smutne.

– Dlatego prawdziwe. Takie jest życie.

Pucki chrząknął. Rozmowa niebezpiecznie dryfowała w kierunku domowej pseudofilozofii. Uznał, że najwyższa pora przejść do rzeczy.

– Czy znał pan Joannę Tańską?

– Siostrę Heleny? – upewnił się.

– Tak – potwierdził komisarz.

– Wiedziałem o jej istnieniu i nic więcej. Helena wspomniała kiedyś, że ma siostrę, ale nigdy nawet nie pokazała mi jej zdjęcia. Panią Tańską widziałem raz, na pogrzebie. Z tym, że wtedy też nas sobie nie przedstawiono. Zgadłem tylko, że to ona. Kim innym mogła być kobieta w żałobie uderzająco podobna do Heleny, jak nie jej siostrą bliźniaczką.

– Czy to trochę nie dziwne? Był pan partnerem zmarłej przez tyle lat i nie poznał jej najbliższej krewnej?

– Rozumiem, o co panu chodzi. Z boku to rzeczywiście mogło wyglądać dziwnie. Proszę jednak pamiętać, że sytuacja nie była normalna. Jestem żonaty. Staraliśmy się zachować pozory – zawahał się na moment – to znaczy ja się starałem, bo Heli było to chyba obojętne. W towarzystwie zawsze przedstawiała mnie jako kolegę. Myślę, że pod koniec nikt już w to wierzył.

– Poprzednio zeznał pan, że żona nie wiedziała o pańskim romansie. Teraz twierdzi pan, że znajomi domyślali się, co w trawie piszczy. Czy nie widzi pan tu sprzeczności?

– Nie – odparł bez namysłu. – Towarzystwo, w którym obracała się Helena, i znajomi Zosi to dwa różne światy. Różnie dobrze mogłyby mieszkać na różnych planetach. Szanse na to, że coś do żony dotrze, były znikome.

– Jest pan tego pewien? Proszę wybaczyć, ale bywa, że człowiek widzi to, co chce zobaczyć, a nie to, co się dzieje naprawdę.



– Jak było naprawdę, wie tylko moja żona – odpowiedział automatycznie. Jednak prawie natychmiast się zreflektował i dodał pośpiesznie – Mam nadzieję, że nie przyjdzie panu do głowy jej o to pytać?

– Na tym etapie śledztwa nie widzę takiej potrzeby – uspokoił go Pucki, nie do końca wierząc w szczerść własnych słów. – Przejdźmy do kolejnej sprawy. Czy znał pan Barbarę Brodzką?

Tym razem minęło trochę czasu, nim padła odpowiedź.

– Taką blondynkę? Młodą?

Pucki potwierdził kiwnięciem głowy.

– Tak, dość powierzchownie, ale znałem. Spotkałem ją kilka razy u Heleny. Coś tam razem dłubały. Chyba nawet były dość blisko ze sobą. Nawet miałem ją zatrudnić, ale nic z tego nie wyszło.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

– To żadna tajemnica – roześmiał się. – Panna była chętna do pracy, niegłupia, ale kwalifikacje miała z zupełnie innej dziedziny. Helena mi ją poleciła, przekonywała, że dziewczyna raz-dwa wszystkiego się nauczy. Prawie się dałem przekonać.

– Co pana skłoniło do zmiany decyzji?

– To nawet zabawne. Hela. Najpierw tyle energii włożyła w to, żeby mnie przekonać do Brodzkiej, a potem, gdy zobaczyła, że się waham, poleciła kogoś innego. Muszę przyznać, że Marianna okazała się cennym nabytkiem. Świetnie sobie radzi.

Na dźwięk słowa „Marianna” komisarz drgnął. Imię nie było zbyt popularne. To oczywiście mógł być przypadek, ale nie zaszkodziło zapytać.

– Marianna Pol? – zapytał.

– Tak. – Malewski spojrzał Puckiemu prosto w oczy. – Skąd pan wie?

– Dlaczego pan mi o tym wcześniej nie powiedział? Szukaliśmy tej kobiety bezskutecznie przez kilka tygodni, a pan milczał! – wybuchł, zupełnie ignorując pytanie.

– Proszę pana, z całym szacunkiem, ale nikt mnie o nią nie zapytał. Skąd miałem wiedzieć, że to ważne? Zatrudniam blisko pięćdziesiąt osób. Miałem panu listę płac wydeklamować? – Mężczyzna był szczerze wzburzony nieuzasadnionym atakiem.

– Fakt, przepraszam, poniosło mnie. – Przeprosiny zabrzmiały szczerze. – Jeszcze tylko jedno pytanie. – Czy był pan kiedyś w Zawodziu?

– W Zawodziu? A po co miałbym tam jeździć? Nazwa mi się o uszy obija, ale nawet nie wiem dobrze, gdzie to jest.

– Helena Rubiszewska od kilku lat wynajmowała tam domek letniskowy. Nic pan o tym nie wiedział?

– Jak Boga kocham, nie miałem pojęcia! Ciekawe, co jeszcze przede mną zataiła? – jęknął.

Zamilkł. Ukrył twarz w dłoniach i znieruchomiał.

Puckiego zastanowiło słowo „jeszcze”. Jednoznacznie sugerowało, że były też inne tajemnice. Jakie? To pytanie postanowił zachować na później. Szybko zapisał kilka słów w notesie. Uznał, że czas się pożegnać.

## ROZDZIAŁ 24

Codziennie po pracy Pucki zachodził do szpitala. Na trzeci dzień dopisało mu szczęście – Błocki odzyskał przytomność. Nadal leżał nieruchomo na wznak, oddychał płytko, ale oczy miał szeroko otwarte. Nieruchomy wzrok wbijał w sufit. Na widok komisarza wyraźnie się ożywił, wręcz ucieszył.

– Dobrze, że pan przyszedł – wyszeptał słabym głosem. – Ja wtedy, jak mnie pan wezwał, nie wszystko powiedział. To, co ja mówił, to wszystko prawda, nic nie skłamał, ale dużo ukrył. Niech pan usiądzie, ja teraz wszystko powiem.

Pucki rozejrzał się dookoła. Zobaczył oparte o ścianę dwa składane krzeselka. Wziął jedno, ustawił w głowach łóżka tak, by ranny nie musiał podnosić głosu.

– Proszę mówić – zachęcił.

– Z tym włamaniem to prawda. Wyłamałem zamek i wszedłem. Nic nie chciałem ukraść. Nie jestem złodziejem, chciałem tylko odzyskać passport. Bez dokumentu jak bez ręki: ani w Polsce zostać, ani do domu wrócić.

– Dlaczego nie poprosił pan oficjalnie o zwrot paszportu? I skąd w ogóle pańskie dokumenty znalazły się u Rubiszewskiej?

– O tym właśnie chciałem powiedzieć. Pewnie pan nie uwierzy, ale szedłem na komendę, żeby się do wszystkiego przyznać i wtedy potracił mnie samochód. Wiem, jak to brzmi, ale tak było. Mniejsza z tym.

Zamilkł zmęczony. Ciężko dyszał jak po intensywnym wysiłku. Opuścił powieki. Pucki milczał. Poganinie Błockiego nie miało sensu. Najlepiej, żeby opowiedział wszystko po swojemu.

Oddech Ukrainca powoli wrócił do normy. Mężczyzna otworzył oczy. Podjął przerwane wyznanie. Mówił powoli, półgłosem, z wyraźnym wysiłkiem.

– Jak ja przyjechał do Polski, to na początku trudno było. Nie znał języka, nie znał ludzi, nie wiedział, gdzie pójść i co powiedzieć. Z czasem jakoś się ogarnął: znalazł mieszkanie, pracę, nawet kilku kolegów. Żadni tam przyjaciele, ale chociaż miał do kogo gębę otworzyć po robocie. Nu, ale i tak nie było łatwo. Polaki do roboty chętnie naszych brali: bo taniej, bo ubezpieczenia płacić nie trzeba, bo ludzie bojący to się nie buntują. I nawet płacili uczciwie, nie powiem: mało, połowę tego, co Polakom, ale zawsze na czas. Tyle tylko, że za nic nas mieli. Niby nam tak w twarz nigdy nic złego nie powiedzieli, ale między sobą nic, tylko psy na nas wieszali. Ciągłe powtarzali, że Ukraińcy to złodzieje, bandyci i mordercy. Tak ze sobą rozmawiali, jakby my powietrzem byli, jakby my nic nie słyszeli, nic nie rozumieli. Jak ja pomyślał, że mam to do końca życia znosić, to aż mi się coś w środku robiło. Może bym nawet wszystko rzucił w diabły i wrócił do domu, ale poznałem panią Helenę. Wzięła mnie do malowania mieszkania. Dobrze

placiła, jeszcze jeść dała. Jakoś tak któregoś wieczora zaczęliśmy rozmowę i, sam nie wiem jak, wszystko, co mi na sercu leżało, ja jej opowiedział. A ona na to, że pomoże. Ja zapytał jak, a ona na to tylko się roześmiała. Potem powiedziała, że załatwi mi polskie papiery: passport i dyplom inżyniera. Bo ja jestem inżynier. Mechanik. Dobry. Ja najpierw nie zrozumiał. „Po co?” – zapytał. – „Toż każdy widzi, że ja nie Polak”. Ona na to, że tutaj widzi i słyszy, ale gdzie indziej nie. „Wyjedziesz” – mówi – „za granicę jako obywatel Unii i dobrze się urządzisz”. I jeszcze powiedziała, że potrzebuje mój passport, ukraiński znaczy, żeby te fałszywe dokumenty przygotować. To ja jej dał. I cała historia.

– Jasne, ale dlaczego nie poprosił pan oficjalnie o zwrot dokumentów? Policji albo spadkobiercy? – zapytał Pucki, gdy zrozumiał, że opowieść Błockiego dobiegła końca.

– Najpierw ja czekał cierpliwie. Pomyślał, że jak znajdą, to sami oddadzą. Czekał i czekał i nic. Spanikował. Głupio zrobił z tym włamaniem, teraz wiem. Łatwo jest być mądrym po szkodzie.

– Podczas przesłuchania na komendzie wspomniał pan, że „to oni ją zabili”. Kim są ci „oni”? – Komisarz postanowił iść za ciosem, wyciągnąć ze świadka tyle, ile się da.

Błocki zawahał się. Zamknął oczy. Zaciśnął pięści. Zagryzł wargi. Przez chwilę o czymś intensywnie myślał.

– Nu, imienia i nazwiska to ja panu komisarzowi nie powiem, bo nie wiem. Wiem tyle, że to jakoś z tymi dokumentami związane. Jak ja pytał pani Heleny, kiedy będą te papiery, to ona najpierw mówiła, że zaraz, potem, że nie wie, ale na pewno niedługo. W końcu powiedziała, że potrzeba więcej pieniędzy, bo ona sama nie robi, tylko od jakichś ludzi kupuje i ci ludzie podnieśli ceny. Już na początku dużo chciała za te dokumenty, ledwie uzbierałem, to i powiedziałem, że tyle nie mam. Obiecałem, że dopłacę później. Nie była zadowolona. Mówiła, że ci ludzie naciskają, że nie ma z nimi żartów. W końcu zdobyłem pieniądze, byliśmy umówieni, ale nie zdążyłem. Zabili ją.

– Myśli pan, że to ci ludzie ją zamordowali?

– A kto by inny? Pewnie im się znudziło czekać. Gdybym przyniósł te pieniądze kilka dni wcześniej, może by żyła? Bo widzi pan, jak ja w końcu uzbierał całą sumę, to akurat robił za miastem. Nie miałem jak przyjechać do pani Heleny. Zadzwoiłem, powiedziałem, że mam i że przyjadę w przyszłym tygodniu. Zgodziła się na własne nieszczęście.

– Czy... – Puckiemu nie udało się dokończyć pytania. Wiszący na ścianie monitor zapiszczał przeraźliwie. Raz, drugi, trzeci. Siedząca przy biurku pielęgniarka zerwała się na równe nogi i pędem podbiegła do łóżka.

– Proszę natychmiast wyjść! – krzyknęła na Puckiego.

Komisarz od razu pojął, że to nie żarty. Bez słowa protestu ruszył ku drzwiom.

\*

Podkomisarz Więcka siedziała w służbowym samochodzie, sączyła kawę z papierowego kubka i czekała. Czowała się jak idiotka, jak tania podróbka *Miami Vice*, *Dempsey i Makepeace na tropie* albo innego durnego serialu policyjnego z lat osiemdziesiątych. Do kompletu brakowało tylko lukrowanego pączka.

Zgodnie z poleceniem rano pojechała pod szkołę. „Okolo południa” okazało się określeniem bardzo przybliżonym. Autokar z dziećmi dotarł na miejsce po czternastej. Monika nie miała pojęcia, jak wygląda syn Tańskiej, skoncentrowała się więc na wypatrywaniu Joanny. Bez rezultatu. Plac przed szkołą szybko opustoszał. Gdy ostatni chłopak zebrał swoje rzeczy i ruszył w stronę przystanku, Więcka zrozumiała, że nie ma na co dłużej czekać. Odpaliła silnik i z piskiem opon ruszyła w stronę Jarzębinowej. Ruch był niewielki, na miejsce dotarła po niespełna kwadransie, chociaż po drodze zatrzymała się na chwilę, żeby kupić kawę w Drive Thru. Teraz właśnie ją dopijała.

Nuda zdążyła jej porządnie dopieć, gdy w końcu do furtki podszedł młody człowiek z plecakiem. Ze swojego miejsca Monika widziała wyraźnie, jak najpierw kilkakrotnie zadzwonił do drzwi, a potem, nie doczekawszy się reakcji, wygrzebał klucze i wszedł do środka. Jedno nie ulegało wątpliwości – Tańskiej nie było w domu. Sprawdziła czas na komórce. Kwadrans po trzeciej. Westchnęła. Do siódmej zostały prawie cztery godziny. Zapowiadało się długie, bardzo długie czekanie. Włączyła radio. Umościła się wygodnie w fotelu. Obserwowała, ze wszystkich sił walcząc z sennością. W końcu, ile czasu można podziwiać ogrodzenie i furtkę? Minęło ciągnące się w nieskończoność pół godziny, gdy drzwi segmentu Tańskich otworzyły się. Więcka wyteżyła wzrok. Zobaczyła wychodzącego Mateusza. Chłopak zdążył się przebrać. Miał na sobie powyciągane, stare spodnie od dresu i równie zużyty t-shirt. Uwadze policjantki nie umknęły rozdeptane kaptcie. Było jasne, że nie wybiera się nigdzie daleko. I rzeczywiście zrobił tylko kilka kroków, wyciągnął przed siebie rękę. Gdyby nie dłoń zaciśnięta w pięść, można by pomyśleć, że wskazuje coś w oddali niewidocznemu towarzyszowi. Gdzieś z boku dobiegł nieprzyjemny odgłos. Monika spojrzała w kierunku, z którego dobiegał. Zobaczyła unoszącą się powoli bramę garażową.

– Niech to diabli – zaklęła w duchu. Z miejsca, gdzie siedziała, nie było szans dostrzec, co jest w środku. Wyszła z samochodu i powoli ruszyła ulicą, cały czas pilnując, by zbyt nie przyspieszyć kroku. Chciała wyglądać jak przypadkowy przechodzień. Gdy znalazła się dokładnie naprzeciwko garażu, odetchnęła z ulgą. Brama cały czas była otwarta na oścież. Wystarczył szybki rzut oka, by upewnić się, że wewnątrz jest pusto. Rozejrzała się dookoła. W pobliżu nikogo nie było. Dla zachowania pozorów – gdyby jednak ktoś ją obserwował z ukrycia – podeszła do najbliższego kosza na śmieci, wyciągnęła z kieszeni zapomniany, stary paragon i wyrzuciła go ostentacyjnie. Uznawszy, że wystarczająco uzasadniła swój krótki spacer, nieśpiesznie wróciła do samochodu.

\*

Pucki szczerze się zdziwił, gdy na wyświetlaczu komórki zobaczył, że dzwoni Monika. Po tym, jak nie skontaktowała się w południe, nie bardzo liczył dobre wieści. Czyżby okazał się nadmiernym pesymistą?

– I co, znalazła się? – zapytał po zdawkowym przywitaniu.

– Niestety nie – odpowiedź Moniki rozwiała złudzenia. Podkomisarz szybko zreferowała wyniki obserwacji. – Mam kontynuować? – zapytała na koniec z nadzieją w głosie.

– Wiem, że to nudne, ale wytrzymaj. Chociaż za dużo bym sobie nie obiecywał.

– Dobrze – odparła tonem jednoznacznie dającym do zrozumienia, co o tym sądzi.

Komisarz zasepił się. Sytuacja wyglądała coraz gorzej. Musiał porozmawiać z Grońską. Mógł wezwać aspirantkę, ale uznał, że lepiej będzie, jeśli pofatyguje się do jej biurka. Trochę ruchu jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Tak sobie tłumaczył własne postępowanie, choć w głębi serca wiedział, że przyczyna jest zupełnie inna. Domyślał się, co usłyszysz, i robił wszystko, by ten moment odwlec chociażby o kilka chwil. Z tego samego powodu postanowił po drodze zejść jeszcze do kiosku kupić czasopismo, którego tak naprawdę nie zamierzał czytać. W końcu wymówki się skończyły. Podszedł do aspirantki.

– Jak tam poszukiwania samochodu? – zagadnął.

– Ustaliłam markę, kolor i numer rejestracyjny. Biała Toyota Yaris, numer... – zaczęła pośpiesznie przerzucać kartki zalegające blat biurka.

– Daj spokój – machnął ręką. – I tak nie zapamiętam. Znalazłaś wóz?

– Kręciłam się z godzinę po okolicy i nic. Białych jarisek zatrzesienie, ale tej nie znalazłam. Dwa razy obeszłam całe osiedle, tak na wszelki wypadek, gdyby przyjechała w tym czasie.

– Jasne. Garaż też pusty. Poczekajmy, niech Więcka zakończy obserwację. Zadzwoń po południu do matki Brodzkiej, upewnię się, że Barbara nie wróciła. Jeżeli kobiety nie znajdą się do rana, trzeba będzie ogłosić oficjalne poszukiwania. Najchętniej zacząłbym szukać już teraz, ale jeśli okaże się, że to fałszywy alarm i baby złapały po drodze gumę, albo im się paliwo skończyło, będzie chryja. Sam nie wiem, jak będzie dobrze. Najlepiej od razu pójść z tym do starego. Niech on podejmie decyzję. Zachwycony nie będzie, ale za to mu płacą

\*

Więcka twardo wysiedziała przed segmentem Tańskich do wpół do ósmej, a nawet kilka minut dłużej. Choć nie spuściła z furtki wzroku ani na chwilę, nie wypatrzyła nic ciekawego. Ulica była odludna, leżała z boku, w pobliżu nie było ani sklepów, ani

kawiarni, nic, co by mogło przyciągnąć przypadkowych przechodniów. Mało kto poza stałymi mieszkańcami tutaj przychodził. Nawet samochody przejeżdżały z rzadka.

Zapadł zmrok, w segmencie Tańskich, w oknie na piętrze zapłonęła błękitna poświata – pewnie Mateusz siedział przy komputerze, a Joanny nadal nie było. Gdy wzdłuż ulicy zapłonęły latarnie, zgasła ostatnia nadzieja. Dalsze oczekiwanie nie miało sensu. Monika zadzwoniła do Puckiego, zameldowała, że kończy obserwację i z ogromną ulgą, ale i z równie ogromnym poczuciem rozczarowania, wróciła do domu. Otworzyła butelkę wina, włączyła ulubiony serial, siadła wygodnie na kanapie z kieliszkiem w rękę, ale w żaden sposób nie potrafiła wyluzować. Przez cały wieczór dręczyło ją mgliste poczucie, że o czymś zapomniała. Gdyby tylko wiedziała o czym!

\*

W telefonach drzemie jakaś siła nieczysta. Bywają dni, kiedy człowiek jak zbawienia oczekuje, że ktoś zadzwoni. Ucieszyłaby go nawet rozmowa z akwizytorem oferującym nowy produkt bankowy, cudowne garnki albo ubezpieczenie. Byleby tylko z kimś pogadać. Ale nie, wtedy na pewno telefon będzie milczał jak zaklęty. Wystarczy jednak, by zależało nam na chwili spokoju. Ułóż się do krótkiej drzemki, włącz długo wyczekiwany odcinek serialu albo zaplanuj wieczór z kieliszkiem wina i ulubioną płytą, a natychmiast zadzwięczy dzwonek. Reguła działała bezbłędnie. Ledwie Pucki rozłożył ulubiony tygodnik, by dopełnić sobotniego rytuału – rozpoczynającej weekend, półgodzinnej prasówki przy filiżance kawy i grzankach – gdy rozszalała się komórka. Spojrzał na wyświetlacz. Dzwoniła Monika. Ki czort? Wkurzony odebrał.

– Co się urodziło? – burknął.

– Bo wczoraj, jak schodziłam z obserwacji, powiedział pan, że Tańska na pewno wróci, że pewnie się zasiedziała jak to baba albo samochód jej nawalił, że szkoda mojego czasu...

– Wiem, co mówiłem – burknął. – I co z tego?

– Nie wróciła. To znaczy, pewności nie mam, ale dzwoniłam i nie odbiera.

– Okej, rozumiem, że to ważne, ale czy naprawdę musiałaś dzwonić z samego rana?

– Chłopak – odpowiedziała lakonicznie.

– Jaki chłopak? Nic nie rozumiem. Mów po ludzku.

– Mateusz Tański. Syn zaginionej. Jest nieletni. Chyba coś musimy z tym zrobić.

– A nich to! Masz rację. Bałwan ze mnie! Byłem tak pewny, że Tańska wróci, że w ogóle nie rozważałem innych wariantów. Pieprzona intuicja policjanta tak mi podpowiadała! Przyjeżdżaj do pracy. Pomyślę, co z tym fantem począć. Jak dotrzesz, to pogadamy. Albo wiesz co, zajedź po drodze do szkoły, dowiedz się o plan lekcji.

– Szefie, jakie lekcje. Dzisiaj sobota!

Pucki poczuł straszną pokusę, by przeczekać problem. Zaszyć się w domu do poniedziałku, udawać, że nic się nie stało. A nuż sprawa sama się rozwiąże albo rozwiąże

ją ktoś inny? Nie, chowanie głowy w piasek nie jest w jego stylu! Trzeba stawić problemowi czoła, jak na mężczyznę przystało.

– Dobrze – oznajmił z ociąganiem – Biorę to na klatę. Odpoczywaj.

Leniwy poranek diabli wzięli. Żegnaj piżamo! Żegnajcie rozdeptane kapcie. Poczłapał z powrotem do sypialni, przebrał się, zaścielił łóżko. W drodze do wyjścia złapał niedopitą kawę. Pociągnął łyk. Prychnął z obrzydzeniem. Była kompletnie zimna.

Przez całą drogę kombinował, co powiedzieć chłopakowi. Nastolatek. Durny wiek. Ani dziecko, ani dorosły. Z dziesięć razy zmieniał strategię, ostatecznie postanowił zastosować starą radę dziadka: gdy nie wiesz, co powiedzieć, powiedz prawdę.

\*

Drzwi otworzył zaspany młodzieniec z twarzą gęsto usianą pryszczami.

– Coś z mamą? – zawołał przerażony, gdy zobaczył legitymację Puckiego.

– Szczerze mówiąc, to nie wiem. – Komisarz użył rzeczowego, pozbawionego emocji głosu. Profesjonalista w każdym calu. – Mogę wejść?

– Proszę. – Chłopak szerzej otworzył drzwi, niezdarnie próbując ukryć drżenie rąk.

Nastolatek wyraźnie nie wiedział, jak się zachować. Sytuacja zdecydowanie go przerosła. Stał na środku pokoju onieśmielony, niepewny, zagubiony. Pucki pojął, że musi przejąć inicjatywę.

– Pan Mateusz Tański, nieprawdaż?

Słowo „pan”, choć użyte mocno na wyrost, okazało się strzałem w dziesiątkę. Przywróciło młodemu człowiekowi pewność siebie. W oczach Mateusza błysnęły iskierki dumy, z twarzy zniknął wyraz przerażenia, dłonie przestały dygotać.

– Tak, to ja. Czy mam pokazać jakiś dokument?

Komisarz pohamował śmiech. Dzieciak był rozbijający w swej tęsknocie za dorosłością.

– Nie, nie trzeba. To przecież tylko formalność. Chciałbym zadać panu kilka pytań. Mogę?

– Ależ oczywiście, proszę bardzo! – niemalże wykrzyknął. Lęk o matkę ustąpił, przynajmniej chwilowo, miejsca ekscytacji.

– Na początek, gwoli dopełnienia formalności, muszę zapytać: Joanna Tańska to pana matka, prawda?

– Tak.

– Kiedy ostatnio widział pan matkę?

– W poniedziałek – odpowiedział bez chwili wahania. – Rano. Byliśmy całą klasą na wycieczce. Matka trochę marudziła, że dopiero początek roku, a tu zamiast nauki wyjazdu. Bo widzi pan, jakiś był przypał z remontem. Mieli zrobić w lecie, podczas wakacji, ale jakaś obsuwa wynikła. Żeby dokończyć, firma musiała odciąć toalety, no i



dyrektor spanikował, że się sanepid przyczepi. Wymyślili wycieczkę. Nawet fajnie było – przerwał, aby nabrać tchu.

– Rozumiem. – Komisarz wykorzystał pauzę. – Czy potem komunikował się pan jakoś z matką albo ona z panem?

– Wysłałem jej esemesa, jak dojechaliśmy na miejsce, ale nie odpowiedziała. Zadzwoiłem wieczorem, jednak nie odebrała. Potem jeszcze w środę spróbowałem i też nic z tego nie wyszło.

– Nie zdziwiło to pana?

– Trochę tak. Zawsze bardzo nalegała, żebym dzwonił albo esemesował. Zawsze odpowiadała, ale pomyślałem, że może jej bateria siadła. Aha, no i w piątek próbowałem, jak wracaliśmy, bo chciałem, żeby po mnie pod szkołę przyjechała. Nie miałem za bardzo ochoty pchać się autobusem z plecakiem.

– Czy to nie dziwne, że sama nie próbowała zadzwonić?

– Nie, bo widzi pan, mieliśmy umowę: dzwonię ja. Nie chciałem, żeby mi obciachu narobiła przy kumplach albo dziewczynie. Wie pan, zaraz by było, że się mamusi tłumaczę. Uznałem, że dostała esemesa i to ją uspokoiło. Ale..., ale... – Nieoczekiwanie zmienił temat. – Gdzie ona jest?

– Widzi pan, w tym właśnie kłopot. Nie wiemy. Próbowaliśmy się z nią skontaktować. Jest ważnym świadkiem. Nie odzywa się od kilku dni.

– Szukacie jej?

– Tak, ale to nieco skomplikowane. Nikt oficjalnie nie zgłosił zaginięcia. Nie możemy tak po prostu szukać obywatela tylko dlatego, że nie odbiera telefonów. Akurat w przypadku pana matki mamy pewne obawy, ale musimy działać zgodnie z prawem.

Trochę łągał, nawet nie trochę, a bardzo. Chciał oszczędzić chłopakowi dodatkowych, być może zupełnie niepotrzebnych, zmartwień. Stres związany ze zniknięciem matki to aż nadto dla nastolatka.

– Czy ja mogę złożyć oficjalne zgłoszenie?

– Oczywiście.

– Zaraz... – Mateusz popadł w zadumę. Jakaś nieprzyjemna myśl nie dawała mu spokoju. – A czy wtedy nie zamkniecie mnie w Izbie Dziecka albo czymś takim?

– Szczerze mówiąc, jest to jedna z rzeczy, które mnie tu sprowadziły. Formalnie nieletni nie może zostać bez nadzoru. A pan pełnoletni nie jest, jak rozumiem. Właściwie, ile ma pan lat?

– Sze... No piętnaście skończę za miesiąc.

Nagle cała odwaga znikła. Kąciki ust powędrowały ku dołowi. Naprzeciwko komisarza siedział mały, zalękniony dzieciak.

– Naprawdę nie mogę zostać w domu? – jęknął. – A co będzie, jak mama wróci?

– Czy ma pan jakąś bliską rodzinę? Ciotkę? Wujka? Kogoś dorosłego, kto mógłby zostać pana opiekunem?

– W mieście to nie. Jest siostra babci. I jej mąż. I brat drugiej babci, ale on mieszka bardzo daleko.

– Dobrze, zajmijmy się w takim razie siostrą babci. Czy możemy do niej zadzwonić?

Rozmowa okazała się krótka, ale owocna. Siostrze babci, pani Walerii, osobie bardzo energicznej, nie trzeba było niczego dwa razy powtarzać. Gdy zrozumiała, o co chodzi, najpierw wyrzuciła z siebie potok lamentów, jaki to pech prześladowuje rodzinę, jak to najpierw zginęli młodzi, potem Helunia, a teraz Joasia, jak to biedniutki Mateuszek został sam bez opieki, jak to ona nie może na to pozwolić, a potem – ku wielkiej uldze Puckiego – przeszła do konkretów. Już się ubiera, wskakuje do samochodu i jedzie. Będzie najdalej za trzy godziny.

– Myślę, że trzy godziny bez opieki pan wytrzyma – podsumował, próbując obrócić całą sprawę w żart. Na odchodne rzucił jeszcze:

– Proszę mnie natychmiast poinformować, gdy matka się zjawi.

Celowo zamiast „jeśli” powiedział „gdy”, chociaż wcale w to „gdy” nie wierzył.

## ROZDZIAŁ 25

Przesłuchania imigrantów ze Wschodu szły jak po grudzie. Komisarz przewidział to, zanim jeszcze zaczęli wzywać Ukraińców na komendę, nie podejrzewał jednak, że będzie aż tak źle. Kolejni świadkowie powtarzali to samo: nic nie wiem, nic nie widziałem, nic nie słyszałem. Policjanci nie bardzo wiedzieli, jak ich przycisnąć. Nie mieli żadnego punktu zaczepienia, żadnego konkretnego, od którego mogliby się odbić podczas rozmowy. Zeznanie Błockiego było zbyt ogólne. Pucki dałby dużo za możliwość kolejnej rozmowy z Ukraińcem. Niestety, nic nie wskazywało na to, by plany te mogły się w najbliższym czasie ziścić. Indagowana lekarka konsekwentnie odmawiała udzielania jakichkolwiek informacji, ale jej spojrzenie mówiło więcej niż jakiegokolwiek słowa. Szanse na to, że Konstatin powie jeszcze cokolwiek, malały z dnia na dzień w zastraszającym tempie.

A jednak! Po długich godzinach zmudnych i bezowocnych prób cierpliwość policjantów została nagrodzona.

Początkowo nikt nie obiecywał sobie za wiele po zeznaniach Oksany Chomicz, bo co mogła wiedzieć młodziutka kobieta, prawie dziecko? Chomicz nie miała nawet dziewiętnastu lat. Chuda, zaniedbana, wystraszona, wyglądała na taką, co to do trzech nie potrafi zliczyć. Nikomu nie przyszło do głowy, że właśnie ta słabość okaże się największym sprzymierzeńcem stróżów prawa.

Przesłuchanie prowadził osobiście Pucki. Zblazowanym tonem zadawał pytania, które przez ostatnie dni powtarzał do znudzenia: imię, nazwisko, data i miejsce urodzenia. Właśnie miał przejść do miejsca pobytu w Polsce, gdy Oksana wybuchnęła gromkim płaczem. Pucki zaklął w duchu. Tylko tego mu jeszcze brakowało, babskiego przedstawienia! Z westchnieniem podsunął dziewczynie paczkę chusteczek jednorazowych.

– Proszę się nie denerwować – powiedział pokrzepiającym tonem. – Nikt nic przeciwko pani nie ma. Nic pani nie grozi. Jest pani tylko świadkiem. Zadam jedynie kilka prostych pytań.

Tyrada komisarza zamiast uspokoić, jeszcze bardziej nakręciła dziewczynę. Łzy, dotąd płynące dyskretnie po policzkach, polały się strumieniami. Wraz ze łzami popłynęły słowa.

– Głupia byłam. Trzeba mi było matki posłuchać – szlochała Oksana. – Mówiła mi: „Zostań w domu, nie jedź. Z głodu nie umierasz. Lepiej żyć biednie, ale uczciwie”. Ja jej na to, że nic nieuczciwego nie robię. Mam wizę, będę pracować. Co w tym złego? Naprawdę chciałam uczciwie. – Przerwała, wytarła twarz rękawem, ignorując chusteczki. – I co z tego, że chciałam! Mogłam sobie chcieć. Nikt mnie zatrudnić oficjalnie nie chciał. Praca owszem, była, ale wszystko na czarno. Anim się obejrzała, a

pieniądze, co je z domu przywiozłam, skończyły się. Wtedy jeszcze mogłam wrócić. Tylko że mi wstyd było. Bo jak to tak? Przyznać się, że mi nie wyszło? Inni sobie poradzili, tylko ja, niedojda, nie dałam rady. Na początek łyknęłam dumę, znalazłam robotę na czarno. Najpierw jedna pani, potem jeszcze jedna wzięły mnie do sprzątania. Nie powiem, dobre dla mnie były, płaciły uczciwie. Tylko że u jednej robiłam cztery godziny w tygodniu, a do drugiej to w ogóle tylko raz na miesiąc chodziłam. To, co zarobiłam, nawet na mieszkanie nie starczało. A przecież jeszcze jeść trzeba. O odkładaniu nawet nie myślałam. Pewnie bym się poddała, gdyby nie oni. Pani, co u niej sprzątałam, mnie z nimi zapoznała. Udawała, że chce pomóc. Uwierzyłam, głupia. Jak miałam nie uwierzyć? Obiecali legalną pracę z ubezpieczeniem, z rejestracją. Powiedzieli, że będę im płacić pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Tym mnie przekonali. Jakby nic nie chcieli, to bym pewnie coś podejrzewała, a jak chcieli pieniądze, to wyglądało jak interes, no nie? No i uwierzyłam. Kazali passport oddać. Mówili, że do propiski potrzebny. Jak durna jakaś im oddałam.

Znowu się rozszlochała na całego. Pucki w milczeniu udawał, że robi notatki. Potrzebowała dowolnej wymówki, by milczeć. Bał się przerwać opowieść. Wiedział, że jeśli teraz dziewczyna umilknie, to najpewniej zamknie się w sobie i nic już nie powie. Cierpliwie czekał w nadziei, że przyływ szczerości jeszcze nie dobiegł końca. I rzeczywiście, pociągnęła nosem kilka razy, westchnęła i cały czas zalewając się łzami, mówiła dalej.

– Oni mieli to wszystko dobrze przemyślane. Jak tylko człowiekowi zabrali passport, mogli robić, co chcieli. Dziewczyny płaciły po sto dolarów w miesiąc, a chłopaki po dwieście. Jak komuś wpadła dodatkowa robota to musiał im dziesięć procentów oddać z zarobionego. Skąd wiedzieli, kto im donosił, żebym to ja wiedziała.

Zamilkła. Wbiła wzrok w podłogę, jakby tam mogła znaleźć odpowiedź na dręczące pytania.

– I tak się na to godziliście, bez sprzeciwu? – zapytał komisarz, gdy poczuł, że milczenie trwa zbyt długo.

– A jakże! Co było robić. Na początku każdy się złościł, a potem przywykał. Bywało, ktoś się im wyrwał, do domu pojechał, a jak wrócił, to sam przychodził, passport oddawał i o opiekę prosił. Trzeba im przyznać, że co obiecali, to dali: i pracę pomagali znaleźć, i jak ktoś w kłopoty wpadł, to pomagali, i przed bandytami chronili. Pieniądze brali, ale człowiek się bezpiecznie czuł, to i płacił.

– Może mi pani nazwiska tych ludzi podać?

– Nie wiem, nie znam – wyjąkała. – Ja tylko dwóch widziałam, jak przychodzili po pieniądze. Jednego wołali Witalik, a drugiego Wiedmid'. Nazwisk, jej Bogu, nie znam.

– Rozumiem. Nie szkodzi. W takim razie mam jeszcze tylko jedno pytanie. Ta pani, która ich przedstawiła. Jak się nazywała?

– Nu, nazwiska to ja też nie znam. Ja do niej mówiłam „pani Helena”. Miła pani była. Już dawno u niej nie pracuję. Niedawno słyszałam, że ona podobno nie żyje. Szkoda dobrego człowieka.

Zbieżności było zbyt wiele, by można je uznać za przypadek. Pucki czuł, że kolejne pytanie zadaje jedynie dla porządku, po to, by odpowiedź mogła znaleźć się w protokole.

– Adres tej Heleny pani pamięta?

Odpowiedziała nie od razu. Zmarszczyła czoło, zmrużyła oczy. Pucki uśmiechnął się nieznacznie. Ileż to razy w swej karierze widział podobne przedstawienia. Świadek ze wszystkich sił, całym sobą manifestuje, jak bardzo, ale to bardzo chętnie współpracuje. Jak się stara. Jak wysiła umysł. Jak robi wszystko, co w ludzkiej mocy. Wiedział, że nie ma co poganiać dziewczyny. Prędzej czy później powie, co chce powiedzieć.

– Jakoś tak w centrum, w blokach. Adresu dokładnie nie pamiętam. Jeśli pan chce, mogę sprawdzić.

Skinął głową. Oksana otworzyła torebkę. Długo grzebała w środku, mrużąc coś cicho pod nosem. Z przepaszającą miną wyjęła kilka drobiazgów i odłożyła je na stół.

– Mam! – zawołała z triumfem, wyciągając mocno sfatygowaną komórkę. Ze zręcznością niedostępną pokoleniu Puckiego, a tak charakterystyczną dla ludzi urodzonych w dobie powszechnego dostępu do internetu, zaczęła stukać w ekran. – O, jest! – oznajmiła po chwili z wyraźną satysfakcją. – „Pani Helena”, Parkowa 7, mieszkanie 14.

Robiło się coraz ciekawiej. Czyżby zbliżał się ten moment śledztwa, który komisarz lubił najbardziej? Chwila, gdy fakty, dotąd zupełnie ze sobą niepowiązane, zaczynały łączyć się w spójną całość. Poczłł znajomą ekscytację, przyptyw energii. Resztki zniechęcenia zniknęły jak ręką odjął.

– Wspaniale, bardzo mi pani pomogła – podsumował z uśmiechem. – Jeszcze tylko taki drobiazg. Ci ludzie, o których pani wspominała, Witalik i Wiedmid’. O ile dobrze zrozumiałem, niewiele pani o nich wie, ale widziała ich pani. Czy tak?

Przytaknęła niepewnie, lekko zaniepokojona. Czego mógł jeszcze chcieć? I tak powiedziała za dużo.

– Z mojej strony to już wszystko. Zaraz poproszę koleżankę, żeby zaprowadzała panią do pokoju technika. Sporządzicie portrety pamięciowe Witalika i Wiedmidia.

Pobladała. Skuliła się, głowę ukryła w ramionach, dłonie zacisnęła kurczowo na torebce.

– Ja nic nie pamiętam – bąknęła. – Widziałam ich krótko, przez chwilę. Zresztą mieli kaptury. I okulary. Poza tym ja zupełnie nie mam pamięci do twarzy! Własnej matki bym nie umiała opisać.

– Jeśli pani tak twierdzi, to pewnie tak jest, ale mimo wszystko spróbujemy. Czasem człowiek pamięta znacznie więcej, niż mu się wydaje. Najwyżej nic z tego nie wyjdzie – zakończył z rezygnacją. Nie ulegało wątpliwości, że nie ma sensu naciskać. Dziewczyna

nic już nie powie albo – co gorsza – naopowiada bzdur. Od początku wiedział, że prośba o pomoc przy ustaleniu rysopisu jest ryzykowna. Celowo zostawił ją na sam koniec. Jak się okazało, zrobił słusznie. Mimo wszystko postanowił spróbować jeszcze raz. Najwyżej nic więcej się nie dowie.

– Czy pani się czegoś boi? – rzucił niby to od niechcienia.

Strzelał w ciemno, bez większego przekonania. O dziwo, trafił. Znowu wybuchnęła płaczem. Znowu popłynęły słowa. Beładne, chaotyczne, lecz jakże wiele znaczące.

– Mówią, że to oni załatwili Kostię. On podobno wcale nie przed policją uciekał, tylko przed nimi. Bali się, że zacznie mówić. On wiedział, że go dopadną, to uciekł. I tak go znaleźli. Każdego znajdują, każdego dopadną. Teraz mnie też!

– Spokojnie, spokojnie. – Komisarz niezręcznie próbował dodać dziewczynie ducha. – Nikt pani nic nie robi. Tylko ja wiem, co pani zeznała. Nikt się nie dowie.

– Akurat! – Chlipnęła ani trochę nieprzekonana. Zgarnęła leżące na stole rzeczy do torebki, wstała i nie czekając na pozwolenie, wyszła z pokoju. Nawet nie wytarła mokrej od łez twarzy.

Pucki podskoczył, podbiegł do Oksany. Delikatnie, ale stanowczo chwycił ją za łokieć. Drugą ręką przywołał Monikę.

– Zaopiekuj się panią – polecił półgłosem. Najpierw idź do Gąski, niech zrobi portrety pamięciowe. Potem biegusiem do chłopaków z prewencji. Niech zaczną poszukiwania.

– Portrety? Znaczą kilka? – upewniła się.

– Tak dwa. Niejakich Witalika i Wiedmidia. Szczegóły potem ci wytłumaczę.

Skinęła głową

– Podkomisarz Więcka się panią zajmie – zwrócił się do dziewczyny. – Jest pani w dobrych rękach – dodał pokrzepiająco.

– Bardzo mi to pomoże, ja mnie tak jak Kostię rozjadą – zaszlochała, ale posłusznie podreptała za policjantką.

W pierwszym odruchu komisarz chciał zignorować słowa dziewczyny. Ot, kolejny przejaw hysterii. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent efekt uboczny plotek i niesprawdzonych pogłosek, być może nawet podsycanych przez „nich”, kimkolwiek owi tajemniczy „oni” byli. Najpewniej Błocki przez przypadek wpadł pod samochód, a „oni” skorzystali z okazji, rozpuścili legendę, tanim kosztem budząc strach i respekt wśród i tak już nieźle wystraszonych imigrantów.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent to jednak nie to samo, co sto. Trzeba będzie pogadać z tymi z wykroczeń w ruchu drogowym, skonstatował Pucki.

\*

Po przesłuchaniu Oksany Chomicz Pucki uznał, że należy mu się krótka przerwa. Planował posiedzieć kwadrans, może nieco dłużej, nad kubkiem herbaty i pomyśleć. Niestety chwila oddechu nie była mu dana. Ledwie za dziewczyną zamknęły się drzwi,

gdy rozległo się głośnie pukanie, niemalże walenie. To mogła być tylko jedna osoba – Kozielczuk.

– Proszę wejść – krzyknął. Zgodnie z przewidywaniami do gabinetu wkroczył różnym krokiem uśmiechnięty od ucha do ucha aspirant.

– Dzień dobry, szefie! – zawołał od progu. – Są wyniki z daktyloskopii.

Położył na biurku plastikową, przezroczystą koszulkę skrywającą plik zadrukowanych drobnym maczkiem kartek.

– Świetnie. Przeczytałeś? – warknął.

Kozielczuk nieco się zmieszał. Groźny ton przełożonego całkiem zbił go z tropu. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Przyznać się, że zaglądał do akt, czy iść w zaparte? Zasadniczo dokument nie był w żaden sposób zabezpieczony ani oznakowany. Gdyby ci z daktyloskopii chociaż włożyli go do papierowej koperty...

– No co tak stoisz jak słup soli? – zirytował się komisarz. – Referuj. Nie mam czasu przekopywać się przez te ich elaboraty. Trzy strony bełkotu i jeden akapit użytecznych informacji.

Na twarz aspiranta powrócił promienny uśmiech. Młody człowiek wyprostował się jak struna. Wyrzucał z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. Pucki ledwie mógł za nim nadążyć.

– W domku w Zawodziu zidentyfikowano jednoznacznie odciski palców obu zaginionych kobiet. Ślady są wyraźne, można więc założyć, że zarówno Joanna Tańska, jak i Barbara Brodzka przebywały tam w ostatnim czasie. Przy czym odciski Tańskiej znaleziono tylko na parterze: w kuchni i w saloniku, a odciski Brodzkiej także w jednej z sypialni na górze. Zidentyfikowano też odciski Marianny Pol. Odcisków Rafała Malewskiego nie stwierdzono. Nie stwierdzono również odcisków Konstantina Błockiego. Aha, w raporcie jest mowa o jeszcze co najmniej dwóch osobach. Ślady są świeże. Technicy twierdzą, że musiały być pozostawione mniej więcej w tym samym czasie, co odciski Tańskiej i Brodzkiej. Tożsamości osób nie udało się ustalić.

– Ciekawe – mruknął Pucki.

– To jeszcze nie wszystko – kontynuował Kozielczuk. – Tak jak pan kazał, sprawdzono odciski z Parkowej. Ślady zebrane po włamaniu niewiele wnoszą, ale jest ciekawostka. Chłopaki z daktyloskopii wygrzebali z archiwum materiał zebrany po morderstwie Rubiszewskiej. Wśród śladów, których wtedy nie udało się zidentyfikować, są z pewnością odciski Malewskiego. I to wyraźne. Technicy twierdzą, że musiały być świeże. Malewski był w mieszkaniu denatki albo w dniu jej śmierci, albo niewiele wcześniej.

– A to drań! – wyrwało się Puckiemu mimo woli. – Twierdzi, że nie widział się z zamordowaną od kilku tygodni. Już ja go przycisnę! – syknął z satysfakcją.

Przyciskanie Rafała Malewskiego musiało jednak poczekać, bo Kozielczuk ani myślał wychodzić. Stał z zadowoloną miną, wbijając wyczekujące spojrzenie w przełożonego.

– Coś jeszcze? – Komisarz pojął, że nie wygra.

– Marchwiński – padła lakoniczna odpowiedź.

– Co Marchwiński? – Brwi Puckiego powędrowały w górę w pełnym szczeremu zdumienia geście.

– Miałem się zająć Marchwińskim. Tak pan powiedział na odprawie.

– I? – Poczł falę narastającej irytacji. Dlaczego ze wszystkich, nawet ze współpracowników, każde słowo trzeba wyciskać siłą?

– Pogrzebałem tu i ówdzie. Wychodzi na to, że Marchwiński ma niepodważalne alibi.

Znowu zamilkł. Komisarz poczuł, że zaraz puszcza mu nerwy.

– Gadajże, do diabła! Mam cię o każde zdanie prosić! – wybuchnął.

O dziwo, aspirant wcale nie wyglądał na speszonego. Wręcz przeciwnie, można było odnieść wrażenie, że jest zadowolony. Zaczerpnął głęboko tchu, uśmiechnął się jeszcze szerzej, uderzył dłońmi o uda niczym robotnik przystępujący do ciężkiej pracy.

– Nie bardzo wiedziałem, od czego zacząć. Potem wpadłem na pomysł, żeby zacząć od wyjazdu do Stanów. I wie pan, co znalazłem? Leciał z Gdańska. Pomyślałem, że to bez sensu. Dlaczego akurat z Gdańska? Zrozumiałbym z Krakowa, bo to od nas najbliżej. Zrozumiałbym z Warszawy, bo bez przesiadek. Ale z Gdańska? Sam pan musi przyznać, że to dziwne. Sprawdziłem, gdzie mieszka rodzina. Kombinowałem, że może przed emigracją chciał się zobaczyć z krewnymi. Pudło – rodzice nie żyją, a siostra mieszka w naszym mieście. Nijak mi to do Gdańska nie chciało pasować. Jedyna korzyść z tych moich poszukiwań była taka, że ustaliłem adres siostry. Ona się teraz, po mężu, nazywa Nowak. Ewelina Nowak. Była bardzo pomocna. Okazało się, że Marchwiński brał udział w konferencji naukowej na Wybrzeżu. Wykład zakontraktował już dawno, nie bardzo miał jak odwołać. Podobno początkowo próbował się wykręcić, ale potem zmienił zdanie, bo raz, że musiałyby zwrócić pieniądze i do tego zapłacić karę, a dwa, cała ta impreza jest podobno bardzo prestiżowa. Ostatecznie uznał, że wystąpi, a zamiast jeździć w tę i nazad, odpocznie kilka dni nad morzem i stamtąd poleci do Nowego Jorku. Dokładnie w dniu morderstwa był sześćset kilometrów stąd. Murowane alibi!

– Faktycznie.– Pucki zamyślił się. – Może pojechał na konferencję, wygłosił referat, wrócił, zamordował Rubiszewską i z powrotem pojechał nad morze, żeby sobie zapewnić alibi. Plan męczący, ale niegłupi – dodał nieprzekonany.

– Sprawdziłem wszystko dokładnie. – Twarz Kozielczuka promieniała dumą. – Nie było takiej możliwości. Marchwiński wygłaszał swój referat dokładnie w dniu śmierci Rubiszewskiej. Potwierdził to jeden z uczestników, niejaki Maciej Topko, asystent w naszym Kurniku. Zapamiętał, bo wystąpienie Marchwińskiego przeciągnęło się ponad pół godziny, tyle było pytań z sali. Podobno potem jeszcze przez całą przerwę tłum go oblegał, a co najważniejsze, tego samego dnia, wieczorem, był bankiet, na którym



Marchwiński z pewnością był. Topko nie tylko to potwierdził, ale jeszcze pokazał mi kilka zdjęć, na których widać doktora. Nie ma opcji, żeby w tym samym czasie gość był tutaj.

– Dla pewności można by przesłuchać jeszcze kogoś z organizatorów albo uczestników konferencji, ale to chyba nie będzie konieczne. Zresztą nie sądzę, żeby stary wysupłał środki na delegację do Gdańska – podsumował Pucki. – Dobra robota!

Komisarz odprawił aspiranta. Przez chwilę analizował to, co usłyszał. Przez głowę przemknęła mu nieoczekiwana myśl: a co, jeśli Marchwiński wynajął zabójcę i celowo zlecił morderstwo na dzień, gdy miał żelazne alibi? Pokręcił głową. Nie, to zbyt fantastyczne! Wyjął notatnik. Dłoń z długopisem zawisała nad kartką. Krótkie wahanie i szybka decyzja – jednego podejrzanego można było skreślić z listy.

Podniósł wzrok. Uśmiechnął się do swego odbicia w szybie.

– Gratuluję, panie komisarzu – szepnął. – Sukces niewielki, ale zawsze coś.

## ROZDZIAŁ 26

Jak to się stało, że po tylu latach pracy w policji Pucki nie miał znajomych w Wydziale do Spraw Wykroczeń i Przestępstw w Ruch Drogowym? Ani jednego! Na żadnym szczeblu! Doprawdy, niepojęte. Sam nie mógł w to uwierzyć. Przetrzęsał notatki, próbował wygrzebać jakieś wspomnienia z najgłębszych zakamarków pamięci, wszystko na próżno. W końcu musiał pogodzić się z klęską i mieć nadzieję, że sprawa pójdzie gładko nawet bez korzystania ze znajomości. Modląc się w duchu, by wystarczyła zawodowa solidarność, stał w poczekalni, kombinując jakąś przyjącą taktykę. Oczywiście mógłby wszystko załatwić zgodnie z regulaminem i czekać, aż szefowie skończą przerzucać się papierami. Mógłby, gdyby miał dość cierpliwości. Ale nie miał. Na samą myśl o tym, że morderca Heleny Rubiszewskiej spaceruje sobie spokojnie po ulicach, podczas gdy policja bawi się w biurokrację, zbierało mu się na mdłości. Poza tym spróbować zawsze warto. Jeśli spuszczą go na drzewo, zawsze będzie mógł skorzystać z drogi oficjalnej.

Podszedł do drzwi opatrzonej tabliczką „Sekretariat”. Były uchylone. Nieśmiało zajrzał do środka. Z radości aż na chwilę stracił oddech.

– Krysienka! – zawołał wesoło i nie bacząc na maniery, bez dalszych ceregieli wparował do środka.

– Mietek? – odskrzyknęła siedząca za biurkiem, elegancka pani. Idealnie czarne włosy – zbyt czarne jak na osobę, której wiek zdradzały liczne zmarszczki – upięte miała w misterny, gigantyczny kok. Mocno wytuszowane rzęsy, gruba warstwa różu na kościach policzkowych, mocna szminka i równie wściekle niebieski cień do powiek, zdradzały, że kobieta wierna jest estetyce kiczowatych lat osiemdziesiątych. – Oczom własnym nie wierzę? Co za wiatry zagnały do nas gwiazdę kryminalnych?

– Jaką tam gwiazdę – roześmiał się. – Chyba spadającą. Dożywam swoich dni do emerytury. A co ty tu robisz?

– To samo. – Uśmiechnęła się, ale jakoś tak smutno. – Czekam na emeryturę. Mnie się mundurowa nie należy. Jeszcze kupę lat muszę tyrać.

– Musisz tyrać, bo młoda laska jesteś.

Zachichotała jak dziecko. Przez moment Puckiemu wydawało się, że znowu widzi młodą Kysię, dziewczynę kumpla z podwórka. To była tylko chwila, krótka i ulotna. Trwała nie dłużej niż mgnienie oka. Nie zdążył się nią nacieszyć, a już oprzytomniał, wrócił do rzeczywistości. Kumpel nie żył od dobrych kilku lat, pokonany przez trzeci zawał, a zamiast Krysi za biurkiem siedziała pani Krystyna, matka dzieciom i stateczna wdowa.

– Zawsze był z ciebie podrywacz, Mieciu. Nic się nie zmieniłeś. No dobrze – westchnęła ciężko – my tu gadu-gadu, a ty pewnie masz sprawę. O co chodzi? Dawaj!

– Jak zwykle domyślna. – Komisarz uznał, że warto jeszcze trochę polukrować. – Ja tu do was po prośbie. Chciałbym porozmawiać z oficerem prowadzącym sprawę wypadku, w którym poszkodowany został niejaki Konstantin Błocki. Da się załatwić?

– Co ma się nie dać – prychnęła. – Niech pomyślę. To było na Poprzecznej, koło pubu „U Molly”?

Pokiwał z uznaniem głową. Nieważne, Krysia czy pani Krystyna, nic się przed nią nie ukryje.

– To prowadzi taki młodziak, Porzecki. Dopiero co podkomisarza dostał. Bardzo się stara. Trochę służbista, ale już ja mu wytłumaczę co i jak. Chodźmy. Zaprowadzę cię.

Pani Krysia szła dziarskim, równym krokiem. W wąskim, ciemnym korytarzu pachnącym pastą do podłogi, kurzem i czymś bliżej nieokreślonym, stukot jej obcasów niósł się niczym artyleryjska kanonada.

Weszli do sporego, widnego pokoju. Wnętrze, choć przestronne i nowoczesne, urządzone było chaotycznie, bez żadnej myśli przewodniej. Zarówno meble, jak i sprzęt wymieniano stopniowo. Biurko, krzesła i regały, każde „z innej parafii”, były stosunkowo nowe, funkcjonalne i wygodne, ale tworzyły niezwykle eklektyczną mieszalinę. Podobnie rzecz się miała z resztą wyposażenia. Nawet najbystrzejszy obserwator nie znalazłby dwóch takich samych lampek, monitorów czy chociażby myszek. Rozstawione wszędzie rachityczne kwiaty, każdy – a jakże! – w innej doniczce, zamiast dodać wnętrzu przytulności, jedynie podkreślały wrażenie bezładu.

Widok wkraczającej pani Krysi zelektryzował pracujących przy biurkach policjantów bardziej, niż gdyby nagle pojawił się sam komendant główny. Stukanie w klawiaturę urwało się jak na komendę, ucichły rozmowy, za to ze wszystkich stron dobiegły słowa powitania. Co gorliwsi dżentelmeni poderwali się z krzeseł. Ktoś zaproponował herbatę. Pani Krystyna przyjmowała te hołdy z godnością udzielnej księżnej, niczym coś zupełnie oczywistego. Grzecznie, choć stanowczo, odmówiła herbaty, nie skorzystała też ze wskazanego usłużnie krzesła.

– Ja tylko na chwilę. Przyprowadziłam gościa.

Podeszła do stojącego pod oknem, zavalonego stertą papierów biurka.

– Przyprowadziłam panu gościa, komisarzu – zwróciła się do rudego, lekko łysiejącego mężczyzny. – Komisarz Mieczysław Pucki z kryminalnego. – Wskazała swego towarzysza.

Młody oficer poderwał się, jakby miał w środku sprężynę.

– Podkomisarz Jan Porzecki – przedstawił się nieco za głośno.

– Mieczysław Pucki, komisarz.

Obaj niemal równocześnie wyciągnęli ręce na powitanie.

– To ja już was zostawię samych. Nie przeszkadzam dłużej – zakomunikowała pani Krysia i nie czekając na reakcję, odwróciła się na pięcie.

– Proszę siadać. – Porzecki podsunął komisarzowi jedyne wolne krzesło. Sam usiadł na parapecie. – W czym mogę pomóc?

– Chodzi o sprawę potrącenia Ukraińca, Konstantina Błockiego. Wiele wskazuje na to, że jest powiązana z prowadzonym przeze mnie śledztwem. Szukam informacji.

Mężczyzna zasępił się.

– No nie wiem, żeby pokazać akta, powinienem mieć jakiś papier albo chociaż ustną zgodę szefa. Z całym szacunkiem, ogromnie poważam i lubię panią Krysie, ale mimo wszystko są procedury, przepisy, regulamin.

– Rozumiem, rozumiem.– Pucki nie pozwolił mu dokończyć. – Nie zamierzam ci grzebać w papierach. Chciałbym tylko usłyszeć twoje zdanie.

Z premedytacją przeszedł na „ty”. Liczył na to, że podkreślając więź zawodową, łatwiej wywrze presję na młodszym koledze.

–Pfff... – fuknął Porzecki. – O czym tu gadać? Facet się zagapił, wlaź pod samochód, i tyle. Kierowca nie miał szans zahamować.

– A może nie chciał?

– Nie rozumiem. Jak to nie chciał? – Uniósł pytająco brwi.

– Pojawiły się podejrzenia, że pewni ludzie chętnie by się Błockiego pozbyli. Sprawdzam ten trop.

– Na moje oko możesz sobie odpuścić. Wszystko wskazuje na wypadek. Mam zeznania trzech niezależnych świadków. Dowody zebrane na miejscu zdarzenia, no wiesz, ślady hamowania, uszkodzenia na pojeździe i tak dalej, w stu procentach potwierdzają ich wersje. Kierowca trzeźwy jak niemowlę. Dziewucha świeżo po egzaminie, zestresowana jak diabli. Ktoś bardziej doświadczony może by sobie poradził, skręcił, odbił w bok, zatrąbił, jakoś by kombinował. A ona zbaraniała. Hamulec w podłogę, i tyle. A samochód przecież swoją masę ma. Zanim stanął, stuknęła gościa. Takie są prawa fizyki. Chyba masz trochę zboczenia zawodowego. Po latach w kryminalnej wszędzie widzisz morderstwa, jak, nieprzymierzając, nasza prokuratura kochana. Czasem wypadek to tylko wypadek.

– Pewnie masz rację, ale musiałem sprawdzić. Chociażby dla spokoju sumienia.

Porzecki pokiwał ze zrozumieniem. Chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu dzwonek telefonu. Gestem ręki poprosił Puckiego, by zaczekał, a sam odszedł w drugi koniec sali. Odwrócił się plecami, do tego mówił tak cicho, że rzucanych półgłosem, zdawkowych zdań nie dało się zrozumieć. Zresztą i tak głównie słuchał. Rozmowa nie trwała długo. Wrócił po trzech, może czterech minutach z bardzo dziwnym wyrazem twarzy. Spojrzał dziwnie na komisarza.

– Wiedziałeś? – zapytał.

– Czy co wiedziałem?

- Zmienili kwalifikację. Błocki nie żyje. Teraz to nieumyślne spowodowanie śmierci.
  - Albo i umyślne. – Nie wytrzymał Pucki.
  - Ten ciągle swoje. *Anyway*, trzeba pogadać z kierowcą. Jak chcesz, możesz się ze mną zabrać.
- Chciał.

\*

Drzwi otwarła chuda, zaniedbana dziewczyna. Niziutka, szczupła, wyglądała na co najwyżej piętnaście lat. Rzadkie, cienkie włosy, w nieciekawym mysim kolorze, ściągnęła gumką w koński ogon. Porozciągany podkoszulek zdecydowanie domagał się prania, podobnie jak poplamione spodnie. Podkrążone oczy, ziemista cera i drżące dłonie bardziej pasowałyby do emerytki niż do młodej dziewczyny.

– A, to pan? – mruknęła zrezygnowana na widok Porzeckiego. – O co chodzi, przecież już wszystko powiedziałam.

– Możemy wejść? – Zignorował pytanie.

– Proszę – odparła bez entuzjazmu, otwierając szerzej drzwi.

Wąskim przedpokojem poprowadziła ich od niewielkiego, zadziwiająco schludnego, choć nieco ascetycznie urządzonego pokoju. Białe, matowe meble, białe ściany nieozdobione ani jednym obrazem, ukryte w suficie halogeny, okna bez zasłon czy firanek, proste krzesła bez obić, gołe panele podłogowe, wszystko to sprawiało dość przygnębiające wrażenie. Panujący wokół ład i porządek dziwnie kontrastował z niechlujnym wyglądem gospodni. Przytulnie niczym w prosektorium – pomyślał Pucki.

– Usiądźmy – zaproponował Porzecki, jakby to on był panem domu.

Dziewczyna bez słowa sprzeciwu spełniła polecenie. Obaj mężczyźni poszli w jej ślady.

– Dowiem się w końcu, o co chodzi czy nie? – burknęła zirytowana.

– Nie mam dobrych wiadomości – odparł Porzecki z grobową miną. – Dziś rano zmarł Konstantin Błocki.

– O mój Boże! – krzyknęła. Ukryła twarz w dłoniach. Wstała i cały czas pocierając oczy i policzki, zaczęła krążyć po pokoju. – Nie wierzę, to nie może być prawda, nie wierzę... – powtarzała jak nakręcona – Co ja mam teraz zrobić? Co mam zrobić? – zawodziła płaczliwie. – I po co tak się uparłam na to prawo jazdy? Sześć razy mnie oblali. Sześć razy! Trzeba było odpuścić. Bywa, że los człowieka ostrzega. Dlaczego nie posłucham! Dlaczego?

– Wiem, że to dla pani niełatwe, ale czy mogłaby pani opowiedzieć koledze przebieg wypadków? – Porzecki brutalnie przerwał niekończące się lamenty.

Zadziałało. Dziewczyna pociągnęła jeszcze ze dwa razy nosem. Usiadła.

– Jechałam powoli, naprawdę powoli. Bo nie wiem, czy pan wie – zwróciła się do Puckiego – ale jestem świeżym kierowcą. To był środek dnia, ruch niewielki. Zaczęłam się trochę rozluźniać, gdy nagle, ni z tego, ni z owego, ten mężczyzna wszedł mi prosto

pod koła. Zupełnie jakby mnie nie widział albo jakby specjalnie pchał się pod samochód. Zahamowała, ale było za późno. Odrzuciło go aż na środek jezdni. Dzięki Bogu, że nikt nie jechał z naprzeciwka.

Komisarz siedział jak na szpilkach. Wizyta tutaj okazała się jednym, wielkim nieporozumieniem i stratą czasu. Trzeba by na głowę upaść, by uwierzyć, że rozhisteryzowana panna z zimną krwią zabiła kogoś na zlecenie mafii. Porzecki miał rację, czasem wypadek jest tylko wypadkiem. Najchętniej wstałby, pożegnał się i wrócił na komendę.

Nieświadoma rozterek policjanta dziewczyna zawodziła dalej, powtarzając w kółko te same zdania.

– Już wiem wszystko, co potrzeba. Nie będę pani dłużej męczył – wtrącił Pucki, wykorzystując krótką przerwę, gdy dziewczyna zamilkła, by zaczerpnąć oddech.

\*

Dopiero na ulicy Pucki zorientował się, że nie ma jak wrócić. Porzecki, który go tutaj przywiózł, został w mieszkaniu. Stwierdził, że chce zadać dziewczynie jeszcze kilka pytań. Liczyć na to, że niedługo wyjdzie, nie miało sensu. Mógł przesiedzieć w mieszkaniu jeszcze z godzinę albo i dłużej, wysłuchując biadolonia i czekając, aż biedaczka weźmie się choć trochę w garść.

Komisarz popatrzył wokoło. W tej okolicy był po raz pierwszy. Nigdzie w pobliżu nie było widać przystanku. Zrezygnowany sięgnął po telefon. Odpalił Google Maps – jedną z nielicznych aplikacji na smartfona, którą uważał za użyteczną. Nie pomogło powiększanie i przesuwanie mapy. Znajdował się w komunikacyjnej czarnej dziurze. Do autobusu miał ponad dwa kilometry. Zaklął szpetnie, przyciągając karcące spojrzenie przechodzącej obok starszej pani z pokracczym kundlem. Przez moment walczył z pokusą wezwania taksówki. W końcu zwyciężył jednak zdrowy rozsądek – do końca miesiąca było jeszcze daleko, a on już i tak zdążył zrobić debet na koncie. Rad nierad ruszył z buta.

Był wściekły. Zmarnował praktycznie cały dzień, a nie posunął śledztwa nawet o krok do przodu.

Poczuł wibracje w kieszeni. No tak, przecież wyłączył dzwonek! Wyjął komórkę. Dzwoniła Monika. Czego, u licha, mogła od niego chcieć? O tej porze powinna zbierać się do domu, a nie dręczyć ludzi telefonami. To musiało być coś ważnego.

– Komisarz Pucki, co się dzieje? – spytał zaintrygowany.

– Znaleźli samochód Tańskiej.

– Gdzie?

– Jakies dziesięć kilometrów za Dulębami. W lesie, na bocznej drodze. Podobno wygląda to na kiepsko sfingowany wypadek.

– Czy to znaczy, że...

– Nie, nie. – Nie pozwoliła mu dokończyć. – Ani Tańskiej, ani Brodzkiej w aucie nie było.

– Gdzie jesteś?

– Na komendzie. Sama dopiero co się dowiedziałam.

– Jasne. Zadzwoń do miejscowych, żeby na nas poczekali. Potem wskakuj w samochód. Po drodze zabierzesz mnie z Jaśminowej.

– Po drodze! Przecież to na drugim końcu miasta. Co pan tam robi, szefie?

– Masz jeszcze jakieś pytania? – Bardzo się starał, by odpowiedź zabrzmiała żartobliwie. Nie bardzo mu wyszło. Właściwie nie wyszło wcale.

– Już jadę – odpowiedziała nieco obrażona Więcka. Bez pożegnania zakończyła rozmowę.

\*

Nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Trzy razy przemierzył Jaśminową w tę i nazad, obejrzał wszystkie parkujące przy ulicy samochody, choć właściwie nie było na czym oka zawiesić, bo w okolicy królowały cztero- i pięcioletnie ople, toyoty i fordys w wariantach z najniższej półki.

Samochód Więckiej wypatrzył z daleka. Jechała powoli, rozglądając się dookoła. Uniósł wysoko rękę. Pomachał. Zauważyła. Dodała gazu, podjechał i zahamowała fantazyjnie z piskiem opon.

– Niech pan szybko wsiada – zawołała. – Tu nie wolno parkować.

– To się wszystko nie trzyma kupy – zagaił, gdy skończył zapinać pas bezpieczeństwa.

– Kibitki pojechały do Zawodzia. To wiemy na pewno. A potem co? Wybrały się do Krakowa, utopiły w Wiśle komórki, wróciły, wybrały się gdzieś drogą na Dulęby, porzuciły samochód w środku lasu i ruszyły na pieszą wycieczkę? Taką bzdurę nawet przedszkolak by wyśmiał. O co w tym wszystkim chodzi?

– Moim zdaniem ktoś nie chce, żebyśmy je znaleźli. Wiedział, że postaramy się złapać zapis ze stacji bazowych. Dla zmyłki wywiózł telefony do Krakowa. Może nawet było ich dwóch. Jeden zajął się telefonami, a drugi wywiózł Tańską i Brodzką pod Dulęby.

– Idąc tym tokiem rozumowania, mogła to być nawet trójka: jeden wyrzucił telefony, drugi zajął się samochodem, a trzeci wywiózł kobiety w zupełnie innym kierunku.

– A co, jeśli one same to zaaranżowały?

– Same? Po co?

– Może chciały zniknąć? Może się czegoś albo kogoś bały? Może chciały zacząć nowe życie?

– Że niby tak obie jednocześnie?

– Nie jednocześnie, tylko razem.

Minęła chwila, nim Pucki zrozumiał, co miała na myśli.

– Przegięłaś. Rozumiem, że prawa LGBT są teraz na topie, ale to bzdura. Brodzka jeszcze jako tako pasuje, nie ma ani męża, ani nawet chłopaka, ale Tańska! Od blisko dwudziestu lat mężatka, od piętnastu – szczęśliwa matka. Wodę z mózgu ci ten Internet zrobił.

– Pfff– fuknęła. – A zauważył pan, szefie, jakiego sobie męża wybrała? Marynarza! Więcej go w domu nie ma, niż jest. Wielu gejów ma żony, a lesbijki – mężów, taki kamuflaż. Zmyłka. Epoka *coming outów* to ostatnich kilka lat. Przedtem ludzie się ukrywali.

Milczał jakiś czas, trawiąc to, co powiedziała. Nigdy nie odrzucał bez zastanowienia żadnej, nawet najbardziej fantastycznej hipotezy.

– Mimo wszystko nie – skonstatował po namyśle. – Młody nie pasuje. Lesbijka czy nie lesbijka, nie zostawiałby dzieciaka samego bez opieki. Gdyby już koniecznie miała uciekać z kochanką, wybrałaby czas, gdy mąż jest w domu między rejsami.

– Przecież nie zostawiła go samego. Był na wycieczce. Pewnie myślała, że szkoła zapewni mu opiekę – upierała się, jednak ze znacznie mniejszym przekonaniem.

– Nie, nie kupuję tej historii. Gdyby nie chłopak, mógłbym rozważyć taki wariant, ale porzucenie dziecka... Nie. To mi zupełnie nie pasuje.

– Zobaczmy – mruknęła obrażona. Wcisnęła gaz tak, że Puckiego aż wbiło w fotel.

Skręcili w gruntową, leśną drogę, wąską tak, że nawet dwie osobówki nie byłyby w stanie bezpiecznie się minąć.

– Daleko jeszcze? – zapytał nie tyle z ciekawości, co raczej by przerwać niezręczne milczenie.

– Jesteśmy prawie na miejscu – odparła wciąż naburmuszona.

Jakby na potwierdzenie jej słów, zza zakrętu wyłoniła się postać policjanta. Kilka metrów za nim stał radiowóz. W oddali widać było krzątające się sylwetki techników.

Funkcjonariusz wyszedł na środek drogi. Zdecydowanym gestem nakazał, by się zatrzymali.

Monika zahamowała. Otworzyła okno.

– Podkomisarz Więcka – przedstawiła się. Z zawieszzonego na szyi, skórzanego etui wyciągnęła legitymację. Policjant dość długo lustrował dokument. Podejrzliwe łypał spod oka to na Monikę, to na Puckiego. Komisarz pośpieszył koleżance z pomocą.

– Komisarz Pucki. Mieczysław Pucki – oznajmił głośno i dobitnie. Wyjął swoją legitymację i nie zważając na to, że szoruje rękawem po twarzy Moniki, wystawił dłoń na zewnątrz, podtykając identyfikator niemal pod nos mężczyzny. Ostatecznie udało się pokonać nieufność lokalnego stróża prawa.

– Starszy posterunkowy Jan Owczyński – przedstawił się. – Wybaczcie, ale szef kazał mi uważać na gapiów i pismaków. Ostatnio taki jeden wlaź z podrobioną legitymacją na miejsce przestępstwa. Co potem w gazecie nawypisywał! Straszny smród się z tego zrobił.



– Rozumiem. – Pucki ze zrozumieniem pokiwał głową. – Kto się gorącym sparzy, ten na zimne dmucha – dodał sentencjonalnie.

– Możemy już jechać? – wtrąciła niecierpliwie Więcka.

– Nie radziłbym. Tam dalej jest sam piach, do tego koleiny. Inaczej niż ciągnikiem trudno przejechać. Zresztą i tak nie wyminiecie radiowozu.

– No dobra. Idziemy! Wsiadka! – Pucki uznał dalszą dyskusję za stratę czasu.

Na szczęście do przejścia mieli nie więcej niż dwieście metrów. Już po chwili dotarli na miejsce. W przydrożnym rowie leżała przechylona na bok biała toyota yaris. Z głębokiego wykopu ledwie wystawały koła. Całą resztę skrywały gęste chwasty wyrastające wysoko ponad poziom drogi.

– To na pewno ten? – zagadnął Pucki.

Stojący obok rozbitego auta mężczyzna bez słowa odsunął zarośla, ukazując nienaruszoną tablicę rejestracyjną.

– Dawno tu leży? – Monika spojrzała na Owczyńskiego.

– A kto to wie? – Wzruszył ramionami. – Może kilka godzin, a może i kilka dni. Tędy rzadko ktoś jeździ. Poza tym auto leży tak, że z drogi kiepsko je widać. Jeśli ktoś przejeżdżał w nocy albo o zmroku, mógł nie zauważyć. Mieliśmy sporo szczęścia. Trafili się jacyś zbłąkani turyści. Według GPS-a jechali. – Policjant zachichotał. – Inaczej nigdy by tu nie skręcili. Zauważyli samochód w rowie. Zawiadomili policję. W sumie to mieliśmy szczęście. Jakby pierwsze dotarły tu dzieciaki, albo, co nie daj Boże, miejscowi, raczej by sobie nie zawracali głowy dzwonieniem. Rozkradliby wszystko do ostatniej śrubki.

– Ci turyści gdzie są? Chciałbym z nimi porozmawiać.

– Pojechali na posterunek w Dulębach.

– Niech ich tam przytrzymają. Podjedziemy z nimi pogadać, jak tylko skończymy z oględzinami tu, na miejscu.

– Wasiak! – Owczyński przywołał wysokiego, tyczkowatego chłopaka. – Słyszałeś, co pan komisarz powiedział? Zadzwoń do Dulębów, niech nie puszczają świadka.

– Się robi! Tylko zasięg złapię – odkrzyknął i zniknął.

Monika wyjęła z torby pudełko cienkich rękawiczek. Jedną parę podała Puckiemu, drugą założyła sama. Podeszli do wraku. Pucki otworzył drzwi.

– Przytrzymaj – poprosił Monikę. Zajrzał do środka. Wewnątrz nie był żadnych widocznych śladów wypadku: ani plam krwi, chociażby najmniejszych, ani otwartych poduszek powietrznych. Wszystkie szyby pozostały nienaruszone.

– Zabezpieczyliście ślady? Odciski opon? Cokolwiek?

– Jakie tam ślady. W nocy padało, a tu sam piach. A to, co zostało, zajeździli i zdeptali ci turyści, co to samochód wypatrzyli. Wezwaliśmy techników z wojewódzkiej, bo może w środku auta coś znajdują, ale jeszcze nie przyjechali.

– A ta droga dokąd prowadzi?

– Po prawdzie, to donikąd. Tak z półtora kilometra stąd była kiedyś leśniczówka. Będzie dobre dziesięć lat, jak nikt już tam nie mieszka. Została rudera. Tam się droga urywa. Służby leśne ją utrzymują, ale po co, tonie wiem.

Pucki cofnął się kilka kroków. Powiódł wzrokiem dookoła. Las jak las. Same sosny, jedna obok drugiej, równe, proste, wysokie. Jak nic nasadzenie użytkowe. Żadnych krzaków, żadnych paproci, tylko trochę mchu i niewysokiej trawy. Czego mogły tutaj szukać dwie zaginione kobiety? Odpowiedź była oczywista. Niczego. Jeśli nawet początkowo miał jakieś wątpliwości, to teraz rozwiały się one ostatecznie. O wypadku nie mogło być mowy. To był jeden, wielki, nieudolny przekręt.

– Jak rozumiem, pasażerów z rozbitego samochodu nie znaleźliście?

Owczyński przecząco pokręcił głową.

– Poprosiliście o psy? Może coś wytropią?

– Nawet nie próbowałem. Może jak pan komisarz zażąda, to przyślą. Mnie by tylko wyśmiali. Chociaż, po prawdzie, to wątpię, żeby pies trop w lesie znalazł. Za dużo tu zapachów. Gdyby ślad był świeży, to może. No, ale co ja tam wiem. Pan komisarz robi, jak uważa.

Pucki w duchu przyznał mu rację. Od zaginięcia Tańskiej i Brodzkiej minęło już kilka dni. Jeśli nawet były w rozbitym samochodzie, w co szczerze wątpił, to na pewno nie siedziały w nim przez blisko tydzień. Wzywanie psa tropiącego rzeczywiście nie miało sensu.

– Racja – przytaknął niechętnie. Stał jeszcze chwilę, milcząc.

– Co miałem zobaczyć, to zobaczyłem, a ty? – zwrócił się do Moniki.

– Ja chyba też. – W jej głosie zabrakło jednak zwykłej pewności siebie.

– Cóż, w takim razie zbieramy się. Jedziemy do Dulębów – zarządził.

\*

Para oczekująca na posterunku w Dulębach zdążyła już gorzko pożałować humanitarnego odruchu. Dziewczyna siedziała z wargami zaciśniętymi tak mocno, że aż jej wargi zbieleły. Rozparty na krześle obok, nieco starszy chłopak, rytmicznie uderzał czubkiem buta w ścianę. Oboje zabijali czas, zawzięcie wodząc palcami po ekranach telefonów komórkowych.

– Dzień dobry! – przywitał się uprzejmie Pucki.

– Dla kogo dobry, dla tego dobry – burknęła dziewczyna.

– Siedzimy tu już piątą godzinę – dodał mężczyzna, nie starając się nawet zniżyć głosu.

– Jak mi jeszcze kiedyś przyjdzie do głowy zgłosić coś na policję, to sam siebie w dupę kopnę.

Komisarz dyplomatycznie udał, że nie słyszy. Jak gdyby nigdy nic zaczął przesłuchanie.

– Poproszę o państwa personalia. Może najpierw pani?

– Ewelina Lasocka. Dwa razy już mówiłam. – Nie próbowała nawet silić się na uprzejmość.

– Teraz pan – kontynuował Pucki z kamienną twarzą.

– Mariusz Ogródzki. Też już mówiłam pańskim kolegom.

Ech, gdyby to były stare, dobre lata dziewięćdziesiąte, usadziłby smarkaczy, pokazał, gdzie ich miejsce i kto tu rządzi. Niestety, w XXI wieku ze świadkiem trzeba było obchodzić się niczym ze zgniłym jajkiem.

– Przejdźmy w takim razie do rzeczy. Postaram się jak najszybciej państwa wypuścić i nie marnować więcej czasu. Proszę mi opowiedzieć przebieg wydarzeń. Zaczniemy może od tego, dlaczego zjechali państwo z głównej drogi?

– Jeju, jakie to ma znaczenie? – jęknęła dziewczyna.

– Wszystko ma znaczenie. – Zbył pytanie wyświechtanym komunałem.

– Jak pan naprawdę musi wiedzieć, to dobrze. – Głos Lasockiej nie wróżył nic dobrego. – Musiałam na stronę. Kupę mi się zachciało.– Słowo „kupę” niemalże wykrzyczała. – Zadowolony? Las przy drodze jest rzadki, więc zjechaliśmy na bok, żebym gołą dupą nie świeciła. Jak pan nie wierzy, to możemy pojechać do lasu i pokazać, za którym drzewem leży gównno. – Im dłużej mówiła, tym bardziej się nakręcała. Twarz jej spurpurowiała, w oczach błyskały iskierki wściekłości, dłonie mimowolnie zacisnęła w pięści.

– Kochanie, uspokój się. – Mężczyzna położył rękę na ramieniu wściekłej dziewczyny.

– Sam się uspokój – burknęła, ale nic więcej nie powiedziała.

– Rozumiem.– Pucki był wręcz personifikacją profesjonalizmu. – Zjechaliście w boczną drogę i co dalej?

– To może ja opowiem. – Ogródzki nie dał dojść do słowa swej partnerce. – Jechaliśmy do Wykrzyków, do mojej chrestnej z zaproszeniem na ślub. Trochę się pogubiłem, bo nie byłem tu od dzieciństwa. Może bym nawet i nie zjechał, bo już byliśmy niedaleko, ale Ewelina nalegała. Narzekwała, że kręcimy się w kółko już z pół godziny i nie wiadomo, ile nam to jeszcze zajmie. Uznałem, że w sumie ma rację. Tym bardziej, że sam też miałem ochotę ulżyć pęcherzowi. Zauważyłem tą boczną drogę, skręciłem, przejechałem kawałek, żeby się od szosy oddalić. Wróciliśmy do auta, ale tam, gdzie stanęliśmy było za wąsko, żeby zawracać. Nie bardzo miałem ochotę taki kawał na wstecznym pomykać, więc postanowiłem, że jeszcze kawałek podjadę. Poszukam jakiejś zawrotki. Ledwie ruszyliśmy, jak Ewelina zauważyła samochód w rowie. Od razu stanąłem, pobiegłem zobaczyć, czy mogę jakoś pomóc. W środku nikogo nie było. Nie wiedziałem, co robić. Potem sobie przypomniałem, jak w telewizji pokazywali ludzi w szoku, którzy godzinami krążyli po lesie. Ustaliliśmy, że Ewelina wezwie policję, a jak trochę rozejrzę się dookoła. Połaziłem po lesie, wołałem, krzyczałem, ale bez skutku. Potem przyjechał patrol. Powiedzieliśmy im, co i jak, a oni przywieźli nas tutaj.

– I jeszcze raz kazali opowiedzieć to samo. – Nie wytrzymała Lasocka. – A potem trzymali pół dnia tylko po to, żebyśmy trzeci raz powtórzyli to samo. Gdybym wiedziała, że to tylko pusty wrak, bez ludzi w środku, w życiu bym się nie zatrzymała.

– Kochanie, uspokój się, proszę. – Ogródzki po raz kolejny spróbował zmiękczyć rozwścieczoną dziewczynę. Pucki pomyślał, że w tym związku to chłopak jest tą stroną, której zależy bardziej. Jeśli dodać do tego choleryczne usposobienie dziewczyny, młodzieniec był na dobrej drodze do tego, by zostać klasycznym pantoflarzem. Chociaż, kto wie, może mu to odpowiadało?

– Czy chcą państwo jeszcze coś dodać?

Oboje pokręcili energicznie głowami.

– W takim razie dziękuję bardzo. Są państwo wolni.

– I wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia – dodała na pożegnanie milcząca dotąd Więcka.

## ROZDZIAŁ 27

Tym razem Pucki uznał, że zastosuje metodę agresywnego przesłuchania. Do tego najlepiej nadawała się komenda. Zrezygnował więc z kolejnej wyprawy do „Malhurtu”. Wysłał Malewskiemu oficjalne wezwanie. Choć wiedział, że to nieetyczne, z premedytacją wybrał ósmą rano. Niech sobie ptaszek postoi w korkach. Niewyspany i wkurzony będzie mniej skłonny do kombinowania, łatwiej popełni błąd.

Plan się powiódł. Malewski wpadł na komendę dwie po ósmej, zasapany, spocony i zdenerwowany.

– Dwadzieścia minut szukałem miejsca, żeby samochód postawić. Wszystko dookoła albo zapchane, albo zagrodzone. Nawet płatnego parkingu nie ma – oznajmił na powitanie.

– Bardzo mi przykro.– Pucki uśmiechnął się nieszczercze. – Zapraszam do mnie, do gabinetu. Niestety w pana zeznaniach znalazłem kilka drobnych nieścisłości. Musimy to wyjaśnić. Mam nadzieję, że nie potrwa to długo.

– Ja też na to liczę – odparł Malewski, jednak zupełnie bez przekonania.

– Proszę usiąść.– Pucki wskazał gościowi niewygodne, twarde krzesło. Sam podszedł do regału, zdjął z półki skoroszyt, długo i z powagą go wertował. Z namaszczeniem wyjął jedną kartkę, wygładził ją starannie. Przez chwilę mruczał coś niezrozumiale pod nosem, nie odrywając wzroku od drobnego druku. Marszczył przy tym czoło, mrużył oczy, przechylał głowę, jakby z trudem przypominał sobie jakieś odległe fakty. W rzeczywistości każdy ruch, każdy najdrobniejszy gest był fragmentem dobrze przemyślanego spektaklu, przedstawienia odgrywane przez jednego aktora dla jednego widza.

–Noooooo taaak– powiedział wreszcie, przeciągając samogłoski. – Pozwoli pan, że coś panu przeczytam.

*Pytanie: Kiedy ostatni raz widział pan Helenę Rubiszewską?*

*Odpowiedź: Jakiś tydzień przed jej śmiercią. Może trochę dłużej. Oboje byliśmy bardzo zajęci. Ona dostała pilne zlecenie, a ja... W mojej branży lato to czas żniw. Pracujemy po dziesięć, dwanaście godzin na dobę, a bywa, że i dłużej – czytał powoli, wyraźnie, bez intonacji, niczym automat.*

– To fragment pana zeznania, prawda?

Głos komisarza był na pozór spokojny, pozbawiony emocji, jednak gdzieś w tle dźwięczała trudna do przegapienia, groźna nutka.

Malewski milczał skonsternowany. Potarł twarz dłonią.

– Chyba tak – odparł w końcu.

– Chyba? – naciskał policjant.

- No coś takiego powiedziałem, ale czy dokładnie tak to sformułowałem, nie wiem. To było jakiś czas temu. Nie pamiętam tak co do słowa.
- Ale co do ogólnego sensu potwierdza pan?
- Tak.
- I nadal podtrzymuje pan to zeznanie?
- Tak, ale o co cho... – Malewski był wyraźnie zaniepokojony.
- Innymi słowy, utrzymuje pan, że ostatni raz widział pan Helenę Rubiszewską tydzień przed jej śmiercią. – Nie dał mu dokończyć Pucki.
- Tak. Przecież już powiedziałem.
- Bo widzi pan – z piersi komisarza wyrwało się pełne smutku westchnienie – mamy dowody na to, że było inaczej. Sądzymy, że był pan u denatki w dniu jej śmierci.
- Macie świadka? To niemożliwe. Musiał pomylić dni.
- O tydzień? Czy jak pan to ujął „może trochę dłużej”? – Tym razem pytanie wręcz ociekało ironią. O tym, że żadnego świadka nie było, postanowił nie wspominać.
- Malewski wstał. Kilka razy przemierzył gabinet od ściany do ściany. Usiadł. Ukrył twarz w dłoniach.
- Dobrze. Powiem – skapitulował. – Wasz świadek musiał się pomylić. Nie o tydzień, a o dzień. Byłem u Heleny wieczorem, w przeddzień jej śmierci.
- Dlaczego pan skłamał?
- Pomyślałem, że tak będzie lepiej. Nie chciałem być wpłątany w całą tę historię. Wystraszyłem się.
- Naprawdę sądził pan, że się nie dowiemy?
- Sam nie wiem. To był odruch. Palnąłem bez zastanowienia. Teraz widzę, jakie to było głupie.
- Pokłóciliście się?
- Nie, skądże! – wykrzyknął. – Zresztą byłem u niej dość krótko. Z pół godziny, nie dłużej. Wpadłem po drodze z pracy, wypiliśmy herbatę, pogadaliśmy o zupełnych bzdurach i tyle. Niczym stare, mocno już sobą znudzone małżeństwo. Miałem mało czasu, ona też. Naprawdę byliśmy oboje bardzo zapracowani – dodał już spokojniejszym głosem.
- Rozumiem.– Pucki znowu wbił wzrok w kartkę z zeznaniem. – Jedno jeszcze nie jest dla mnie jasne.
- Malewski nerwowo poruszył się na krześle.
- Powiedział pan, że był u pani Rubiszewskiej dzień przed jej śmiercią. Skąd pan wie, kiedy została zamordowana.
- Z tabliczki na trumnie – prychnął. – A niby skąd miałbym wiedzieć?
- Bo widzi pan, data na tabliczce jest przybliżona. Tak naprawdę, to data znalezienia zwłok, a nie data śmierci.

– Dobrze. W takim razie zmieniam zeznanie. Ostatni raz widziałem Helenę Rubiszewską dzień przed datą znalezienia zwłok. Zadowolony pan teraz?

Pucki zaklął w duchu. Tym razem blef się nie udał. Mimo wszystko warto było spróbować. Żeby trafić, trzeba strzelać, nawet jeśli czasem człowiek spudłuje.

\*

Gdy po dopełnieniu wszystkich formalności Malewski opuścił komendę, pozostawił Puckiego w stanie głębokiej rozterki. Komisarz to gotów był uwierzyć w zeznania mężczyzny, to wręcz odwrotnie – skłaniał się, by złożone wyjaśnienia uznać za jedno wielkie łgarstwo. Wiadomo, trudno zaufać słowom kogoś raz przyłapanego na kłamstwie. Jednak nie to było najważniejsze. Istotą dylematu były same zeznania. Zbyt gładkie. Człowiek przyłapany na kłamstwie zazwyczaj jest mniej lub bardziej zmieszany, wyrzuca z siebie jakieś naprędce sklecone usprawiedliwienia albo w ogóle milczy. Tym razem było inaczej. Przesłuchiwany od razu przedstawił zupełnie nową wersję wydarzeń. Spójną i logiczną. Jakby zawczasu ją sobie przygotował na wypadek, jeśliby jednak kłamstwo wyszło na jaw. Takie wyjście awaryjne. Paradoksalnie, gdyby gubił się w zeznaniach, szukał usprawiedliwień, naciągał fakty, byłby w oczach komisarza bardziej wiarygodny. A może przesadzał, może niepotrzebnie komplikował? Szukał dziury w całym? Dlaczego nie przyjąć najprostszego wyjaśnienia: Malewski podczas pierwszego przesłuchania spanikował – może bał się, że mu przykleją morderstwo albo że żona usłyszy o romansie – i ze strachu nałgał. Przyciśnięty do muru powiedział prawdę. Kropka.

Komisarz siedział tak z pół godziny, gdy nieoczekiwanie z zadumy wyrwało go energiczne stukanie do drzwi.

– Proszę – krzyknął.

Do środka weszła Monika Więcka.

– Dzwonili ci od analiz. Nieoficjalnie. Twierdzą, że w bagażniku znaleźli ślady biologiczne. I to dużo. Jak to ładnie powiedzieli „ilość wystarczyła do identyfikacji optycznej”. Wie pan, co to dla nas znaczy?

Pucki przytaknął.

– Wieźli kogoś w bagażniku. Najpewniej zwłoki. W wariancie optymistycznym pobiją ofiarę porwania. Tylko dlaczego informują nas nieoficjalnie?

– Dopiero zaczęli badania. Przyślą raport, jak skończą, czyli nieprędko. Mam w laboratorium kumpla. Zadzwoiłam wczoraj, pogadałam. Obiecał, że da znać, jak coś znajdą. Dziś się wzięli za nasze auto. Podobno pod wykładziną znaleźli sporą plamę krwi. Zabezpieczyli. Czeka na swoją kolej. Wie pan, szefie, ile to może trwać. Dopóki nie przebadają, nieoficjalnie nie mogą powiedzieć. Teoretycznie ktoś mógł szmuglować w bagażniku tuszę świni z nielegalnego uboju albo przewozić szynclę na barbecue. Nie chcą wyjść na idiotów. W nosie mają, że dla nas każda godzina jest cenna.

– Jasne. – Pokiwał głową. – Wygląda na to, że czeka nas kolejna wyprawa do Dulębów. Jeśli zwłoki były w bagażniku, ale zniknęły, to ktoś je musiał wyjąć, przenieść i schować. Jeśli mamy szczęście, to gdzieś w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono samochód.

– A jeśli nie mamy szczęścia, to mogą być gdziekolwiek w Polsce. Od morza do Tatr – dodała sceptycznie Monika.

– Trochę optymizmu. Ja widzę to tak: mordercy średnio zależało na skutecznym ukryciu ciał, przede wszystkim chciał zyskać na czasie. Stąd numer z komórkami. Chciał, żebyśmy ganieli po kraju. Myślę, że nie ryzykował wycieczek kradzionym samochodem. Porzucił go w bocznej, nieuczęszczanej drodze, a zwłoki zakopał gdzieś w pobliżu.

– Idąc tym tropem, musiał to być ktoś, kto znał okolicę. Po pierwsze, znał boczną drogę, po drugie, wiedział, że jest rzadko używana. Myślę, że dlatego wybrał to miejsce.

– Słuszna uwaga – przytaknął z uznaniem. – Tyle tylko, że to i tak jest kilkaset hektarów lasu do przeczesania. Robota na tydzień dla miliona Chińczyków.

– Albo na parę godzin dla specjalisty. Jednak nie obejdzie się bez psa. Są przecież takie szkolone specjalnie do poszukiwania zwłok.

– Chyba masz rację – przyznał bez entuzjazmu. – Idę do starego. Niech załatwi burka.

\*

– Czyś ty oszalał? Wiesz, ile jest takich psów? Czternaście na całą Polskę! Czternaście! Mniej niż jeden na województwo. Myślisz, że dadzą któregoś na prowincjonalne śledztwo?

– Wiem, szefie.– Pucki łagodnym głosem mitygował zirytowanego przełożonego. – Uważam, że nie jesteśmy bez szans. Prowincja czy nie, mamy już dwa trupy: Rubiszewską i Błockiego, a dwóch kolejnych szukamy. To razem cztery. Sprawa jest poważna.

– Sam mówiłeś, że Błocki to zwykły wypadek.

– Zwykły czy niezwykły, chłopaki śledztwa jeszcze nie zamknęli. Tym od psów na razie nie musimy nic mówić. Poza tym kto wie, co będzie, jeśli nie znajdziemy mordercy. Chcemy mieć następne zwłoki? Prasa nas rozszarpie.

– Pucki, ty się będziesz w piekle smażył. Niech ci będzie, postaram się załatwić czworonoga. Dam znać, jak będę coś wiedział.

Zadzwoił niespełna pół godziny później.

– Mietek, ty to jesteś w czepku urodzony – zaczął wesoło. – Macie psa na jutro. Ponoć superspecjalista od znajdowania zwłok. Pies z opiekunem będą w Dulębach jutro o dziewiątej.

– Super, dziękuję szefie – podziękował uradowany.

Monika Więcka nie podzieliła jego entuzjazmu.



– Znowu trzeba wstać w środku nocy. Ja to się chyba w grobie dopiero wyśpię – mruknęła, gdy komisarz poinformował ją o wyjeździe do Dulębów.

\*

Gdy następnego dnia Monika i Pucki dotarli na miejsce, posterunek w Dulębach tętnił życiem.

– Dobrze, że jesteście – przywitał ich od progu Owczyński. – Już są! – dodał konspiracyjnym szeptem. Poprowadził gości do niewielkiego pomieszczenia, gdzie oparty o ścianę stał postawny, łysy jak kolano mężczyzna. Obok niego siedział chudy, krótkowłosy, płowy pies z czarnym pyskiem i ciemnymi, sterczącymi uszami. Na widok gości zareagował jedynie cichym sapnięciem.

– Myślałem, że to będzie owczarek – wyrwało się Puckiemu.

– To JEST owczarek. – Temperatura głosu mężczyzny oscylowała w okolicy zera bezwzględnego.

– Nie wygląda. Ani trochę nie przypomina Szarika. – Komisarz próbował obrócić wszystko w żart, zrozumiawszy, że popełnił gafę. Niestety, jedynie pogorszył sytuację.

– Bo to nie jest owczarek niemiecki tylko belgijski. Malinois. Te są najmądrzejsze. – Przewodnik popatrzył z czułością na podopiecznego.

– Śliczny jest – wtrąciła Monika, piorunując Puckiego spojrzeniem. – Jakie ma mądre oczy.

– To ona. Milka. Jest najlepsza! Nigdy mnie nie zawiodła. – Z dumą podrapał sukę za uchem. – Kiedyś wyniuchwała topielca, co leżał na dwudziestu metrach. Niech pani to sobie wyobrazi. Dwadzieścia metrów! Osiem pięter wody! Pamiętam, gdy wsiadaliśmy do łódki, ludziska pukali się w głowę, mówili, że to niemożliwe. A Milka dała radę. Nigdy nie zapomnę miny sternika, gdy nurek wypuścił bojkę.

– Niesamowite! – Pucki włożył w okrzyk całe serce, w nadziei, że jakoś zatrze pierwsze złe wrażenie. – Z tego wszystkiego nie przedstawiłem się. Komisarz Mieczysław Pucki. – Wyciągnął dłoń na powitanie.

– Aspirant sztabowy Robert Staroń. – Słabo, z niejakim ociąganiem uścisnął podaną rękę. Wciąż jeszcze nie przebaczył Puckiemu niefortunnej uwagi.

Znaczenie więcej entuzjazmu przejawiał, wymieniając uprzejmości z Moniką.

– Chyba pora zaczynać – wtrącił Owczyński.

– Ja jestem gotowy. Milka też – oznajmił Staroń. – Gdzie zaczynamy?

– Sądzimy, że przestępcy znali okolicę. – Komisarz przejął inicjatywę. – Jak pan myśli – zwrócił się do Owczyńskiego – gdyby ktoś tutejszy miał coś zakopać w pobliżu, jakie miejsce by wybrał?

– Momencik. – Owczyński podszedł do okna, otworzył ja na oścież i na całe gardło ryknął:

– Panie Paprocki, pan tu podejdzie do nas na chwilkę. Sprawa jest!

Z ławeczki ustawionej pod ścianą sklepu spożywczego wstał mały, żyłasty staruszek, taki co to o nich mówią „stary, ale jary”. Choć plecy miał przygarbione, a włosy białe jak mleko, oczy błyszcząły młodzieńczym blaskiem.

– Idę, idę – odchrząknął z mocą, o jaką nikt nie posądzałby osoby w jego wieku. – Ino mi dziś reumatyzm mocno dokucza. – Ciągnąc nieco lewą nogę, kuśtykał powoli w stronę komisariatu. Gdy w końcu dotarł na miejsce, z westchnieniem ulgi opadł na usłużnie podsunięte przez Owczyńskiego krzesło.

– Starość nie radość – wysapał.

– Pan Paprocki – przedstawił mężczyznę pozostałym – przez trzydzieści pięć lat był u nas gajowym.

– Trzydzieści siedem, Jasiu, trzydzieści siedem – wtrącił bez cienia szacunku dla rangi funkcjonariusza starszy pan.

– Właśnie, trzydzieści siedem. – Policjant podjął przerwany wątek. – Zna tutejsze lasy jak własną kieszeń. Każdy krzaczek i każdy kamyk.

– Przesadzasz, Jasiu, przesadzasz. Kiedyś tom znał okolicę, nie powiem, ale teraz... Szkoda gadać. Ledwie nogi ciągnę. Rzadko dalej niż do sklepu chodzę.

– Niech pan nie będzie taki skromny, panie Paprocki. Sprawa jest.

– Nie kręć, Jasiu, tylko gadaj, o co się rozchodzi.

– Gdyby ktoś, kto zna okolicę, chciałby się czego dużego w naszym lesie pozbyć, to jakie miejsce by wybrał?

– Niech no pomyślę. Tak po prostu wyrzucić czy ukryć?

– Pozbyć, ale tak, żeby nikt nie znalazł – doprecyzował Owczyński.

– Aha, czyli trupa. – Paprocki zachichotał. – Rozumiem. Onegdaj, to bym wam poradził w Ryśkowym Stawku szukać, ale tam teraz woda opadła. Jak deszcz popada, to do pół uda najwyżej sięga, a jak susza przyjdzie to i to nie. Zakopać w lesie też nie bardzo da radę. Kopać trudno, bo drzewa nasadzone gęsto, korzenie płytkie i poplątane. Żeby dół choć na pół metra wykopać, trzeba się parę godzin napocić. Nie tylko łopata, ale i siekierą namachać. A i zamaskować trudno by było. Każdy głupi by od razu zauważył, że ktoś tu niedawno grzebał. Tak se myślę, że tylko dwa miejsca są zdatne. Ja bym wybrał Każkowe Wądoły. Tam, gdzie kiedyś piasek kopali. Kopalnię zamknęli, ale chłopcy cały czas po piach tam jeżdżą, choć co parę metrów tablica z zakazem stoi. Tam i ziemia miękka, bo sam piach, i korzeni nie ma, bo nic nie rośnie, a i na nowe rozkopy nikt uwagi nie zwróci. Pomyśli, że znowu któryś gospodarz przyczepę piachu po nocy ukopał. Tak, szukajcie na Każkowych Wądołach.

\*

Każkowe Wądoły okazały się rozległym wyrobiskiem. Z niezabezpieczonych piaszczystych stoków wystawały korzenie skazanych na zagładę drzew. W kilku miejscach widać było osuwiska, niektóre wyglądały na całkiem świeże.

– Bezpiecznie to tu nie jest – skonstatował Pucki.

– Ano, nie jest – przyznał Owczyński. – Jakby kilka lat postało spokojnie, to by pewnie z czasem krzaki i trawa wszystko zarosły, ale chłopci z okolicznych wsi ciągle tu jeżdżą po piasek. Ile ja się tu tablic nastawiałem, ile mandatów wlepiłem. Wszystko na nic. Dopiero jak któregoś dnia kogoś na śmierć zasypie, zacznie się wrzask, że władza nie dopilnowała. Ale co ja mogę? – westchnął.

Staroń nie zwracał na nich uwagi. Przykucnął obok siedzącego psa, przez chwilę szeptał coś zwierzakowi do ucha, potem podrapał za uszami, pogładził po łbie. Wstał, puścił luźno smycz i cofnął się o kilka kroków.

Milka skoczyła na równe nogi, podniosła ogon do góry, nastawiła uszy. Policjant stał nieruchomo niczym posąg, w skupieniu taksując wzrokiem zwierzaka. Po kilku sekundach suka opuściła głowę, niemal przywarła nosem do ziemi i ruszyła przed siebie. Pobiegnęła kilka metrów na lewo, potem skręciła w prawo i znowu na lewo, to zwalniała, to przyspieszała, zostawiając na piasku ślady łap. Za nią powoli, pilnując, by nie napiąć smyczy, podążał przewodnik. Oboje, i pies, i człowiek, wyglądali na zadowolonych. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że to lekko podtatusiały mieszczech korzysta z ostatnich dni ciepłej, jesiennej pogody, by wyprowadzić na spacer swojego pupila.

Policjantów powoli zaczęła dopadać nuda. Monika przysiadła na zwalonym pniu, wyciągnęła przed siebie nogi, twarz wystawiła do słońca. Owczyński bezmyślnie żuł źdźbło zeschniętej trawy. Tylko Pucki cały czas obserwował poszukiwania, choć i on ziewał sobie od czasu do czasu.

Nagle w sukę jakby coś wstąpiło. Zamiast biec do przodu, zatoczyła kilka kółek – najpierw dużych, potem coraz mniejszych. Na koniec położyła się na ziemi i zadowolona wbiła wzrok w przewodnika. Staroń podszedł do niej, wyjął z kieszeni torebkę suszonych szprotek, wyjął jedną i podał psu na otwartej dłoni:

– Dobry pies, dobry! Świetna robota! – przemawiał łagodnym głosem, gładząc Milkę po grzbiecie.

– Gotowe – krzyknął w stronę stojącej na skraju grupki ludzi. – Możecie kopać.

– Gdzie? – zapytał nieco zdezorientowany Owczyński.

– Jak to gdzie? Tutaj! – Pulchny palec wskazał na leżącego w dole psa. – Przecież wam pokazała!

Do pracy przystąpili technicy z łopatami. Praca szła kiepsko, bo suchy piasek co i rusz opadał, zasypując to, co wykopali.

– Stop! – krzyknął w pewnej chwili jeden z mężczyzn. Delikatnie odgarnął kilka garści piasku. Oczom zebranych ukazała się kobieca stopa w adidasie.

– Ja pierdołę! Naprawdę to wyniuchała! – wyrwało się Owczyńskiemu.

Pucki w napięciu czekał. Technicy ostrożnie usuwali kolejne warstwy ziemi. Gdy w końcu spod piasku wyłoniły się długie, jasne włosy zyskał pewność – znaleźli Barbarę

Brodzką. Po kolejnych dwóch kwadransach komisarz rozpoznał zniekształconą, ale wciąż jeszcze wyraźną twarz Joanny Tańskiej.

## ROZDZIAŁ 28

– Grońska – wrzasnął Pucki na całe gardło. – Zabieraj Gajowczyka i śmigajcie po Mariannę Pol. Chcę ją widzieć jak najszybciej.

– Tak jest – odchrząknęła dziarsko aspirantka. – Wstała energicznie od biurka. Nagle nieoczekiwanie zamarła w pół kroku. – Szefie, a co z Ukraińcami?– zapytała niepewnie.

– Z jakimi znowu Ukraińcami?

– No tymi, co to ich prewencja namierzyła. Z portretu pamięciowego Oksany Chomicz.

– A co ma być? – Uniósł pytająco brwi.

– No przecież mówię. Prewencja ich namierzyła. Posłałam raport mailem.

Pucki zmełł w ustach przekleństwo. Przeklęte maile! Codziennie spływały ich dziesiątki. Kiedyś człowiek musiał napisać raport: wystukać go na maszynie albo wyskrobać ręcznie. Przez kalkę więcej niż dwie kopie nie wychodziły, więc dokumenty trafiały głównie do tych, do kogo trafić powinny. Teraz wystarczyło napisać maila i kilkoma kliknięciami wysyłać go do dwóch tuzinów osób. Ludzie bez opamiętania dodawali kolejnych adresatów. W efekcie skrzynki mailowe pękały w szwach, a co gorsza, istotne informacje ginęły w powodzi bzdur. Codziennie rano komisarz poświęcał co najmniej pół godziny na przekopanie się przez wiadomości, które zwykł nazywać nocnymi spadami. Dziś było jeszcze gorzej, bo po całodniowym pobycie w Dulębach do nocnych spadów dołączyły maile z dnia wczorajszego. Było już po w pół do dziewiątej, a on nie doszedł jeszcze nawet do połowy. Raport Grońskiej z pewnością zalegał gdzieś wśród nieprzeczytanych wiadomości.

– Dziękuję. Zajmę się tym. Wy sprowadźcie Pol.

Usiadł z powrotem przed komputerem, otworzył pocztę, wyszukał wiadomość od Grońskiej. Otworzył. Z ulgą spostrzegł, że jest krótka – wszystkiego dwa akapity. Witalik i Wiedmid' byli osobnikami dobrze znanymi policji. Podejrzewano, że należą do grupy przestępczej terroryzującej imigrantów ze Wschodu. W hierarchii znajdowali się dość nisko. Byli zwykłymi „żołnierzami” pobierającymi haracz za „ochronę”. Prewencja od dawna miała obu mężczyzn na oku, ale pozwalali im swobodnie działać w nadziei, że obserwując plotki, wytropią w końcu grube ryby.

– Niech to diabli porwą! – zaklął od serca. – Najpierw sekta– nietykalna, bo się nią Główna interesuje, a teraz banda, której pewnie nie dadzą się dotknąć ci od przestępczości zorganizowanej. I jak w takich warunkach prowadzić śledztwo?

Wkurzony zasiadł przed komputerem. Palce niemal same uderzały w klawisze. Nawet nie zauważył, kiedy był gotowy sążnisty elaborat z żądaniem zdobycia zgody na zatrzymanie Witalika i Wiedmidia. Szybko, by nie pozwolić sobie na chwilę wahania,

zdecydowanym kliknięciem wysłał wiadomość do szefa. Niech się teraz stary buja. Jak mu się uda, to dobrze, a jak nie, to przynajmniej on, Pucki, będzie miał dupokrytkę. Zawsze coś.

Kolejne godziny upłynęły komisarzowi na nerwowym krążeniu z kąta w kąt. Co i rusz sprawdzał godzinę, kilka razy wyrztał przez okno, usiadł, znowu wstał. Mało co męczy tak, jak wymuszona bezczynność. Koło południa czuł się jak po długiej podróży pociągiem – niby człowiek nic nie robił, a wychodzi na peron zmęczony, jakby wagon węgla przerzucił. Gdy Marianna Pol w obstawie Grońskiej i Gajowczyka przybyła na przesłuchanie, odetchnął z ulgą. W końcu mógł się zabrać do roboty.

Kobieta nie wyglądała ani na przestraszoną, ani na zdenerwowaną, co najwyżej lekko poirytowaną. Nie czekając na zaproszenie, usiadła na pierwszym z brzegu krzesła.

– Gdybyśmy mogli nie tracić czasu i od razu przejść do rzeczy, byłabym ogromnie wdzięczna – wysyczała.

– Też tak uważam – odparował Pucki.

– W takim razie słucham, co ma mi pan do powiedzenia?

– To *ja* słucham, co *pani* ma mi do powiedzenia. Dla ustalenia uwagi dodam, że chodzi o rzekome włamanie do pani domku letniskowego.

– Rzekome? Był pan w środku i widział wszystko. Sugeruje pan, że sama zrobiłam ten rozgardiasz? Niby po co?

– Nie sugeruję, tylko jestem pewien. Po co? To proste. Chciała pani ukryć pobyt Barbary Brodzkiej i Joanny Tańskiej w Zawodziu. Gdybyśmy jednak wpadli na trop, miała pani gotową bajeczkę – kobiety włamały się i zniknęły.

– Dobrze sobie – prychnęła. – Nie mam pojęcia, o kim pan mówi. Jeśli pan twierdzi, że te kobiety były w moim domu, to albo pan się myli, albo rzeczywiście to włamywaczki. Bez względu na to, która wersja jest prawdziwa, nie widzę powodu, dla którego miałabym coś ukrywać. Właściwie to w moim interesie leży szybkie zakończenie śledztwa. Dopóki nie skończycie, ubezpieczyciel nie wypłaci mi ani grosza.

– Ubezpieczyciel? – wtrąciła się Monika.

Marianna obrzuciła policjantkę pełnym nienawiści spojrzeniem.

– Teraz pani sugeruje, że sfingowałam włamanie, żeby wyłudzić ubezpieczenie – prychnęła. – Potem się dziwicie, że ludzie nie szanują mundurowych. A jak mają szanować, kiedy zamiast łapać bandytów, dręczycie niewinnych ludzi? Ktoś mnie obrabował, a wy zamiast go szukać, próbujecie mnie zrobić!

– Bynajmniej! – zaprzeczył spokojnie Pucki. – Nie podejrzewamy pani o próbę wyłudzenia ubezpieczenia. Sądzymy, a właściwie jesteśmy pewni, że usiłuje pani zatuszować morderstwo. Dodam, że dość nieudolnie.

– Morderstwo? Jakie morderstwo? – Po raz pierwszy straciła nieco pewności siebie. – O czym pan mówi?

– O morderstwie Joanny Tańskiej i Barbary Brodzkiej – rzucił twardo.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że... – Nie dokończyła – To jakaś prowokacja! – krzyknęła i uśmiech powrócił na jej twarz.

– Niestety, nie. Proszę spojrzeć. – Rzucił na stół dwa zdjęcia. Choć na zdjęciach widać było tylko twarze, nie ulegało wątpliwości, że widoczne na nich kobiety są martwe.

Marianna Pol pobladła. Zachwiała się, o mało nie spadła z krzesła. Gdyby Monika nie złapała jej w ostatniej chwili, niechybnie upadłaby na podłogę.

– To nie tak miało być, nie tak... – wyszeptwała drżącymi wargami. – Oszukali mnie. Gdybym wiedziała, co knują, nigdy bym im nie pomogła.

– Czy teraz powie pani prawdę?

Skinęła potakująco. Odwróciła głowę, wbiła wzrok w ścianę. Patrzyła w takim skupieniu, jakby widziała tam znacznie więcej niż tylko obłazącą miejscami, porządnie już przybrudzoną farbę.

Monika chrząknęła delikatnie. Bez skutku. Drugie, znacznie głośniejsze chrząknięcie też nie pomogło.

– Pani Marianno, czekamy – ponaglił Pucki.

– A tak, tak. Przepraszam, zamyśliłam się – odparła. Powiodła dookoła błędnym, nieobecnym spojrzeniem, jak ktoś obudzony nagle z głębokiego snu, kto nie do końca wie, gdzie kończą się majaki, a zaczyna jawa.

– Mieli je tylko przytrzymać przez jakiś czas. To znaczy tak mówili, a ja uwierzyłam – wyszeptwała. Opuściła głowę. Gdy ją podniosła, w oczach błyszczały łzy.

– Przykro mi, ale nie rozumiem. Co pani miała na myśli. – Głos Moniki był delikatny, niemal przyjacielski.

– Najlepiej opowiem po kolei. – Marianna Pol nieoczekiwanie wzięła się w garść. – Chłopaki zadzwonili do mnie w poniedziałek, późnym popołudniem. Nie pamiętam dokładnie o której. Powiedzieli, że wyjechali na cały dzień po zakupy do miasta, a po powrocie do Zawodzia przyłapali dwie nieznajome wężące w chałupie. Nie wiedzieli, co to za jedne. Podobno usiłowały wcisnąć kiepską bajeczkę, jakoby weszły do środka przez pomyłkę. Jakby można było przez pomyłkę wejść do zamkniętego na klucz domu! Chłopaki wpadli w panikę. Nie mieli pojęcia, co kobiety widziały. Na wszelki wypadek postanowili działać.

Monika chciała zadać pytanie, ale Pucki powstrzymał ją zdecydowanym gestem. Zamarła z półotwartymi ustami. Marianna Pol nie dostrzegła tej bezgłośnej wymiany myśli. Ciągnęła opowieść, cały czas wbijając pusty wzrok w ścianę.

– Plan był prosty. Janusz miał zamknąć kobiety w jakiejś opuszczonej leśniczówce. Zanim by się wydostały na wolność, chłopaki mieliby dość czasu, by załadować sprzęt i zniknąć. Ja byłam poza podejrzeniami: nikt mnie nie widział w Zawodziu od lat. O żadnym zabijaniu nie było mowy.

Zamilkła.

– A to włamanie? Po co je pani sfingowała? – zapytał komisarz, gdy zrozumiał, że opowieść dobiegła końca.

– To był pomysł Bartka. Chodziło o to, żeby zdyskredytować kobiety, gdyby przyszło im do głowy polecieć na policję.

– Jak to? – Monika nie wytrzymała.

Pucki spiorunował ją wzrokiem. Nie nadszedł jeszcze czas na zadawanie pytań. Na tym etapie należy pozwolić świadkowi mówić, co chce.

– To proste. – prychnęła Marianna z lekką pogardą, jak nastolatek tłumaczący coś oczywistego maluchowi. – W dzisiejszych czasach nie da się zaprzeczyć temu, że ktoś był tam, gdzie był. Przez te nieszczęsne komórki policja może śledzić każdy nasz krok. Tak przynajmniej twierdził Bartek. Można wywieźć całe wyposażenie, wyczyścić dom, ale temu, że kobiety tam były, nie da się zaprzeczyć. Plan był prosty: w razie czego będziemy twierdzić, że się włamały, a reszta ich opowieści to tylko bajeczka, zasłona, za którą chcą ukryć własne przestępstwo. Chodziło o takie zagmatwanie sprawy, żeby zdechła śmiercią naturalną.

Zaległa cisza. Więcka spojrzała pytająco na Puckiego. Delikatnie pokręcił głową, dając koleżance do zrozumienia, żeby na razie się nie wtrącała.

– Pani w to uwierzyła, poważnie?

– Tak, a dlaczego miałam nie uwierzyć?

– Bo to się ani trochę kupy nie trzyma. Pięciolatek wymyśliłby bardziej logiczny plan. Nie wspominając o tym, że bardziej skuteczny. Wiecie, co ja myślę? – zawiesił głos, powiódł spojrzeniem dookoła. – Otóż myślę, że było tak – podjął. – Joanna Tańska i Barbara Brodzka rzeczywiście znalazły się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie. Zobaczyły coś, czego zobaczyć nie powinny. Co gorsza, zobaczyły twarze pani kolegów. Myślę, że w tej właśnie chwili los obu kobiet został przesądzony. Chłopaki, jak im tam było? Aha – Janusz i Bartek rzeczywiście wpadli w panikę, ale nie zamierzali nikogo nigdzie zamykać. Plan był dużo prostszy: pozbyć się niepożądanych świadków raz na zawsze. Zwłoki wpakowali do bagażnika i wywieźli do lasu. Aby utrudnić ewentualne poszukiwania i zyskać na czasie, zrobili numer z komórkami. To im się akurat udało.

– Jaki numer? – Pytanie Marianny zabrzmiało szczerze.

– Nieważne. – Komisarz zbył ją. – Natomiast cała ta szopka z włamaniem... Cóż, tu też mam własną koncepcję. Bartek i Janusz, a może pani także, nie mieliście pojęcia, ile policja wie i czy w ogóle wie cokolwiek. Było jasne, że prędzej czy później ktoś zacznie szukać zaginionych kobiet, a wtedy, po pierwsze, znajdą zwłoki, po drugie, mogą ustalić, że ofiary przed śmiercią były w Zawodziu. Chodziło o stworzenie wrażenia, że owszem były, ale zabite zostały gdzie indziej. Dokonały włamania, wyjechały całe i zdrowe, a zamordowane zostały kilkadziesiąt kilometrów dalej, pod Dulębami. Mam rację?

Milczenie Marianny Pol było bardziej wymowne niż najdłuższa tyrada.



– Ja... ja... – Głos się jej załamał. – Ja nie mogłam nic zrobić. Ruszyłam do Zawodzia, gdy tylko zadzwonili, ale gdy dotarłam na miejsce, obie kobiety już nie żyły. Nic się już nie dało zmienić. Nic. Co mogłam zrobić?

– Powiadomić policję, a nie ukrywać morderców. To chyba oczywiste. – Pucki odparował lodowatym głosem. – A propos powiadamiania policji: czy Janusz i Bartek mają jakieś nazwiska, adresy?

– Janusz Giewont i Bartosz Kalicki. Janusz mieszka na Bukietowej pod siedemnastym, a Bartek gdzieś w centrum, koło dworca, ale gdzie dokładnie, to nie wiem. Nigdy u niego nie byłam i nie pytałam.

– Jak to miło, gdy pani mówi prawdę. Od razu lepiej – pochwalił. – Z mojej strony to na razie wszystko, ale wydaje mi się, że moja koleżanka ma jeszcze jakieś pytanie. – Z figlarnym uśmiechem spojrzął na Monikę.

– Szczerze mówiąc, jednego nie rozumiem. Co takiego zobaczyły Tańska i Brodzka, że musiały zginąć? – Monika przejęła pałeczkę.

– Naprawdę nie wiecie? – Marianna Pol podniosła pełne zdumienia oczy. – Dokumenty. Chodziło o dokumenty. To Helena wkręciła mnie do biznesu. Miała kontakty z imigrantami ze Wschodu. Wyszukiwała takich, dla których Polska była tylko punktem wyjścia do dalszej podróży na Zachód. Z unijnym paszportem było im łatwiej realizować plany. Tak przynajmniej myśleli. Był popyt, znalazła się i podaż. Dostarczaliśmy dowody osobiste, paszporty, dyplomy wyższych uczelni, akty urodzenia. Dom w Zawodziu był idealnym miejscem na wytwórnię. Na uboczu, ale i nie za daleko od miasta. Szanse, że ktoś przypadkiem coś wyniucha, były praktycznie zerowe. Aż nagle zjawiły się te Tańska i Brodzka. W ciągu jednego popołudnia wszystko diabli wzięli.

– Przecież to bez sensu! – zdumiała się Więcka. – Za fałszerstwo grozi maksymalnie pięć lat, a w praktyce można się wykpić znacznie niższym wyrokiem. Za zabójstwo minimum to osiem lat, a jak się sędzia uprze, to i dożywocie może wlepić. Gdzie sens, gdzie logika?

– To samo powiedziałam tym idiotom – mruknęła zrezygnowana Marianna Pol. – Ja naprawdę nie miałam z tym nic wspólnego. Pierwotny plan ustalony przez telefon był taki, jak mówiłam – zamknąć baby i zwiać. Tylko że zanim przyjechałam do Zawodzia, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Jedna, ta młodsza, z nerwów dostała mdłości. Zaczęła wymiotować. Nic by się nie stało, gdyby któryś z tych debili na czas odkleił jej usta, ale nie odkleili i kobieta udusiła się własnymi rzygami. Gdy ta druga zrozumiała, co się stało, wpadła w histerię. Bartek chciał ją uciszyć, a że zdążył sobie w międzyczasie golnąć, zdrowo przesadził. Gdy dotarłam na miejsce, zobaczyłam dwa trupy. Teraz to już naprawdę wszystko.

Zamilkła wyczerpana. Z rezygnacją opuściła głowę. Ani Pucki, ani Więcka nie mieli ochoty na zadawanie dalszych pytań.

\*

– Jak myślisz, czy śmierć Rubiszewskiej to też ich sprawka? – spytała Monika, gdy mieli już za sobą formalności związane z aresztowaniem Marianny Pol.

– Dobre pytanie – mruknął. – Bez dwóch zdań nie możemy tego wykluczyć. Trzeba ogłosić poszukiwania podejrzanych, chociaż na mój gust, to równie dobrze możemy szukać wiatru w polu. Pewnie nie ma ich już w kraju, a może nawet w Unii. Została tylko Pol. Według mnie dała się podejść cwaniaczkom jak dziecko. Sami dali nogę, a z niej zrobili kozła ofiarnego. Jeśli nie złapią facetów – a stawiam miesięczną pensję, że nie złapią – prokuratura wsadzi Pol. I to nie za współudział, tylko za zabójstwo. Zapamiętaj moje słowa. Na szczęście, to już nie nasz problem. My musimy zabrać się za nasze sprawy, dłużej nie da się tego odwlekać.

– Czego?

– Nie udawaj. Chowanie głowy w piasek nic nie pomoże. Kto idzie w mundurze – ja czy ty?

– Cholera – zakłęła. – Myślałam, że zajmą się tym ludzie z Dulębów. Nie wiedziałam, że na nas padło.

– To już wiesz – podsumował ponuro.

\*

Nie istnieje żaden regulamin, żadna procedura ani chociażby oficjalne wskazówki, jak przekazać złą nowinę najbliższym ofiary. Jest tylko kilka niepisanych zasad. Informacji nie przekazuje się nieletnim. Policjantów zawsze musi być dwóch. Jeden, ten w mundurze, mówi, ten drugi, w cywilu, obserwuje reakcje. Mówić trzeba krótko, rzeczowo i z szacunkiem. To tyle. Reszta to kwestia kultury, empatii i osobistego wyczucia funkcjonariusza.

Gdy zajechali pod dom Tańskich, dookoła panował już zmrok. W oknie na parterze paliło się światło. Nawet z ulicy widać było profil i korpulentną sylwetkę pochylonej, starszej pani. Siwe włosy związane w schludny kok, zawiązany na szyi fartuch, jednostajne ruchy ręki. Siekała coś na kolację albo na jutrzejszy obiad. Delikatnie poruszała ustami. Może rozmawiała z kimś niewidocznym, a może tylko podśpiewywała podczas nudnej pracy. Na dźwięk dzwonka wyprostowała się, otarła ręce w fartuch, zniknęła z pola widzenia policjantów, by za chwilę pojawić się w otwartych drzwiach. Stała na progu zaskoczona. W jej oczach widać było jednocześnie strach i nadzieję.

– Dobry wieczór. Komisarz Mieczysław Pucki – przedstawił się. To jemu przypadła niewdzięczna rola mundurowego. – Czy jest pani krewną Joanny Tańskiej?

– Tak – odparła drżącym głosem. – Zofia Malec. Jestem siostrą jej matki, świętej pamięci Eweliny.

– Mam złą wiadomość. Pani siostrzenica nie żyje.

Kobieta zamrugła oczami, jakby oślepił ją nagły rozbłysk światła. Zachwiała się lekko. Zakryła usta dłońmi. Gdy opuściła ręce, na twarzy zostały białe plamy mąki.

– Joasia? – wyszeptała. – Jak to się...

Nie zdążyła dokończyć pytania, bo w tle rozległ się odgłos zbiegających po schodach stóp. Ktoś przeskakiwał po kilka stopni. Tak biegają tylko nastolatki. Nim Pucki zdążył podjąć decyzję, jak się zachować, w końcu korytarza zamajaczyła twarz Mateusza.

– Babciu, kto przyszedł? – krzyknął znacznie głośniejszym głosem, niż to było konieczne.

Nie otrzymał odpowiedzi. W dwóch susach podbiegł bliżej. Zobaczył poważne twarze policjantów, załzawione oczy babki, jej drżące, przywiedłe wargi. Nie potrzebował niczego więcej. Zrozumiał. Przez chwilę stał w bezruchu, a potem, nim ktokolwiek z dorosłych zdążył zareagować, bez słowa odwrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem na górę. Po chwili z piętra dobiegł odgłos głośnego trzaśnięcia.

– Idźcie już, proszę – szepnęła ledwie dostłyszalnie.

– Jak pani sobie życzy – bąknęła skonsternowana Więcka. Nic więcej nie zdążyła powiedzieć, bo starsza pani z zadziwiającą energią zatrzasnęła im przed nosem drzwi.

– Chyba się nie spisaliśmy – podsumowała.

– Daliśmy ciała na całej linii.– Pucki nie owijał w bawełnę. – Miejmy nadzieję, że Grońskiej u Brodzkich poszło lepiej.

– Wejdźmy do baru na jednego – nieoczekiwanie zaproponowała Monika. – Nie chcę wracać do domu. Szklaneczka czegoś mocniejszego dobrze nam zrobi.

Szklaneczka nie pomogła. Nie pomogła też druga ani trzecia. Tej nocy Pucki spał kiepsko, co chwilę budził się zlany potem. Pod powiekami cały czas czaił się obraz pozbawionej wyrazu, zastygłej niczym kamienna maska, bladej twarzy przerażonego nastolatka.

Aspirantka Więcka nie spała wcale. Całą noc przesiadła przy oknie, wpatrując się bezmyślnie w ciemność.

## ROZDZIAŁ 29

Pucki poetą był kiepskim. Metafory, które od czasu do czasu wygłaszał, były kompletnie pozbawione polotu i do bólu prozaiczne, ale nie sposób im było odmówić celności. Jedno z powiedzonek komisarza głosiło, że śledztwo jest niczym zapchana rura: długo nic się nie dzieje, aż któregoś dnia ciśnienie wypycha zator na zewnątrz i wydarzenia zaczynają płynąć wartkim strumieniem, czasem tak bystrym, że nie sposób za nim nadążyć. Tego ranka rura się odetkała.

Zaczęło się od telefonu. Dzwonił szef. Sam, osobiście. Nie sekretarka.

– Mietek do mnie, biegusiem– oznajmił i zakończył połączenie. Ton głosu nie zapowiadał kłopotów, ale komisarz, pomny swego ostatniego maila, poczuł lekkie zaniepokojenie. Z duszą na ramieniu ruszył do gabinetu przełożonego

– Mam dla ciebie dwie wiadomości. Obie dobre – oznajmił stary z uśmiechem, ledwie Pucki zdążył usiąść.

– O! – Komisarz, kompletnie zaskoczony, nie był w stanie zdobyć się na bardziej inteligentną odpowiedź.

Szef poprawił się wygodnie w fotelu.

– Nie będę cię dłużej trzymał w niepewności – powiedział ze śmiechem. – Po pierwsze, dostałem twojego maila. Pod względem formy pozostawia sporo do życzenia. Trochę więcej szacunku dla przełożonego by się przydało.

Pucki mruknął coś niezrozumiałego, co przy dużej dozie dobrej woli można było uznać za przeprosiny.

– Daj spokój. – Szef machnął ręką. – Ważne, że meritum było z sensem. Zadzwoniłem, gdzie trzeba, pogadałem, z kim trzeba. Góra przyznała mi rację – cztery trupy to za dużo. Zwiększyli priorytet twojej sprawy. Trochę się przy okazji dostało ludziom ze zorganizowanej, bo sprawę ciągną już trzeci rok. Szczerze mówiąc, myślałem, że jakaś grubsza awantura się z tego zrobi, a tu masz, niespodzianka. Chłopaki dzisiaj rano przeprowadzili finałową akcję. Może to przypadek, a może potrzebowali bodźca? Oficjalnie utrzymują, że działali zgodnie z planem. Z naszego punktu widzenia ważne są nie motywacje tylko efekt. I tu dochodzimy do sedna. Siedzą nie tylko twoi Wiatalik i Niedźwiedź, czy jak go tam, ale też kilku ich szefów. Dziś jeszcze za wcześnie, ale jutro będziesz mógł ich przesłuchać. Na razie możesz dostać do wglądu część akt. Zadowolony?

Pucki energicznie pokiwał głową.

– To pierwsza wiadomość, a druga? – zapytał przekornie.

– Daj kurze grzędę... – Szef pogroził niesfornemu podwładnemu palcem. – Dostałem wiadomość z Główniej, że śledztwo dotyczące „Promienia prawdy” też zbliża się ku

końcowi. W najbliższym czasie, nie wiem jeszcze dokładnie, którego dnia, planowane są zatrzymania, w tym także i u nas. Akcję przeprowadzą ateki, ale ktoś od nas będzie mógł uczestniczyć. Oczywiście wiesz, jak jest. Mamy trzymać się z tyłu, nie przeszkadzać i wejść z czynnościami dopiero, jak nam pozwolą. Wchodzisz w to?

– Jasne! – zawołał z entuzjazmem godnym nastoletniego ochotnika przestępującego próg punktu rekrutacyjnego.

– Pamiętaj, to ściśle tajna informacja. Nikomu ani słowa. Współpracownikom też!

– Za kogo pan mnie ma, szefie!

Właściwie powinien się obrazić, ale był w zbyt dobrym nastroju. A niech tam!

\*

Po rozmowie z szefem Pucki poczuł nagły przyływ energii. Rozpierała go chęć działania. Zamiast do swego gabinetu, ruszył do biurka Moniki.

– Zbieraj się – rzucił bez żadnych wstępów. – Jedziemy do śledczego.

\*

Marianna Pol wyglądała, jakby w areszcie śledczym spędziła nie jedną noc, lecz co najmniej ćwierć wieku. Niezdrowa, ziemista cera, matowe włosy, podkrążone oczy odarły ją z uroku i dodały lat. Po energicznej, zdecydowanej dziewczynie nie zostało ani śladu. Jej miejsce zajęła rozgoryczona, zmęczona życiem kobieta.

– Chcielibyśmy zadać pani jeszcze kilka pytań.– Pucki nie zamierzał silić się na oryginalność.

– Wszystko już powiedziałam, ale jak chcecie, to pytajcie. Ja mam czas.

– Dobrze. – Komisarz zignorował zgryźliwy ton Marianny. – Ostatnio zeznała pani, że Joanna Tańska i Barbara Brodzka zostały zamordowane przez pani znajomych, Janusza Giewonta i Bartosza Kalickiego, po tym jak przyłapali kobiety na myszkowaniu w domu w Zawodziu. Czy to się zgadza?

Przytaknęła. Zadowolony Pucki odhaczył pierwszy punkt na zapisanej w notesie liście.

– Zeznała pani też, że włamanie do domu w Zawodziu zostało zaaranżowane, by zmylić policję co do miejsca dokonania zbrodni, czy tak?

Wbrew oczekiwaniom komisarza, Pol tym razem nie przytaknęła. Zagryzła dolną wargę, spojrzała hardo na policjantów i twardym niczym stał głosem powiedziała:

– Nie. Przemyślałam to sobie. Jestem przekonana, że było inaczej. Dałam się chłopakom podpuścić jak jakieś głupie cielę. Gdybym nie zrobiła nic, gdybym po prostu siedziała cicho, nikt nigdy nie powiązałaby mnie z morderstwem. Miałam alibi na czas śmierci tych kobiet, najlepsze możliwe, bo prawdziwe. Skołowali mnie. Posłuchałam, zadzwoniłam i wpadłam w bagno po uszy. Pewnie pójdę siedzieć za współudział albo jak będę miała pecha, to i za nieswoje grzechy odsiedzę. Oni to zrobili z premedytacją.

Liczyli na to, że policja zajmie się mną, a oni dzięki temu zyskają na czasie i zwieją, gdzie pieprz rośnie. Gnidy!

– Logiczne – rzuciła Monika niby to mimochodem.

– Rzeczywiście, logiczne – przyznał Pucki. – Jednak to wszystko tylko spekulacje, wróćmy do konkretów. Przejdźmy do śmierci Heleny Rubiszewskiej.

– Heleny? – Zdumienie zabrzmiało szczerze. – Co ja mogę na ten temat wiedzieć?

– Czy Kalicki i Giewont mają z tym coś wspólnego?

– Ależ skąd! Na pewno nie!

– Chce pani kryć gnidy, które wrobiły panią w podwójne zabójstwo? – wtrąciła Monika, wczuwając się w rolę dobrego gliny.

– Nie, nie zamierzam ich chronić. Zrobię wszystko, by odpowiedzieli za morderstwo w Zawodziu, ale ze śmiercią Heleny naprawdę nie mieli nic wspólnego.

– A pani? Czy pani zabiła Rubiszewską? – wypalił z grubej rury.

– Jak pan może! Staram się pomóc, współpracuję, jak mogę, a pan mnie obraża!

– Bądźmy szczerzy. Nie zawsze grała pani z nami uczciwie. Nie ma się co dziwić, że trudno jest mi pani zaufać.

Oklapła, jakby słowa komisarza wyssały z niej w jednej chwili całą energię.

– Mój Boże – jęknęła – sama jestem sobie winna. Ale Helena... To nawet nie jest tak, że nie mieliśmy powodu jej zabijać czy pozbywać się jej w jakikolwiek inny sposób. Właściwie to powinniśmy ją chronić, bo widzicie, ona była nam potrzebna.

– Potrzebna? Do czego? – Monika zrobiła wszystko, by pytanie zabrzmiało życzliwie.

– To ona była mózgiem i sercem całego interesu. To ona dostarczała klientów, to ona miała z nimi kontakt. Myśmy tylko odwalali techniczną część. „Realizowaliśmy zamówienia” – tak to nazywała. Gdy jej zabrakło, zostaliśmy z gotowym towarem, ale bez pojęcia, co z nim zrobić: co, komu i jak przekazać. Śmierć Heleny była dla nas finansową katastrofą. Chyba trochę mącę. Najlepiej będzie, jak opowiem wszystko po kolei. Gdy dołączyłam do ekipy, interes kręcił się już na całego, ale Janusz kiedyś opowiedział mi, jak to było. Zaczęło się trochę ponad sześć lat temu. Helena zagadnęła go pół żartem, pół serio. Takie tam przekomarzanki: czy nie masz dość harowania za grosze? czy nie przydałoby się trochę dorobić? i takie tam. Niby to śmichy-chichy, a tak naprawdę sondowała, czy i na ile jest gotów wejść w nielegalny interes. Przez kilka dni krążyli wokół tematu niczym psy, co to się muszą na dzień dobry obwąchać. Trochę to trwało, nim doszli do porozumienia, ale jak już się dogadali, wszystko ponoć poszło dalej w zawrotnym tempie. Helena nie tylko nawiązała kontakty z potencjalnymi klientami, ale także, a właściwie przede wszystkim, zdobyła fundusze, i to wcale niemałe, potrzebne na rozkręcenie interesu. Po jakimś czasie dołączył do nich Bartek. Ja jestem, a właściwie byłam, najnowszym nabytkiem.

– Jak pani do nich dołączyła?

– Zaczęło się od historii z pracą magisterską. Wtedy poznałam Helenę. Znacie szczegóły, więc nie będę się powtarzać. Zrobiłyśmy z Helą kilką zleceń, poznałyśmy się bliżej, nabrałyśmy do siebie zaufania. Któregoś dnia zaproponowała mi współpracę. Byłam akurat w totalnym dołku finansowym, nie musiała więc zbyt długo mnie namawiać. Prawdę mówiąc, nie musiała mnie namawiać wcale. Po śmierci Heleny cały biznes zaczął się sypać. Chłopaki to dobrzy fachowcy, nie odwalali fuszerki, ale zabrakło managera. Nikt z naszej trójki nie potrafił nawiązać kontaktów. Wszystko zaczęło się sypać. Przez moment nawet chcieliśmy zwinąć interes, ale w końcu jakoś odbiliśmy się od dna. Ot i cała opowieść.

\*

Pucki poczuł dreszcz podniecenia. W jednej chwili kilka luźnych kawałków układanki wskoczyło na swoje miejsca. Sześć lat temu Helena Rubiszewska, mimo zbójckiego oprocentowania, pożyczyła pokaźną kwotę. Teraz stało się jasne po co i dlaczego nie mogła wystąpić o kredyt w banku. Potrzebny był jej ktoś, kto nie będzie zadawał zbyt wielu pytań. Drobnym lichwiarzem był kandydatem idealnym. Jeśli interes szedł dobrze, to zeznanie Pawła Czarskiego, że kobieta bez problemu spłaciła pożyczkę, nabierało sensu. Co nie zmieniało faktu, że nadal nie można go było skreślić z listy podejrzanych. Na jego niekorzyść ciągle przemawiała niemała kwota z polisy na życie.

\*

W powrotnej drodze komisarz przedstawił swoje przemyślenia Monice. Więcka nie od razu odpowiedziała.

– Trzyma się kupy – podsumowała po długim namyśle. – Co z tego, jeśli ani na krok nie przybliży nas do rozwiązania zagadki? Jest nawet gorzej, bo lista podejrzanych znowu się wydłużyła. Trzeba dopisać Kalickiego i Giewonta. Mariannę Pol też. Cała ta opowieść, jak ważna była dla nich Rubiszewska, może być jedną, wielką bujdą na resorach. Lepiej jest dzielić kasę na troje niż na czworo, nie sądzisz?

– Nie marudź, coś się jednak wyjaśniło! – odparował niezrażony Pucki. Monika nie bardzo mogła pojąć, skąd w sceptycznym zazwyczaj przełożonym nagle tyle entuzjazmu. Prawdę mówiąc, on sam też tego nie wiedział.

\*

Ranek przywitał komisarza pierwszą, prawdziwą, jesienną słotą. Ze stalowoszarych, wiszących nisko nad ziemią chmur, siąpił równy, drobny deszcz, taki co to potrafi i trzy dni łać bez przerwy. Lodowaty wiatr przez noc postrzącał liście z drzew. Stały teraz nagie, bure, przygnębione. Na gałęziach siedziały apatycznie nastroszone ptaki. Wystarczyło jedno spojrzenie za okno, by po wczorajszym entuzjazmie nie zostało ani śladu.

– Barowa pogoda – mruknął, z niechęcią odrzucając kołdrę. Poczłapał do kuchni. Przygotował śniadanie. Sącząc kawę, zerknął na wiszący na ścianie kalendarz. Do

emerytury zostały nieco ponad dwa tygodnie. Zero szans, by w tym czasie rozwiązać sprawę. Chyba że zdarzy się cud. W cuda komisarz nie wierzył.

Na przesłuchanie do Wydziału Przeszłości Zorganizowanej dotarł w podłym nastroju. W odpowiedzi na powitanie ledwie odburknął coś pod nosem. Zamiast ścisnąć po męsku podaną na powitanie rękę, ledwie musnął ją niemal bezwładną dłonią. Cały czas myślami był gdzie indziej, zatopiony w gorzkich rozważaniach o nadciągającej emeryturze, nieuchronnej starości i o tym, że nic dobrego już go w życiu nie czeka.

– Pan komisarz coś nie w sosie. – Usłyszał za plecami głos Moniki.

– A ty co tutaj robisz? – zdumiał się.

– Sądziłam, że to, co wszyscy. Przyszłam przesłuchać zatrzymanego, ale może się mylę? – ironizowała.

– Wiesz, że nie o to mi chodziło. Skąd się tu wzięłaś?

– Szef mojego szefa też jest moim szefem. Zadzwoił, kazał przyjechać i pomóc, to przyjechałam, jestem i zamierzam pomóc. – Szeroki uśmiech od ucha do ucha rozświetlił twarz Więckiej. Optymizm, radość i pozytywna energia bijące od dziewczyny wyrwały komisarza z marazmu.

– Jeśli tak, to bierzmy się do roboty! – oznajmił. – Na początek trzeba jakoś rozeznac się w sytuacji. Zupełnie nie mam pomysłu od czego zacząć. Powiązanie z naszą sprawą jest bardzo słabe. Rubiszewska знаła Błockiego, a Błocki miał kontakty z zatrzymanymi. To mało. Na tej zasadzie ty i ja jesteśmy powiązani niemal z całym światem przestępczym. Każdy bandyta w mieście zna kogoś, kto nas zna.

– Ha! Uważaj, bo się zdziwisz! Chłopaki tutaj odwalili od wczoraj kawał dobrej roboty. Jeden z przesłuchiwanym przyznał się do znajomości z Rubiszewską. Podobno mówił dużo i chętnie. Jak na moje – i nie tylko moje – oko, za dużo i za chętnie. Tym dziwniejsze, że to ponoć w hierarchii grupy jakaś ważna persona.

– Warto by od niego zacząć – stwierdził. Pucki. – Pogadam z tutejszymi.

– Nie trzeba. Już pogadałam. Dowiozą go nam za pół godziny. W tym czasie możemy przejrzeć materiały z wczorajszych przesłuchań.

Dobry humor komisarza ulotnił się w mgnieniu oka. Wróciły apatia, przygnębienie i ponure myśli. Właściwie powinien być wdzięczny Monice, odwaliała za niego kawał dobrej roboty. Pewnie i przesłuchanie przeprowadziłaby bez niego. I sprawę doprowadzi do końca. Znowu poczuł się stary, zbędny, odstawiony na boczny tor. Wbił wzrok w ściekające smętnie po szybie krople deszczu.

– W takim razie chodźmy – powiedział bez krzty zapału w głosie.

Czekali nieco krócej niż zapowiedziane pół godziny, jednak czasu było aż nadto, by zapoznać się z najważniejszymi informacjami. Pucki odetchnął z ulgą, gdy przekonał się, że zatrzymany Andrzej Wędzidło jest stuprocentowym Polakiem. Odpadały szopki z tłumaczem, korowody z konsulatem, cały ten kontredans utrudniający normalną pracę. Reszta akt nie wniosła nic ponad to, co komisarz już widział.



Zatrzymany zupełnie nie wyglądał na geniusza zbrodni. Niski, chudy, o ospowatej twarzy, wodnistych oczach, czerwonym, kluchowatym nosie i mocno przerzedzonych włosach. sprawiał dość odpychające wrażenie, które jeszcze bardziej pogłębiały białe płatki łupieżu pokrywające ramiona i plecy sportowej bluzy. Dresowe spodnie i lekko rozdeptane adidas mogłyby jako tako wyglądać na dwudziestokilkuletnim byczku, ale włożone przez czterdziestolatka, który sport ostatni raz uprawiał na wuefie w podstawówce, dawały dość żałosny efekt.

– Jaki kraj, taki ojciec chrzestny – mruknęła na jego widok Monika, na tyle jednak cicho, że usłyszał ją tylko siedzący obok Pucki.

Komisarz mimo woli uśmiechnął się półgębkiem.

Początek przesłuchania przebiegł bez większych zgrzytów. Wędzidło gadał jak nakręcony, przy czym – jak wielu przestępców – wykazywał się prawdziwym mistrzostwem w odwracaniu kota ogonem. Ktoś mniej doświadczony niż Pucki czy Więcka mógłby pomyśleć, że słucha nie wynurzeń szefa szajki, ale wspomnień asystenta Matki Teresy.

– Mówi się, że ci ludzie przyjeżdżają tutaj w poszukiwaniu lepszego życia – ciągnął. – Niby to prawda, ale nie cała. Uciekają przed biedą, jakiej my już nie pamiętamy, przed poniżeniem, przed zniewalającym systemem. Przyjeżdżają ufni, pełni nadziei, a co ich spotyka? Nagle okazują się samotni, w obcym kraju. Nie wiedzą, gdzie się obrócić, dokąd pójść. Szukają pomocy i znajdują nas. Pomagamy znaleźć mieszkanie, pracę, zapewniamy bezpieczeństwo. Gdyby nie my, kto wie, co by ci zdesperowani ludzie zrobili? Musieliby kraść albo i co gorszego. My dajemy im możliwość uczciwego i godnego życia. Dajemy oparcie. A co nas w zamian spotyka? Szykany ze strony władzy! – Podniósł w górę palec wskazujący, niczym nauczyciel podkreślający jakąś szczególnie ważną myśl.

– Zaraz się popłaczę ze wzruszenia albo porzygam z nadmiaru lukru – rzuciła Monika. Pucki nie skomentował jej słów. Spojrzał spode łba na przesłuchiwanego i zapytał niewinnie:

– Rozumiem, że pan i pana koledzy wszystko to robicie wyłącznie z dobroci serca. Charytatywnie?

– Zwrot kosztów chyba nam się należy? – prychnął oburzony. – Z czegoś musimy żyć!

– Słyszałem, że raczej haracz i to słony.

– Nie wiem, co pan słyszał, panie władzo, ale to potwarz.

– Jeśli pan tak mówi, panie Wędzidło, to kimże ja jestem, by negować pana słowa. – Kamienna twarz policjanta nie zdradzała żadnych uczuć. – Porzućmy na chwilę pana działalność dobroczynną i przejdźmy do sprawy, która mnie tu sprowadza. Rozumiem, że znał pan Helenę Rubiszewską?

– Tą, co to ją Ukraińcy zabili? – niemal krzyknął. – Jasne, że znałem. Zawsze mówiłem, że się doigra. No i się doigrała!

– Czym sobie, według pana, zasłużyła na śmierć, jeśli wolno zapytać? – Komisarz nie był w stanie ukryć ironii.

– Pfff. To wy powinniście wiedzieć! – fuknął dość sztucznie. – Jak Rubiszewska przeniknęła do środowiska imigrantów, nie mam pojęcia, ale wiem, że przyczepiła się do tych ludzi niczym jemiola. Przekonywała naszych podopiecznych, że zamiast uczciwie pracować, tak jak my im radziliśmy, powinni szukać lepszego życia gdzie indziej. „Na prawdziwym Zachodzie” – tak to nazywała. Oczywiście, wszystko miało być za grosze. Tyle tylko, że jak już kogoś wkręciła, koszty zaczynały nagle rosnać dziesięcio-, a bywało i stukrotnie. Wysysała z biedaka wszystkie pieniądze, co do ostatniego grosika.

– Czegoś tu nie rozumiem. Taki numer ma krótkie nogi. To sztuczka na raz, no maksimum dwa razy. Oszukani nie przestrzegali innych?

Wędzidło nieco się zacukał. Złożył usta w kaczki dziubek, potarł nos, sapnął.

– No tak do końca to nie oszukiwała – zaczął po długim namyśle. – Co obiecała, to robiła, to fakt. Tylko za wszystko żądała znacznie więcej, niż było umówione. Zaczynała od tego, że pod byle pozorem wyłudzała od nieszczęśnika dokumenty, a potem odmawiała zwrotu, dopóki nie zapłaci tyle, ile zażądała. Cwana baba z niej była, wiedziała dokładnie, ile kto ma pieniędzy, więc zawsze jakoś jej się udawało. Pewnie w końcu przegięła. Ktoś albo rzeczywiście nie miał kasy, żeby się wykupić, albo mu nerwy puściły, bo nikt nie lubi być robiony w konia. Kropnął chytre babsko i po ptakach. Tak ja to widzę.

– To jest jasne, ale w tej chwili bardziej interesuje mnie pana współpraca z Rubiszewską.

– Moja współpraca! Jaka współpraca! Ja z tym nic nie miałem wspólnego. – Zapalał świętym oburzeniem. – Tyle wiem, co mi ludzie powiedzieli. Komu się mieli poskarżyć jak nie mnie? Policji? – dorzucił ironicznie.

Więcka i Pucki maglowali zatrzymanego jeszcze godzinę, ale nic godnego uwagi nie usłyszeli. Koło południa uznali, że dalsze przesłuchanie nie ma sensu.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Pucki, gdy wraz z Moniką jechali z powrotem na komendę. Prowadził komisarz. Więcka rozparta wygodnie na siedzeniu kierowcy żuła batonik.

– Na dwoje babka wróżyła – wysepleniała niewyraźnie, przełykając spory kęs. – Mogło być tak, jak facet mówił. A mogło być tak, że podkradała im klientów, więc się pozbyli konkurencji.

– Wiesz co, na logikę rzecz biorąc, masz rację, ale szczerze mówiąc, żadna z tych wersji mi nie pasuje.

– Bo? – Monika zaczęła przetrząsać torbę w poszukiwaniu kolejnych słodczy.

– Bo cała otoczka morderstwa nie pasuje mi ani do grupy Wędzidła, ani do zdesperowanych Ukraińców. Po pierwsze, i jedni, i drudzy, nie zawracaliby sobie głowy przenoszeniem zwłok do wanny, nakrywaniem ciuchami, i tak dalej. To takie...

teatralne. Kropnęliby niewygodną kobietę i zostawili tam, gdzie upadła. Po drugie, sam sposób zadania śmierci – duszenie. Jest w tym coś osobistego. Broń palna, nóż, tępe narzędzie. Nie wydaje ci się, że wybraliby raczej coś z tego, a nie duszenie? Do tego duszenie gołymi rękami? Żeby chociaż sznurkiem, paskiem albo jeszcze lepiej: garotą.

– Jeszcze chwila i pomyślę, że chce pan profilerą zatrudnić – odparła Monika, tryumfalnie wyciągając z samego dna torby paczkę żelków.

– Po moim trupie! – warknął. – Jak pójde na emeryturę, możecie nawet wróża Macieja zatrudnić, ale póki ja tu jestem, żadnego szarlatana do śledztwa nie dopuszczę!

– Pan tu rządzi, szefie – zaśmiała się Więcka, wrzucając do ust garść kolorowych misiów.

## ROZDZIAŁ 30

Pucki nie lubił niedziel. Sobota to co innego. W sobotę człowiek zdążył już zwolnić po całotygodniowej bieganiu, wyluzować, wpaść w leniwy rytm, a jednocześnie miał w perspektywie miły wieczór z drinkiem i ulubioną muzyką no i cały kolejny wolny dzień: poranek, gdy nie trzeba zrywać się skoro świt, nieśpiesznie jedzone śniadanie, długi spacer, popołudnie, które zwyczajnie można przebić. Za to w niedzielę, gdzieś tak od obiadu, zaczyna nad człowiekiem wisieć widmo poniedziałku skutecznie psujące radość z odpoczynku.

Pucki właśnie lustrował krytycznym okiem koszulę, którą zamierzał włożyć nazajutrz do pracy. Była nieco pomięta, ale czy na tyle, by aż trzeba ją było prasować? W końcu i tak pod kurtką się pogniecie. Z rozmyślań wyrwał komisarza dzwonek telefonu.

– Ki czort? – zaklął w duchu Pucki. Odłożył koszulę. Odebrał. Dzwonił stary.

– Pucki, masz się zameldować na komendzie najdalej za pół godziny. – Padło zdecydowane polecenie.

– Szefie, co się dzieje? Jest niedziela – zaprotestował bardziej dla zasady, niż żeby się rzeczywiście sprzeciwić.

– Do diabła, pogięło cię czy co? Pracujesz w policji, a nie na poczcie. Migiem. – Ton głosu starego zdradzał, że to nie przelewki.

– Tak sobie tylko zazartowałem – bąknął. – Już lecę.

\*

W gabinecie oprócz szefa czekało na Puckiego jeszcze dwóch nieznanymi mężczyzn. Twarze mieli poważne, nieruchome, zupełnie pozbawione wszelkiej mimiki, jakby odlane z betonu. Siedzieli w milczeniu. Komisarz pomyślał, że wyglądają niczym delegacja komitetu strajkowego przedsiębiorców pogrzebowych.

– Panowie poprowadzą jutrzejszą akcję w naszej filii „Promienia prawdy”. Zgodnie z ustaleniami weźmiesz udział. Czasu jest mało, przejdźmy od razu do konkretów.

Głos zabrał pierwszy z gości.

– Jest tak. My wchodzimy, wy czekacie na zewnątrz. Żadnych ruchów bez naszej zgody. Żadnej samowoli. Akcja zaplanowana na jutro, na piątą rano.

Umilkł. Pucki odczekał moment. Upewnił się, że obcy nie ma nic więcej do powiedzenia i dopiero wtedy zadał pytanie:

– Jaki jest plan?

Obaj mężczyźni obrzucili go pełnymi politowania spojrzeniami.

– Właśnie taki, jaki pan usłyszał. Wchodzimy, zajmujemy budynek. Reszta to tylko nasza sprawa.

– Panowie odpowiadają za zabezpieczenie dokumentów i innych dowodów przechowywanych w siedzibie sekty. Inne zespoły zdejmą w tym czasie na mieście przywódców Promienia. My, a właściwie ty – zwrócił się do komisarza – będziemy mogli uczestniczyć w przeszukaniu biur, a w terminie późniejszym, jeśli to okaże się konieczne, w przesłuchaniach zatrzymanych. Jakies pytania?

Milczenie.

– W takim razie dziękuję bardzo. To wszystko. – SzeF wstał. Ucisnął mocno rękę Puckiego na pożegnanie.

– Uważaj, na siebie. Wiesz, jak jest. Zazwyczaj policjant ginie na cztery dni przed emeryturą.

– Mnie został jeszcze tydzień, a poza tym to działa tylko w Stanach, więc nie ma obaw – odpowiedział.

Żart starego wcale go nie rozbawił. Czuł narastającą falę złości. Narada trwała raptem niecały kwadrans. Zmarnował całe niedzielne popołudnie po to, by wsłuchać trzech zdań na krzyż. Żeby chociaż kogoś interesowała jego opinia. Ale gdzie tam! Jakiś dupek pouczył go niczym niesforenego szczeniaka, a on, choć mógłby być tamtemu ojcem, nie miał innego wyjścia, jak tylko słuchać pokornie Co za parszywa robota!

\*

Każdy, kto choć raz uczestniczył w uczciwej bójce, wie, że wszystko trwa moment. Dwa, trzy ciosy i sprawa załatwiona. Nie ma w niej nic widowiskowego. No chyba że oglądamy amerykański film albo przepychankę przekupek na bazarze. Wtedy widowisko jest przednie, w powietrzu latają bluzgi, wyrwane kłaki oraz przeróżne przedmioty, na które wpadły rozochoczone panie, a publika ma niezły ubaw. Podobnie rzecz się ma z atakiem antyterrorystów. Jeśli towarzyszą mu strzały, wrzaski, piski i ogólny rozgardiasz, znaczy to, że ktoś pokpił sprawę: nie przeprowadził rozpoznania, źle zaplanował akcję albo dopuścił do przecieku.

Tym razem wszystko poszło zgodnie z planem. Nim siedzący w nieoznakowanym radiowozie Pucki zdążył się zorientować, już było po wszystkim. Do okna zapukał postawny, krótko ostrzyżony mężczyzna w kamizelce taktycznej. Pucki poznał go – to ten sam, który wczoraj instruował go na spotkaniu w komendzie.

– Gotowe – powiedział. – Czysto. Możecie włączyć.

– Szybko poszło – rzucił kurtuazyjnie komisarz.

– A jak miało pójść? Do takiej bzdury szkoda było chłopaków budzić! – Atek wcale nie był zadowolony z komplementu. – Można było dzielnicowego przysłać albo ze dwóch młodzików z prewencji. Żeby cały oddział zdejmował ciecia w pustym biurze! Szkoda gadać!

Splunął pod nogi i nie czekając na odpowiedź, ruszył w swoją stronę.

\*

Jest w opustoszałych budynkach coś upiornego. Coś, co sprawia, że przy każdym skrzypnięciu oglądasz się z niepokojem przez ramię. Coś, co każe stąpać ostrożnie. Coś, co zmusza, by wstrzymywać oddech. Coś, co wydobywa z nas irracjonalne instynkty wykształcone w czasach, gdy nasi przodkowie z lękiem zaglądali do nieznannej jaskini, nie wiedząc, co lub kto może się kryć w mroku.

Pucki szedł powoli bezludnym korytarzem, rozglądając się uważnie dookoła. Nie to, żeby się bał, na to był za starym i zbyt doświadczonym wyjadaczem, ale odczuwał pewien dyskomfort. Cisza go męczyła. Wtem, gdzieś z oddali, dobiegł odgłos pośpiesznych kroków. Trzasnęły drzwi. Ktoś zaklął. Zwykłe dźwięki słyszane tysiące razy sprawiły, że cały niepokój minął równie nagle, jak się pojawił. Komisarz odzyskał panowanie nad sobą. Zaczął działać – bez zbędnego pośpiechu, systematycznie i konsekwentnie, tak jak to miał w zwyczaju. Szarpnął za klamkę najbliższych drzwi. Nie ustąpiły. Spróbował drugie – też zamknięte, potem trzecie – to samo. Trzeba było zmienić taktykę. Wrócił na parter. Odnalazł kanciapę, gdzie pod czujnym okiem policjanta siedział wystraszony niemal na śmierć stróż nocny: starszy pan dorabiający sobie kilka groszy do nędznej emerytury. Na pytanie, czy pomoże, całym sobą wręcz manifestował chęć współpracy. Otworzył niewielką wiszącą na ścianie szafkę, wyjął z niej pęk kluczy i ochoczo podreptał na górę. Kolejne pokoje niewiele się od siebie różniły. Ogromne okno zasłonięte pastelową żaluzją, wzorzysta wykładzina dywanowa, biurko, ława, mała kanapa albo fotel, jakaś półeczka z książkami ustawionymi tam raczej na pokaz niż do czytania., kwiatek, zawieszony na ścianie czarno-białe zdjęcie w antyramie. Nic, co choćby w najmniejszym stopniu mogłoby pomóc w śledztwie. Ciekawy okazał się dopiero ostatni gabinet, ukryty w samym końcu korytarza. Znacznie większy niż pozostałe pomieszczenia, usytuowany w rogu budynku, był niezwykle jasny, bo dwie ściany zastąpiono ogromnymi szybami ciągnącymi się od podłogi aż pod sufit. Nie to stanowiło jednak o jego wyjątkowości. Z boku, w niewielkiej niszy przesłoniętej częściowo biurkiem widoczne były kolejne drzwi. Nie eleganckie, z grubego matowanego szkła, jak wszystkie pozostałe w budynku, ale solidne, dębowe, z imponującym zamkiem. Stary portier dwukrotnie sprawdził wszystkie klucze – żaden nie pasował. Mężczyzna rozłożył bezradnie ręce.

– Nigdy tu nie byłem – oznajmił płaczliwie. – To gabinet szefa całego tego interesu. On bardzo nie lubił, jak mówiłem do niego „kierowniku” albo „dyrektorze”. Mówił, że nie jest żadnym tam managerem tylko przywódcą duchowym. Mnie tam wszystko jedno. Zresztą prawie wcale z nim nie rozmawiałem, bo i po co? Ja tu tylko cieciuję, a on był kimś. Gdzie by tam sobie głowę zawracał rozmowami ze mną. No, ale to panów nic nie obchodzi – urwał nieoczekiwanie.

Co było robić. Czekać, aż przybędzie wezwany przez policję ślusarz, Pucki przeżył trzy najnudniejsze godziny w życiu. Stał, gapiąc się przez imponujące okno na zasypany brązowymi liśćmi trawnik. Powoli zaczynało dawać o sobie znać zmęczenie. W nocy

przespał zaledwie cztery godziny, a i to snem niespokojnym, przerywanym, niedającym wypoczynku. Nie zjadł śniadania, nawet kawy nie dopił, był podekscytowany wizją zbliżającej się akcji. Teraz, gdy podniecenie minęło, nadciągnęła fala znużenia i senności. Coraz trudniej przychodziło powstrzymać się od ziewania. Gdy w końcu przybył długo oczekiwany fachowiec, sytuacja niezbyt się poprawiła. Pucki miał wrażenie, że otwieranie opornych drzwi trwa całe wieki. Kiedy już się udało, aż gwizdnął ze zdumienia, wchodząc do środka. W małym, pozbawionym okien pokoiku nie było innych mebli poza metalowymi, szaroniebieskimi szafami kartotekowymi, w jakich w przychodniach przechowuje się karty pacjentów. Podeszedł do pierwszej z brzegu, pociągnął za uchwyt szuflady. Tak jak się spodziewał, była zamknięta. Dla porządku sprawdził pozostałe, szarpiąc energicznie. Ani jedna nie ustąpiła. Ktoś zadał sobie dużo trudu, by starannie ukryć i zabezpieczyć przechowywane tu akta. Co za tajemnice skrywały? Musiało upłynąć kilka dni, nim Puckiemu dane było się tego dowiedzieć.

\*

– A potem przyszedł ważniak z Główniej, oznajmił, że muszą zabezpieczyć dokumenty i co mogłem zrobić? – zakończył relację, przetykając resztkę kawy.

Monika ze zrozumieniem pokiwała głową. „Teren” od zawsze miał na pieńku z Główną. Teoretycznie jednostki pięknie ze sobą współpracowały, ale pod powierzchnią aż buzowało. Przepychanki, spory kompetencyjne i drobne, acz uciążliwe, złośliwości nie ustawały ani na chwilę. W rezultacie w każdym, nawet zupełnie niewinnym posunięciu przeciwnej strony dopatrywano się ukrytej szuky.

– Na szczęście nie wywożą wszystkiego do Warszawy. Akta mają chwilowo pozostać u nas. Jak dobrze pójdzie, koło czwartku dostaniemy do nich dostęp. Szukuje się niezły zasuw. Sporo tego będzie do przejrzania – dodał nieco pogodniej.

Resztę dnia postanowił spędzić na porządkowaniu papierów, robocie tyleż nudnej, co przygnębiającej. Trzeba było pozamykać wszystko, co tylko można było zamknąć, a resztę przygotować do przekazania młodszym. Nieuchronnie musiał zamknąć pewien etap życia. Czy to prawda, że są ludzie z niecierpliwością oczekujący emerytury, skreślając dni w kalendarzu i zatruwając wszystkim dookoła życie opowieściami o tym, jak to będą chodzić z wnukiem na ryby, napiszą książkę albo ruszą w podróż dookoła świata? Pucki nie miał wnuków, wędkowanie uważał za wyjątkowo nudne i jałowe zajęcie, pomysłu na książkę nie miał, a podróżować nie lubił. Emerytura jawiła mu się jako taktowne, lecz zdecydowane odstawienie na boczny tor, przeniesienie do kategorii jednostek zbędnych, dyskretnie ukrytych na marginesie społeczeństwa. Za niecałe dwa tygodnie z aktora brylującego na scenie życia miał zamienić się w pasywnego widza podziwiającego przez dziurkę od klucza cudze szaleństwo. Przed nim długie dni mijające na oczekiwaniu śmierci, której nikt nawet nie zauważył.

Sprawdził godzinę. Na obiad było jeszcze grubo za wcześnie. Uznał, że mimo wszystko zrobi sobie przerwę. Musiał, po prostu musiał zmienić zajęcie. Nie mógł pozwolić, by czarne myśli opanowały go ostatecznie. Jak tak dalej pójdzie, strzeli sobie w łeb i nie dożyje emerytury. A przecież może wcale nie będzie tak źle? Na świecie są miliony emerytów i jakoś żyją. „Jakoś” – podsunął wewnętrzny głos.

Nie! Tak dalej nie można! Zdecydowanym gestem odsunął papiery, wstał i ruszył na spacer po biurze, nie siląc się nawet na wyszukiwanie najbliższego chociażby pretekstu. Podeszedł do biurka Moniki. Dziewczyna siedziała ze słuchawkami na uszach, kołysząc się rytmicznie w takt muzyki.

– Znalazłaś coś ciekawego? – zagadnął.

Nie usłyszała. Delikatnie klepnął ją w ramię. Drgnęła zaskoczona. Odwróciła głowę.

– Ojej, szefie, nie zauważyłam pana! Przepraszam – zawołała, pośpiesznie ściągając słuchawki. – Co się stało?

– Nic przejmuj się – uspokoił ją łagodnie. – Tak tylko chciałem spytać, czy znalazłaś coś ciekawego.

– I tak, i nie – odparła enigmatycznie. – Przeglądałam Facebooka. Znalazłam wpis sąsiadki opublikowany w dniu morderstwa. Dziewczyna narzeka na głośną muzykę w mieszkaniu obok. Pogrzebałam i wychodzi mi, że hałas dobiegał z mieszkania Rubiszewskiej.

– Skąd ta pewność? Wiesz, jaka jest akustyka w blokach. Dźwięk niesie tak, że nigdy nie wiadomo, czy coś się dzieje za ścianą, czy kilka pięter wyżej albo w ogóle w sąsiedniej klatce.

– Pomyślałam o tym. – Uśmiechnęła się szelmowsko. – Dlatego właśnie podłubałam, poszukałam wcześniejszych wpisów. To nie pierwszy raz. Już wcześniej były awantury o głośną muzykę. Doszło nawet do kłótni w realu.

– Czyżbyśmy w końcu znaleźli jakiegoś świadka z dnia morderstwa? – zapytał podekscytowany.

– W tym sęk, że nie – przyznała z rezygnacją. – Dziewczyny nie ma w Polsce. Wyjechała na pół roku do Danii.

– Skąd wiesz?

– Jak to skąd, z Facebooka oczywiście.

– Ludzie piszą takie rzeczy w sieci! Powinna jeszcze dopisać „klucz pod wycieraczką, pieniądze na drugiej półce od góry schowane pod skarpetkami!”. Co oni mają w głowie zamiast mózgow?! A potem płacz, że ktoś się włamał i splądrował mieszkanie. I oczywiście pretensje do policji, że nie zapobiegła. Głupota ludzka nie zna granic! Szkoda gadać – zakończył smętnie.

– Wracając do naszych baranów – podjęła Więcka. – Z tego, co zrozumiałam, Rubiszewska, gdy była sama w mieszkaniu, zachowywała się cicho. Muzykę puszczała



głośno tylko wtedy, gdy miała gości. Z tego płynie prosty wniosek: w dniu, w którym zginęła, był u niej ktoś ze znajomych.

– Wniosek dobry, nie wnosi wiele, ale potwierdza moją tezę, że za zabójstwem stoi ktoś, kogo denatka dobrze знаła. Wpuściła gościa do mieszkania, włączyła muzykę, niczego się nie spodziewała. Niewiele, ale dobre i to.

\*

Minął wtorek, minęła środa, podobne do siebie niczym dwie krople deszczu, nudne, wypełnione jałową pracą i beznadzieją. O dziwo, gdy nadszedł długo wyczekiwany czwartek i w końcu można było zabrać się za sensowną robotę, Pucki nie poczuł dobrze znanego przyływu energii. Apatycznie podążał obok kipiącej entuzjazmem Moniki.

Ilość dokumentów do przejrzania jeszcze bardziej przytłoczyła komisarza. Tak mało czasu, a tak wiele do zrobienia.

– Ja biorę szafki z lewej, a ty te z prawej – zakomunikował zwięźle. Bez dalszego gadania zabrali się do pracy.

Otworzył górną szufladę. Wyjął pierwszą teczkę. W środku znalazł zaledwie kilka dokumentów: dwa akty urodzenia, akt ślubu i zapisaną ręcznie kartkę z imionami, nazwiskami i adresami. Zawartość drugiej teczki była niemal identyczna: akty urodzenia i ślubu plus strona odręcznych zapisków. W trzeciej to samo, i w czwartej, i w piątej. Sięgnął na chybił trafił po teczkę w drugiej szufladzie. I tym razem zawartość była taka sama. Powoli w umyśle komisarza zaczął wyłaniać się obraz całości. Nieco jeszcze zamglony, miejscami niepełny, ale z każdą chwilą coraz wyraźniejszy.

Rozłożył przed sobą zawartość pierwszej teczki. Związek między częścią dokumentów był oczywisty: akt ślubu rodziców, akt urodzenia dziecka i odręcznie sporządzone notatki o kolejnych miejscach zamieszkania rodziny. Nie pasowała tylko jedna rzecz: drugi akt urodzenia dotyczący zupełnie obcego dziecka. Sprawdził pozostałe tecki. Tak, to była reguła: zestaw dokumentów danej rodziny plus zupełnie nieprzystający do reszty akt urodzenia.

Przywołał Monikę. Potwierdziła, że w skontrolowanych przez nią szafkach znajdowały się takie same archiwa.

– Widzisz w tym jakiś sens?

– Jeszcze nie. – Pokręciła głową. – Ale go znajdę!

Pierwszą zależność odkrył Pucki. Zauważył, że choć akty urodzenia zdawały się nie mieć ze sobą nic wspólnego, zawsze zgadzała się płeć dziecka. Początkowo sądził, że może to być przypadek, jednak, gdy w całym archiwum nie znalazł ani jednego odstępstwa od reguły, uznał, że coś w tym jest.

– I co o tym sądzisz? – spytał Monikę, gdy już przedstawił jej swe spostrzeżenie.

– Nie tylko płeć, ale i wiek dzieci się zgadza – odparła.

Spojrzał na leżące na biurku, kolorowe kartki. Porównał daty urodzenia. Różniły się o zaledwie kilka dni. Złapał kolejny komplet. Rzeczywiście! W podnieceniu wertował papiery. W żadnym przypadku różnica nie przekraczała dwóch, trzech tygodni. Jednak prawdziwe odkrycie dopiero miało nadejść.

– O w mordę, szefie! – krzyknęła Więcka. – Musi pan to zobaczyć.

Poderwał się tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło. Machnął ręką. Niech leży, nic mu się nie stanie. Złapał podsuniętą przez Monikę kartkę.

– Odpis skrócony aktu urodzenia – czytał na głos. – Nazwisko Rubiszewska, imiona: Katarzyna Anna urodzona szóstego grudnia dwa tysiące trzynastego roku... – przerwał.

Kolejny kawałek układanki wskoczył na właściwe miejsce.

\*

– Może zrobimy przerwę – zaproponowała nieśmiało Monika. Wiedziała, że gdy komisarza wciągnie praca, wołami go od niej nie można było odciągnąć.

– Dlaczego nie? – zgodził się nieoczekiwanie. – Należy nam się nagroda. Co powiesz na porządną Carbonarę?

– U Włocha?

– Pewnie, że u Włocha. Żadnych półśrodków. Tylko to, co najlepsze.

\*

Włochem nazywano właściciela niewielkiego bistro Mamma Mia. Pan Zdzisio nie miał ze słoneczną Italią nic wspólnego. Jego noga nigdy nie postąpiła dalej niż w sąsiednim województwie, a i wyglądem nie przypominał ani trochę przystojnego południowca. Można było co najwyżej dostrzec pewne podobieństwo do Danny'ego DeVito. Przewzisko zawdzięczał temu, że jako pierwszy w mieście założył włoską restaurację. „Włoskość” przybytku była mocno dyskusyjna. Początkowo podawano tam głównie średniej klasy makaron z sosem pomidorowym, ale z niewiadomych przyczyn ludzie polubili to miejsce. Z czasem pan Zdzisio zatrudnił porządnego kucharza, zmienił wystrój i stopniowo, ale konsekwentnie podnosił jakość serwowanych posiłków. Dbał, by makaron zawsze był *al dente*, a sos był prawdziwym sosem, a nie keczupem z dodatkiem ziół prowansalskich. Strategia okazała się nadzwyczaj skuteczna. Kolejne restauracje pojawiały się i znikwały z kulinarnej mapy miasta, a Mamma Mia trwała, opierając się kolejnym kryzysom.

Pojechali samochodem Moniki. Nie pokonali więcej niż pół kilometra, gdy utknęli w gigantycznym korku. Nim zdążyli się zorientować, z tyłu utworzyła się spora kolejka aut, skutecznie uniemożliwiając odwrót. Nie było wyjścia. Musieli cierpliwie czekać, posuwając się do przodu w ślimaczym tempie.

– Wrzucę mużę, okej? – zapytała Więcka.

– A wrzucaj, byle nie rap – zaśmiał się komisarz.

Wyjęła ze schowka płytę, wrzuciła do odtwarzacza CD. Z głośników popłynęła muzyka. Ciężka, męcząca, przygnębiająca. Wibrujący, zawodzący wokal od czasu do czasu ocierający się o soulową manierę, unoszący się nad pełnym elektronicznych efektów tłem, to wybijał się, szybując ku górnym rejestrom, to opadał, przytłaczając utwór monotonią niczym gęsta mgła.

– Co to do diabła jest? Nowa, psychologiczna broń Mossadu? Wystarczy posłuchać tego dziesięć minut i masz ochotę się powiesić albo przynajmniej zalać w trupa! Zabić mnie chcesz?

– Naprawdę się panu nie podoba, szefie? – zdumienie brzmiące w głosie Moniki było szczerze. – To *Hopelessness* Anohni.

– Nigdy niczego podobnego u ciebie nie słyszałem. Jakaś nowa pasja?

– W sumie, tak – potwierdziła. – Pamięta szef, jak mówiłam o głośnej muzyce u Rubiszewskiej? To właśnie tę płytę katowała.

– Rubiszewska? – Pucki aż uniósł brwi ze zdumienia. Przywołał w pamięci płyty, które widział w mieszkaniu denatki. Królował tam nastrojowy, subtelny jazz. Owszem, były smutne kawałki, ale nie takie to depresyjne granie ocierające się o granice nihilizmu. Nie, to zupełnie nie pasowało.

Ucichły ostatnie akordy piosenki, głośnik zatrzeszczał i nim komisarz zdążył poprosić o zmianę płyty, rozbrzmiały pierwsze dźwięki kolejnego utworu. Dziwnie znajome. Pucki dałby sobie rękę uciąć, że gdzieś już je słyszał. I to całkiem niedawno. Instrumentalny wstęp dobiegł końca, głos wokalisty wzbił się nad syntetyzatory. Wystarczyło kilka nut, by wspomnienie wypłynęło na powierzchnię. A wraz z nim pojawiał się ostatni brakujący element. Komisarz rozwiązał zagadkę.

– Stój – krzyknął do Więckiej, chociaż siedział tuż obok niej. – Wracamy!

– A obiad? – zapytała odruchowo.

– Obiad u Włocha zjemy innym razem. Teraz mamy ważniejsze sprawy. Jedziemy na komendę.

Monika o nic więcej nie pytała. Posłusznie skrzyła, gdy tylko nadarzyła się pierwsza szansa ucieczki z korka. W skupieniu słuchała rzucanych pośpiesznie poleceń, starając się niczego nie uronić i niczego nie zapomnieć.

– Wezwij na jutro, na dziewiątą rano Malewskiego. Grońska, Gajowczyk i Kozieluczk niech się zameldują u mnie o ósmej piętnaście. Nie ma mowy o spóźnieniu. Nogi z tyłka powyrywam, jeżeli nie będą na czas. Niech pobiorą broń. Ty masz być u mnie przed dziewiątą. W cywilu. Bez broni.

Choć na usta cisnęły się dziesiątki pytań, milczała. Zbyt długo znała komisarza, by mieć jakiegokolwiek złudzenia. Wiedziała, że na odpowiedzi musi poczekać.

## ROZDZIAŁ 31

Pucki obudził się przed świtem. Długo leżał, przewracając się z boku na bok. Co z tego, że widział, kto jest zabójcą? Co z tego, że miał stuprocentową pewność? Dla sądu nie było to żadnym argumentem. Ileż to razy w karierze zaciskał bezsilnie pięści, gdy kolejny bandyta wychodził na wolność z braku dowodów? Ileż to razy celowo rezygnowano z postawiania zarzutów w nadziei, że za czas jakiś sprawa będzie pewniejsza? Iluż przestępców śmiało się policji i prokuraturze w twarz, jakby brali udział w szyderczej grze: „ja wiem, że wy wiecie, ale i tak nic mi nie może zrobić”. Tym razem morderca mu nie umknie. Chyba, że coś nie pójdzie zgodnie z planem. To właśnie to „chyba” nie pozwalało komisarzowi usnąć.

Na komendę dotarł przed siódmą. W oczekiwaniu na poranną odprawę miotał się niczym tygrys w klatce.

Wszystko go irytowało: powściągliwość Grońskiej, wieczny uśmiech Kozielczuka, dociekliwość Gajowczyka. Policjanci natychmiast zrozumieli, że to nie jest dobry dzień na dyskusje z przełożonym. Słuchami w milczeniu, odczoch potakując głowami, i gdy tylko nadarzyła się sposobność, zniknęli z oczu nakręconego komisarza.

Za kwadrans dziewiąta w zachowaniu Puckiego zaszła nieoczekiwana zmiana. Poszedł do łazienki, wypił nieco wody z kranu, wilgotnymi dłońmi przygładził włosy, spojrzął w lustro, po czym zadowolony z uzyskanego efektu spokojnym, równymi krokami wrócił do gabinetu. Usiał za biurkiem, przywołał na twarz nieco sztuczny uśmiech i znieruchomiał. Czekał.

Punkt dziewiąta do gabinetu weszła podkomisarz Więcka, prowadząc ze sobą nieco spiętego Malewskiego.

– Dzień dobry, panie Rafale! – Komisarz poderwał się zza biurka, witając wchodzących niczym dawno niewidzianych krewnych. – Mam dla pana dobrą wiadomość! Wiemy już, kto zabił Helenę Rubiszewską.

Nieco oszołomiony żywiołowym powitaniem Malewski spojrzął niepewnie na Puckiego.

– Tak? – bąknął. – I któż to taki?

– Tego nie mogę jeszcze zdradzić. Nie chcę rzucać oskarżeń, dopóki nie ma absolutnej pewności. Wie pan, jak to jest, błoto się przylepia.

– Rozumiem – przytaknął Malewski, choć w rzeczywistości nie pojmował nic z tego, co się wokół niego działo. – W takim razie po co tu jestem?

– Żeby nam pomóc zdobyć pewność. Chciałem pana prosić o zidentyfikowanie pewnej osoby. To będzie ostateczne potwierdzenie mojej teorii. Pomoże pan?

– Tak – potwierdził z ociąganiem.

– W takim razie zapraszam na niewielką wycieczkę. Idziemy. A właściwie jedziemy.

\*

Tym razem prowadził Pucki. Jechał powoli, od czasu do czasu rzucając nic nieznaczące uwagi. Wyglądał na spokojnego i wyluzowanego, ale Monika – obserwator znacznie bystrzejszy od Malewskiego – zauważyła, że komisarz co i rusz zerka we wsteczne lustro.

Z miasta wyjechali bez problemu. Poranne korki już zniknęły: ci, którzy mieli dojechać do pracy, siedzieli teraz w biurach, urzędach, sklepach czy gdzie ich tam los rzucił, a ci, którzy pracować nie musieli lub nie mogli, nie wyszli jeszcze z domów. Wyskoczyli na trasę krakowską, a po niecałym kwadransie skręcili w wąską, boczną drogę.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – oznajmił komisarz, gdy mijali zieloną tablicę z napisem Rączki.

Wjechali do niewielkiej miejscowości z gatunku tych, co to bez zaglądania do Wikipedii nie sposób określić, czy to bardzo duża wieś, czy jednak małe miasto. Minęli rynek, przejechali obok sporego, górującego nad okolicą kościoła, powoli kierując się ku obrzeżom Rączek. Pucki zahamował z piskiem opon przed jednym z ostatnich domów.

Pośrodku otoczonego rachitycznym, drewnianym płotem podwórka królowała studnia z betonowych krążków. Żaden zabytek ani atrakcja dla turystów. Paskudny koszmarek z lat siedemdziesiątych. Widoczny zza pozbawionych liści krzewów domek z serduszkiem sugerował, że na posesji nie ma kanalizacji. Stojący z boku dom, choć podmurowany i zadbane, świadczył o niezbyt dobrej kondycji finansowej właścicieli. Kto w dzisiejszych czasach mieszka w drewnianej chałupie?

– To chyba tutaj. Wsiadka – zakomenderował.

Uwadze Moniki nie umknęła zmiana w zachowaniu Malewskiego. Mężczyzna stracił resztki pewności siebie, strzelał na boki oczami, jakby szukając drogi ucieczki.

Pucki nacisnął klamkę. Furtka nie była zamknięta. Z budy wyskoczył pokraczny, wychudzony, rudy pies. Zaczął gromko ujadać, wściekle szarpiąc łańcuchem. Szczekanie wywabiło na zewnątrz gospodynię. Stała w progu: niewysoka, masywna, z włosami ukrytymi pod zawiązaną z tyłu chustką. Na widok Malewskiego upuściła trzymany w rękę gliniany garnek. Naczynie rozbiło się z hukiem o betonowe schodki. Na wszystkie strony popłynęło wylewające się z rozbitych skorup rzadkie, naleśnikowe ciasto.

– Miał pan nie przychodzić! – krzyknęła. – Obiecał pan!

– Pan już tu był, szefie? – szepnęła Monika.

– Nie ja, on – odpowiedział półgłosem, wskazując bladego jak ściana Rafała.

– Krychna, kto przyszedł? – Dobięł z sieni tubalny głos. Po chwili z mroku wyłonił się potężny, siwy mężczyzna. Wielką niczym bochen chleba dłoń, czułym gestem

położył na ramieniu kobiety. Spojrzał na przybyszów. Gdy jego wzrok spoczął na Malewskim, poczerwieniał i z krzykiem rzucił się do przodu.

– Ty sukinsynu, miałeś się tu więcej nie pokazywać – wrzeszczał.

Przerażona kobieta złapała go obiema rękami za poły swetra. Ciągnęła z całych sił, próbując powstrzymać rozwścieczonego męża.

– Heniu, proszę cię, daj spokój – powtarzała cały czas błagalnym tonem.

– Nic im nie mówcie! – krzyknął nagle Malewski.

– Na to już chyba nieco za późno – rzucił ironicznie Pucki.

Więcka stała z szeroko otwartymi oczami, niewiele z tego wszystkiego rozumiejąc.

– Może wejdziemy do środka, porozmawiamy spokojnie. – Komisarz podjął próbę opanowania sytuacji.

Zrezygnowana kobieta cofnęła się w głąb sieni, robiąc przybyszom przejście. Prosto z sieni weszli do ogromnej wiejskiej kuchni, a z niej do nieco mniejszego, niezbyt przestronnego pokoju. Usiedli wokół nakrytego szydełkowym obrusem, okrągłego stołu.

Gospodarze uparcie milczeli, obrzucając przybyszów złym wzrokiem. Pierwszy ciszę przerwał Pucki.

– Źle zaczęliśmy – zagaił. – Pozwólcie, że się przedstawię. Komisarz Mieczysław Pucki, a to moja koleżanka, podkomisarz Monika Więcka. Państwo, jak rozumiem, to Krystyna i Henryk Pawłowscy.

Zapytani wydali z siebie niechętnie pomruki.

– Rozumiem, że pana Rafała Malewskiego państwo już znają.– Ciągnął niezrażony policjant.

– Jakie tam znają.– Kobieta nie wytrzymała. – Raz go wdziałam, w lipcu. Cała znajomość.

– W lipcu? Pamięta pani może, kiedy dokładnie?

– A jakże mam nie pamiętać. Szesnastego. Wiem, bo akurat z kościoła wróciłam, z mszy za duszę mojej matki, świeć Panie nad jej grzeszną duszą, bo to akurat rocznica śmierci była. Okrągła. Dziesiąta.

– Szesnastego lipca – szepnął Pucki Monice do ucha, na głos zaś dodał. – Po co przyjechał?

Pawłowska wbiła wzrok z podłogę. Jej mąż odwrócił głowę w bok i uparcie wpatrywał się w plamę na ścianie.

– Nie chcecie państwo mówić, to ja powiem – ciągnął nieubłaganie. – Przyjechał po dziecko, prawda?

Kobieta rozpaczliwie spojrzała na męża, on jednak nadal nie odrywał wzroku od ściany. Nagle coś w niej pękło.

– Zabiorą ją nam, zabiorą! – jęknęła i zalała się łzami.

– Cicho, matka, cicho. Nie zabiorą. Sędzia też człowiek, wie, co słuszne. – Gładził żonę delikatnie po włosach, choć sam z trudem powstrzymywał łzy.

– Co mam zrobić? Co mam zrobić? – lamentowała niepokieszona.  
– Na mój rozum nie ma innego wyjścia, trza powiedzieć prawdę.  
– Ano – przytaknęła. Otarła zapłakaną twarz brzegiem fartucha i pochlipując od czasu do czasu cichutko, zaczęła opowiadać.

– Pobraliśmy się z Heniem, jak tylko szkołę skończyłam. Technikum. Ledwie dziewiętnaście lat miałam, a on niewiele więcej. Różnie nam się wiodło, raz lepiej, raz gorzej, jak to w życiu. Tylko w jednym nam się nie powiodło. Bóg nam dziećmi nie pobłogosławił. Nie powiem, na początku nawet mnie to cieszyło. Młoda byłam, życia chciałam użyć, zabawić się. Ale lata mijaly, skończyłam dwadzieścia pięć, potem trzydzieści i nic. Zaczęliśmy chodzić po lekarzach – żaden nie pomógł. Wszyscy rozkładali ręce. Powtarzali to samo, że niby wszystko w porządku i ze mną, i z Heniem, dawali jakieś tabletki, ale pożytku z tego było tyle, co z psa gnoju. Jak mi stuknęła czterdziestka, zrozumieliśmy, że nie ma się co oszukiwać. Długo myśleliśmy, rozmawialiśmy, aż stanęło na tym, że pozostaje nam jedynie adopcja. Znaleziliśmy ośrodek, złożyliśmy podanie i wtedy zaczął się prawdziwy koszmar.

Od razu na początku uprzedzono nas, że procedura potrwa co najmniej rok, a może nawet kilka lat. Wtedy wydało nam się to oczywiste: dziecko to nie walizka, którą można byle komu dać na przechowanie. Robiliśmy wszystko, co nam kazali: wypełnialiśmy całe stosy ankiet, chodziliśmy na spotkania z psychologiem, pedagogiem i Bóg raczy wiedzieć z kim jeszcze. Było to męczące, ale tłumaczyliśmy sobie, że to niezbędne formalności. Jednak z czasem wymagania z uciążliwych zmieniły się w upokarzające. Musieliśmy pójść do poradni uzależnień udowodnić, że nie jesteśmy alkoholikami ani narkomanami. I jednym zaświadczeniem się nie obeszło. Pracownicy ośrodka wściubiali nos w najbardziej intymne sprawy. Chodzili po sąsiadach, wypytywali. Ludzie zaczęli gadać. Mówili, że nie ma dymu bez ognia, że jak rozpytują, to pewnie mają powody. Co tu dużo gadać, z plotką tak jest, że powstrzymać jej nie sposób. Im głupsza, tym się szybciej i dalej rozchodzi. Opowiadali takie bzdury, że nawet nie ma sensu powtarzać. Z domu wstydziałam się wyjść. Nawet chcieliśmy się wyprowadzić, ale nie było jak. Pieniędzy odłożonych nie mieliśmy, na sprzedaż domu też nie było co liczyć. Kto by naszą starą chałupę kupił?

Ja bym się może poddała, zrezygnowała, ale Henio się zaciął. No to zaciskaliśmy zęby i czekaliśmy. I wtedy, po półtora roku dostaliśmy odpowiedź: nie nadajemy się. Jak to powiedzieli: „nie mamy odpowiednich warunków lokalowych”. Próbowaliśmy walczyć. Tłumaczyliśmy, że wodę bieżącą mamy, a studnia to tylko tak, na wszelki wypadek, bo u nas często prąd wyłączają i wtedy pompa nie działa. Pokazywał plany, że miasto kanalizację planuje podciągnąć w najbliższym czasie, a wtedy to już wszystko będzie jak należy, po miastowemu. Nic nie pomagało. Taka jedna pannica wymalowana niczym dziwka nosem kręciła. „Dziecko musi mieć oddzielny pokój” – mówiła – „a u was tylko dwie izby”. Ja jej na to, że są u nas domy co nie dwie, a jedną izbę mają i dwójka albo i

trójka dzieci się tam chowa. Jakoś nikomu to nie przeszkadza. Głupota jakaś, ale z urzędniczym uporem nikt jeszcze nie wygrał.

Pewnie byśmy w końcu zrezygnowali, ale wtedy przyszli do nas ci z „Promienia prawdy”. Skąd się o dowiedzieli – nie wiem. Obiecali, że wszystko załatwią. Żadnej adopcji, dostaniemy papiery, że dziecko jest nasze biologicznie. Wszystko zaplanowali. Miałam sąsiadkom powiedzieć, że znalazłam uzdrowiciela gdzieś na Wschodzie, co prawdziwe cuda czyni. Potem miałam wyjechać na kilka miesięcy, niby to do tego uzdrowiciela i na nakazaną przez niego pielgrzymkę. Wróciłam już z dzieckiem. Z naszą Karolinką.

Głos się jej załamał, po pooranej zmarszczkami, ogorzałej twarzy popłynęły łzy.

– Dlaczego „Promień prawdy” pomógł akurat wam? – cicho zapytała Monika.

– Bogać tam, tylko nam. Pomagali każdemu, kto mógł zapłacić. Nic by dla nas nie zrobili, jakbyśmy nie zapłacili. Mieliśmy szczęście, przyszli akurat wtedy, jak Henio po wuju spadek dostał. Wiele tego nie było, ale wystarczyło. Trochę mi nijak było płacić, bo to tak, jakbym dziecko kupowała, a przecież handlować żywym człowiekiem się nie godzi, ale mi Henio powiedział, że to przecież dla dobra dziecka. Żeby w bidulu dorastać nie musiało. Jak z małą przyjechałam, to Henio resztę tych pieniędzy, co ze spadku zostały, do kościoła zaniósł, na mszę dał, Bogu za córkę podziękować. I widać Pan pobłogosławił, bo się dzieciak dobrze chował. Mądra taka i ładna. Wszyscy dookoła nam jej zazdroszą. Wszystko szło dobrze, aż któregoś dnia pojawił się on. – Oskarżycielskim gestem wskazała Malewskiego. – Jak go tylko zobaczyłam, wiedziałam, że coś złego się święci. Sama byłam. Henio w pracy, Karolinka w przedszkolu. Nie chciałam obcego do domu wpuścić, to się zaczął na podwórku awanturować. „To moja córka” – wrzeszczał. – „Chcę ją zobaczyć. Ja ją powinienem wychowywać, rodzony ojciec, a nie obcy ludzie!”. Policją się odgrażał, sądem.

– Czy to prawda, panie Malewski? – Słowa komisarza przerwały opowieść Pawłowskiej.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Poderwał się z krzesła i rysim susem skoczył ku wyjściu. Przebiegł przez kuchnię, jednym szarpnięciem otworzył drzwi na zewnątrz, lecz tam już czekał Gajowczyk. Całym ciałem tarasował wyjście. Malewski w mgnieniu oka ocenił sytuację. Uznał, że nie ma szans w starciu z policjantem. Szybko się cofnął. Wbiegł z powrotem do kuchni. Podbiegł do okna, ale tutaj drogę ucieczki odciął mu Kozielczuk. Kilka kroków za aspirantem stała gotowa do akcji Grońska.

– Cóż, panie Malewski, czuję, że lepiej będzie dokończyć tę rozmowę na komendzie.

Komisarz wyglądał jak kot, który się opił śmietanki.

\*

Z powrotem jechali w ciszy. Więcka tylko raz przerwała milczenie.

– Co będzie z dziewczynką? Naprawdę mogą ją odebrać Pawłowskim?



– Skąd mam wiedzieć? – odburknął. Więcej już się nie odezwał.

\*

Dalej sprawy potoczyły się same. Pucki znał ten scenariusz. W pewnym momencie podejrzany doszedł do wniosku, że przegrał. Przystawał kombinować, zaczynał mówić. Przesłuchanie stawało się swego rodzaju formą duchowego oczyszczenia, czymś pośrednim między spowiedzią a wizytą u psychoanalityka. Nie trzeba było nic więcej robić, o nic więcej pytać. Wystarczyło tylko słuchać, nagrywać i nie przerywać.

Malewski nie próbował ani się tłumaczyć, ani usprawiedliwiać, ani wybielać. Wyprutym z emocji tonem relacjonował zdarzenia, jakby dotyczyły nie jego, ale kogoś zupełnie obcego.

– Wszystko zaczęło się dzień wcześniej, czternastego lipca. Żona wyjechała nieoczekiwanie na tydzień do chorej matki. Nie miałem żadnych planów na wieczór, postanowiłem więc wpaść po pracy do Heleny. Na ogół uprzedzałem ją o wizycie, ale tym razem decyzję podjąłem w ostatnim momencie. Miałem swoje klucze, wszedłem do środka bez pukania czy dzwonienia – taki mieliśmy zwyczaj. W mieszkaniu ktoś był. Usłyszałem podniesione głosy. Przystanąłem w przedpokoju. Trochę mi było głupio podsłuchiwać, ale ciekawość zwyciężyła. Początkowo niewiele z tego rozumiałem, jednak powolutku z urywków informacji zaczynałem wychwytywać sens. Nasze dziecko nie umarło. Helena oddała je do adopcji, inkasując za to wcale niemałą kwotę. Teraz chciała, żeby „Promień prawdy” zapłacił jej jeszcze więcej. Miała jakieś kompromitujące ich dokumenty. To było jak grom z jasnego nieba, jakby mnie ktoś siekierą po głowie zdzielił. Nie wiedziałem, co robić. Wyszedłem niezauważony. Musiałem pomyśleć. Jedno było jasne – muszę odzyskać dziecko. Zawsze chciałem mieć dużą rodzinę, niestety, okazało się, że Zosia nie może zostać matką. Proponowałem jej in vitro, ale nawet nie chciała słuchać – ona pochodzi z niezwykle religijnej rodziny. Na adopcję też się nie chciała zgodzić. Mówiła, że jakby chciała wychowywać cudze dzieci, to by została przedszkolanką. Nie potrafiłem jej przekonać. Gdy ostatecznie pogodziłem się z losem, nagle wyszło na jaw, że mam córkę. Czy potraficie sobie wyobrazić, co wtedy czułem?

Całą noc nie spałem. Rano zadzwoniłem do sekretarki, powiedziałem, że nie przyjdę do pracy, kazałem odwołać wszystkie spotkania, a sam wybrałem się do Heleny. Przywitała mnie jak gdyby nigdy nic. Przez chwilę gawędziliśmy o głupotach, w końcu nie wytrzymałem. Nie byłem w stanie dłużej udawać. Wyrzuciłem z siebie wszyściuteńko, co mi leżało na sercu. I wie pan co? Nawet nie próbowała się tłumaczyć. Potwierdziła, że to co usłyszałem, to szczerą prawdą. Tak lekko to powiedziała, jakby przyznała się do jakiejś niewinnej psoty. Przez całe lata oszukiwała mnie i nawet nie było jej wstyd!

Zażądałem, żeby powiedziała mi, gdzie jest nasza córka. Oznajmiłem, że zamierzam walczyć o dziecko. Wyśmiała mnie. Zapytała, jak to sobie wyobrażam? Pójdę do obcych

ludzi, powiem, że po sześciu latach znalazł się kochający tatuś i tak ni z tego, ni z owego, chce im zabrać wychowankę? Zaczęliśmy się kłócić. Na każdy mój zarzut miała gotową odpowiedź. Z żelazną logiką zbijała kolejne argumenty jeden po drugim. W końcu zagroziłem sądem. To też nie zrobiło na niej wrażenia. Pamiętam jej słowa, jakby to było dziś. „Naprawdę myślisz, że cokolwiek wskórasz?” – mówiła. – „Po pierwsze, nie masz żadnych dowodów. Po drugie, gdybyś nawet udowodnił, że to twoje dziecko, to i tak będzie tylko twoje słowo przeciwko mojemu. Zeznam, że porwałś małą zaraz po porodzie i oddałeś do adopcji. Za pieniądze. Albo żeby się żona nie dowiedziała o skoku w bok. Albo z obu powodów. Zaleję się łzami ze wzruszenia po odnalezieniu zaginionej przed laty córki. Jak myślisz? Komu uwierzą? Zrozpaczonej matce czy nawróconemu nagle tatuśkowi?”. Tak właśnie powiedziała. Potem jakby nigdy nic wstała, założyła paskudne, gumowe rękawiczki i zabrała się za zmywanie.

Siedziałem jak skamieniały. Im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej docierało do mnie, że ma rację. Wtedy coś się we mnie pękło. Zrozumiałem, że póki Helena żyje, nie odzyskam dziecka. Musiałem się jej pozbyć. Nie wiem, skąd znalazłem w sobie tyle siły i desperacji. Próbowwała się bronić, złapać mnie, odepchnąć, ale przeszkadzały jej te gumowe rękawice – były sporo za duże, a do tego mokre i śliskie. Gdy zrozumiałem, co zrobiłem, było już za późno. Leżała tak, martwa, w tych idiotycznych, seledynowych rękawiczkach. Do dziś nie wiem, dlaczego je zdjąłem i wsadziłem do kieszeni. Głupi odruch.

– To tłumaczy brak naskórka pod paznokciami ofiary. I ten talk na dłoniach – mruknęła Więcka.

– Twierdzi pan, że tuż przed śmiercią ofiara zajęta była zmywaniem. Czy to znaczy, że do zabójstwa doszło w kuchni?

Malewski skinął potakująco głową.

– Po co w takim razie przeniósł pan zwłoki do łazienki?

– Za późno zrozumiałem, że nie mam pojęcia, gdzie szukać córki. Pomyślałam, że może znajdę jakieś wskazówki w tych dokumentach, których domagał się gość z „Promienia Prawdy”. Miałem nadzieję, że mu ich nie oddała. Zacząłem przeszukiwać mieszkanie. To nie było takie proste. Cały czas miałem wrażenie, że Helena na mnie patrzy. Wyniosłem ciało do łazienki, ale to nie pomogło. Nawet gdy zamknąłem jej oczy, nie mogłem się pozbyć wrażenia, że obserwuje mnie spod opuszczonych powiek. Przykryłem jej twarz ręcznikiem, ale i tego było mało. Wpadłem w jakiś amok. Łapałem wszystko, co mi wpadło w rękę: ręczniki, ścierki, wywaliłem całą zawartość kosza z brudną bielizną. Cały czas w głowie rozbrzmiewał mi kpiący śmiech Heleny. Włączyłem muzykę, żeby go zagłuszyć, i zacząłem przeszukiwać mieszkanie. Znalazłem teczkę z danymi dziecka i adopcyjnych rodziców. Już miałem wyjść, gdy przypomniałem sobie o fotografiach. Chciałem jak najszybciej opuścić mieszkanie. Nie bawiłem się w wyjmowanie pojedynczych zdjęć. Znalazłem album, wyrwałem kartki, na których była

Helena w ciąży. To jedna z tych rzeczy, których nie potrafię po dziś dzień wytłumaczyć. Nie wiem, dlaczego tak bardzo mi na nich zależało. Po prostu czułem, że muszę je mieć.

Na drugi dzień pojechałem do Rączek. Ruch bez sensu. Ale może dobrze się stało. Długo rozmawiałem z Pawłowską. Próbowwała mnie przekonać, żebym odpuścił. Groziła. Prosiła. Miałem to gdzieś. Chciałem zobaczyć córkę. I zobaczyłem. Wróciła z przedszkola. Sąsiadka ją przyprowadziła. Dziewczynka od razu podbiegła do przybranej matki, przytuliła się, zaczęła opowiadać o tym, co się jej w ciągu dnia przydarzyło. Terkotała jak nakręcona. Była taka szczęśliwa. Wtedy zrozumiałem, że nie mam prawa burzyć jej małego, spokojnego świata. Aż takim egoistą nie jestem. Obiecałem Pawłowskiej, że nigdy więcej nie wrócę. Zamknąłem ten rozdział raz na zawsze. Tak przynajmniej wtedy myślałem.

\*

Przesłuchanie dobiegło końca. Funkcjonariusze wyprowadzili Malewskiego do aresztu. Trzaśnięcie zamykanych drzwi było niczym symbol zakończenia sprawy. Ostatniej sprawy komisarza Puckiego.

Monika zabawnie zmarszczyła nos.

– Jednej rzeczy tylko nie rozumiem. Po co Rzepski włamał się do Tańskich? – zapytała.

– Jak to po co? Szukał teczki z dokumentami dziecka i adopcyjnej rodziny. Tej samej, którą zabrał Malewski. Miał nadzieję, że Joanna zabrała ją razem z innymi rzeczami siostry.

– Jakie to proste, że też na to sama nie wpadłam! – zawołała.

Pucki po raz kolejny nie wiedział, czy Więcka mówi poważnie, czy sobie kpi. Machnął ręką. To już nie miało żadnego znaczenia.

## EPILOG

Pożegnanie Puckiego odbyło się bez zbędnych ceregieli. Szef wygłosił okolicznościową mowę: na tyle długą, by świeżo upieczony emeryt nie poczuł się urażony, i na tyle krótką, by nie znudzić zgromadzonych. Potem nastąpiły standardowe życzenia, zapewniania, że „na pewno zostaniemy w kontakcie” – obietnice, o których zapominano, zanim jeszcze przebrzmiało ostatnie słowo. Goście zjedli po kawałku ciasta i pośpiesznie rozeszli się do swoich zajęć. Życie komendy wróciło do normy. Normy, z której Pucki został wykreślony.

\*

Wieczorem wybrali się do pubu: Pucki, Jamski i Więcka. Cała trójka siedziała wpatrzona w swe kufle piwa. Złoty płyn musował delikatnie.

– Ze wstydem muszę przyznać, że w ciebie zwątpiłem. – Jako pierwszy odezwał się Jamski. – Byłem przekonany, że nie dasz rady zakończyć sprawy Rubiszewskiej, a tu masz, zdążyłeś rzutem na taśmę. Gratulacje!

– Nie byłbym taki pewien, czy jest czego gratulować – odparł smętnie Pucki. – Co dobrego z tego wynikło? Gdyby nie my, byłyby o trzy trupy mniej. Tańska i Brodzka żyłyby nadal, Błocki być może też. Pawłowscy dobrze opiekowali się dzieckiem, a teraz grozi im sprawa w sądzie, może nawet więzienie. Co wtedy stanie się z małą? Czekają ją dom dziecka. Do tego Giewont i Kalicki zniknęli, jakby się pod ziemię zapadli. Szczerze wątpię, czy policja kiedykolwiek ich dopadnie. Pewnie za wszystko odpowie Marianna Pol. I to ma być sprawiedliwość? Nie tak sobie wyobrażałem zakończenie kariery – westchnął. Podniósł kufel do ust. Pociągnął duży łyk. Na górnej wardze osiadła warstwa białej pianki. Wyglądała jak krótko przystrzyżone, siwe wąsy.

– Chyba nie żałuje pan, szefie, że wybrał pracę w policji. Przecież był pan najlepszy! – oburzyła się Więcka.

– Bo ja wiem? – mruknął. – Kiedy zaczynałem, to były zupełnie inne czasy, inna policja. Wiele razy chciałem to rzucić w diabły. Pójść do normalnej roboty, wracać do domu o szesnastej i mieć wszystko z tyłu. Choć tysiąc razy przeklinałem chwilę, w której przestąpiłem próg komisariatu, choć bywało, że i sto razy dziennie odgrażałem się, że przejdę do cywila, nie odszedłem. Stąd nikt nie odchodzi przed czasem. Teraz twoja kolej – spojrzaj na Monikę. Nie odpowiedziała, zatopiona we własnych myślach.

– Już tak późno? – mruknął zaskoczony. – Czterdzieści minut do zamknięcia? Zamówcie mi jeszcze jedno piwo. Zdażę.

KONIEC

Ostatnia sprawa

Copyright © Agnieszka Chodkowska–Gyurics

Copyright © Wydawnictwo Literate

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover photo by Artem Furman

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz, 2019

druk ISBN 978-83-7995-384-4

epub ISBN 978-83-7995-385-1

mobi ISBN 978-83-7995-386-8

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Aleksandra Zok-Smoła

Korekta: Bożena Walewska

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Grafika na okładce: Aleksandra Bartczak

Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@literate.pl](mailto:sekretariat@literate.pl)

[www.literate.pl](http://www.literate.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)